

JEAN  
D'ORMESSON

MĘCZYŻNI  
ZA NIĄ  
SZALEJĄ



MĘZCZYŹNI  
ZANIĄ  
SZALEJĄ

J E A N  
D ' O R M E S S O N

Przełożyła JOANNA POLACHOWSKA

M A R G I N E S Y

## Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja Motto Mapy 1. Ich Wysokości ze schowka 2. Święci Apostołowie 3. Pandora! Pandora! 4. Rejs na wyspy 5. Carlos i Jessica na jednym jadą wózku 6. Portret autora w roli ratownika serc 7. Noc w Barcelonie Noty biograficzne o głównych bohaterach Przypisy

Tytuł oryginału TOUS LES HOMMES EN SONT FOUS Przekład  
JOANNA POLACHOWSKA Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Korekta AGNIESZKA RADTKE, JADWIGA PILLER Projekt okładki  
AGNIESZKA TKACZYK Opracowanie graficzne i typograficzne  
ANNA POL Łamanie ANNA HEGMAN Zdjęcia na okładce

© Jorg Hackemann / Shutterstock.com

© Yuri Arcurs / Digital Vision / Getty Images

© Georges Seguin *Tous les hommes en sont fous*

Copyright © 1986 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © for the translation by Joanna Polachowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2016 Warszawa 2016

Wydanie pierwsze w tej edycji ISBN

978-83-65282-84-2 Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

*Dla tych, których kocham*

Panie złe o niej mówią słowa,  
Panowie zaś ją wielbią szczerze,  
Biskup Toledo – rzecz nienowa –  
U stóp jej zmawia swe pacierze.

TÉOPHILE GAUTIER  
(przeł. Hanna Igalson-Tygielska)

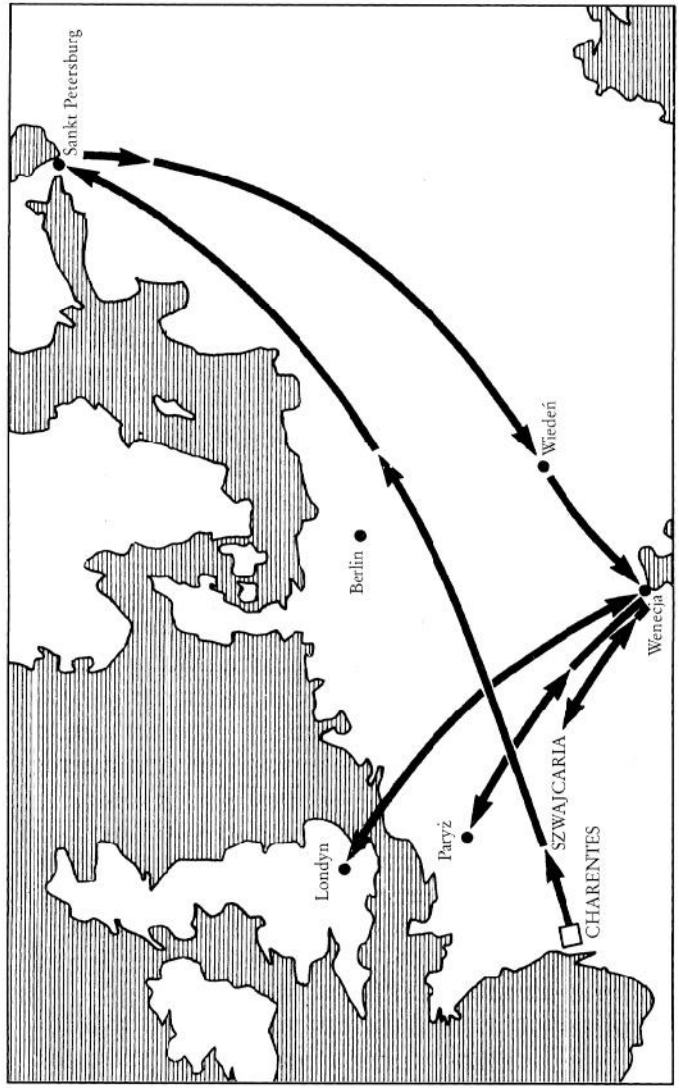
Na czym stanęliśmy? Poczynając od połowy XIX wieku O'Shaughnessy'owie i Wrońscy, Finkelsteinowie i Romerowie przeżywali w Europie, Azji, Afryce, Ameryce Północnej i Południowej niezliczone przygody. By prześledzić perypetie ich małego światka, najlepiej byłoby oczywiście sięgnąć do *Wieczornego wiatru*, którego niniejszy tom stanowi ciąg dalszy.

Główne szlaki geograficzne, którymi podążali niektórzy z naszych bohaterów, przedstawione są na załączonych obok mapach. Możliwe, że wystarczą wam do odświeżenia pamięci.

Ci, którzy niecierpliwie drepcą po peronie, chcąc jak najszybciej wskoczyć do jadącego pociągu, powinni wiedzieć przynajmniej tyle, że nasze cztery rodziny połączyły się między sobą po podwójnymi więzami: Aureliano Romero poślubił córkę Jeremiasza Finkelsteina, Brian O'Shaughnessy – jedną z Wrońskich.

W chwili, gdy rozpoczynają się te strony, dobiega końca pierwsza wojna światowa. Aureliano Romero został niedawno mianowany ambasadorem Argentyny w Anglii. Brian O'Shaughnessy mieszka w głębokiej Szkocji na zamku Glangowness. Przeszłość wraz ze wszystkimi jej dramatami i sekretami, opowiadana przez narratora, który nie opuszcza już tarasu swojego domu w San Miniato w Toskanii, swoje waży. Teraźniejszość przybiera postać czterech chłopców i czterech dziewcząt: czterech braci Romerów i czterech sióstr O'Shaughnessy.

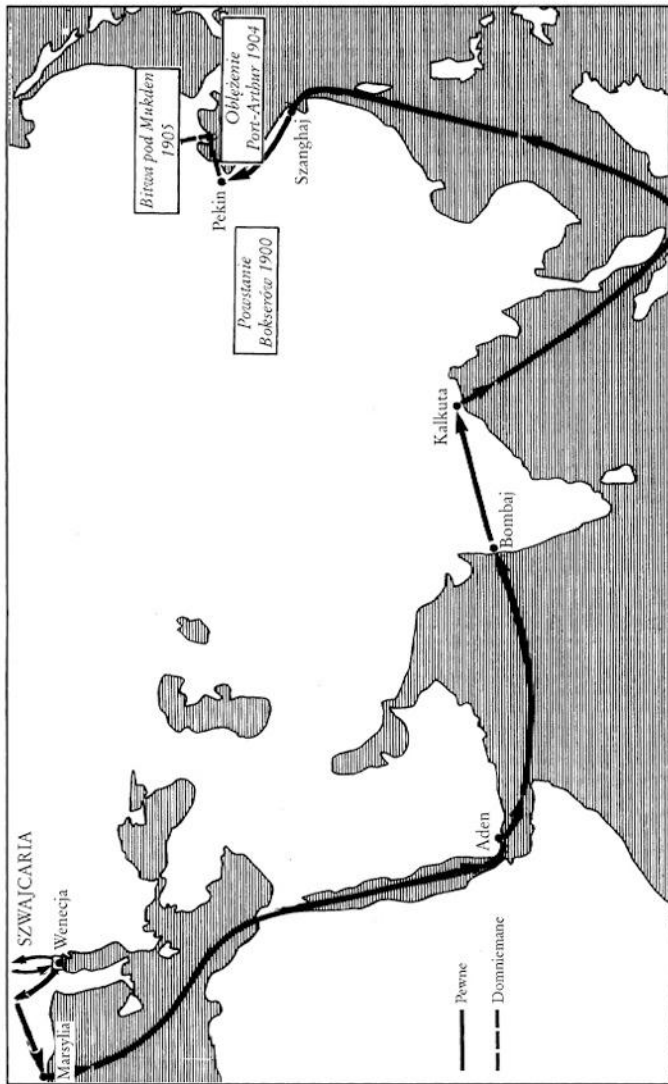
Łącznikiem między Romerami i O'Shaughnessy'ami, którzy na razie ledwie się znają, jest angielska guwernantka o melodyjnym imieniu Evangeline, miss Evangeline Prism.



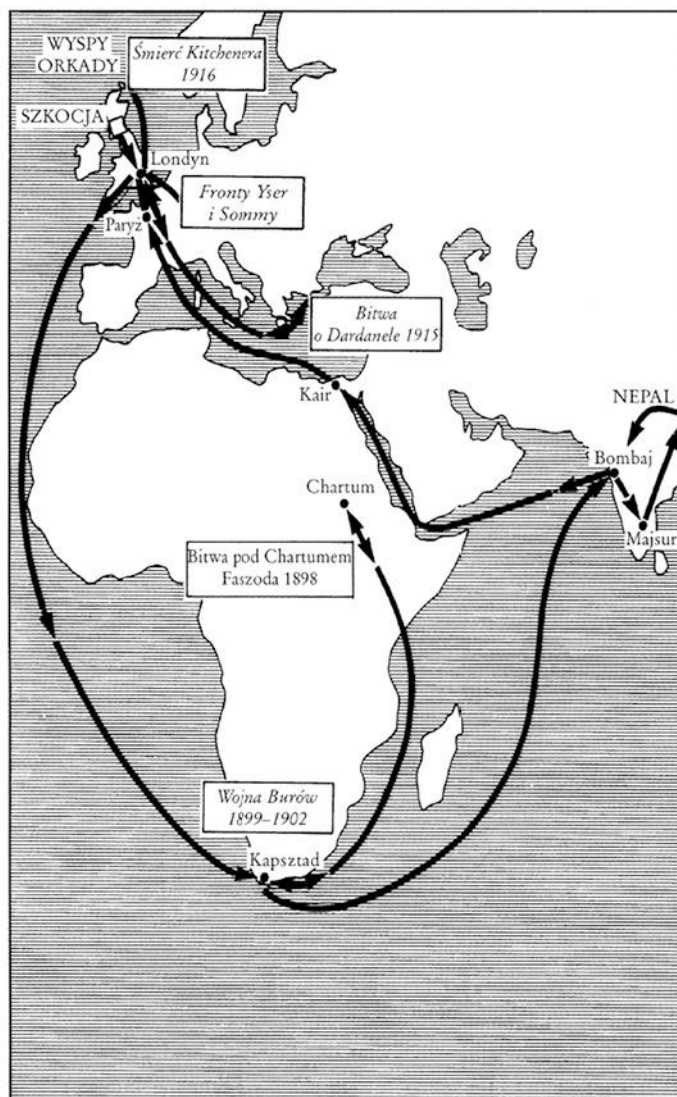
Wrońska

Podróże Marii



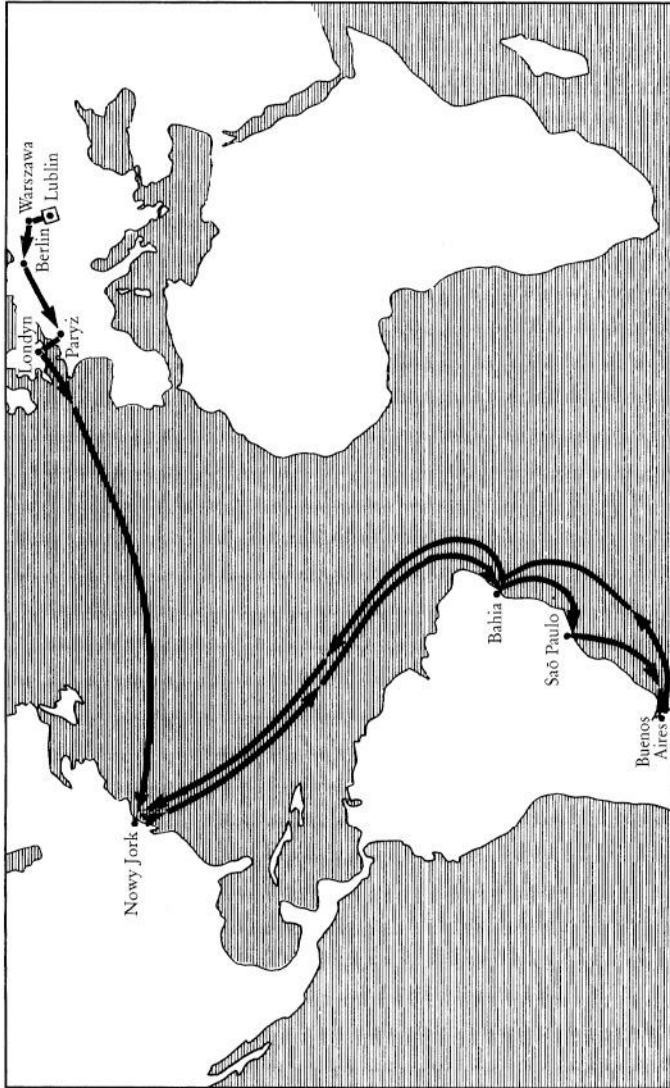


Podróże Nicolasa



O'Shaughnessy'ego

Podróże Briana



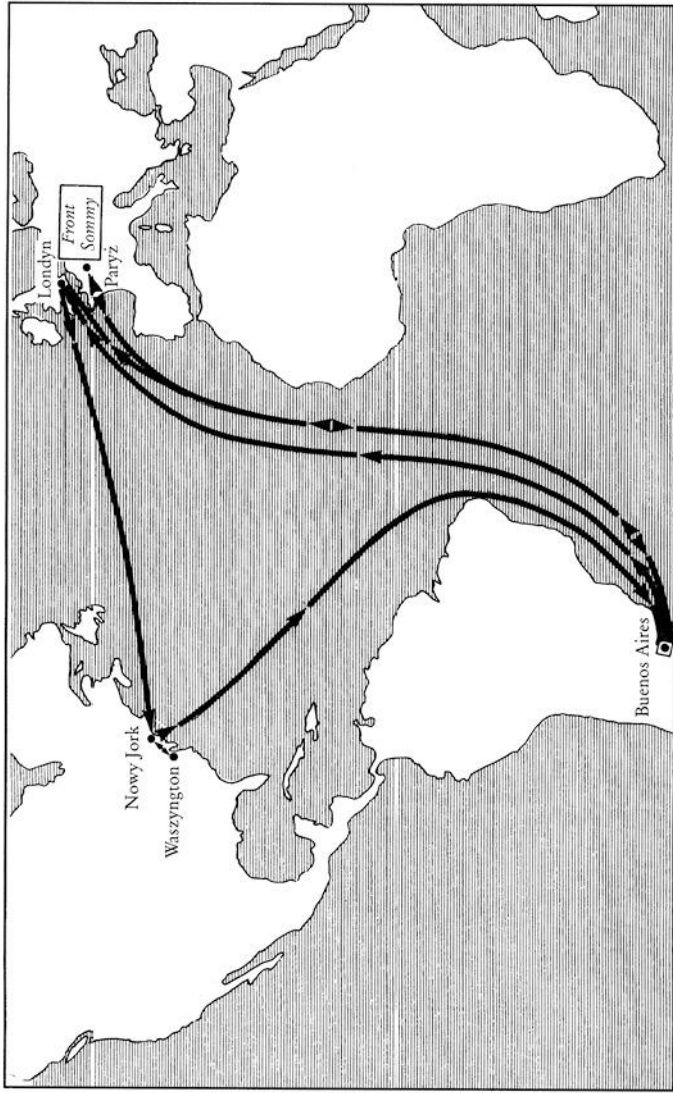
Finkelsteina

Podróże Jeremiasza



Romero

Podróże Conchity



Podróże Aureliana Romery

## Ich Wysokości ze schowka

Jedną z najbardziej zagadkowych oraz stałych funkcji czasu jest podnoszenie przypadku do rangi nieuchronności. Świat zmierza naprzód dzięki spotkaniom, które upływ czasu zamienia w zrządzenie losu. Kiedy młodzi Romerowie, nieznośni synalkowie ambasadora Argentyny w Anglii, osiągnęli wiek piętnastu–dwudziestu lat, stało się zupełnie oczywiste, że w czasach szybkości i automobilu, po Tannenbergu i Verdun, po straceniu rosyjskiej rodziny carskiej w Jekaterynburgu dalsze pozostawianie ich pod opieką skołowanej guwernantki zakrawa na lekką śmieszność. Jedną z najbardziej ujmujących cech Aureliana Romery i jego żony Rosity, z domu Finkelstein, była lojalność. Pośród wstrząsów, które przyniósł ze sobą pokój, nie tak okrutnych, lecz bardziej przygnębiających aniżeli zamęt wojny, przyszłość miss Prism leżała im bardzo na sercu. Cudownym zrządzeniem losu Brian i Hélène O'Shaughnessy'owie, mieszkający w Szkocji w sławnym zamku Glangowness, szukali akurat dla swoich czterech córek, urodzonych jedna po drugiej podczas wojny i zaraz po jej zakończeniu, osoby doświadczonej i godnej zaufania. Tym sposobem miss Evangeline Prism, która wprawdzie sama nigdy nie obcowwała z żadnym mężczyzną, ale pod koniec ubiegłego i w początkach naszego wieku wyprowadzała cudze dzieci na spacer po Waszyngtonie, Buenos Aires i Paryżu, by na koniec wrócić do swojej poczciwej starej Anglii, przeszła od synów Romerów do córek O'Shaughnessych. Nie domyślała się, jaką rolę i historyczną odpowiedzialność, niczym chór w tragediach greckich, tym samym na siebie bierze. W jej rudowłosej osobie i pod jej niewinnym okiem dokonywało się zespolenie linii Wrońskich i Finkelsteinów, Romerów i O'Shaughnessych.

Mimo napadów nagłej płochliwości i powierzchowności starej panny, zawsze jakby nieco załęcznionej i zagubionej w świecie dorosłych, Evangeline Prism bynajmniej nie była głupia. Dość szybko zorientowała się, co łączy, a co dzieli czterech chłopców Romerów i cztery panny O'Shaughnessy. Nie trzeba było być marksistą – a ona nie

znała nawet nazwiska autora *Kapitału* – by odkryć pierwszy i najważniejszy z punktów wspólnych obu rodzinom: i jedna, i druga miały pieniądze. Nie były to takie same pieniądze, nie była to taka sama fortuna, ale wszyscy oni znajdowali się po tej samej stronie barykady. Z punktu widzenia Ewangelii – złej. W oczach świata – właściwej.

Dobra O'Shaughnessych były znacznie dawniejsze od dóbr Romerów. Niuans ten znajdował swe odbicie nawet w warstwie słownej: Romerowie mieli pieniądze, natomiast potomkowie McDuffów, McNeillów, Landsdownów, królów Irlandii, kilku z grona najbardziej wyrafinowanych hinduskich maharadzów, a możliwe, że również króla Artura i czarodzieja Merlina – mieli majątek. Towarzysko różnica ta dawała O'Shaughnessym wielką przewagę, czego Romerowie – i Finkelsteinowie – pierwsi byli świadomi. Jednak sprawy nigdy nie przedstawiają się tak prosto, jak można by sobie wyobrażać. Z historycznego punktu widzenia Romerowie pięli się w górę, natomiast O'Shaughnessy staczali w dół. W wieku trzech czy pięciu lat siostry O'Shaughnessy były bez wątpienia trochę jeszcze za małe, by sięgać takich wyzyn metafizyki i socjologii. Ale Brian i Hélène, skądinąd nieżyjący żadnych ambicji intelektualnych, byli na tyle pojętni, by niejasno domyślać się funkcjonowania owej huśtawki.

Czuła to również miss Prism. Pchając po ulicach Buenos Aires wózek pełen ciemnych główek, była świadkiem narodzin potęgi przemysłowej Romerów; wiedziała, jaką żelazną ręką Conchita Romero, matka Aureliana i babka czterech chłopców, dzierży interesy, a zarazem rodzinę. Nie miała natomiast pojęcia o materialnych i moralnych wzlotach i upadkach Wrońskich i O'Shaughnessych, jakie kryła w sobie przeszłość Hélène i Briana.

– Czy to chociaż ludzie na poziomie, madame? – zapytała Evangeline Rositę Romero, kiedy powstała kwestia jej transferu do Glangowness.

– Absolutnie – odpowiedziała Rosita. – Jak najbardziej na poziomie.

– Na takim poziomie jak państwo? – dociekała miss Prism.

– To rodzina starsza od naszej – odrzekła z pewnym przymusem Rosita.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedziała miss Prism, powstrzymując łzy na tę straszną myśl, że opuści swoich chłopców.

Były to jeszcze czasy, kiedy ziemia i kamień należały do najbardziej solidnych i godnych pozazdroszczenia wartości na świecie. Glangowness trwało nieporuszone. Podobnie wrzosowiska. Drzewa, owce, konie, hotel w londyńskim West Endzie, a ze strony Hélène i jej babki Marie piękny dom na Giudecce w Wenecji – wszystko to mimo wojny i poległych, i bolszewików wydawało się nie do ruszenia. Reszta... Kilka milionów rosyjskiej pożyczki podwójnie domniemanego dziadka, świętej pamięci hrabiego Wrońskiego, nadawało się już tylko do wytapetowania dzieciennych pokoi. Niewiele większą wartość przedstawiały akcje kolei austro-węgierskiej. Pewne problemy nastęrczały też nieruchomości w Niemczech. Ale, chwała Bogu, znaczna część majątku Wrońskich zarządzana przez sukcesorów mecenasa Brùlaza-Trampoliniego spoczywała bezpiecznie w bankach Genewy i Zurychu. Mimo strat i przeciwności losu Marie i jej wnuczka Hélène wiedziały, że są zabezpieczone.

Jak wszystkim wiadomo, błędem marksistów było wyobrażanie sobie, że liczy się tylko sytuacja ekonomiczna. Tymczasem równie ważne jak pieniądze, i o wiele ważniejsze, są marzenia. Jeśli idzie o marzenia połączone ze wspomnieniami, jeśli idzie o nadzieje, jeśli idzie o ambicje, to Romerowie, z ich domieszką murzyńsko-żydowskiej krwi, a w jeszcze większym stopniu O'Shaughnessy'owie z ich celtyckimi i hinduskimi antenatami, dostarczają nam ich pod dostatkiem: i jedni, i drudzy są istną wylęgarnią marzeń i kłębowiskiem namiętności.

Nie ma projektu bez wspomnień; nie ma przyszłości bez przeszłości. Przeszłość O'Shaughnessych, podobnie jak Romerów, pełna jest sekretów, ukrytych podziemnych tuneli, tajemnic i widm. Miss Prism z niejaką zachłannością zabarwioną popłochem i zgorzeniem zebrała w Buenos Aires od dawnego cukiernika z Duque de Morny, a obecnie kucharza u Conchity Romero, niemało informacji o burzliwych dziejach rodziny Romero. Niekiedy w jej rudowłosej, anglosasko-wiktoriańsko-purytańskiej głowie rodził się zamęt. Z więcej niż zdumieniem dowiedziała się o nie tylko żydowskich, ale też o murzyńskich korzeniach swoich czterech cherubinków. Łaska boska,



że nic prawie nie wiedziała o przeszłości O'Shaughnessych czy Wrońskich. Owa święta niewiedza, w której zresztą niedługo dane jej było wytrwać, umożliwiła jej podjęcie służby u lady Landsdown, będącej nikim innym – ach, ci Anglicy i ta ich etykieta... – jak panią Brianową O'Shaughnessy. Wątpię, czy Evangeline zgodziłaby się przekroczyć zwodzony most (w całości pochodzący z XIX wieku) historycznego zamku w Glangowness, gdyby wiedziała o najmniejszym choć z wybryków tych okropnych O'Shaughnessych, a tym bardziej Wrońskich, tak spokojnych, tak poprawnych i tak okrutnie dotkniętych klątwą bogów.

Zawsze ogromnie mnie fascynował motyw tajemnicy. Mam wrażenie, że z wyjątkiem upływu czasu, trudno by o coś ściślej związanego z wielkością i smutkiem kondycji ludzkiej aniżeli te sekretne historie, pozostające poza zasięgiem wiedzy, a przecież gdzieś, w jakiś niewiadomy sposób nadal żywe. Wydaje mi się, że w ten zdumiewający układ wprzęgnięta jest cała istota prawdy. Dla nas kamień probierczy prawdy kryje się w umysłach ludzi oraz w ich wzajemnym porozumieniu. W jakiej więc najwyższej świadomości spoczywa nieznanym nikomu sekret i jego mroczna prawda?

Cztery panny O'Shaughnessy: Pandora, Atalanta, Vanessa i Jessica bardzo szybko, już jako małe dziewczynki, domyśliły się istnienia jakiejś zagadki, tajemnicy, zasłony okrywającej przeszłość. Coś było niedopowiedziane, coś gdzieś kulało. Ale gdzie? Przypominało to świerzbienie, które człowiek wyraźnie czuje, lecz nie może go umiejscowić. Nikt i nigdy się nie dowie, bo nawet one nie pamiętały, co takiego naprowadziło je na trop prawdy, która tak uporczywie im się wymykała. Wystarczyło jakieś jedno słowo, jakaś aluzja, nawet moment ciszy, by wszystko uruchomić. Tak czy inaczej siostry odgadywały, że jest coś do odgadnięcia, gdy tymczasem miss Prism, niczego jeszcze nieświadoma, cała szczęśliwa trwała w niemądrym przekonaniu o niewinności i zwykłości tej rodziny jakich wiele.

Tak jak istnieją różne stopnie wiedzy, tak też istnieją różne stopnie tajemnicy. Pandora miała niecałe sześć lat, a jej siostry jeszcze mniej, kiedy z życzliwą pomocą rodziny, zachwyconej, że okazuje takie zainteresowanie przeszłością, odkryła, iż babka matki jej ojca przywiozła

z Indii wspaniałe szmaragdy. Od tego bajecznego skarbu do przygód rani, od pałacu radzów do nieszczęsnej pierwszej żony jej pradziadka – to wszystko było tak odległe... – był już tylko krok. Zrobienie go nie nastroczyło żadnych trudności. Przypuszczam, że to właśnie te liche tajemnice, te trzeciorzędne sekrety stały się powodem utworzenia instytucji, o której należałoby tu wspomnieć w paru słowach.

Być może niektórzy z was pamiętają jeszcze łaskawą zgodę króla na to, by Brian O'Shaughnessy przejął nazwisko i tytuł Landsdownów po śmierci ostatniego posiadacza tych zaszczytnych przywilejów. Syn rani, a pradziadek czterech sióstr, zmarł śmiercią naturalną ze starości wkrótce po zakończeniu wojny. Kiedy najstarsza z jego córek ukończyła siedem lat, opromieniony sławą Brian wszedł do Izby Lordów. Król, dwór, podwiązka, peruki, cudaczne przebranie nazywane galowym strojem – czyż cała ta maskarada mogła nie odcisnąć piętna na dzieciństwie sióstr? A do tego karnawału pychy dochodził jeszcze odległy głuchy grzmot dział i bomb, warkot samolotów bojowych, pochwycone w locie opowieści o straszliwych rzeziach, w których krwawą rolę odgrywał jakiś tajemniczy ciemnoskóry osobnik, nazywany przez papę Brzdącem, a także żałobne suknie i zdławiony szloch licznych ciotek i kuzynek, których syn lub brat zamieniony we wspomnienie, a niekiedy w legendę, pozostał na zawsze pod Ypres czy Gallipoli. Było jeszcze coś, i to w bliższym otoczeniu: owe zagadkowe słowa, które między poło a haftami nieustannie wlatywały niczym natrętne muszki nad stołem w parku lub zimą wokół lampy obstawionej fotografiami z dedykacją rodziny królewskiej i hrabiny Wrońskiej; słowa, takie jak „odszkodowania wojenne”, „bolszewicy”, „armia czerwona, armia biała”, „okupacja Nadrenii”, „inflacja”, „plan Dawesa”. Pandora i jej siostry zajmowały się swoimi lalkami i psem, zapewne zastępującym im brata, którego nigdy nie miały, ale również patrzyły i słuchały. Obawiam się, że już jako małe dziewczynki przejawiały niepokojącą inteligencję, która martwiła, zresztą słusznie, mieszczańską moralność i konserwatywny umysł miss Evangeline Prism.

Z tego to właśnie nieprawdopodobnego połączenia Izby Lordów, klejnotów Golkondy i powojennego zamętu narodził się Zakon Królewskiego Sekretu. Jego zebrania odbywały się w schowku na

szczotki. Ani miss Prism, ani nikogo z dorosłych nie dopuszczono nigdy do udziału czy bodaj asystowania w jego rytuałach i obrzędach; ja sam znam tylko niektóre szczegóły, jakie w późniejszym czasie, niechętnie i w tajemnicy, zdradziły mi cztery siostry kompletnie pijane lub przeżywające miłosne rozterki. Zdawać by się mogło, że przysięga składana przez małe dziewczynki, liczące sobie od czterech do ośmiu lat, na mieszankę owsianki, włosów miss Prism, psich wąsów, podstępnie oderwanego skrawka królewskiego listu oraz na wstążkę wykradzioną z maminej szkatułki nigdy nie uległa przedawnieniu. Jedynymi członkiniami zakonu były cztery siostry, z których najmłodsza była jeszcze małym dzieckiem, ledwie zaczynającym mówić.

– Powiedz mi – zapytałem kiedyś na keczu między Rodos i Patmos, w czasach wojny koreańskiej i budowy muru berlińskiego, Vanessę zrozpaczoną i pochyloną nad kieliszkiem Veuve Clicquot, nie pierwszym tego dnia – powiedz mi, rozwiej moje wątpliwości: ta historia z zakonem ze schowka na szczotki, o której opowiadała mi Pandora, to chyba blaga, co?

– Blaga? – powiedziała Vanessa, mierząc mnie zamglonym i niechętnym spojrzeniem. – Blaga? Powiedz mi, rozwiej moje wątpliwości, czyś ty taki głupi, czy co?

– Ale przecież Jessica i ty w tamtym czasie, zwłaszcza Jessica, byłyście niemowlakami, ledwie mówiłyście. Co więc robiłyście w tej szafie na szczotki?

– Co robiłyśmy? – powtórzyła w zamyśleniu Vanessa, zanurzając palec w szampanie i powoli go oblizując. – Co robiłyśmy?

– No właśnie, co robiłyście?

– No, cóż – odrzekła Vanessa – to, co zwykle się robi w schowku. Byłyśmy posłuszne.

Gwoli prawdy muszę powiedzieć, że w innych okolicznościach Atalanta i ta sama Vanessa wybuchnęły głośnym śmiechem, słysząc mnie mówiącego o kuchennym schowku z taką czcią – niezbędną, jak uważałem, przy poruszaniu równie podniosłego tematu.

– Przecież to była blaga! – zawołała Atalanta, skręcając się ze śmiechu.

– Kiedy właśnie Vanessa zapewniała mnie, że wcale nie.

– Cóż, niewykluczone, że ma swoje powody.

Nigdy niczego więcej się nie dowiedziałem, wiecznie odsyłany od swoistej pogoni za Graalem do teatru marionetek; od perlistego śmiechu do najgorszego z nieszczęść: dziecięcej rozpaczki. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: zakon ograniczał się do czterech sióstr, które wchodziły do schowka z uczuciem, że wkraczają w tajemniczy świat, rządzący się własnymi prawami; mowy nie było, żeby je komentować czy wyjawiać. Ustanowiony w nim ceremoniał bardzo wyraźnie nawiązywał do Izby Lordów. Niektóre detale jego sztywnego protokołu obowiązywały również poza szafą. Któregoś dnia Brian i Hélène z zaskoczeniem odkryli, że ich córki zwracają się do siebie per Wasza Wysokość i mówią o sobie jako o klanie Ich Wysokości.

– Ich Wysokości? – zapytał Brian z lekką irytacją. – A cóż to takiego te Wysokości?

– To my – odpowiedziała Pandora tonem wskazującym, że mimo bardzo młodego wieku, bynajmniej nie żartuje.

– Aha! – powiedział Brian, tak jakby to, że maluchy ledwie odrosłe od ziemi uważają się za Ich Wysokości, było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

Ta ojcowska kapitulacja w obliczu klanu Ich Wysokości oraz milczące uznanie istnienia zakonu bardzo podniosły prestiż Pandory w oczach oniemiałych sióstr.

Niekiedy Zakon Królewskiego Sekretu podejmował w swoim schowku bawiących przejazdem gości: były to Ich Wysokości zaproszone, których tytuły miały charakter tymczasowy i odwoływalny. Synom generałów i farmerów, baronetów i pastorów przysługiwało prawo do uproszczonej ceremonii inwestytury, po której opuszczali schowek z obłędem w oku. Konieczność przyłożenia sobie do czoła włosów miss Prism wymieszanych z owsianką odmieniała ich na zawsze. W wieku ośmiu czy dziewięciu lat Pandora przez dłuższy czas rozważała myśl o przyjęciu do zakonu bliźniaków Romero, Javiera i Luisa Miguela, o których często głosem nabrzmiałym łzami opowiadała jej miss Prism. Ale bliźniacy w owym czasie mieli już po szesnaście czy siedemnaście lat. Zaciągnięcie ich do schowka wiązało się z poważnym ryzykiem i było prawie niemożliwe. Po długich dyskusjach nad tym

projektem Ich Wysokości zmuszone były z żalem od niego odstąpić.

O ile w opracowaniu form Zakonu Królewskiego Sekretu ważną rolę odegrał ceremoniał Izby Lordów, o tyle pomysłu na jego utworzenie oraz jego racji bytu szukać należało w samej nazwie. Jego poczynaniom patronowały sekret i zagadka, ich kult i zgłębianie. Ciekawe, że zrodzony z dziecięcego zauroczenia klejnotami indyjskiej przodkini zakon miał stopniowo ujawnić szereg równie strasznych sekretów, z każdym dniem i odkryciem coraz bardziej zasługując na swoją proroczą nazwę.

Trzeba też od razu dodać, że w rodzinie O'Shaughnessych sekretów nie brakowało. Odkrywszy, że bajeczne skarby przybyły z Indii wraz z hinduską prababką, Ich Wysokości przez długi czas oddawały się fantazjowaniu na temat tej zagadkowej postaci.

– Mamo! – mówiła Pandora.

– Tak, kochanie? – pytała z roztargnieniem Hélène, która akurat w asyście pokojówki ubierała się lub brała kąpiel.

– Czy ta pani z klejnotami przyjechała z Indii?

– Oczywiście, kochanie. Już trzy razy mnie o to pytałaś.

– I wyszła za mąż za dziadka?

– Nie, kochanie. Nie za dziadka. Za dziadka twojego dziadka.

– Za dziadka dziadka?

– Twój dziadek to ojciec twojego papy. Miał na imię Sean. Nie żyje, jak wiesz. Miał żonę, która miała na imię Sybil i była twoją babką. A Sybil była wnuczką...

W tym momencie do pokoju wszedł Brian i pochwycił kilka strzępków tej rozmowy.

– Cóż to, rozmowy o genealogii? Dobrze, bardzo dobrze.

I przechodząc obok, pogłaskał jasne włosy Pandory sięgające jej do ramion.

– Mała znów mnie wypytuje o swoją ulubioną Hinduskę – wyjaśniła ze śmiechem Hélène.

– Ach! Ta rani... Ta rani!

– Co to znaczy „tarani”? – zapytała Pandora, która nie uroniła ani słowa.

– To znaczy – mruknął Brian – to znaczy... To znaczy kobieta,

której śmiało z oczu patrzy.

– Mamo! Co to znaczy: której śmiało z oczu patrzy?

– Posłuchaj, Pandoro, zostaw nas teraz i idź się pobawić, chciałbym porozmawiać z twoją matką.

W schowku momentalnie zarządzono nadzwyczajne posiedzenie Zakonu Królewskiego Sekretu poświęcone tarani.

– To jest coś związanego z oczami – oznajmiła Pandora.

– Z oczami? – powtórzyła Atalanta, szeroko otwierając swoje, które były złociste i wielkie jak spodki.

– Tak właśnie. Z oczami. Tatuś powiedział, że oczy Hinduski przez cały czas płonęły. I to się nazywa tarani.

Tarani długo nie dawała spokoju Ich Wysokościom. Brian i Hélène wielokrotnie przyłapywali swoje dzieci na intensywnym wpatrywaniu się w lustro.

– Czemu tak się sobie przyglądasz w tym lusterku? Uważasz, że jesteś piękna?

– Oglądam swoje oczy.

W końcu Brian skapitulował. Kiedy Pandora, która z racji swego dorosłego wieku kierowała całością operacji, po raz dwudziesty – nie chcąc słuchać żadnych opowieści o czarodzieju Merlinie czy sześciu żonach Henryka VIII – znów zażądała od niego nowin o prababce, uznał, że najprościej i najlepiej będzie powiedzieć jej prawdę, a przynajmniej, uciekając się do pewnego kompromisu czy też przybliżonej i niekoniecznie najszcześniejszej kalkulacji, częściową prawdę.

– Widzisz Pandoro, Hinduska nie była jedyną żoną mojego pradziadka. To była jego druga żona.

– To można mieć kilka? – zapytała zdumiona Pandora.

– Oczywiście – odpowiedział Brian, zmuszony wbrew sobie brnąć dalej w tym dokładnie kierunku, którego chciał uniknąć. – Oczywiście. Przypuśćmy, że pierwsza umarła.

– Czyli pierwsza umarła – stwierdziła bezlitośnie Pandora, zdecydowana nie dać się zbyć niejasnymi ogólnikami.

– Jak można by przypuszczać – powiedział Brian.

– Albo – ciągnęła Pandora – miał dwie naraz.

– Ach, nie, nie – zaprzeczył Brian, czując, że wpada z deszczu pod

rynne. – Nie, nie, pierwsza na pewno umarła.

Jak słusznie się domyślacie, natychmiast zwołane zostało posiedzenie Zakonu Królewskiego Sekretu. Pojawiła się rzecz nowa! I to jak nowa. Prawdziwy cymes: wokół tarani krążyła śmierć. Wieść o tym wywołała w schowku sensację oraz intensywne emocje. To mała Vanessa z całą niewinnością, pozornie zdawkowym tonem wyrzekła decydujące słowa:

– A na co ta pani umarła?

– Tego się trzeba będzie dowiedzieć – powiedziała Pandora z gwałtownością stanowiącą zabawny kontrast z jej zamyśloną miną.

Pierwszy Lord Admiralicji przybyły do Glangowness na jedno z tych sławnych polowań, na które zjeżdżali również mój dziadek i ojciec – nie mogąc zapytać Pandory, jako że nie była chłopcem, co zamierza robić w przyszłości – spytał ją, czym się zajmuje, mając na myśli ogrodnictwo, kucyki i lalki. Na to Pandora ku zdumieniu czcigodnego lorda odpowiedziała:

– Rozwiązuję tajemnice.

I faktycznie je rozwiązywała. Nie wiem, z jakiego źródła czerpała swoje informacje, ale – przypuszczam, że bardziej wskutek słabości ojca niż matki, mającej istotne powody, by trzymać rodzinne sekrety w tajemnicy – dość szybko dowiedziała się, że istniały pewne podejrzenia co do tego, że rani Prianti uśmierciła pierwszą lady Landsdown. W schowku zapanowało prawdziwe święto. Zapadła decyzja, żeby miss Prism obciąć kilka dodatkowych pukli włosów i na cześć zbrodniczej rani sporządzić nową porcję świętego i magicznego napoju na bazie owsianki. Zaczyna miss Prism, zupełnie jakby i jej udzieliło się szaleństwo sekretów i ich ujawniania, zaproponowała dzieciom następujący układ: pozwoli sobie obciąć – tylko na Boga, po co im to? – kosmyk swoich rudych, przyprószonych siwizną włosów, w zamian za co dziewczynki podzielą się z nią tymi niebywałymi rewelacjami, które wprawiały je w taką ekscytację. Tym sposobem Evangeline dowiedziała się, że pracuje u rodziny, której przodkini nie dość że siedziała na górze szmaragdów, to była także zbrodniarką.

Miss Prism zatkało z oburzenia. Gdzież podziały się te błogosławione czasy wyniosłych rygorów Conchity Romero

i namaszczonej poprawności ambasadora Argentyny? Nie mogła się powstrzymać, by nie wyrazić swojej dezaprobaty za pomocą krótkich okrzyków, posiadających dar wzbudzania w dzieciach żywiołowej wesołości: *How ghastly! Revolting! Appaling!* Nie wiem, czy podzieliła się swoimi skrupułami i rozterkami duchowymi z młodą lady Landsdown. Przypuszczam raczej, że zamieszana mimo woli w zbrodnię z ubiegłego wieku wołała dzielić tajemnicę, odtąd już niejedną, z czterema podopiecznymi, które mimo młodego wieku natychmiast zorientowały się, że od tej pory będą mogły rządzić swoją guwernantką, mimo woli winną moralnego współudziału oraz paserstwa sekretów.

Odkrycie, że rani pozbyła się pierwszej lady Landsdown przy pomocy sikhów, było dla Pandory i jej sióstr dziecinną igraszką. Sikhowie! Już samo to słowo budzi pasjonujące skojarzenia i przywołuje wizje imperium, które u dziewczynek przybierały postać sentymentalnych rojeń i cudownych koszmarów. Podejrzewam, że do świata czterech sióstr seksualność wkroczyła właśnie pod postacią rozpasanych sikhów. Jakże mogli później konkurować z tą prymitywną drapieżnością dyplomaci i bankierzy? Zbiegiem okoliczności i szczęśliwym trafem – mowy nie było, żeby go zaprzepaścić – ich ojciec przez długie lata służył w armii indyjskiej i nakłonienie go do opowieści o sikhach nie nastęrczało żadnych trudności. Nie jestem wcale pewny, czy Brian O'Shaughnessy, dystyngowany Anglo-Irlandczyk, oficer wielkiej waleczności i członek Izby Lordów, niedorównujący jednak inteligencją i wyobraźnią własnym córkom, obecnie w wieku od lat pięciu do dziewięciu, dostrzegł pułapkę.

– Papo – mówiła Pandora, sadowiac się na ojcowskich kolanach w niedzielę po kawie lub wieczorem przed pójściem spać – papo, opowiedz nam o Indiach.

Mile połechtany Brian zapuszczał się na pokryte pyłem szlaki Radżastanu i w doliny Ladakhu lub Assamu. Opowiadał o świątyniach i wielkich rzekach, o Benaresie, czyli Waranasi, i o Czerwonym Fortcie. Oczywiście Pandora w głowie miała wyłącznie sikhów. Raz czy dwa otarli się o porucznika Turnbulla. Czy dziecięcy geniusz, który być może wyolbrzymiam, niejasno wyczuł, że jest tu inny jeszcze sekret do zgłębienia? Nie dałbym głowy, że było inaczej. Tak czy owak, Brianowi



wcale nie zależało na rozwodzeniu się przy żonie i córkach nad swoją gorącą przyjaźnią z porucznikiem Turnbullem. Był więcej niż zadowolony, mogąc skorzystać z awaryjnej furtki w postaci sikhów, którą Pandora czujnie trzymała przed nim otworem. Żadna inna mała Brytyjka nie posiadała takiej wiedzy o sikhach, o ich wierze, ich obyczajach, ubiorze, zaletach i słabościach, co cztery siostry O'Shaughnessy. Z winy i łaski mrocznej, targanej namiętnościami prababki w ciągu kilku tygodni stały się chodzącą żywą encyklopedią cywilizacji i zbrodni sikhów.

Odbiło się to wyraźnie na protokole zakonu. Po okresie książęcym przebiegającym pod znakiem lordów nastął okres sikhów. W schowku pojawiły się turban i sztylet, i żelazna bransoleta na nadgarstku. Rozważano, czy by nie zrobić honorowymi sikhami Romerów. Byłoby to jednak dość trudne: najstarszy był dojrzałym mężczyzną, bliźniacy mieli prawie po dwadzieścia lat. Nie mieli już w sobie dość powagi, by zrozumieć wagę rytuału zakonu i obrządków odprawianych w schowku.

Kosmyki włosów, sikhowie, schowek, do którego nie miała wstępu: tego dla miss Prism było już za wiele. Gorzko żałowała szczęśliwych lat spędzonych z panią Rositą i jej czterema chłopcami w Paryżu i Buenos Aires.

– Bardzo ich kochałaś? – pytała z niejakim okrucieństwem Pandora po scenach subtelnych tortur, doprowadzających miss Prism niemal do łez.

– O, tak! O, tak! – jęczała miss Prism, pałając żądzą zemsty za niegodziwość czterech sióstr. – Kocham moich chłopców...

– A nie powinnaś – odpowiadała jak najspokojniej Pandora. – Bo to pół Żydzi, pół Murzyni.

\*

Skąd Zakon Królewskiego Sekretu czerpał te informacje, nie tyle poufne, ile skrupulatnie przemilczane, kontrolowane, *restricted*; ograniczone do wąskiego kręgu, który na pewno ich nie rozgłaszał? Przypuszczalnie z codziennych rozmów, które, jak to zwykle wyobraża sobie rodzina, nie interesują dzieci, a z których dzieci ukradkiem chłoną każde słowo. Kiedy przy stole O'Shaughnessych mówiło się o miss Prism, nie sposób było nie wspomnieć o jej amerykańskiej, argentyńskiej

i francuskiej przeszłości u boku Romerów. A kiedy mówiło się o Romerach, wysuwał swój pyszczek delikatnej, rudej fretki Jeremiasz Finkelstein, a w ślad za nim, za pośrednictwem Cristiny Isabel i Brazylii pojawiały się legendarne cienie genialnego łowcy przygód Periclesa Augusta i Murzynki Florindy. Niebawem w zainteresowaniach schowka miejsce dziwnych obyczajów sikhów zajęło niewolnictwo w Brazylii, tak późno zniesione. Następowały kolejne etapy studiów: wybitne znawczynie historii Indii i kultury sikhów za pomocą słowników i encyklopedii zamieniały się w ekspertki od Nordeste i schyłku niewolnictwa w cesarstwie Pedra II. A że zrobienie z braci Romerów Ich Wysokości zaproszonych oraz honorowych sikhów okazało się niemożliwe, siostry zadowolily się zdegradowaniem ich – w każdym razie w duchu i z w pełni zasłużonej zemsty – do rangi murzyńskich niewolników i polskich Żydów.

– Co za uroczę dzieci! – wygłaszali uprzejmą uwagę Pierwszy Lord Admiralicji czy pastor z Glangowness, głaszcząc je z roztargnieniem po główkach. To prawda: były uroczę. Nawet więcej niż uroczę. Pandora, popielata blondynka o zielonych oczach swojej babki i prababki, Atalanta, jasna złotooka szatynka, Vanessa o świetlistych włosach i brunetka Jessica, o szczupłej i dumnej sylwetce, z burzą czarnych loków. Już kiedy były dziećmi, jeszcze prawie niemowlakami, ich zbiorowa uroda podbijała serca. Malarze, fotografowie, pisma ilustrowane pisały do ich rodziców z prośbą o zgodę na uwiecznienie tych ledwie uformowanych rysów, cieszących się w całej okolicy, a nawet już w całym kraju przedwczesną sławą.

Odkrywanie rodowych tajemnic, niewyczerpane w takiej jak ich rodzina zadanie, nie stanowiło jedyne go zajęcia Ich Wysokości ze schowka. Wykazywały, i to wszystkie cztery, w różnym stopniu i odcieniu, zasługującym na osobne studium, które nigdy nie powstanie, także inne powołanie: były nim sprawy języka. Po sikhach i niewolnikach z Nordeste, a być może nawet wcześniej, pojawiły się słowa. Ich Wysokości ze schowka posługiwały się nimi nad podziw biegle. Na swój sposób już od najwcześniejszego dzieciństwa były lingwistkami. Nie tyle z racji wiedzy, bo ta siłą rzeczy była ograniczona, ile ich nieznaną granic wyobraźni. Często zastanawiałem się, skąd się

u nich brała ta wyobraźnia, powodująca, że żyły w świecie wypełnionym przez duchy i marzenia. Prawdopodobnie z tajemniczego połączenia komórek i genów, w którym udział swój mieli Verdi i duch epoki, drobne zdarzenia z dzieciństwa i odlegli rosyjscy, włoscy, irlandzcy i francuscy przodkowie. Objawiała się ona w takim operowaniu słowem, że ich rozmówcom odbierało mowę.

Już od najmłodszych lat siostry O'Shaughnessy posługiwały się własnym językiem. Niepodobnym do żadnego innego i w pełni zaspokajającym ich zamięłowanie do tajemniczości. Jego podstawowym założeniem było to, że słowa posiadają ukryty sens, niemający nic wspólnego ze znaczeniem nadawanym mu poza schowkiem przez ogół śmiertelników. Terminy, których używały, były do tego stopnia zniekształcone, że ich rozmowy stawały się całkowicie niezrozumiałe dla osób spoza ich grona. Lord Landsdown, ich ojciec, często się irytował:

– Czy nie możecie, na Boga, mówić tak jak wszyscy?

Śmiały się. Nie, nie mogły. I nie chciały. Sir Winstona Churchilla, liberalnego ministra wojny w gabinecie Lloyd'a George'a i konserwatywnego kanclerza skarbu za Baldwina, który często przyjeżdżał do Glangowness w odwiedziny do swojego przyjaciela Briana, by razem snuć wspominki o wojnie burskiej i wspólnych przygodach w Sudanie, ogromnie bawiły i zachwycały te duchowe przygody, w których odnajdywał odległe echo własnych marzeń i ambicji. Sadzał sobie na kolanach Atalantę czy Vanessę i próbował zgłębić mechanizm substytucji, który cztery siostry tak sobie upodobały.

– Kiedy mówicie o kimś, że jest bardzo inteligentny – zaczynał – to co przez to rozumiecie? Że jest idiotą, tak?

– Oczywiście – odpowiadała najmłodsza. – Być bardzo inteligentnym znaczy być idiotą.

– A bardzo piękny, jak przypuszczam, znaczy obrzydliwy?

– To zależy. Pan jest bardzo piękny.

– Po raz pierwszy w życiu słyszę od młodej dziewczyny, że jestem piękny.

– To dlatego, że wszyscy są bardzo inteligentni.

Zachwycony sir Winston wybuchął gromkim śmiechem. Twierdził,

że Anglik sam z siebie nigdy nie wpadłby na taki sposób wypaczania języka, a ich wyobraźnię lingwistyczną, w której dopatrywał się wpływów Rimbauda i Dostojewskiego – ku pogardzie czterech sióstr, całkowicie samowystarczalnych – przypisywał rosyjsko-francuskiej krwi Wrońskich. Oświadczył też, że w najbliższym czasie zamierza sporządzić słownik angielsko-wroński i wrońsko-angielski, by uczynić znośniejszymi swoje wizyty w Glangowness.

Istniały też słowa, których używanie było zabronione. Między innymi pod żadnym pozorem nie wolno było wymawiać wyrazów takich jak szczur, pachy czy sekret. Jeśli jednak nie było możliwości ich uniknięcia, należało je bezwzględnie obejść metodą jak najszybszego przesyłabizowania, litera po literze. Rozmowa z czterema siostrami, kiedy zmuszone były powiedzieć, że widziały SZ-CZ-U-R-A albo że odkryły nowy S-E-K-R-E-T, nabierała cech iście surrealistycznych. Zastępowanie jednych słów drugimi, nadużywanie antonimów i mania sylabizowania w typowy dla McNeillów bełkotliwy sposób rozmaitych wyrazów tabu lub zakazanych sprawiało, że siostry O'Shaughnessy dorastały w świecie, do którego inni nie mieli dostępu. Ja sam pamiętam, z dużo późniejszego okresu, pewną rozmowę Vanessy w paryskim Ritzu z moimi francuskimi znajomymi, z którymi ją poznałem.

– To bardzo rozsądne rozwiązanie – oświadczył pewien nieco zbyt z siebie zadowolony bankier à propos jakiejś ustawy, o której w owym czasie było bardzo głośno.

– Więc po co je uchwalono? – zapytała Vanessa.

– Gdyż była to jedyna inteligentna decyzja, jaką można było podjąć.

– Tak też myślałam – powiedziała Vanessa. – Ściągacie na siebie katastrofę.

– Jaką katastrofę? – zapytał tamten, lekko zbity z tropu.

– Katastrofę, która zawsze dopada inteligentnych ludzi i rozsądne rozwiązania.

– To nic takiego, nic takiego – szepnąłem do bankiera, który wiercił się na krześle bliski apopleksji. – Po prostu nie ma pan słownika.

– Jakiego znów słownika?

– Słownika wrońsko-francuskiego.

Oryginalny umysł córek niepokoił, a zarazem bawił lady Landsdown. Ekscentryczne zwyczaje sióstr w połączeniu z ich klasyczną urodą oraz sztywnymi ramami, pośród których upływało im dzieciństwo, tworzyły ciekawą całość. Podobały się, budziły lęk, zadziwiały i już od najmłodszych lat sprawiały, że się o nich mówiło, o co zresztą wytrwale starać się będą do końca swoich dni. Już niebawem dostarczą im rozrywki różne krytyki i nieporozumienia – uboczny, a bywało, że niebezpieczny skutek słownika angielsko-wrońskiego – na które będą się narażać niczym wysokie drzewa ściągające pioruny. „Jak tylko zobaczę w gazecie – mruczał Brian – że jakaś córka para znów narozrabiała, tylko czekam, kiedy pojawi się imię którejs z moich pociech”.

Poczucie klanowości było u O'Shaughnessych nad podziw silne. Składały się na nie duma i bunt przeciwko niej. Jestem przekonany, że Pandora czy Jessica w pojedynkę nigdy by się nie stały tym, kim każda z nich, razem ze swoimi zaletami i swoją odmiennością od pozostałych, stała się w ramach ich zwartej czwórki. Do ostatka swoich przygód, które zawiodą je do najróżniejszych zakątków kuli ziemskiej, w siostrach przetrwa duch schowka. Z ich życia miłosnego czy politycznego, ich szaleństw, ich sukcesów i porażek nie zrozumie się nic, jeśli się nie będzie pamiętało, że w królestwie dzieciństwa i komitywy funkcjonowały przede wszystkim jako grupa.

Początkowo prym w niej wiodła Pandora. Może po prostu dlatego, że była najstarsza. To ona wpadła na pomysł utworzenia Zakonu Królewskiego Sekretu. Jakie to tajemnicze mechanizmy, jakie zdumiewająco błahe poszlaki, jaki ogólny klimat sprawiły, że odgadła, iż w przeszłości jej i sióstr kryje się jakaś zagadka? Ani Brian, ani Hélène nigdy nie pozwolili sobie na najmniejszą nawet aluzję do burzliwej przeszłości rodu Wrońskich. Może już w samej tej dyscyplinie było coś wymuszonego, jakiś rodzaj skrępowania i milczenia wymowniejszego od słów? Początkowo Ich Wysokości ze schowka pod przewodnictwem Pandory podążyły oczywiście fałszywym, choć nie tak znów odległym od właściwego, tropem. Przez długi czas wyobrażały sobie – bo czy może być coś bardziej romantycznego? – że są bękartami i znajdami. Niestrudzenie wymyślały różnych odległych i całkowicie obcych przodków, gdy tymczasem dramat ich korzeni, wprost przeciwnie, krył

się w nadmiernym zamknięciu się w sobie. Przypadkiem, przez pomyłkę, z podszeptu zdumiewającej intuicji, traktując to jak zabawę i nie do końca się do tego przed sobą przyznając, zorientowały się że tu właśnie leży sedno tajemnicy. Szukały sekretu na zewnątrz, a miały go pod nosem. Ku zdumieniu rodziców, nie mówiąc już o miss Prism, którą wszystko to już wkrótce do reszty przerosło, podejrzewały najpierw swojego ojca Briana, a następnie matkę Hélène o brak udziału w sprowadzeniu ich na świat. Oczywisty kłopot polegał jednak na tym, że przecież wszystkie cztery nie mogły być dziećmi nieślubnymi czy znajdami. Już w tym punkcie, w łonie zwartej grupy Ich Wysokości ze schowka zarysowuje się znacząca rozbieżność. Atalanta jako jedyna nigdy nie podała poważniej w wątpliwość faktu bycia jedną z Landsdownów i jedną z O'Shaughnessych, potomkinią królów Irlandii i towarzyszy Makbeta, McDuffa i Ryszarda Lwie Serce. Ze światem schowka wiąże ją wiele innych marzeń i wiele innych fantazji. Nigdy jednak nie opuściła jej pewna duma, wyniosłość i w gruncie rzeczy równowaga wewnętrzna. Inaczej było z Pandorą, Vanessą i Jessicą, które z różnych powodów czuły się obce annalom Glangowness. Jednak rzeczą najbardziej zadziwiającą jest to, że sekret Wrońskich i tajemnica kazirodczej miłości Nadii i Nicolasa tkwi nie w zaraniu, ale końcu Zakonu Królewskiego Sekretu. Sekret ten naturalnie rządzi wszystkim, lecz by posłużyć się terminologią nieco belferską, jest bardziej jego przyczyną ostateczną aniżeli pierwszą. Lub też, jeśli to on leży u podłoża dziwnego zachowania czterech sióstr, to w sposób tak niejasny, że wręcz zahaczający o przypadkowość lub mitologię.

Musiały przebyć wiele etapów i jałowych pustyni. Samobójstwo Piotra Wasiliewicza, gorące przywiązanie Briana do porucznika Turnbulla, przedwczesna śmierć ich babki Nadii – to także były odkrycia na mapie świata ich przeszłości. Śmiałe poszukiwaczki przygód żeglowały od wyspy do wyspy i od zachwyty do grozy. Podczas tej powolnej eksploracji dokonującej się pośród nigdy nieokazywanego bólu i wybuchów śmiechu napotykały wiele ślepych zaułków i bocznych uliczek. Czternasto- czy piętnastoletnia Pandora, wbiwszy sobie kiedyś do głowy pewną myśl, długo podpytywała dostojnego Winstona Churchilla o prawdziwe upodobania lorda Kitchenera.

– Powiedz mi, wujku Winstonie...

– Tak, kochanie?

– Powiedz mi, czy ten lord Kitchener...

– Ach! – rozmarzył się wujek Winston z trzecią szklaneczką porto lub whisky w dłoni. – Kitchener! Kitchener!... Widzisz, dziecko, to był wielki żołnierz...

– Tak, tak, wielki żołnierz... Bardzo silny? Bardzo twardy?

– Nieugięty – powiedział Churchill. – Niezachwianie lojalny.

Wielki sługa Korony.

– Tak, tak – zgadzała się szybko Pandora. – Ale mnie interesuje jego życie miłosne...

– Jego życie miłosne?

I Winston Churchill wybuchał gromkim śmiechem, który wprawiał w drżenie żyrandole.

– On bardzo lubił tatusia, prawda?

– Bardzo. Tak samo jak ja.

– Och, oczywiście. Ale ty, ty...

– Ale ja?... Ale co ja? – Churchill był już lekko urażony. – Co masz na myśli? Że nie jestem takim wielkim żołnierzem jak sławny Kitchener? – Milczał przez chwilę. – To rzecz dyskusyjna. Tak, to rzecz do dyskusji.

– Ależ skąd, wujku Winstonie! Nie to miałam na myśli. Myślałam o kobietach.

– O kobietach?

I Churchill odstawiał szklankę na stół, mówiąc sobie w duchu, że ta mała szelma potrafi go zaskoczyć jeszcze bardziej niż Lloyd George czy Lenin.

– Do czego ty, na Boga, zmierzasz?

– Ty przynajmniej lubisz kobiety...

– Ja...

Winston Churchill sapał, czerwieniał, wciąż jeszcze niezdecydowany, czy rozgniewać się, czy roześmiać.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z lordem Kitchenerem, z biednym starym Herbertem?

– W Egipcie, w Indiach, w Afryce Południowej bez przerwy

otaczali go mężczyźni. Czy to dlatego...

– Dobry Boże! Czy dlatego, że co?

– ...że on lubił mężczyzn?

Wiele lat później, po drugiej wojnie światowej, po wzruszającej ceremonii odznaczenia przez generała de Gaulle'a Winstona Churchilla medalem wojskowym czy Krzyżem Wyzwolenia, sam słyszałem, jak pod koniec kolacji Churchill, w owym czasie w apogeum sławy, zwrócił się do generała de Gaulle'a i wskazując na Pandorę, której powaby nie uszły uwagi pierwszego z Francuzów, swoim ostrym jak brzytwa akcentem powiedział:

– Oto jedyna *person*, która odważyła się zadać mi pytanie, czy lord Kitchener nie był przypadkiem... tą, jak wy to nazywacie? A, tak!... czy nie był pederastą.

I wtedy, ku mojemu zdumieniu i zachwytowi usłyszałem, jak generał de Gaulle odpowiada sir Winstonowi:

– Z pewnością przestałby nim być, panie premierze, gdyby mógł poznać tę damę.

Kiedy porucznik Turnbull, który podobnie jak Brian awansował kolejno na kapitana, majora, pułkownika, potem generała, by na koniec wrócić do cywilnego życia i spędzać wolny czas na grze w golfa i prezesowaniu radzie nadzorczej British Leyland czy Rolls-Royce'a, pojawił się w Glangowness, w Zakonie Królewskiego Sekretu zapanowało miłe poruszenie. Generał Turnbull był mężczyzną bardzo przystojnym i dystyngowanym, cieszącym się powszechnym poważaniem, szczęśliwym mężem i ojcem gromadki dzieci. Miss Prism była przerażona, słysząc, że nazywa się go ciotą.

Obawiam się, że przedstawiam tu dość mylny obraz życia codziennego w Glangowness. Trudno było bowiem o coś weselszego, pogodniejszego i bardziej uregulowanego niż tutejsze życie rodzinne, pełne czułości i harmonii. Te zabójcze podejrzenia, te oskarżenia padające szeptem z dziecinnych jeszcze ust szły w parze z jak najszerszym uczuciem oraz głębokim poszanowaniem tradycji. Można by powiedzieć, że owe tradycje stanowiły naturalny grunt i najlepszą pożywkę pod bunt czterech siostr oraz niezbędną przeszkodę we wprowadzaniu go w życie. Córkom Briana i Héléne, a już zwłaszcza obu



długowłosym blondynkom oraz Atalancie o twarzy Madonny – bo Jessica od dzieciństwa posiadała ten typ demonicznej urody, który często idzie w parze z pewnym upodobaniem do prowokacji – nawet najbardziej wnikliwy, najbardziej szczwany, najbardziej nieżyczliwy obserwator bez spowiedzi udzieliłby rozgrzeszenia. Pandora i Vanessa od najmłodszych lat chętnie wygrywały ów kontrast między swoim anielskim wyglądem a obłudą, uporem i bezwzględnością, jakich mało. Carlos i Javier Romerowie wiedzieli coś o tym. Mimo różnicy wieku dzielącej ich od czterech sióstr, mimo czulej protekcji ze strony miss Prism nieraz dostawali po nosie od tej czy innej z dziewcząt, które od wieku lat dwunastu czy czternastu spragnione odwetu za niepowodzenia Ich Wysokości ze schowka potrafiły niezwykle umiejętnie łączyć najbardziej prowokujące czułości z nieoczekiwanymi napadami urażonej godności.

Dużo, dużo później często zadawałem sobie pytanie, co właściwie domownicy Glangowness mogliby uznać za perfidię czy złośliwość. Generalnie dramat rozkładał się na kilka aktów. Najpierw wszystkich podbijała uroda, wdzięk i łagodność czterech sióstr. A potem ci, którym wydawało się, że wiedzą już i rozumieją – często tacy właśnie myślą się najbardziej – krok po kroku odkrywali pod tymi pozorami rzeczywistość, budzącą ich lęk. Kiedy – ten sam refren: dużo, dużo później – ta czy inna z sióstr zniszczyła czyjeś szczęście, pchnęła do samobójstwa jakąś słabą duszę, siała wokół spustoszenie, wielcy jasnowidze hałaśliwie cieszyli się, że już wcześniej przejrzeni zbrodnicze instynkty tych syren, w których żyłach płynęła gwałtowna rosyjska krew, tych irlandzkich Lorelei. Ale ja widziałem, jak Pandora i Vanessa płakały, z jaką nieufnością podchodziły do swojej władzy i talentów, jak wstrząśnięte były swoim łatwym panowaniem nad światem i mężczyznami. Powie ktoś, że byłem, że jestem, że zawsze będę stronnicy. Na co odpowiem, że nikt i nigdy nie powinien sądzić bliźniego swego i że serca istot ludzkich są bardziej nieuchwytnie niż woda i ogień. Przypuszczam, że siostry O'Shaughnessy już od dzieciństwa swoim czarem i bezwzględnością, swoimi szaleństwami i kłamstwami próbowały się tylko bronić.

Bronić się przed czym? Przed własną urodą, przed swoją władzą,

przed sobą. Ale takie wytłumaczenie nie do końca jest zadowalające. Jest mocno niewystarczające. Znam, i wy znacie, wielu czarujących mężczyzn i wiele pięknych kobiet, którzy ulegli własnym wdziękom i urodzie i nigdy nie musieli walczyć z wewnętrznymi demonami, gdyż pod przykrywką olśniewających pozorów spragnieni byli dręczenia innych i dręczenia samych siebie. Również pieniądze, sława oraz rozmaite inne udogodnienia egzystencji – okoliczności obciążające, choć z drugiej strony być może łagodzące – nie dostarczają kodu czy klucza umożliwiającego otwarcie wszystkich zamków. Jestem przekonany, że tym groźnym potworem, przed którym cztery siostry broniły się przez całe życie, była przede wszystkim ich przeszłość.

Ich przeszłość... Myślicie może, że zadałem sobie trud opowiedzenia wam wcześniej w detalach o bliższej i dalszej przeszłości sióstr O'Shaughnessych ot, tak sobie, żeby było miło, dla własnej rozrywki? Niechlubnej pamięci Brenton O'Shaughnessy, jego kochanka Maureen i szaleńcze nocne orgie w Connemarze, stara hrabina Wrońska ze swoimi pałacami na Krymie i w Sankt Petersburgu i nędznymi chłopami pańszczyźnianymi, maharani Prianti, jej szmaragdy i jej sikhowie-mordercy, czarnoskóra Florinda i Pericles Augusto w swoich cudacznych kamizelkach, rabin ze sztetlu i romans Jeremiasza z Putyfarą z Lublina, afektowana niemoc Piotra Wasiliewicza i geniusz Verdiego – wszystko to spoczywało ciężkim balastem na jasnych i ciemnych lokach dziewczynek z Glangowness. Ale może najgorsze było to, że wszystkie te przygody i tajemnice pozostawały w ścisłym związku z rygorami protokołu i zwycięskiego systemu, który po obu przeciwległych krańcach hierarchii społeczeństwa i sławy ucieleśniali miss Evangeline Prism i sir Winston Churchill.

Kiedy w 1919 czy 1920 roku Conchita Romero, wprowadzając nareszcie w czyn swoje plany z wiosny 1914 roku, przyjechała do Anglii, ku wielkiej radości miss Prism, zaproszona naturalnie została do zamku Glangowness. Mój ojciec już nie żył; poległ na Chemin des Dames. Ale z górnej Sarthe i z Plessis-lez-Vaudreuil przyjechał mój dziadek, by wziąć udział w polowaniach, w podwieczorkach, w uroczystych kolacjach i balach, rozjarzających tysiącem ogni fioletowe wrzosowiska i rzęście oświetlone salony starej siedziby

Landsdownów. Uszczęśliwiona miss Prism doglądała swoich chłopców, wyrosłych już na mężczyzn, i swoich dziewczynek. Conchita Romero żywiła niejasne, choć bardzo silne przeczucie, że jej odwieczne marzenia nareszcie zaczynają nabierać konkretnych kształtów. Paragwaj, Argentyna, Ameryka Libertadora, generał San Martín i bitwa pod Ayacucho prowadziły prosto do starej Europy. Zapomniawszy o Arroyo Verde i jego spokojnych radościach, być może niezbyt słusznie sobie tego gratulowała i trochę zbyt pochopnie się z tego cieszyła.

Oczom Conchity, podobnie jak wszystkim kronikarzom mody i zazdrosnym mieszczuchom, Glangowness przedstawiało sobą obraz splendoru i harmonii. Blask ten potęgowały dodatkowo pieniądze Landsdownów i Wrońskich, podobnie jak pieniądze ze stalowni i hodowli bydła przydawały świetności Romerom. Nie ma co ukrywać: pieniądze odgrywają w mojej opowieści rolę, i to rolę niemałą. Jest w niej również miejsce na wiele innych, często odmiennych spraw, takich jak tradycja, religia, umiłowanie sztuki i piękna, patriotyzm, elegancja, pewien niedbały, a niekiedy humorystyczny stosunek do życia i historii. Ale koniec końców wszystko to możliwe było dzięki pieniądзом. Wydaje mi się nieraz, że również życie Wrońskich i O'Shaughnessych oraz moja gawęda o nich zależały od tych pieniędzy, których było pod dostatkiem. W tym sensie ta opowieść o naszych czasach, tak daleka od marksizmu, ma jednak w sobie coś marksistowskiego. A mogę ją snuć tylko dlatego, że marksizm już istnieje – choć jeszcze nie zatriumfował. To właśnie w ten przedział pomiędzy marksizmem i jego zapanowaniem nad całym światem wpisuje się nasza historia.

Pandora i jej siostry niejasno domyślały się tego, o czym przed chwilą mówiłem. Krok po kroku archeolożki ze schowka dobywały na światło dzienne morderstwa, samobójstwa, rewolty i przygody. I tylko tajemnica poczęcia Héléne Wrońskiej nadal pozostawała niepoznana.

Koniec końców cała rodzina Landsdownów przyzwyczaiła się do życia z tym sekretem zakopanym w sercach i umysłach, niczym skarb w ogrodzie skąpca. Wiedziano o nim oczywiście, wielu ludzi o nim wiedziało, ale od zawsze było tak, jakby nikt o niczym nie wiedział. Marie Wrońska zachowywała kamienny spokój. Już dawno temu

nauczyła się skrywać własne troski pod uśmiechniętą twarzą. Wielu z gości, których w Wenecji czy Paryżu dochodziły różne niejasne słuchy o dawnym romansie hrabiny Wrońskiej z Verdim i o starym, od lat już przebrzmiałym skandalu w rodzinie Wrońskich, opuszczało Glangowness, hotel Meurice czy dom na Giudecce z przeświadczeniem, że w plotkach jak zwykle jest sporo przesady. Na równi z Landsdownami, a może nawet bardziej, Marie Wrońska swoją godnością i prostotą przyczyniała się do równowagi i pogodnej surowości, w jakiej żył klan O'Shaughnessych, powiększony przez dopływ Wrońskich.

\*

Mimo doświadczenia i wysokiego mniemania o sobie Ich Wysokościom ze schowka nie udało się samodzielnie odkryć tajemnicy, której ujawnienie zdawało się stanowić ich nieuświadomiony cel i mistyczną rację bytu. Prawda miała wyjść na jaw dopiero wskutek okoliczności całkowicie zewnętrznych.

W wieku piętnastu czy szesnastu lat Pandora – której matka Hélène zaręczyła się jako piętnastolatka – zakochała się. Ta miłość nastolatki spowodowała wiele dramatów, z pewnością nie tak doniosłych jak marsz na Rzym czy kryzys gospodarczy, niemniej wystarczających, by zakłócić spokój Landsdownów, a pośrednio, jak się przekonamy, również Romerów. Pierwszy z tych dramatów, najzwyczajniejszy i najważniejszy, związany był z osobą chłopca, dla którego straciła głowę najstarsza z O'Shaughnessych.

Młodzieniec ów miał dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata, skończył właśnie Oksford i posiadał wszelkie gwarancje niezbędne tak z punktu widzenia przeszłości, jak przyszłości. Był zamożny i dość przystojny. Czego oczekują bogacze w zamian za obdarzenie kogoś względami, szacunkiem, córkami? Żeby kimś takim właśnie był. On był. Stanowił wzór *eligible young man* i znakomitej partii. Uparta, gwałtowna, już wtedy nieco zwariowana, a w dodatku zwariowana na jego punkcie Pandora, chcąc też może przy okazji zrobić wrażenie na młodszych siostrach, postanowiła za Percy'ego Basseta wyjść za mąż.

Z miejsca powstał dramat. Jaki dramat? Najbardziej nieprawdopodobny, zupełnie nieprzewidziany. Percy Basset pochodził

ze znakomitej rodziny – w przekonaniu O’Shaughnessych najlepszej z możliwych, bo ich własnej. Syn młodszej siostry Seana O’Shaughnessy’ego, Percy Basset był kuzynem Pandory, a dokładnie jej przyszywanym wujem. Tak bliskie pokrewieństwo nie stanowiłoby żadnej przeszkody – przecież monarchom wręcz zaleca się poślubianie kuzynów, który to zwyczaj jest też dość powszechnie praktykowany przez większość wielkich rodów – gdyby nie to, że już matka Pandory była owocem związku brata i siostry. Brian i Hélène wpadli w okropną panikę. Nad Glangowness zawisł cień kazirodstwa. Chwała Bogu, cztery dziewczynki, jak się wydaje, nie ucierpiały jakoś specjalnie na tym *inbreeding* Wrońskich. Ale co będzie, jeśli ponownie, i to w tak bliskim Nadii i Nicolasowi pokoleniu, w rodzinie znów dojdzie do związku między bliskimi krewnymi? Było to zbyt ryzykowne. Brian napisał do bawiącej akurat w Paryżu hrabiny Wrońskiej, od której bezzwłocznie pocztą odwrotną nadeszła odpowiedź, i postanowił porozmawiać z córką. Na tę okazję uciekł się do jąkania i bełkotu, środków ekspresji od tak dawna przyjętych u Landsdownów i McNeillów.

– Kochanie... – zaczął.

I przerwał.

Już sam ten początek i zapadłe po nim milczenie wystarczyły, by postawić Pandorę w stan pogotowia. W nieuchwytej i trochę niepewnej sytuacji, w jakiej toczyła swoje boje, to ojcowskie „kochanie” zabrzmiało w jej uszach niczym sygnał ostrzegawczy.

– Tak? – powiedziała Pandora, podnosząc wzrok na ojca.

– Kochanie...

I z ust Briana wydobyło się coś na kształt jęko-bulgotu.

– Kochanie... musimy porozmawiać.

– Pewnie o mojej przyszłości? – zapytała Pandora, niespecjalnie się litując nad zakłopotaniem ojca.

– Raczej o twojej przeszłości – powiedział Brian, z desperacją wstępując na wskazaną mu przez córkę drogę.

Słowo „przeszłość” momentalnie obudziło czujność Pandory. Sprawa zapowiadała się interesująco. Pandora przygotowana była na jakąś perorę lub dość niemiłą dyskusję na temat zalet Percy’ego.

Tymczasem rozmowa zdawała się zmierzać w stronę tajemnic schowka,

ku rani bądź Turnbullowi.

– O mojej przeszłości?

– O przeszłości nas wszystkich – rzekł Brian.

Między córką i ojcem zapadło nagle ciężkie milczenie.

– No to ruszajmy na tę wyprawę! – zawołała po chwili Pandora z nieco wymuszoną wesołością.

I wstawszy z krzesła, usadowiła się obok ojca na hinduskiej kanapie, tak jakby miała usłyszeć od niego za chwilę – i tak właśnie się stało – nową opowieść o przygodach Ryszarda Lwie Serce czy o czarodzieju Merlinie. Brian opuścił okopy i ruszył do ataku:

– Czy ty, która tak lubisz różne historie, zastanawiałaś się kiedyś, kim byli twój dziadek i babka?

– Mój dziadek i babka?... To przecież Sean O'Shaughnessy, twój ojciec, i Sybil, twoja matka z domu McNeill... Czyżbym się myliła?

I od dawna hołubiona myśl, że być może jest znajda, wróciła do niej z taką siłą, że mimo woli zarumieniła się i zadrżała.

– Nie! Nie!... *I mean...* Ze strony matki – wyrzucił z siebie jednym tchem Brian.

– Chodzi o tę babkę, która umarła?... Miała na imię Nadia, prawda?... Nadia Wrońska?

– No właśnie, Nadia Wrońska.

– To była córka mojej prababki – powiedziała Pandora, ostrożnie, jak po terenie zaminowanym posuwając się do przodu.

– A jak się nazywa twoja prababka?

– *Granny?* Chyba Marie?... Tak... Marie Wrońska... Hrabina Wrońska.

– I nie zastanawiałaś się nigdy, ty, taka ciekawska, dlaczego obie, twoja nieżyjąca babka i twoja prababka nosiły to samo nazwisko?

– To samo nazwisko? – powtórzyła Pandora, raptem bliska łez.

– Tak, to samo nazwisko. U nas najczęściej matka i jej zameżna córka nie noszą takiego samego nazwiska. W dniu zamążpójścia dziewczyna zmienia nazwisko.

Przed Pandorą nagle rozwarła się przepaść. Przez jej głowę przemykały różne bezładne i przerażające myśli. Więc wszystko, czego się niejasno domyślała, wszystko, co w głębi ducha przeczuwała,

okazało się prawdą: była nieślubnym dzieckiem, podrzutkiem, znajdują... Chyba że... – niemal fizycznie odczuwała bolesny wysiłek swojego umysłu... – chyba że tajemniczo zmarła Nadia, której poświęciła nie dość uwagi, bo jej myśli zaprzętały głównie Turnbull lub rani... Albo też chodzi o Granny, jej prababkę, taką swojską, taką spokojną... Sama nie wiedziała, czego się trzymać... Nic już z tego wszystkiego nie rozumiała, nie widziała żadnego innego wyjścia. Oparła głowę na ramieniu ojca i rozplakała się bezgłośnie. Było to ostatnie pośmiertne objawienie się świętej pamięci hrabiego Wrońskiego, ostatni numer Zambrana, ostatni epizod przygód Verdiego.

Nieruchomy, ze ściśniętym gardłem, gładząc jasne włosy córki, Brian O'Shaughnessy długo siedział w milczeniu. W jego głowie kłębiły się bezładnie żywsze i liczniejsze niż zazwyczaj myśli. To zbyt straszne, zbyt głupie, zbyt niesprawiedliwe, żeby ślepy los rodziców wywoływał płacz u ich dzieci.

Pandora płakała z emocji. Ale również ze zranionej dumy i z upokorzenia. Z wściekłości na siebie samą. Przez tyle lat, zarozumiała i próżna, w schowku Królewskiego Sekretu rozwiązywała różne zagadki. Tymczasem jedyną tajemnicę, która jej nawet nie zaświtała w głowie, jedyną ważną, najbliższą, bo tajemnicę własnych korzeni – przeoczyła, nie próbując nawet jej zbadać, zaledwie mgliście domyślając się tej uderzającej oczywistości: że jej babka, jej matka lub ona sama, że któraś z nich nie była Wrońską i pochodziła z jakiegoś innego świata. Uniosła głowę.

– Papo, ale przecież jestem twoją córką, prawda? – zapytała głosem zagubionego dziecka.

Teraz z kolei Brian poczuł się bliski płaczu. Przytulił córkę.

– Oczywiście, córeczko, oczywiście. To nic aż tak poważnego.

Ludzie są dziwni – Pandorę ogarnęło jakby lekkie rozczarowanie. Przestała płakać. Jej ojciec oczywiście pomyślał, że pod wpływem ulgi. Tymczasem była to ciekawość. W jej podniecenie zakradł się cień żalu.

– W takim razie o co chodzi?... – zapytała z oczami błyszczącymi od łez.

Poczuwszy ulgę, że może wystartować od tej najgorszej z wszelkich hipotez, na szczęście niewchodzącej w rachubę, Brian podjął

z mniejszym już wahaniem.

– Nie, nie, to nie jest nic strasznego, nic, co by dotyczyło cię bezpośrednio... Tylko pośrednio, tak, pośrednio – szybko dodał, by nie tracić zbyt wiele terenu i nie musieć rozpoczynać od nowa swojej żołnierskiej drogi.

– Pośrednio?... – powtórzyła Pandora, nic już kompletnie nie rozumiejąc, zirytowana tą niewiedzą.

– Twoja babka nie była mężatką – obwieścił z posępną miną Brian.

– Tylko tyle? – zawołała Pandora, wybuchając śmiechem, w którym ulga mieszała się z lekką pogardą wobec tak tandetnych sekretów.

– Nie. To coś poważniejszego. Twoja babka...

I znów przerwał.

– Moja babka?... – podsunęła Pandora.

– Twoja babka... – powtórzył znowu Brian.

– Cóż więc takiego jeszcze zrobiła ta moja babka? – zapytała Pandora, serdecznie się śmiejąc. – Chyba nie uśmierciła swojego męża? To by już zakrawało na jakąś rodzinną manię...

– Nie żartuj – skarcił ją Brian, zadowolony, że oto ma okazję odzyskać przewagę nad tą szalawicą, rąbiąc jej w oczy całą prawdę. – Twoja babka była siostrą twojego dziadka.

– Siostrą mojego...

– No, przyrodną siostrą.

– Przyrodną siostrą... – powtórzyła Pandora, potrząsając głową i marszcząc brwi.

– Tak, jego przyrodną siostrą – potwierdził Brian.

I, przerywając co zdanie, ostrożnie dobierając słowa, przeżuwał okrutną prawdę, przez półtorej godziny opowiadał oniemiałej ze zdumienia i zachwytu Pandorze o wszystkich znanych nam już przygodach Marie de Cossigny, Verdiego, hrabiego Wrońskiego, mecenasa Brûlaza-Trampoliniego i złowrogiego Zambrana.

– A Nicolas? A Gabriella? A bokserzy? A Japończycy? – dopytywała się Pandora.

Nigdy jeszcze Brian nie mówił aż tyle. Teraz, dzięki Pandorze, którą wszystkie te przygody zdawały się niepomiernie bawić, jego



zadanie wydawało się wręcz łatwe. Jakie to cudowne, mówił sobie w duchu, mieć taką inteligentną córkę. Jakie to pożałowania godne, mówiła sobie w duchu jego córka, być taką idiotką.

– Tak więc sama widzisz – zakończył Brian – że krew w naszej rodzinie krąży trochę w kółko. I jeśli jeszcze teraz ty wyjdiesz za mąż za własnego wuja lub kuzyna...

– No, cóż! Więc dla świętego spokoju poślubię jakiegoś Murzyna albo Chińczyka. I wszystkim wyjaśnię, że doradziła mi to rodzina.

Brian był zdumiony spokojem córki. Ale ja, bardziej podejrzliwy wobec czterech sióstr niż ich własny ojciec, bardziej też od innych skłonny do podziwu dla ich charakteru i finezji, zaślepiony, a przy tym zbyt trzeźwy – nieraz zastanawiałem się, czy aby wybieg w postaci Percy'ego Basseta nie był tylko fortelem umożliwiającym dowiedzenie się czegoś więcej o przeczuwanych, lecz zbyt trudnych do przeniknięcia sekretach. Młody Percy Basset jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknął w rodzinnym lochu. Zdawać by się mogło, że satysfakcja ze zgłębienia wreszcie do końca tajemnic odziedziczonych po przodkach przeważała, i to znacznie, nad zawodem miłosnym. Niewykluczone, że Pandora kochała Percy'ego. Ale z całą pewnością jeszcze bardziej kochała wir życia i tajemnice egzystencji. Młody Percy Basset, który znał trochę grekę i tak świetnie grał w polo, z pewnością nie potrafiłby dostarczyć pożywki dla okrutnej maszyny wyobraźni Ich Wysokości ze schowka. Nad elegancją i subtelnym wdziękiem wuja z Corpus Christi College bez trudu zatriumfował obraz Nicolasa – Nicolasa w Pekinie, w Port Arthur, na polu walki pod Mukdenem. Odtąd życie Pandory przeniosło się jeszcze bardziej w świat fantazji.

Nie muszę dodawać, że rozmowa z Brianem i zerwanie z Percym pociągnęły za sobą liczne posiedzenia nadzwyczajne Zakonu Królewskiego Sekretu. Nie odbywały się już one w ciasnocie kuchennego schowka – dziewczęta były za duże – lecz podczas obfitych podwieczorków przy scones, muffinach i kanapkach z ogórkiem. Historia Zakonu Królewskiego Sekretu odzwierciedla ewolucję tej prześwietnej instytucji od szafy na szczotki w Glangowness – poprzez cudowne podwieczorki niespokojnego i błogosławionego wieku młodzieńczego, za których sprawą Pandora i Vanessa przytyły trochę,

choć nie tak, by całkiem stracić figurę – po wspólne obiady trzech lub czterech sióstr w przeddzień drugiej wojny światowej lub nazajutrz po niej w Harris Bar w Wenecji, u Maxima w Paryżu, w Alfredo alla Scroffa w Rzymie, w wielkich jadłodajniach Vier Jahreszeiten w Monachium, madryckim Ritzu lub po prostu w londyńskim Claridge’u.

Pewna sławna nowela Jorge Luisa Borgesa opowiada pouczającą historię loterii w Babilonie. Loteria, którą utworzono w celu pozyskania funduszy do pustego skarbcza Babilonu, spełniwszy ku zadowoleniu władcy swoją rolę, zaczyna coraz bardziej tracić popularność wśród mieszkańców Babilonu i w swoim dotychczasowym kształcie okazuje się niewystarczająca do zlikwidowania nieustannie pogłębiającego się deficytu. Od reformy do reformy loteria zmierza ku coraz większym udoskonaleniom: staje się ciągła, obowiązkowa, anonimowa. Wygrane nie mają już formy wyłącznie pieniężnej: teraz można wygrać odznaczenie, stanowisko ministra, uśmiercenie obmierzłej teściowej, malarski lub muzyczny talent. Są nie tylko pozytywne, mogą być także negatywne: wygrasz lub przegrywasz trzy lata więzienia, rozłąkę z ukochaną istotą, atak wątroby lub raka, pożar w swojej własnej bibliotece lub w domu na wsi. Wiele lat po upadku i zniszczeniu Babilonu archeolodzy i historycy głowią się nad istnieniem i znaczeniem loterii babilońskiej; najbardziej wyrafinowani sugerują, że nigdy nie istniała. Tak samo Zakon Królewskiego Sekretu: wyrosły z marzycielskiej egzaltacji i niepokojów dzieciństwa, koniec końców połączył się w jedno z życiem.

Dla Pandory życie, prawdziwe życie zaczęło się od zerwania z młodym Bassetem. Ci, którzy obserwowali to wszystko z zewnątrz, nie posiadając klucza do zagadki, nie bardzo mogli się połapać w charakterze Pandory, którą rozstanie z pierwszą miłością jakby nagle wyzwoliło. „Sama nie wie, czego chce”, orzekli najgłupszy. „Nie kochała go”. „Jest wprost nieprawdopodobnie posłuszna rodzicom”. „Chyba kocha innego”, sugerowali ci najbardziej subtelni, choć i oni mijali się z prawdą. A prawda była taka, że Pandora nie potrafiła uwolnić się od rodzinnej przeszłości oraz że odkryła Nicolasa – nie tyle żywe, ile historyczne i fikcyjne wcielenie tajemnic i sekretów, które od zawsze tak

ją fascynowały.

Odkrycie istnienia, mimo że przez długi czas tak przeciętnego i bezbarwnego, syna Verdiego i Marie de Cossigny na zawsze odmieniło Ich Wysokości ze schowka. Po ceremoniale Izby Lordów, po fascynacji sikhami nastął trzeci okres: wypełniała go opera włoska, powstanie bokserów i wojna rosyjsko-japońska. W życie czterech sióstr z huraganową siłą wdarło się wszystko, co miało jakikolwiek związek z Japonią, z Chinami, a już zwłaszcza z Wenecją. Ruszyły na poszukiwanie fotografii dziadka. Zamiast grubego starca usadowionego w fotelu, z laską w ręku, z dewizką od zegarka na brzuchu i twarzą zasłoniętą faworytami, jaki przypadł w udziale ich przyjaciółkom, natrafiły na młodzieńca o nieopisanym wdzięku, o którym nikt nigdy nie dowie się, jak by wyglądał, gdyby pewnego poranka nie spoczął w całunie śniegu na polu bitwy pod Mukdenem.

Cztery siostry O'Shaughnessy z dnia na dzień przestały być lordowskimi córkami, szykownymi Irlandkami, w których żyłach płynęła rosyjska i francuska krew, dziedziczkami starego gotyckiego, mocno odnowionego zamku. Nagle przeistoczyły się we wnuczki poszukiwacza przygód, który pod wpływem nieszczęścia odnalazł swoje prawdziwe ja, oraz w prawnuczki autora *Aidy* i *Traviaty*. Za sprawą świeżo upieczonego hellenisty z Corpus Christi College i ojcowskiej grozy na myśl o ponownym kazirodztwie w ich życie wkroczyła od tak dawna upragniona przygoda.

Mężczyznom na całym świecie pozostawało tylko jedno: mieć się na baczności.

## Święci Apostołowie

Koniec dzieciństwa sióstr O'Shaughnessy wiąże się z wydarzeniem, które wielu z was pamięta: w latach między zakończeniem wojny a początkiem wielkiego kryzysu, i przynajmniej w pewnym wąskim środowisku, było o nim dość głośno. Nagłe czy też ponowne pojawienie się w Londynie bohatera, który wychynął z mroków, stanowiło jeden z tych znaków nadających epoce jej oblicze i sens. By lepiej odtworzyć łańcuch, a może raczej kaskadę zdumiewających okoliczności, których ukoronowaniem stał się ów nagły zwrot akcji, musimy cofnąć się wstecz w historię rodziny połączonej licznymi i niejednokrotnie dramatycznymi więzami z rodami Wrońskich i O'Shaughnessych: rodziny Romerów, poszerzonej o Finkelsteinów.

Jego Ekszelencja, ambasador Argentyny na dworze brytyjskim, był postacią bez zarzutu. Ten południowoamerykański dyplomata – wysoki, lekko siwiejący brunet o nieposzlakowanej moralności, której obca była wszelka fantazja – spełnił oczekiwania swojej matki: został zaakceptowany przez Europę. Przy rodzinnym stole, którego dyplomatyczny polor pozbawiał wszelkich cech mieszczańskości, lecz przy którym nadal pod wpływem Conchity Romero kultywowano, niewzruszone i silne, tradycyjne cnoty, toczyły się rozmowy we wszystkich językach o dekadencji i o urokach Zachodu. Żona ambasadora, Rosita Romero, swoje zdolności językowe przypuszczalnie zawdzięczała ojcu, Jeremiaszowi Finkelsteinowi, żydowsko-amerykańskiemu potentatowi urodzonemu pod Lublinem. Nie mówiła już po polsku, ale znała portugalski, ojczysty język matki, i bez trudu nauczyła się włoskiego i niemieckiego. Kiedy do ambasady – pięknego wiktoriańskiego budynku nieopodal Marble Arch, między Knightsbridge a Piccadilly, zawdzięczającego swój splendor hojności młodego państwa argentyńskiego, ale także i przede wszystkim wspólnemu majątkowi Romerów i Finkelsteinów – przychodzili na kolację ambasador Niemiec czy konsul generalny Brazylii, czuli się prawie jak u siebie w domu. Aureliano Romero pobił wszelkie rekordy

długowieczności dyplomatycznej: reprezentował Argentynę w Anglii przez siedemnaście lat. W ambasadzie argentyńskiej, która stała się jednym z najbardziej znanych ośrodków w Londynie, bawili przez kilka godzin, a nieraz nawet dni Poiret, Coco Chanel, Albert Einstein, Maurice Chevalier, Louis Barthou, Titulesco, księżniczki bawarskie i jugosłowiańskie, sławna Magda Lupescu oraz wielu innych. Kilka lat temu, mieszkając już w Toskanii, którą rzadko opuszczałem, wybrałem się z San Miniato do Londynu. Przyjaciele donieśli mi, że na aukcji organizowanej przez Christie's czy Sotheby obok obrazów wielkich mistrzów i wspaniałych mebli wystawiona zostanie na sprzedaż kompletna edycja złotych ksiąg należąca do Romerów. Wyceniona na tysiąc funtów, osiągnęła cenę znacznie przerastającą moje możliwości. Sprzedałem kilka pamiątek z Plessis-lez-Vaudreuil, by zdobyć ją mimo wszystko. Dziś stoi w mojej bibliotece i wystarczy, że przerzucę jej strony, by na nowo ożył mi przed oczami okres międzywojnia razem z jego blaskiem i popiołami.

By sprostać swoim obowiązkom, ale także przyjemnościom, Aureliano Romero zmuszony był przyjąć coś, co z całą powagą nazywał filozofią egzystencji, a co jego niemiecki kolega z emfazą określał pompatycznym mianem *Weltanschauung*. Zdecydował się na humanizm. Jego Eksceleńcja ambasador Argentyny w Londynie był humanistą.

Trudno o coś pełniej współgrającego z surową moralnością Conchity Romero i z beztalenciem jej syna niż ten wytworny humanizm, tak znakomicie idący w parze z ich wielkim majątkiem oraz ich powinnościami. Świat Romerów wykluczał jakąkolwiek przesadę. Mogli przyjmować u siebie przedstawicieli lewicy i prawicy, niekiedy nawet skrajnej lewicy i skrajnej prawicy, geniuszy, awanturników, homoseksualistów, kobiety głośne ze swojej swobody obyczajów, artystów, projektantów mody i rekinów finansjery; sami pozostawali niewzruszeni i ponad – lub poza – wszelkim podejrzeniem. Nigdy jeszcze cnota w całej swej przeciętności nie obcowała z tyloma talentami, którym najczęściej obca była dbałość o konwenanse i moralność.

Każdy z gestów, a już zwłaszcza każda z wypowiedzi wybitnego dyplomaty tchnęły moralno-mieszczańskim humanizmem. Otoczony

starymi meblami i tapiseriami z Gobelins, skądinąd dobieranymi przez niego z gustem i znakomicie mieszczącymi się w jego filozofii życiowej, syn Conchity Romero był jeśli nie jednym z pierwszych, to w każdym razie jednym z najwytrwalej pozujących na obrońców cywilizacji i orędowników wartości zagrożonych przez barbarzyńców. Jego niezliczone wystąpienia – zebrane jak należy w tomy oprawne w niebieską skórę, zdobione złotymi okuciami, z wytłoczonym godłem Argentyny i z monogramem w kształcie splecionych z sobą gotyckich liter A.R. – charakteryzują dwie, jednakowo godne uwagi cechy: nie licząc już nawet wielu zaszczytnych orderów Nissama Hiftikara, Ouissama Alaouite’a czy Miliona Białych Słoni, przyznawanych mu przez wyrozumiałych władców w oparciu o rekomendacje jego zachwyconych kolegów dyplomatów, dzieła te wkrótce przyniosły mu imponującą kolekcję doktoratów honoris causa uniwersytetów w Salamance i Oksfordzie, w Paryżu i Heidelbergu, w Uppsali i Bolonii; a także bardzo szybko stały się tym, czym pozostają do dziś: wypocinami kompletnie nieczytelnymi z racji ich podniosłości i umiłowania kultury.

Pamiętam dzień, kiedy przed audytorium składającym się z ministrów, myślicieli, licznych wdów po sławnych ludziach oraz niemałej liczby zajmujących mnóstwo miejsca zwykłych miernot, Aureliano Romero wygłosił jedno ze swoich przemówień, których patetyczny ton i wzniosłość moralną odnotowały następnego dnia londyński „Times” i paryski „Journal des Débats”.

– Oczywiście – szepnął Agustín – oczywiście, jest cudowny. Wszyscy go kochamy. Bo co po czymś takim można powiedzieć?

– Kochany tato! – szepnął Carlos. – Takich jak on dziś już nie ma.

Ta lawina zaszczytów, te cnoty, ta niezwykła umiejętność wygłaszania samych komunałów zapewniły Aurelianowi Romerze, jak to się zwykło określać, znaczącą pozycję. Odwiedziwszy go w Londynie, Conchita Romero ma okazję ocenić, jak daleką przebył drogę od udręk Paragwaju. Jest dumna z syna. Opór, jaki stawiała groźbom i zalotom krwiożerczego małżonka Mado z Maubeuge, który zresztą dawno już trafił do lochów historii, nie poszedł na marne: teraz jej Aureliano z wyżyn najbardziej szykownych podiów, trybuny Ligi Narodów,

najsłynniejszych uniwersyteckich katedr starego świata broni humanizmu i tradycji, praw człowieka, tolerancji i pokoju, wolności i postępu.

Jeremiasz Finkelstein jest może mniej podekscytowany od Conchity Romero. Zbyt wiele w życiu widział, by mogły zrobić na nim prawdziwe wrażenie wzniosłe uczucia i wyrażające je frazesy. W kącikach ust i na jego szczupłej twarzy starego znużonego lisa zagościł cień sceptycyzmu. Podczas wizyt u córki w Londynie spogląda na zięcia z odrobiną ironii. Ma się wrażenie, że u tego starzejącego się, choć nadal żywotnego magnata marksizm i kapitalizm – znajomość pierwszego i użytek z drugiego – jednoczą się, by życzliwie podkpiwać sobie z napuszonej retoryki i ponawianych apeli o wzbogacenie duszy.

– Szlachetność duszy – mruknął któregoś wieczoru po obiedzie wśród lśniących żyrandoli i lokajów we francuskich liberiach do zachwyconego Winstona Churchilla – to luksus wielkiej burżuazji.

Osobą, która w Anglii zaraz po Churchillu robi na Jeremiaszu Finkelsteinie największe wrażenie, nie jest ambasador Argentyny ani jego czterech, skądinąd czarujących synów, ani Conchita Romero, która jeszcze nigdy nie napatrzyła się aż tyle, co podczas tych niekończących się londyńskich wieczorów, na których aż gęsto od dyplomatów we frakach, aroganckich ministrów i opatrzonych stosowną etykietką myślicieli – tylko spotkana w Glangowness Pandora. Momentalnie go podbiła, kiedy z całkowitym spokojem i niejakim tupetem stwierdziła, że jest podobny do Disraelego. A najlepsze w tym było to, że jej spostrzeżenie było całkiem trafne. Kiedy Brian czy Aureliano, a może sam Jeremiasz powtórzył jej słowa Churchillowi, były pierwszy lord admiralicji, minister wojny i lotnictwa, a potem finansów ryknął śmiechem. To tu leżało źródło tajemnicy, która przez tak długi czas intrygowała wielu dyplomatów i ludzi interesu po obu stronach Atlantyku: odtąd Winston Churchill do samej śmierci Jeremiasza będzie zwracał się do niego wyłącznie per Benjaminie.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak taka sceneria musiała wpłynąć na czterech braci Romerów. Ledwie wyrosli z dzieciństwa, nabrali awersji do frazesów, celebry, poprawności i humanizmu. Ku rozpaczy Conchity, która chciała, żeby byli Europejczykami, ale też liczyła, że pozyska ich

dla półkuli południowej, gdzie obejmą jej cementownie i browary. Przykład ich dziadka Jeremiasza Finkelsteina czy bożyszczą rodziny i przyjaciela O'Shaughnessych, Winstona Churchilla, zamiast powstrzymać, pchnął ich w kierunku ekstrawagancji. Aż nazbyt dobrze wyczuwali, że przynajmniej ci dwaj nie dali się nabrać całej tej szopce i jej inscenizacji.

Prawdziwie interesujące są tylko dzieciństwo i młodość. To one nadają ton całemu życiu. Wiek dojrzały i starość odciskają swój obraz dopiero po śmierci. Czterej bracia dość szybko uznali, że młodość ich ojca była nieciekawa. Postępowali niemal dokładnie odwrotnie niż on, i na przekór temu, czego od nich oczekiwano. Niewiele w tym było ich własnej zasługi: pieniądze ułatwiały wszystko, w tym także gardzenie nimi. To właśnie ta łatwość doprowadzała ich do rozpacz. Nigdy nie przestali buntować się przeciwko temu, czym byli, i temu, dzięki czemu wszystko, włącznie z ich własnym buntem, było możliwe.

Bracia Romerowie pozostaną dla mnie na zawsze tacy, jak w okresie między zakończeniem wojny a początkiem wielkiego kryzysu, kiedy mnie tak fascynowali: nie byli jeszcze sobą, bo byli dziećmi swojego ojca. To znaczy: nie wyzwolili się jeszcze spod wpływu rodziny i środowiska, by stać się tym, kim będą w przyszłości. Byli ode mnie średnio prawie o dziesięć lat starsi. Uwielbiałem ich bezgranicznie. Mieli co najmniej jedną rzecz wspólną z siostrami O'Shaughnessy, którymi w owym czasie, mimo sikhów i schowka, i Zakonu Królewskiego Sekretu jeszcze niezbyt się interesowali: podobnie jak one, choć na własny sposób, stanowili przede wszystkim grupę. Pisząc w San Miniato te strony, mam przed oczyma fotografię, na której prawdopodobnie w ogrodzie ambasady w Londynie, a może, choć jest to hipoteza mocno naciągana, może podczas któregoś z weekendów w Glangowness, stoją parami po obu stronach swojego ojca ambasadora. Sprawia to wrażenie jakby jakiegoś przedstawienia. Wszyscy pięcioro są równie urodziwi co dwa wielkie psy u ich stóp. Ich krzepkie ciała skrywają zwierzęce zdrowie. Wyglądają jak marynarze, szykujący się do wejścia na pokład, jak rugbyści podczas przerwy w meczu, jak odwieczni wojownicy. Nie są ani grubi, ani chudzi, ubrania dobrze na nich leżą; są żywym obrazem klasy przywódców i posiadaczy, do której należą. Tym, czego nie



pokazuje ów kartonik, są uczucia ożywiające ich zgrabne sylwetki i odprężone, zda się, nieskażone żadną myślą twarze: trawi ich wewnętrzne zniecierpliwienie tym, kim są.

Wszyscy czterej – Carlos, Agustín i bliźniacy – są w tym samym stopniu Argentyńczykami co Anglikami; i Francuzami w tym samym stopniu co Anglikami. Co najmniej trzech z nich część nauki odbyło we Francji – w liceach Stanislas, Franklin i na Sorbonie. Mają nie tylko pieniądze, napływające drzwiami i oknami, ale też korzyści wynikające z faktu ich posiadania – wykształcenie, ogładę, podróże, znajomości – oraz odrzucenia. Wszyscy czterej mówią po francusku równie płynnie jak po hiszpańsku i angielsku. Dzięki ojcu oraz jego przyjaciołom wszyscy czterej spędzają przynajmniej po kilka miesięcy w tym czy innym ze sławnych kolegiów Oksfordu lub Cambridge. Tam właśnie zaczyna zarysowywać się ich los i harmonię rodzinnej fotografii zakłóca coś niejasnego, coś, co przypomina przeszłość.

Na drogę, którą w ten czy inny sposób oraz z wieloma wariantami przebędą wszyscy czterej, jako pierwszy wkracza oczywiście najstarszy. Jak to często bywa przed schizmą, odstępstwem, buntem – wszystko zaczyna się jak najbardziej klasycznie: zaledwie kilka lat po zakończeniu wojny Carlos Romero, podobnie jak jego ojciec pod koniec ubiegłego wieku, ląduje w Cambridge. Ale, z nieznanymi mi powodów – mających związek, jak przypuszczam, z jednym z kluczy do świata burżuazji: z koneksjami – w Trinity College. Czyżby to był ukryty wpływ jego dziadka Jeremiasza? Przykład – a może już wtedy niechęć – poglądów ojca na postęp i humanizm? Albo po prostu jakieś, że tak powiem, tajemnicze idiosynkrazje i wynik ogólnego klimatu epoki? Tak czy inaczej, Carlos Romero z zapalem zabiera się do studiowania religii i filozofii. Była to dziedzina dość rozległa, wymagająca solidnych podstaw klasyki, dobrej znajomości łaciny i greki, zamiłowania do literatury i historii oraz biegłości we francuskim, ale przede wszystkim niemieckim, języku Kanta, Hegla i Wilamowitza-Moellendorffa. Dzięki ojcu i babce Conchicie, z zaborczą troską czuwającej nad nauką wnuków, a nawet dzięki drogiej miss Prism, która nie znała wprawdzie ani słowa po łacinie, a co dopiero mówić o grece, ale wdrożyła swoim wychowankom poczucie pracowitości i dyscypliny, Carlos Romero

mimo swojego środowiska, a może właśnie dzięki niemu, był dobrze przygotowany do tego typu studiów. W ciągu kilku miesięcy stał się jednym z najbardziej błyskotliwych studentów Trinity College.

W odróżnieniu od ojca czy Briana O'Shaughnessy'ego, który pokolenie wcześniej przebyli tę samą drogę, Carlos Romero nie odnosił sukcesów w sporcie, wioślarstwie, rugby i ćwiczeniach fizycznych. Był przede wszystkim człowiekiem nauki i lektury, z tym że dość szczególnego rodzaju: należał do najsmuklejszych, najwytworniejszych, najbardziej nonszalanckich pracusiów w Trinity College. Ten przybrany Anglik, ten argentyński metek o powierzchowności tancerza tanga był jednocześnie pożeraczem książek. Czytając po całych dniach i nocach, już w dzieciństwie popsuł sobie wzrok i z pewną afektowaną niedbałością bawił się okularami, podkreślającymi dwoistość jego powołania: elegancja i praca, flirt i nauka. Brano go za playboya, a tymczasem był bez mała uczonym. Brano go za mola książkowego, a tymczasem był stałym bywalcem salonów, przyjęć i ambasad. Wkrótce jednak, i to bardzo szybko, obie te interpretacje, z pozoru wzajem się wykluczające, okazały się jednakowo nieprawdziwe.

Były to czasy, kiedy całe pokolenie hellenistów i mitologów z Trinity College ukształtowane zostało przez człowieka wyjątkowego, którego nazwisko nadal pozostaje żywe w pamięci wszystkich interesujących się gnozą, tajemnicami Eleusis czy przygodami Pitagorasa i Dionizosa – W.C. Brooksa. Uczeń Renana, czytujący Marksa, zwolennik Dreyfusa, obrońca Oscara Wilde'a w jego trudnych chwilach, tego samego Wilde'a, którym gardził w czasach jego sławy i sukcesów, Brooks wywierał na swoich studentów w Corpus Christi, a potem w Trinity College olbrzymi wpływ, któremu nie oparł się też i Carlos. Zamiast przedstawiać historię religii jako materię abstrakcyjną, spadłą z nieba do amfiteatrów i na okrągło maglowaną w podręcznikach, otwierał ją na świat i życie. Na jego wykładach filozofowie i duchowni mieszały się z rzemieślnikami i metekami z Aten, z żołnierzami Aleksandra pożenionymi z Persjankami, ze świętymi nierządnicami z sanktuariów Azji Mniejszej, ludźmi interesów wzbogaconymi na kopalniach srebra Laurionu lub handlu morskim z Egiptem i Sycylią, awanturnikami i karierowiczami. Obejmowali oni w posiadanie salę

wykładową, na której przemawiał z pasją, kreśląc dłońmi dziwne arabeski i potrząsając siwymi włosami. W jego ustach znajdowały nagle wyjaśnienie tajemnice. Świat jawił się jako twardy, bezlitosny, wydany na pastwę przemocy, lecz przejrzysty i zrozumiały dzięki potędze logiki oraz zgromadzonej i ujarzmionej wiedzy. W pierwszych latach naszego wieku wykładów W.C. Brooksa o religiach wschodniej części basenu Morza Śródziemnego słuchało wielu dyplomatów i polityków angielskich, na co dzień zajmujących się ekonomią polityczną lub geografią. Wywarł on decydujący wpływ na Burgessa, Philby'ego i Anthony'ego Blunta, który wspomina o nim w swoich *Pamiętnikach* – przyszłych agentów KGB, którzy w końcu zbiegną na Wschód.

Jeremiasz Finkelstein, w owym czasie mocno już sędziwy, był przyjemnie zdziwiony, otrzymawszy w Nowym Jorku list od najstarszego wnuka z prośbą o objaśnienie pewnych niejasnych fragmentów Zoharu oraz słynnej *Dialektyki przyrody* Engelsa – która niebawem miała zostać wydana staraniem Związku Radzieckiego. Otraskany z marksizmem stary kapitalista nie ograniczył się do wysłania wnukowi długiej odpowiedzi. Zaprosił go do Nowego Jorku i spędził z nim lato – jedno z ostatnich swojego długiego życia. Broszura młodego Carlosa Romery, *Historia religii w świetle marksizmu*, która powstała w następstwie rozmów, które w wytwornym domu w Wirginii prowadzili ze sobą wnuk i dziadek, narobiła sporo szumu w Cambridge.

Czy praca Carlosa powstała we współpracy z dziadkiem owładniętym swoistym demonem południa, nie fizycznym, ale intelektualnym, była przyczyną czy też skutkiem zbliżenia młodzieńca z pewną mniej lub bardziej tajną organizacją, która odegra pewną rolę w historii myśli drugiego ćwierćwiecza XX wieku? Nie wiem. Pewne natomiast jest to, że na początku bądź w połowie lat dwudziestych wnuk Conchity Romero i Jeremiasza Finkelsteina, syn Jego Ekscelencji ambasadora Argentyny, jakby nie dość mu było utworzenia oraz kierowania literacko-historycznym pismem pod wymownym tytułem „Heretyk”, stał się jednym z adeptów, a niebawem sercem i duszą jednej z najpotężniejszych organizacji wywrotowych w monarchii brytyjskiej, wtedy jeszcze u szczytu swojej potęgi.

Zdaniem jednych Święci Apostołowie – *Holy Apostles* lub po

prostu *Apostles* – wzięli swoją nazwę od liczby: początkowo było ich dwunastu. Inni podkreślali związki między buntującymi się przeciwko współczesnemu społeczeństwu młodymi ludźmi a uczniami Jezusa, historycznymi krzewicielami chrześcijańskiego miłosierdzia i wiary. Jeszcze inni otwarcie i bez wahania uważali Świętych Apostołów za etatowych rzeczników Ewangelii naszych czasów: marksistowskiej Dobrej Nowiny.

O Świętych Apostołach napisano wiele prac; w licznych dziełach znaleźć można wzmianki o ich działalności w okresie międzywojennym i bezpośrednio po drugiej wojnie światowej. Nie byli tajnym stowarzyszeniem z prawdziwego zdarzenia, ale pod oficjalną i często krzykliwą witryną kryła się tajna działalność, nieraz wykraczająca poza ścisłe granice prawa. Święci Apostołowie, spadkobiercy stowarzyszeń intelektualnych dwóch ubiegłych stuleci, wciąż jeszcze przesiąknięci duchem liberalizmu – i wtedy już marksizmem – ulegając różnym wpływom krok po kroku ześlizgiwać się będą ku podziemnym, równolegle biegnącym ścieżkom szpiegostwa i terroryzmu. Carlos Romero – uprzejmy jak zawsze i elegancki, wprowadzony po trochu we wszystkie środowiska, z całą pewnością zamożniejszy od reszty swoich kolegów razem wziętych – odgrywa w tej ewolucji dość niejednoznaczną rolę.

Już wkrótce zaczyna prowadzić podwójne, a nawet potrójne życie: syna ambasadora, coraz biegłego w historii religii filologa klasycznego oraz tajemniczego agitatora. Różne drogi, którymi podąża, stykają się i przecinają: bywa, że wyjeżdża z ojcem do Genewy, by w kularach Ligi Narodów nawiązywać kontakty, o których nie wspomina wysłannikom Kominternu czy Kuomintangu. Z kolei międzynarodowe kongresy klasycystów dostarczają mu jednocześnie alibi dla jego tajnych misji, o których niewiele mi jednak wiadomo. Z różnych zagadkowych źródeł napływają do niego pieniądze, których wcale nie potrzebuje. To, co dostaje od dziadka, który z rozbawieniem i odrobiną sceptycyzmu odkrywa u schyłku życia zapał swej młodości, wystarcza mu w zupełności na podróże, życie oraz opłacanie, przynajmniej w części, tu i tam czułeków i komórek informatorów lub sympatyków.

Carlos był jednym z tych inteligentnych, aktywnych młodych ludzi spoglądających krytycznym okiem na świat, który w znacznej mierze ich ukształtował. Przesadą byłoby twierdzić, że społeczny spektakl budził w nim oburzenie. On tylko wyrokował, czy osoby nim kierujące – które z racji zażyłości znał lepiej niż ktokolwiek inny – nadają się, czy się nie nadają. Przy Churchillu czy Finkelsteinie, którzy w oczach obiecującego młodzieńca i zbuntowanego intelektualisty zasługiwali na łaskawość – taki ambasador Argentyny czy Conchita Romero niemal mimowolnie przyprawiali go o głęboką rozterkę. Trudno! To jego ojciec i babka. Był do nich przywiązany. Lecz choć wychowany w szacunku dla nich, nie widział innego sposobu na przywrócenie równowagi swojego intelektualnego świata i zagwarantowanie niezależności swojego krytycznego umysłu, jak tylko podjęcie próby zbudowania przyszłego świata na podstawach innych niż kapitalizm boskiego prawa i konformistyczny humanizm, którego przykładów miał pod dostatkiem. Inni grali w golfa, bawili się, kolekcjonowali Reynoldsów lub Gainsboroughów. On należał do grupy intelektualistów, bojowników, działaczy, do niezależnych duchem – jak kto woli. Ryzykując, że sprawię zawód wyobraźni romantyków, gwoli prawdzie muszę dodać, iż wielu do końca utrzymywało, że grupa składała się wyłącznie z korespondentów naukowych.

„Carlosie, drogie dziecko – pisała z Buenos Aires starzejąca się babka, która nie bardzo widziała sens w poświęcaniu życia na mitologię porównawczą dawno wygasłych cywilizacji – jesteś już za duży, żeby wierzyć w Świętego Mikołaja. Z wielką przyjemnością dowiaduję się o twoich sukcesach w Trinity College. Nic nie mogłoby mi sprawić większej radości. Lecz już pora, byś zajął się prawdziwym życiem. Czekają na ciebie tutaj wraz z moim gorącym przywiązaniem”.

„Droga babciu – z odrobiną ironii odpisywał Carlos. – Nikt mnie nie rozumie tak jak ty. Interesuje mnie wyłącznie prawdziwe życie. Nie wyobrażaj sobie mnie jako buszującego po archiwach mola książkowego, zatracającego się w przeszłości, jak w kawałku starego sera. Ja przygotowuję się do świata jutra. Potrzeba mi na to jeszcze trochę czasu i trochę pracy. Ale wyląduję w przyszłości”.

I został w Anglii, prowadząc przez wieki dialog z gnostykami,

z irlandzkimi spiskowcami z sąsiedniego brzegu i rewolucjonistami na całym świecie.

W tym czasie jego brat Agustín wkraczał w tak drogi rodzinie prawdziwy świat. Nieco niższy od Carlosa, za to bardziej wysportowany i atletyczny – Agustín dość szybko dał sobie spokój z nauką. Z niewiadomych powodów, może dlatego, że jego ojciec był pionierem lotnictwa wojskowego, kochał mechanikę, silniki i pojazdy. Dzięki rodzinnej fortunie z dziecięcych zabawek w postaci czołgu czy samolotu przesiadł się od razu do jednego z pierwszych seryjnie produkowanych samochodów. Czy to był ford T, citroen 10CV A, renault 6CV, panhard-levassor, a może salmson wyglądający jak niezdarny mechaniczny szerszeń? W czasie, gdy starszy brat kursował tam i z powrotem pomiędzy bóstwami Olimpu a wysłannikami Kremla, jego widywano za kierownicą kolejnych potworów, różnych daimlerów, delage'ów i isott fraschini, przemierzającego drogi Francji i Anglii. Już jako młody chłopak postanowił, że zostanie pilotem doświadczalnym i zawodowym kierowcą.

Dzięki Agustínowi nazwisko Romerów dość szybko stało się sławne. Na początku lat dwudziestych wziął udział w wyścigu o Grand Prix Francuskiego Klubu Automobilowego, rozgrywanym na torze w Mans niedaleko Plessis-lez-Vaudreuil. Zanocował u nas i oczywiście towarzyszyłem mu aż na linię startu. Ludzi było niewiele. Wyścigi samochodowe cieszyły się ogromną popularnością przed 1914 rokiem. Grand Prix w Mans było pierwszym rozgrywanym po zakończeniu wojny. Nie zjawiał się żaden z liczących się konstruktorów. Osiem czy dziesięć lat wcześniej do zawodów stawało nieraz i trzydzieści samochodów francuskich; teraz było ich zaledwie cztery czy pięć – marki Ballot, o ile dobrze pamiętam. Regulamin ograniczał pojemność silnika do trzech litrów, a minimalny ciężar do ośmiuset kilogramów. Z naprawami i aprowizacją podczas zawodów załoga pojazdu musiała radzić sobie sama. Wyścig wygrał przyjaciel Agustína, Amerykanin Murphy w duesenbergu. Przejechał trasę ze średnią prędkością stu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę: pięćset kilometrów z okładem w niecałe cztery godziny. Dwukrotnie udało się Agustínowi wyprzedzić Murphy'ego i na kilka minut objąć prowadzenie. Dwukrotnie Murphy

znowu go wyprzedził, za drugim razem już na dobre – pamiętam to jak dzisiaj – na zakręcie Pontlieye. Agustín przyjechał drugi. Był to spory sukces.

Aureliano Romero chętnie opowiadał, jak odczuł brzemień lat i bieg historii dnia, kiedy na jednym z tych okropnych, a gorliwie uczęszczanych przyjęć dyplomatycznych pewien młody Anglik zapytał, co go łączy ze sławnym Romerą.

– Nie wiem – odrzekł Aureliano z fałszywą skromnością, uśmiechając się domyślnie. – Chce pan powiedzieć: z ambasadorem?

– Ach, nie – powiedział tamten. – Mam na myśli kierowcę rajdowego.

– To mój syn – powiedział Aureliano lekko oschłym tonem, który zdziwił jego samego, bo przecież był dumny z Agustína.

Ambasador opowiedział tę historię Carlosowi. I dodał:

– W tym dniu pojąłem, że wkraczamy w nowe czasy.

– Biedny tatko! – odrzekł na to z uśmiechem Carlos.

Między dwoma braćmi, którym pisane są tak odmienne losy, Carlosem i Agustínem, krąży osobnik, którego niektórzy moi czytelnicy może jeszcze pamiętają. To dawny mechanik Briana O'Shaughnessy'ego z czasów frontu nad Izerą i Sommą. Brian dotrzymał obietnicy złożonej w tamtych ponurych dniach i swojego przybyłego z Ameryki towarzysza, który zaciągnął się do oddziałów brytyjskich, zaprosił do Glangowness. Jeśli idzie o znalezienie mu jakiegoś zajęcia na trudne dni pokoju, kiedy nie sposób już wyżyć ze śmierci innych, Brian kierując się informacjami od miss Prism, pomyślał oczywiście o drugim bracie Romero, któremu nie brakowało środków i który tak kochał silniki.

„Uprowadziliśmy wam miss Prism – pisał do niego Brian – i jesteśmy z tego bardzo zadowoleni. Moje córki sprawiają jej trochę kłopotów, ale są do niej bardzo przywiązane. Nie ma tygodnia, żeby nie opowiadała nam o panu i pańskiej rodzinie, o szczęśliwych dniach w Arroyo Verde i życiu w Buenos Aires u boku pańskiej szanownej matki. Odnoszę wrażenie, że zaciągnęliśmy wobec was pewien dług. Czy zechciałby pan pomóc mi go spłacić, przyjmując w zamian za miss Prism pewnego młodzieńca, który walczył razem ze mną w czasie wojny i zna się na mechanice?”.

Tym sposobem dawny czyściciel okopów, mechanik znad Izery i Sommy, towarzysz broni Briana został etatowym mechanikiem potworów Agustína. Nie minęło wiele czasu, a dwaj młodzieńcy stali się nierozłączni; widywano ich razem na różnych torach wyścigowych, których w owym czasie zaczynało powstawać coraz więcej.

Przydarzyła im się kiedyś we Włoszech błąha z pozoru przygoda, która jednak miała mieć ciąg dalszy. Pewnego razu Agustín wybrał się na rajd samochodowy pod Turynem. Korzystając z okazji, pojechał do Neapolu, którego jeszcze nie znał. Zabrał ze sobą kompana z samochodowej stajni, który z uwagi na swój pogodny charakter i zaradność stał się niezastąpionym towarzyszem, pełniącym u jego boku funkcję towarzysza, sekretarza i śniadoliciego powiernika. Zwiedzane z wielką szybkością Capri, Sorrento, Amalfi i Positano ogromnie im się podobały.

– Pech, że nie mamy ze sobą żadnej dziewczyny! – powiedział Amerykanin.

– To poszukaj jakiejś – poradził Agustín.

– Po to, żebyś mi ją zaraz sprzątnął! – rzekł tamten.

– Więc znajdź dwie – powiedział Agustín.

– Poprosimy Briana, żeby nam dostarczył parkę, i wrócimy we czwórkę.

– Lub w piątkę – powiedział Agustín. – Albo w szóstkę.

Zatoka Neapolitańska wydała im się tak piękna, że postanowili pojechać dalej i przekonać się, czy Sycylia dorównuje jej urodą. Wysiedli z pociągu w Reggio di Calabria, żeby przejść się trochę po mieście, zanim popłyną statkiem do Mesyny, i wstąpili na obiad do najlepszej miejscowej restauracji. Przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna w średnim wieku, o wyglądzie nauczyciela, znaczniejszego rangą komiwojażera lub drobnego urzędnika. W chwili, gdy przyszło do płacenia rachunku, nieznamy zaczął się wiercić z gwałtownością sprawiającą dość komiczne wrażenie.

– O co chodzi? – zapytał Agustín, którego valpolicella czy raczej stare falerno albo lacrima christi wprawiło w znakomity humor.

– O to chodzi... o to chodzi... że zgubiłem portfel.

– Ach! – powiedział Agustín, chętny do oddania przysługi



i uspokojenia sąsiada. – Zapomniał go pan z domu, ot co. Ja sam często gubię klucze. A potem je znajduję.

– Ależ nie! Nie! Jestem pewien, że go zabrałem.

I dalej rozpaczliwie przetrząsał kieszenie swojego ubrania – bardzo ciemnego mimo, a może właśnie z powodu, olśniewającego słońca południowych Włoch.

– Czyli że... – powiedział Agustín.

– Czyli że mi go ukradziono – z ponurą miną stwierdził Włoch.

– Cóż, przypuszczam, że w tym pięknym kraju i takie historie się zdarzają – rzekł Agustín z uśmiechem.

– Możliwe, signor. Ale że taka przygoda zdarzyła się akurat mnie, to już prawdziwy koniec świata – odparował tamten gniewnie.

Agustín wspaniale się bawił tą malowniczą sceną, która przywodziła mu na myśl dawne lektury. Nachylił się w stronę poczciwca i powiedział:

– Zechce pan w tych przykrych okolicznościach uważać się za mojego gościa. Trzeba umieć sobie wzajem pomagać i jestem pewien, że pan postąpiłby tak samo, gdybym to ja znalazł się na pańskim miejscu.

Tamten przestał się wiercić, powoli uniósł głowę i obrzucił Agustína spojrzeniem tak intensywnym, że wzbudzającym niemal lęk. Potem wyciągnął rękę do młodzieńca i powiedział:

– Zgadza się, signor. Zgadza się. I nigdy tego panu nie zapomnę.

Agustín zapłacił za wszystkich, po czym przez chwilę jeszcze gawędzili o wszystkim i o niczym, o urodzie Włoch, o polityce wielkich mocarstw i przyszłości przemysłu samochodowego. Agustín opowiedział trochę o sobie i swojej rodzinie; nakreślony przez niego portret ubawił dwóch pozostałych. Na pożegnanie Włoch, który mieszkał w Neapolu i znalazł się w Reggio przejazdem, podał Agustínowi swoje nazwisko i adres.

– Proszę mi dać znać, jeśli znów pan odwiedzi nasze Mezzagiorno. Proszę pamiętać: liczę na pana.

W tym miejscu waham się trochę, jaką obrać drogę. Przez długie lata – to znaczy w czasach, gdy opisywałem wam przygody maharani, przyszłej lady Landsdown, Conchity Romero w Paragwaju i Argentynie,

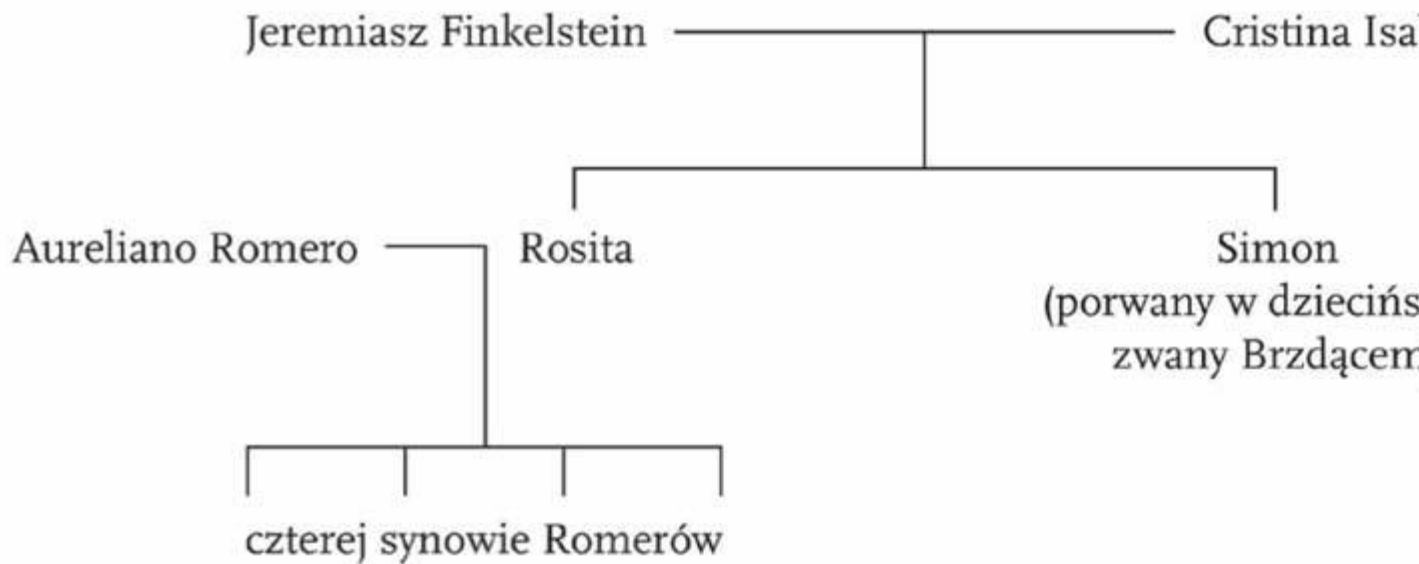
Jeremiasza Finkelsteina w Polsce i Nowym Jorku czy Nicolasa Wrońskiego w zmaganiach z bokserami i Japończykami – podążałem tropem losów tego czy tamtego z moich bohaterów, nie zadając sobie zbyt wielu pytań. Przytaczałem opowieści zasłyszane już po fakcie i bez większego trudu przekakiwałem od gauczów z argentyńskiej pampy do wznoszonych akurat wtedy pierwszych drapaczy chmur; od Wiednia Franciszka Józefa do Wenecji z końca ubiegłego wieku. Rzecz w tym, że w mojej pamięci kłębi się tyle wątków, rozchodzących się na wszystkie strony, tyle rozproszonych, nakładających się w czasie wspomnień, tyle zahaczających o siebie obrazów, że sam już nie wiem, co robić, by przedstawić w miarę klarowny i spójny obraz świata, który powoli zaczyna stapiać się ze mną w jedno. Każde nazwisko, które wymienię, każdy przywołany obraz odsyła mnie do całego splotu rozproszonych zdarzeń, do ciągu wydarzeń, pośród których radzę sobie, jak umiem.

Zostawmy Agustína Romerę i jego towarzysza na Sycylii.

Oczywiście, mógłbym wam opowiedzieć, jak w Palermo Agustín spotkał Marie Wrońską, która przypadkowo w tym samym czasie odwiedziła Segeste i Selinonte. Świat i czas nieustannie rozsnuwają wokół nas i naszych bohaterów swą niekończącą się pajęczą nić. Ale nie powinniśmy zanadto marudzić po drodze. Czeka na nas jeszcze tyle dramatów, tyle szczęścia, tyle historii: musimy nadrobić czas. Dla Agustína rzeczą najpilniejszą było przedstawienie swojego kompana od samochodów starszemu bratu Carlosowi w Oksfordzie.

Nie ma sensu dłużej bawić się w ciuciubabkę, prawda? Karty przez cały czas leżały przed wami odkryte; ja tylko poprzestałem na w miarę prostym odtworzeniu wydarzeń, nieraz zgoła nieprawdopodobnych, składających się na życie naszych bohaterów. Krótko mówiąc, Carlos Romero dość szybko odkrył to, co wy już wiecie, ale o czym w Nowym Jorku i Londynie nikt jeszcze nie miał pojęcia: przyjaciel jego brata Agustína i Briana O'Shaughnessy'ego oraz młody towarzysz Paca Rivery z heroicznymi, krwawymi czasami rewolucji meksykańskiej był jedną i tą samą osobą. Kiedyś nazywano go Brzdącem, pamiętacie? Ale na tym nie koniec historii. Był on także synem Jeremiasza i Cristiny Isabel, którego porwanie w końcu ubiegłego wieku narobiło tyle hałasu w Nowym Jorku. Nazywał się Simon Finkelstein. Był wujem braci

Romero.



Naturalnie Carlos Romero nie odkrył tego sekretu w pojedynkę w zaciszu biblioteki Trinity College. Dochodzenie w sprawie porwania małego Simona Finkelsteina prowadzone przez policję amerykańską dawno temu zostało umorzone. W Meksyku wszczęto inne śledztwo: w sprawie wymuszania okupu przez Brzdąca i Paca Riverę. I ono nic nie dało: ślad po nich obu urywał się na terenie Stanów Zjednoczonych w przededniu pierwszej wojny światowej. Ale policja meksykańska przekazała FBI informacje, które zdołała zebrać o przeszłości Brzdąca. Sięgały one dość głęboko wstecz, w dzieciństwo Mulata. Piętnaście lat później, w okresie, który nas interesuje, seria przypadkowych zdarzeń oraz konfrontacja zebranych dowodów doprowadziły do ujawnienia tajemnicy: Brzdąc był synem żydowskiego potentata Jeremiasza Finkelsteina.

W wąskim, a nieraz i dwuznacznym środowisku policji amerykańskiej cała sprawa narobiła ogromnego szumu. Ale prasa nie zainteresowała się nią, a jeśli, to w niewielkim stopniu, toteż nie przedostała się do wiadomości publicznej. Po pierwsze, ponieważ o porwaniu małego Simona Finkelsteina prawie nikt już nie pamiętał. Poza tym władze uznały, że niewskazane byłoby wszczynanie wrzawy

wokół rewelacji mających znaczenie głównie retrospektywne, które ponadto groziły wywołaniem zamieszania w środowisku giełdowym. Zmowa banków i policji zdusiła wszelki skandal. Edgar Hoover, który niedawno objął kierownictwo Bureau of Investigation, wybrał się z osobistą wizytą do Jeremiasza Finkelsteina, by poinformować go o odkryciach tak blisko go dotyczących. Nieraz wyobrażałem sobie to spotkanie w prywatnej rezydencji Finkelsteina przy Central Parku szefa G-Menów i polskiego Żyda, dawnego marksistowskiego syndykalisty, który potem sam został pracodawcą i milionerem: jeden krzepki, krępy i brutalny, drugi delikatny, kruchy i wrażliwy na zimno. W jaki sposób policjant przekazał nowinę starcowi?

Jeremiasz Finkelstein:

– A zatem, drogi panie, co mogę dla pana zrobić?

Edgar Hoover:

– Czy pamięta pan jeszcze dziecko, które przed laty urodziła panu pół-Murzynka?

Albo:

– Odnaleźliśmy pańskiego syna. Nie pozna go pan jednak: mały chłopiec wyrósł na mordercę.

Często zastanawiam się nad mechanizmem funkcjonowania świata. Zmierza on naprzód, ponieważ istnieją namiętności – wiara, miłość, nienawiść, władza, pieniądze – które dopadają nas od wewnątrz lub od zewnątrz. W mrocznej mózgowicy pewnego nowojorskiego gangstera w końcu ubiegłego wieku zaświtała myśl, że Jeremiasz Finkelstein ma wielkie pieniądze i że kocha swoje dzieci.

Rewelacje Edgara Hoovera były straszliwym szokiem dla Jeremiasza. Sędziwy finansista najpierw próbował zrozumieć, co się stało. Dlaczego porywacze nie zwrócili dziecka w zamian za okup? Jak i dlaczego mały Simon nie został zabity, lecz uprowadzony przez nieznane osoby? Z wielką cierpliwością i oględnością szef policji federalnej przedstawił mu przypuszczalny przebieg wydarzeń: jeden z gangsterów zabity w trakcie rutynowej obławy; drugi zastrzelony podczas sprzeczki przez własnych kumpli; kochanka jednego z kidnaperów zapalała uczuciem do dziecka i odebrała je bandzie, a potem młody chłopak sam przystał do grupy rzezimieszków; w obawie

przed aresztowaniem uciekł do Meksyku... Każde zdanie policjanta zadaje starcowi kolejny cios. Usłyszawszy, że syn żyje, natychmiast pomyślał, jak szczęśliwa byłaby Cristina Isabel. Następne rewelacje policjanta sprawiły, że błogosławił śmierć matki Simona.

– Mimo tego wszystkiego, czego się dowiedziałem, nadal pozostaje moim synem – powiedział poblady do Hoovera, który bał się, że w każdej chwili i z każdym słowem Finkelstein może paść zemdlony. – Czekam na niego. Gdzie i jak mogę się z nim zobaczyć?

– Nie może pan – odrzekł Hoover. – *You can't.*

– Nie żyje! – zawołał Jeremiasz, podrywając się gwałtownie.

– Nie sądzę – powiedział Hoover. – *I don't think so.*

– Siedzi w więzieniu!

– O ile mi wiadomo, nie.

– Nie chce się ze mną widzieć!

– Tego nie wiem.

– No to gdzie jest? Co robi? I co pan w ogóle wie?

Trzeba było wytłumaczyć starcowi, że wprawdzie ustalono związek między jego małym Simonem a towarzyszem Paca Rivery, lecz obiekt tak żmudnych poszukiwań na nowo przepadł i nikt nie wie, co się z nim dzieje. Zdruzgotany Jeremiasz Finkelstein podziękował Hooverowi za przybycie.

– Jestem do pańskiej dyspozycji – powiedział Hoover, zegnając się. – Śledztwo trwa.

– Dziękuję panu. Ale... – Na moment się zawahał. – Ale może byłoby lepiej, gdyby nigdy nie udało się go zakończyć.

Hoover nic nie odpowiedział.

Cóż mógł zrobić stary Jeremiasz Finkelstein? Z rozpaczą, w której mimo wszystko była jeszcze odrobina nadziei, zwrócił się, niemal ukradkiem, do jedynej osoby, którą darzył zaufaniem: swojego wnuka Carlosa. Carlos odbył kolejną podróż do Ameryki. Wysłuchał dziadka z ciekawością i ze smutkiem. Pocieszył go, jak umiał. A po powrocie do Anglii przystąpił do realizacji pomysłu, na który wpadł od razu: wpiery jednak trzeba było odnaleźć Paca Riverę.

Święci Apostołowie postawieni w stan pogotowia i do akcji ruszyła cała siatka wysłanników. Na wyniki nie trzeba było długo

czekać: Paco Rivera przebywał w Berlinie pod nazwiskiem El Sombrero.

– To na pewno on? – spytał Carlos informatora, który przywiózł mu tę wiadomość do Zurychu, gdzie odbywała się konferencja pod hasłem *Rzym między Mitrą a Jezusem*.

– Chyba tak. W 1919 roku Rivera był w Budapeszcie u boku Béli Kuna. Po zwycięstwie Horthyego widywano go w Niemczech z Klarą Zetkin i spartakowcami, czy raczej tym, co z nich zostało po zabójstwie Karla Liebknechta i Róży Luksemburg. W okresie, kiedy próbuje wskrzesić czasopismo „Die Rote Fahne”, nazywa się już El Sombrero. Od tamtej pory mieszka w Berlinie, na wpół w ukryciu, lecz widywano go też w Wiedniu, w Londynie, w Moskwie i nawet tu, w Zurychu.

– Czy jest jakiś sposób skontaktowania się z nim w Berlinie?

– Z tym nie powinno być trudności. Mogę to zorganizować.

Carlos pojechał do Berlina i spotkał się z El Sombrero.

Był zaskoczony jego wyglądem. Na podstawie opowieści Jeremiasza, który powtarzał tylko informacje od Edgara Hoovera, Carlos spodziewał się ujrzeć jakiegoś bandytę grasującego na szlakach, pod wpływem Lenina nawróconego na rewolucję komunistyczną. Tymczasem miał przed sobą drobnego urzędnika nie pierwszej młodości, w garniturze i sypiącego anegdotami o całej Europie. Zza okularów – „Taki facet, na koniu!”, pomyślał Carlos, nie posiadając się ze zdumienia – spoglądały na niego badawcze oczy. W skromnym dwupokojowym mieszkanku przy butelce jerezu czy manzanilli rozmawiali po hiszpańsku.

– Brzdąc? Czy go pamiętam?

I głośno się roześmiał.

– To był młody chłopak, prawda?

– Tak, jeszcze dzieciak. Ale nieustraszony.

– Miał w sobie murzyńską krew?

– Dość jasny Mulat. Kręcone włosy. Rysy raczej delikatne.

– Żywy, szybki, sprytny?

– O, jeśli o to chodzi, to tak. I skory do pociągania za spust.

– Wie pan może, co się z nim stało?

– Nie jestem niańką. Ani biurem pośrednictwa pracy. Ani szpiclem.

I po dobrodusznej, niemal puciołowatej twarzy dawnego seminarzysty, który został przywódcą bandy, by ponownie przedzierzgnąć się w mieszczaucha, przemknął błysk dzikości. Carlos Romero, który słowem nie wspomniał o dziadku, dorzucił kilka dodatkowych wyjaśnień na temat roli Świętych Apostołów, którzy już wcześniej posłużyli mu jako rekomendacja, oraz o ich siatce na terenie całej Europy. Paco Rivera znał niektóre z nazwisk wymienionych przez Carlosa.

- A jaki właściwie interes ma pan do Brzdąca?
- Zapewniam pana, że to nic złego. A raczej nawet coś dobrego.
- Myśli pan, żeby go zatrudnić?
- W pewnym sensie tak – odparł Carlos z uśmiechem. –

Zastanawiam się nawet, czy zważywszy, że wygląda na inteligentnego, nie moglibyśmy, Apostołowie i on, oddać sobie wzajem od czasu do czasu cennych przysług.

- Wiem tylko tyle, że jest na wojnie – powiedział Rivera.
- Gdzie?
- We Francji. Chyba po stronie Anglików. Być może nad Sommą.

Mam wrażenie, że pisał mi kiedyś, że wojuje gdzieś w tamtych stronach.

Nie wiem, czy Agustín poznał przyjaciela z bratem przed rozmową Carlosa z Pakiem Riverą w Berlinie czy później. Tak czy inaczej, oba spotkania, które dzieliło kilka dni czy tygodni – no, ewentualnie kilka miesięcy – niemal zbiegły się w czasie. Carlos Romero bez trudu potrafił dodać dwa do dwóch i na podstawie licznych informacji wyciągnąć pewne wnioski, które koniec końców złożyły się na oczywistość. Do jednego z eleganckich londyńskich klubów, którego był członkiem i gdzie nawet rad byłby pokazać się w towarzystwie Mulata, zaprosił na obiad swojego brata Agustína wraz z byłym mechanikiem Briana O'Shaughnessy'ego, który bez najmniejszych oporów przyznał się do przeszłości, o której nigdy nie mówił, bo też nikt go nigdy o minione lata nie pytał.

- Paco Rivera! Prowadzałem się z nim przez szmat mojego dzieciństwa. Ciekaw jestem, co też teraz porabia?
- Widziałem się z nim w Berlinie – powiedział Carlos.
- No nie! To pan go zna?

- Nie znałem go. Ale poznałem.
- Nie wspominał panu o mnie?
- No właśnie, wspominał.
- No nie! No nie! – powtarzał uradowany Mulat.

I ku zdumieniu Agustína, przysłuchującego się tej rozmowie z wybałuszonymi oczyma, Carlos Romero za pomocą dobrego bordeaux poczynił kolejny krok naprzód.

– Niech mi pan powie, co pan porabiał w Meksyku z tym Pakiem Riverą?

– No... Jeździliśmy konno, trochę popijaliśmy, podrywaliśmy dziewczyny... Ach, to dopiero było życie!

– Był pan w wojsku, prawda?

– W wojsku?... – zaśmiał się Mulat. – W wojsku?... No, niezupełnie. Trzymaliśmy się trochę z boku... Raczej z ludźmi Villi i Zapaty. To były czasy!

– Ale walczył pan?

– Walczył... walczył... No, tak, zabijało się farmerów. Raczej tych wielkich.

– Dużo pan ich zabił?

– Oj, dużo... Sam już nie wiem. Zabijało się, jak było trzeba.

– Czy przypadkiem te potrzeby nie przypominały raczej mordowania?

– Cóż, szczerze mówiąc, nad tym się nie zastanawiałem... Wie pan, w tamtych czasach nie myślało się zbyt o tym, co dozwolone, a co nie... Człowiek jakoś sobie radził.

– A pan radził sobie całkiem nieźle, sądząc z tego, co mi mówili Agustín i Paco.

– Mój Boże, staram się, jak mogę – przyznał Mulat z rozbrajającym uśmiechem.

Po tym śledztwie, na chwilę przed podaniem kawy, nastąpiło odkrycie. Teraz z kolei młody Mulat stawiał pytania, teraz z kolei Carlos Romero odpowiadał na nie, jak umiał. Na podwójne, iście teatralne odkrycie majątku ojca oraz pokrewieństwa z Romerami najpierw bliskiemu niedowierzania Brzdącowi niemal odebrało mowę, a potem niebywale go uradowało.



- Więc odnalazł pan mojego ojca, mojego prawdziwego ojca?
- Tak – odpowiedział Carlos.
- I nazywa się on...
- Finkelstein. Jeremiasz Finkelstein.
- A ten Finkelstein... Finkelstone...
- Finkelstein – poprawił Agustín.
- ...to jest wasz dziadek?
- Jak najbardziej – powiedział Agustín.
- *Are you pulling my leg?*
- My też początkowo myśleliśmy, że to jakiś kawał.

I przypuszczam, że nie my jedni. Są nawet duże szanse, że niektórzy z naszego otoczenia uznają go za kawał dość gorzki. Niemniej zapewniam pana, że nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Wszystkie informacje, jakie posiadam, pasują do siebie jak ulał. Brzdąc to nikt inny jak mały Simon Finkelstein, a Brzdąc to pan.

– Dobra! No to cudownie! – powiedział Brzdąc z wielką swobodą i prostotą.

Po obiedzie eks-Brzdąc wyszedł na chwilę umyć ręce. Bracia popatrzyli po sobie na wpół ironicznie, na wpół z powagą.

– To rodzina nam się powiększa – stwierdził Agustín.

– Będziemy musieli zarezerwować sobie miejsca na pierwsze spotkanie obu szwagrów – powiedział Carlos. – Takiego widowiska nie możemy stracić.

– Obu szwagrów? – Agustín zmarszczył brwi ze zdziwieniem.

– A tak! Simona Finkelsteina, naszego wuja, z Aurelianem Romerą, naszym ojcem.

– A niech to! – zawołał Agustín.

W samej już wzmiance o spotkaniu twarzą w twarz dawnego meksykańskiego zabójcy z ambasadorem i zawodowym humanistą było coś tak komicznego, że bracia wybuchnęli śmiechem. W tym momencie pojawił się Simon Finkelstein.

– Śmiejecie się ze mnie – powiedział.

– Masz rację – rzekł Agustín. – Śmiejemy się...

– ...ale raczej z siebie – dokończył za niego Carlos.

Wychodząc z klubu, trzech mężczyźni spotkali zaprzyjaźnionego

z Romerami dawnego współpracownika Churchilla z Ministerstwa Wojny czy Skarbu, który przystanął na chwilę, by zamienić z nimi kilka słów.

– Zna pan naszego wuja? – zapytał Carlos.

Simon Finkelstein z wielką godnością skłonił głowę.

Różnica wieku oddalała dawnego Brzdąca od Aureliana, zbliżyła natomiast z Carlosem. Odtąd braci Romerów było pięciu. Ostatnia podróż do Europy sędziwego Jeremiasza Finkelsteina była dla niego źródłem wielkiego szczęścia i emocji; schodząc na brytyjską ziemię, ujrzał u boku córki i obu wnuków, Carlosa i Agustína, młodego jeszcze, trzydziestoletniego, może trochę starszego, szczupłego mężczyznę średniego wzrostu, o kędzierzawych włosach i smagłej karnacji, który był jego synem.

\*

W Londynie i Glangowness odbywały się jedno za drugim przyjęcia dla uczczenia spotkania ojca z synem po tylu latach rozłąki. Po czułych scenach w cztery oczy nastąpiły długie poufne rozmowy między Brianem, Simonem, Carlosem i Jeremiaszem, nawiązującymi między sobą rozmaitego rodzaju więzy. Tak jak wcześniej miss Prism, tak teraz Brzdąc dostarczył klanom Romerów i O'Shaughnessych sposobności do wzajemnego zbliżenia. Właśnie podczas przyjęcia w Glangowness na cześć Jeremiasza i Simona Finkelsteinów, Aureliano Romero i Brian O'Shaughnessy ze zdumieniem, pewnym skrępowaniem oraz zachwytem odkryli, że nic o tym nie wiedząc, czy raczej nic nie pamiętając, znają się już od dawna i że pewnego pięknego wiosennego dnia po skończonych zawodach wioślarskich walczyli ze sobą jak para uliczników o honor Oksfordu i Cambridge, a potem podczas kolacji we czworo – w towarzystwie ciemnowłosej Francuzki i jasnowłosej Angielki, których twarze i imiona ledwie sobie przypominali poprzez mgłę przeszłości – pojednali się w knajpie wioślarzy nad Tamizą.

Świat zawsze jest pełen niespodzianek.

– Zabawne – powiedziała Pandora do Luisa Miguela i Javiera – że wszyscy mamy swoich zaginionych: my dziadka Nicolasa, wy wuja Simona. Mam nadzieję, że będziecie mieli więcej szczęścia od nas, bo nasz pojawił się po to tylko, żeby zaraz zniknąć. Spróbujcie zatrzymać

swojego.

Simona opromieniał nimb przygody, podobny do tego, jaki niegdyś opromieniał pamięć po Nicolasie. W oczach sióstr O'Shaughnessy chwała z tego tytułu spływała na całą rodzinę Romerów.

Szalony pomysł, by zwiedzić kiedyś w pięcioro lub sześcioro, z Brianem i dziewczętami, Zatokę Neapolitańską i jej wyspy, nie doczekał się realizacji. Brian, zbliżający się już do pięćdziesiątki, był zbyt przywiązany do swojej żony Hélène, by pomysł rzucony przez Agustína i Mulata – który wtedy jeszcze nie był, czy też na powrót się nie stał, młodym i bogatym Simonem Finkelsteinem – mógł być czymś więcej niż tylko przelotnym kaprysem. Ale Agustín, znów z powodu wyścigów samochodowych we Włoszech, wrócił do Neapolu. Pamiętając o spotkaniu w Reggio di Calabria, postanowił odszukać sąsiada od stolika we Włoszech, któremu ulotnił się portfel. Odnalazł go bez trudu. Włoch, noszący piękne nazwisko Zero Sant'Archangelo, nie krył radości z ponownego spotkania ze swoim dobroczyńcą. Agustín zastanawiał się nawet, czy ta skromna przysługa warta jest aż takich uniesień.

– Jakże to! – obruszył się Sant'Archangelo. – W czasach, kiedy każdy tylko myśli, jak zawłaszczyć pieniądze sąsiada, pan mi oddaje swoje i jeszcze się pan dziwi, że jestem wdzięczny! Nie ma człowieka, któremu ufałbym tak jak panu. Co moje, to i pańskie.

Po czym w dość tajemniczy i kwiecisty sposób zaproponował Agustínowi, by odwiedził go o północy w pewnym domu na przedmieściach Neapolu, którego adresu polecił nikomu nie zdradzać.

– To dość daleko – powiedział. – Ale proszę się nie bać. Będę pana oczekiwał. Proszę przyjść. Czeka pana niespodzianka.

Zaintrygowany takim obrotem spraw Agustín postanowił skorzystać z dziwnego zaproszenia.

Zostawiwszy z tyłu morze, minąwszy znajome widoki zamku dell'Ovo i teatru San Carlo, samochód ruszył w długą i skomplikowaną drogę. Pałace i szerokie aleje centrum zaczęły ustępować miejsca coraz węższym i biedniejszym uliczkom. Odrapane fasady obwieszane były suszącą się bielizną, której nikt nie pofatygował się zebrać po zachodzie słońca. Wszędzie walały się stosy śmieci, wydzielając nieopisany smród.

Chwilami Agustína kusiło, by zawrócić do swojego hotelu z widokiem na *lungomare* i tak sławioną zatokę. Ale ciekawość przeważała. W końcu samochód zatrzymał się u podnóża zniszczonych, niemal zapadających się schodów. Kierowca nie chciał jechać dalej.

– To tutaj – powiedział, pokazując schody.

Agustín ruszył we wskazanym kierunku, aż wreszcie znalazł dom, o którym mówił Sant' Archangelo. Pośród ruder, przeważających w tej dzielnicy, prezentował się niemal okazale. Był wysoki i schludny, sprawiał wrażenie solidnego. Przed zamkniętą bramą czekało dwóch mężczyzn. Ledwie Agustín zwolecił kroku, podeszli do niego.

– *Signor Romero?*

– *Si.*

– *Per favore. Avanti.*

Ciężkie drzwi uchyliły się. Trzech mężczyzn znalazło się na dziedzińcu, z którego prowadziło w górę kilka kondygnacji schodów. W ciemnościach paliły się liczne światła. Z budynku dobiegały jakieś hałasy: odgłosy maszyn i rozmów.

Nadal w asyście swoich dwóch towarzyszy Agustín wszedł po schodach na pierwsze piętro. Mijał liczne drzwi i pokoje pełne mężczyzn, którzy stali lub siedzieli i zdawali się na coś czekać, aż w końcu znalazł się w obszernym, typowo umeblowanym pokoju biurowym. Jedną część pomieszczenia zajmował długi stół z krzesłami dookoła; miało się wrażenie, że to jakaś, raczej skromna, sala posiedzeń zarządu. W drugiej części, za trzema czy czterema skórzanymi fotelami przy biurku w świetle lampy siedział Zero Sant' Archangelo i coś pisał. Kiedy Agustín wszedł, wprowadzony przez młodego mężczyznę, który zastąpił dwóch strażników, z uśmiechem wstał, by przywitać gościa ze zwykłymi u niego oznakami przyjaźni.

To szef, pomyślał Agustín. Tylko czego?

– Jest pan po kolacji? – zapytał Włoch.

Agustín powiedział, że tak.

– Więc tylko przed obejrzeniem domu czegoś się napijemy.

Szampan? Porto? Koniak? Whisky?

– To może... szampan – powiedział Agustín.

Ku zaskoczeniu Agustína, który spodziewał się jakiegoś wina

musującego, pojawił się wyborny Mœet et Chandon.

– Widzi pan – odezwał się Zero – przyjmuję tu bardzo niewiele osób. Tylko bliskich przyjaciół. Dzisiejszego wieczoru daję panu dość rzadki dowód zaufania. Wiem jednak, prawda?, że mnie pan nie zdradzi.

– Może pan na mnie liczyć – zapewnił go Agustín ze śmiechem. – W końcu łączy nas portfel.

– Tu chodzi o coś więcej niż portfel.

– Pan mnie intryguje – powiedział Agustín, który już się nie śmiał.

– Cierpliwości. Jeszcze kieliszek szampana?

– Nie, dziękuję. Tajna drukarnia? Fałszywe pieniądze? Nielegalny hazard? Prostyucja? A może szpiegostwo?

– Co za pomysłowość! I żadna z tych rzeczy by pana nie zaszokowała?

– Mnie nic nie szokuje. Jest pan moim przyjacielem.

– Zatem, proszę za mną. Sam pan zobaczy.

Ruszyli razem przez niekończące się korytarze i lekko rozchybotane schody. Mijali biura, których drzwi były na ogół przeszkłone i gdzie – nadal przy całkowitym braku kobiet – pracowali mężczyźni starsi i młodszy, z wyglądu sprawiający wrażenie księgowych. Wszyscy kłaniali się Włochowi, który teraz zachowywał milczenie. Agustín był coraz bardziej zaintrygowany.

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – zwrócił się w końcu do swojego tajemniczego towarzysza. – To jakiś magazyn, skład, gigantyczna administracja. Ale na czym polega pańska działalność?

– Ma pan rację. To jest administracja.

– Ale czym pan administruje? Zakładem poprawczym?

– Ach! Zakład poprawczy! – zawołał Sant' Archangelo, wybuchając śmiechem. – To zabawne! Tak, często poprawianiem. A konkretnie wtedy, kiedy ktoś nie zachowuje się poprawnie wobec nas.

– Jesteście bandą, prawda? Ale jaką? Złodziei? Czy urzędników?

– Ciepło, ciepło! Jak dobrze panu wiadomo, urzędnicy, zwłaszcza w tym kraju, często bywają złodziejami.

– Zajmujecie się dobroczynnością?

– W pewnym sensie tak. Dobroczynnością.

Znaleźli się przed drzwiami wyglądającymi nieco okazalej od

innych. Sant' Archangelo pchnął je. Ujrzeni przed sobą wielką salę. Oczom Agustína objawił się zdumiewający widok, zupełnie jak z powieści Hugo lub Dickensa: wokół czterech obwieszonych dzwoneczkami manekinów uwijało się około tuzina młodych ludzi, którzy starali się wsunąć dłonie do kieszeni ich ubrań, tak żeby żaden z dzwoneczków nie zadzwonił. Niekiedy rozlegał się cienki dźwięk świadczący, że próba się nie powiodła. Wtedy osobnik będący kimś w rodzaju nadzorcy czy instruktora przeprowadzał krytyczną analizę operacji, po czym sam demonstrował, jak należało to wykonać.

Agustín, początkowo zdumiony, szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Ach, rozumiem! To szkoła złodziei.

– Po co takie mocne słowa, drogi panie. To są rzemieślnicy. My zaś staramy się podtrzymywać tradycje.

– Zatem rodzaj folkloru?

– Jak pan woli. Za to nasze metody zarządzania są jak najbardziej nowoczesne. Widział pan już wykonawców. Przejdźmy teraz do sztabu głównego.

Minęło trochę czasu, nim do Agustína dotarło, że dzięki portfelowi skradzionemu czcigodnemu wysłannikowi w restauracji w Reggio di Calabria trafił w samo serce mafii. Opowiadając po powrocie do Anglii o swoich neapolitańskich przygodach Carlosowi i Simonowi, wzbudził wielkie zainteresowanie.

– Posłuchaj – powiedział cicho Carlos – głupotą byłoby nie podtrzymać tych kontaktów, które tak zręcznie nawiązałeś. Myślę, że można by zdziałać wiele dobrego, próbując przerzucić pomost między Apostołami a mafią. Co o tym sądzicie?

– Bardzo wiele dobrego – przytaknęła eks-Brzdąc z takim zapalem, że tamci wybuchnęli śmiechem.

– Sądzisz, że twój przyjaciel dobrze by przyjął Simona? – zapytał Carlos Agustína.

– Tym lepiej, że się już poznali – odrzekł Agustín.

– Nie miałbyś nic przeciwko podróży do Neapolu za jakiś miesiąc czy dwa? – Carlos zapytał Simona.

– Jadę – powiedział Simon.

Powrót Simona Finkelsteina do Neapolu pozostawił mu niezatarte wspomnienia. Zwiedził Capri, Ischię i Sorrento w towarzystwie młodej angielskiej modelki, którą natychmiast skądś wytrzasnął i z którą spędzał wesoło czas dzięki subsydiom starego Jeremiasza Finkelsteina. Jednocześnie budował zręby trwałej przyjaźni z Zero Sant' Archangelem, zafascynowanym jego opowieściami o rewolucji meksykańskiej i okopach nad Sommą. Tym sposobem czterej bracia Romero, których teraz, jak już wiecie, było pięciu, rozszerzyli swoje najdalej wysunięte bazy aż po Mezzogiorno i Sycylię.

Słusznie czy niesłusznie, ale jestem przekonany, że niektóre z najbardziej zagadkowych wydarzeń międzywojnia – porwanie syna Lindbergha, afera Staviskiego, niektóre epizody wojny chińsko-japońskiej czy zabójstwo Trockiego – wyjaśnić można jedynie współdziałaniem obu tych mrocznych sił – Apostołów i mafii. We wszystkie te głośnie wydarzenia Carlos, Agustín, Simon Finkelstein, a nawet Sant' Archangelo zamieszani byli jedynie pośrednio; poprzestawali na nawiązywaniu kontaktów i zacieśnianiu istniejących więzi. Ten stosunkowo skromny udział miał i tak wielkie znaczenie. Ale nawet najlepiej strzeżone sekrety wychodzą w końcu na jaw. Siostry O'Shaughnessy nie wiedziały nic czy prawie nic o działalności Carlosa czy Simona Finkelsteina. Niejasno wyczuwały jednak w tych tak bliskich im młodych ludziach pewną inność; wyczuwały, że otaczają ich tajemnice. Jak taki Percy Basset mógł się z nimi równać?

Najbardziej spektakularną – słowo „spektakularny” w połowie lat dwudziestych stało się modne – metamorfozę przeszedł oczywiście Simon Finkelstein. Brat ambasadorowej, dawny mechanik Briana, Brzdąc Paca Rivery, kumpel Agustína dyskretnie przeistaczał się w kolorowego dżentelmena. W czasach, kiedy czarnoskórych traktowano jeszcze z mieszaniną zdziwienia, niepokoju i niechęci, cudownie potrafił wygrywać swoje tak niezwykle przydatne ułomności. Powoli jego sława zaczynała wykraczać poza Londyn i granice Wysp Brytyjskich. To on był tym wspaniałym Otellem na słynnym paryskim balu u hrabiego Etienne'a de Beaumonta.

– Trzy czwarte sukcesów u kobiet – zwykł mawiać – zawdzięczam moim kędzierzawym włosom i ciemnej skórze.

Jak zawsze żywy i gibki, stał się wyrafinowanym elegantem. Z upodobaniem rozczytywał się w przygodach pewnego Mulata z Gwadelupy, syna Francuza i niewolnicy, muszkietera i muzyka, koniuszego pani de Montesson i kapitana gwardii księcia de Chartres, aresztowanego za terroru, uwolnionego za Termidora, który pod koniec XVIII wieku za sprawą swoich sonat i kwartetów dał się poznać jako kawaler de Saint-Georges. Simon marzył, żeby się do niego upodobnić, nie w dziedzinie muzyki, ale awansu towarzyskiego – dość szczególnego i ledwie zasługującego na to miano, zważywszy na to, że spadkobierca tak wielkiej fortuny siłą rzeczy i niejako już z góry stawał się wybrańcem losu. Jednak przeszłość, niedole dzieciństwa, jego meksykańskie przeżycia, jego powierzchowność – skądinąd ujmująca – domagały się zadośćuczynienia. Może w jego żyłach odzywała się również, tajemnie go urabiając, krew Florindy i Periclesa Augusta? Bogaty, przystojny, szczęśliwy, lecz zbuntowany Simon Finkelstein na swój sposób pragnął zawojować świat.

O ile pamiętam, byłem tym wszystkim oczarowany. Mój dziadek nie mógł się powstrzymać, by nie wyrażać się z nieufnością i lekceważeniem o tych, w których z uporem – właściwie dlaczego? – widział postaci rodem z Offenbacha czy z Feydeau, i nie nazywać ich metekami albo tancerzami tanga. Prastarym korzeniom O'Shaughnessych, tak odmiennym, a zarazem tak bliskim naszym własnym legendom, niezmiennie przeciwstawiał absolutnie bezdyskusyjny obraz małp i Indian, którzy z wyimaginowanych palm pospadali prosto do wytwornych limuzyn i dyplomatycznych gabinetów.

– Ależ, ojciec – protestowała nieśmiało ciotka Gabriela – ci Romerowie to ludzie całkiem przyzwoici...

– Tak? – odpowiadał ironicznie dziadek. – Co ty powiesz? Od kiedy to?

– Mają duże pieniądze, znaczną pozycję, najbardziej szykownych w Anglii znajomych...

– Wszystko, co teraz mówisz, droga Gabrielo – grzmiał dziadek – to w sposób oczywisty okoliczności obciążające.

W zażyłości Romerów i O'Shaughnessych było coś niepokojącego: jak córka Żyda i wnuczka Murzynki może pozostawać za pan brat



z potomkami królów Irlandii i towarzyszy – albo i lepiej: adwersarzy – Wilhelma Zdobywcy? Postępowy humanizm ambasadora Argentyny i poważna komedia, w której się zasklepiał, znalazły w oczach mojego dziadka nie więcej uznania niż u Winstona Churchilla czy Jeremiasza Finkelsteina. Dziadek był bardziej bezpośredni, prostolinijny, mniej wyniosły, a jednocześnie bardziej dumny i w pewnym sensie bliższy prostym ludziom niż południowoamerykański dyplomata. Przyznawał Aurelianowi Romerze tylko dwie zalety, w jego oczach niebłaha: to, że jest znakomitym jeźdźcem i uczciwym myśliwym.

Ja natomiast już wtedy, z daleka, z zapadłego Plessis-lez-Vaudreuil, wciąż jeszcze upojony jego powoli ginącą przeszłością obserwowałem chciwie i z niejaką fascynacją te dziwne losy, o których wiedziałem tak niewiele. Jak przez mgłę pamiętałem – raczej z cudzych opowieści niż własnych wspomnień – moją rolę statysty na ślubie Hélène i Briana O’Shaughnessych. Wszystko, co się z nimi wiązało, w pewien sposób mnie również dotyczyło. Imiona Pandory i jej sióstr, bardziej niż ich twarze, które ledwie znałem, były mi od zawsze bliskie. Romerowie byli dla mnie bardziej nieprzeniknieni. Lękałem się trochę tych dorosłych chłopców pochodzących z innego świata, traktowanych z lekceważeniem przez mojego dziadka i złowieszczo krążących wokół sióstr O’Shaughnessy. I już z góry ich podziwiałem. Niewykluczone, że w mojej namiętnej ciekawości kryła się niejaka zazdrość. Słyszając, że Carlos prowadzi nielegalną działalność, o której, by tym pewniej rozpalić moją wyobraźnię, mówiło się półsłówkami, a Agustín samochodem wyścigowym przemierza białe drogi Włoch, zapragnąłem poznać ich i się z nimi zaprzyjaźnić, a zarazem się tego obawiałem. Bracia Romero uosabiali w moich oczach wszelkie pokusy przygody, wszelkie obietnice przyszłości. Myślałem, że bałem się ich i kochałem, zanim ich jeszcze poznałem.

Pandora! Pandora!

Dow Jones na łeb na szyję leciał w dół, waliły się fortuny, bankierzy wyskakiwali ze swoich drapaczy chmur: krach na Wall Street zachwiał światem. Nie było już starego Jeremiasza Finkelsteina, by obserwować te okropności, które może by go nawet rozbawiły. Umarł w Nowym Jorku w ramionach swojej córki Rosity i wnuka Carlosa. Opowiadał im o swoim ojcu rabinie i swojej skromnej matce, o utraconym i odnalezionym Simonie i o Cristinie Isabel, żonie, którą tak bardzo kochał. A przecież w prywatnej rezydencji przy Piątej Alei, będącej symbolem jego sukcesu i potęgi, ostatnie słowa umierającego potentata skierowane były do damy z Lublina i dwóch zielono-niebieskich piór przy jej kapeluszu, który miała na sobie, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

Ku przerażeniu Rosity nagle usiadł na łóżku i wyciągając rękę ku jakiejś niewidzialnej zjawie, zawołał:

– Tam! Tam!... Zielone pióro... niebieskie...

I padł martwy.

Kilka miesięcy wcześniej lub później w Argentynie zaprzestała też walki Conchita Romero. Raptem, w samym środku światowego kryzysu, mały świątek Romerów z eks-Brzdącem włącznie stał się jeszcze bogatszy. Carlos Romero na pewien czas odsunął się od Apostołów, by go poświęcić bankierom: po raz drugi w dziejach Jeremiasza Finkelsteina i jego potomków marksizm i kapitalizm połączyły się w całkiem zgodne stadło.

Raz, dwa razy do roku odwiedzałem O'Shaughnessych w ich gotyckim, zabójczo odnowionym zamku w głębokiej Szkocji. Jechałem pociągiem, potem samochodem, czasami prowadzonym przez Agustína, również zaproszonego na kilka dni do Glangowness, który przyjeżdżał po mnie z Javierem na dworzec w Edynburgu. Przez całą podróż jego bentleyem rozmawialiśmy o wyścigach i mechanice. Agustín prowadził jak wariat, budząc przerażenie wśród wieśniaków, odskakujących do przydrożnych rowów razem z baranami i indykami. Siedząc w pędzącym

samochodzie, Javier uśmiechał się w milczeniu bardziej do własnych myśli, aniżeli ubawiony żartami Agustína, które ledwie było słycać przy tym pędzie, wietrze i hałasie silnika. Po drodze zatrzymaliśmy się, aby się czegoś napić i odsapnąć w starych historycznych zajazdach, odwiedzanych przed nami przez żołnierzy i poetów. Przy piwie i whisky wypytywałem o nowiny od Pandory i jej sióstr.

– Ach, rosną... – mówił Agustín. – Rosną i to bardzo.

A Javier, jak zwykle zamyślony, spoglądał na mnie z uśmiechem. Szybko zorientowałem się, że siostry O'Shaughnessy wyrosły na piękności i że w umysłach braci Romerów zaczęły brać górę nad wałami rozrządu i chęcią nicnierobienia. Przyjeżdżaliśmy na miejsce. Przez starannie wygracowany żwir podjazdu, którego gładkość niweczyły koła naszego pojazdu, spieszili nam na spotkanie kamerdyner i pokojówki. Wyjmowano z samochodu bagaże i zanoszono na górę do naszych sypialni. Przez chwilę odpoczywaliśmy po trudach podróży. Zaglądałem do Javiera, który wyciągnięty na łóżku czytał *Le Grand Ecart, Bal u hrabiego d'Orgel* albo *Miłość Swanna*, możliwe, że wtedy już w tłumaczeniu Scotta Mancriefa.

– Szykuj się – mówił.

– Co na siebie wkładasz?

– Na dziś wieczór nic specjalnego. Żadnej pompy. Kolacja w rodzinnym gronie. *Black tie*.

– Dobry Boże! Mam tylko sztywny kołnierzyk i ciemny garnitur.

– Nie przejmuj się. Mam dwa *dinner jackets*.

Schodziliśmy na dół. W saloniku, za wielkim okrągłym pufem, ze środka którego wyrastała palma, pod portretem ósmego lorda Landsdowna w mundurze generała wojsk indyjskich siedziała hrabina Wrońska przytłoczona brzemieniem lat i powoli zamieniająca się w legendę. Natarczywie powracała przeszłość. A i na przyszłość nie trzeba było długo czekać: pojawiały się roześmiane Pandora i Atalanta, a za nimi Vanessa i mała Jessica, gniewna i rozzłoszczona z powodu ślicznej dziecinnej sukienki, do noszenia której zmuszały ją jeszcze matka i miss Prism.

Carlos przesiadywał w bibliotekach Cambridge bądź organizował różne mniej lub bardziej tajemnicze zebrania w Berlinie, Zurychu,

Wiedniu. Miss Prism rzucała się na Agustína i bliźniaków. Teraz, kiedy byli już mężczyznami, nie bardzo mogła tak jak dawniej stwierdzać przy każdym nowym spotkaniu, że wyrosli i nabrali tężyzny. Więc tylko z błyszczącymi oczami zapewniała ich, że prezentują się lepiej niż kiedykolwiek. Na co odpowiadali, absolutnie niezgodnie z prawdą, że ona sama wygląda jak zawsze młodo. W towarzystwie swoich chłopców miss Prism promieniała szczęściem.

Wkraczanie w życie jest być może równie trudne i okrutne jak rozstanie się z nim. Bliźniacy Romero, Luis Miguel i Javier, zbliżali się do wieku męskiego początkowo z wrażeniem, że mimo wszelkich przywilejów z racji z ich urodzenia i majątku drogi życiowe są przed nimi zamknięte. Carlos wybrał książki i politykę, Agustín – sport, silniki i szybkość. Motywy ludzkiego działania nie są niewyczerpane. Co pozostawało bliźniakom? Marzenia, zamiłowanie do zabawy, pewna forma elegancji połączonej z obojętnością, romanse. Rzucili się w to z zapamiętaniem. W oczach pełnego powagi i wiary Carlosa oraz żadnego zwycięstw Agustína zaczęli uchodzić za chłopców czarujących i trochę niepoważnych. Bardziej wyrafinowani od Agustína, mniej spięci od Carlosa – zdawali się brać świat takim, jaki jest, i spożytkowywać swoje talenty na cieszenie się nim i na bycie szczęśliwymi.

Przez długi czas, aż do wydarzeń, o których w stosownym momencie opowiem, obaj bliźniacy wydawali mi się niemal identyczni. Luis Miguel był może weselszy, Javier trochę bardziej skryty. Jednak fizycznie i umysłowo byli do siebie tak bardzo podobni, że tylko długotrwałe obcowanie z nimi nie pozwalało mylić jednego z drugim. Jeremiasz Finkelstein przekazał Carlosowi swoją nadzieję na nowy świat. Bliźniacy odziedziczyli po nim marzycielstwo. Na spaniu upłynęła im niemąła część młodości. W czasie gdy Luis Miguel uganiał się za dziewczynami, krążył po balach, polach wyścigowych i golfowych, Javier obnosił swoje znużenie z fotela na kanapę. Dużo czytał. Ale głównie po to, żeby nic nie robić.

– Twój dziadek ciężko pracował, Javier – mówiła matka. – Twoja babka ciężko pracowała, twój ojciec pracuje, twój brat Carlos pracuje. A kiedy ty zdecydujesz się podjąć pracę?

– Ja mam co innego do roboty – mówił Javier.

– Ale co? – pytała Rosita.

– Jeszcze nie wiem – odpowiadał Javier.

By jak najskuteczniej ukryć swoje nieróbstwo i lenistwo, któregoś dnia Javier obwieścił, że jest muzykiem i poetą. Zamykał się na długie godziny pod pretekstem zapisywania stron, których nikt nigdy nie zobaczył. Bardzo go lubiłem. Podczas gdy Carlos z niejakim zapamiętaniem łączył pracę z intrygami, a Agustín prowadził coraz szybsze samochody, Javier wiódł, często wspólnie ze mną, próżniacze i najprzyjemniejsze z możliwych życie.

Na koniec w salonie w Glangowness pojawiali się Brian i Hélène. Rodzina była w komplecie. W wielkiej jadalni udekorowanej obrazami o tematyce myśliwskiej i flandryjskimi gobelinami zasiadaliśmy do stołu.

Kolacje w Glangowness wyglądały trochę inaczej niż w Plessis-lez-Vaudreuil. Celebra była bardziej sztywna, zastawa bardziej błyszcząca, liczniejsza służba i bardziej uroczysta atmosfera.

– Jak się czuje pański drogi dziadek? – pytała mnie Hélène.

– Dziękuję pani, ma się dobrze. Żyje swoimi lasami, swoim kółkiem gimnastycznym i nadzieją na powrót króla.

– Jakie to dziwne – odzywał się Agustín. – Nas, którzy mamy króla, interesuje głównie rewolucja. A wy, którzy żyjecie w republice, rozprawiacie przede wszystkim o królu, na którego powrót nie ma żadnych widoków.

– Cóż! – mówił Javier. – Każdego zaprzęta to, czego nie ma.

Może dlatego, że nie byłem u siebie, rozmowa w Glangowness, mimo całej tej uroczystej oprawy, wydawała mi się żywsza i bardziej swobodna niż w Plessis-lez-Vaudreuil. Miałem wrażenie, że naszym głównym zajęciem było powstrzymywanie upływu czasu.

U O'Shaughnessych mimo ich chwil milczenia i bełkotliwej mowy, mimo pozycji Landsdownów i wagi przeszłości miało się wrażenie, że w każdej chwili zdarzyć się może wszystko. Zapewne przyczyniała się do tego ich irlandzka krew. Nad starymi srebrami i stylowymi meblami unosiły się cienie Oscara Wilde'a, genialnego dandysa, ulubieńca salonów, homoseksualisty i skazańca, oraz Bernarda Shawa, który niedawno otrzymał Nagrodę Nobla.

Pewnego lata, niedługo przed śmiercią, hrabina Wrońska zaprosiła swoje cztery prawnuczki na kilka tygodni do domu na Giudecce, po którym nadal błąkały się milczące i nieobecne cienie Piotra Wasiliewicza, dwojga wyklętych kochanków i genialnego kompozytora. W wizycie uczestniczyć mieli obaj bliźniacy. Na dokładkę zaproszono również mnie.

– Interesuje pana tak bardzo Wenecja i jej przygody – powiedziała hrabina Wrońska – może więc przyjechałby pan na kilka dni do Giudekki razem z moimi prawnuczkami i bliźniakami Romero?

Niedawno jeden z moich wujów boleśnie doświadczony skutkami kryzysu popełnił samobójstwo. Dziadek namawiał mnie na wyjazd: chciał, żebym na jakiś czas uciekł od rodziny, która tak bardzo nam wszystkim ciążyła, i żebym się trochę rozerwał. Przyjechałem do Wenecji pociągiem razem z Javierem i Luisem Miguelem.

Zbliżał się świt. Na naszych oczach Wenecja rozjaśniała się pełnią blasku. Pandora i Atalanta wyszły po nas na dworzec. Bagaże popłynęły gondolą, my zaś w pięcioro wysiedliśmy przed starą Zueccą –

Święty Błażej i Zuecca,

Czas mijał miło,

Święty Błażej,

Święty Błażej i Zuecca,

Dobrze nam było.<sup>[1]</sup>

– o dwa kroki od Piazzetty przy Pałacu Dożów.

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się wreszcie sam na sam z legendami, które tak często rozniecały moją wyobraźnię: dwoma braćmi Romero, siostrami O’Shaughnessy i Czerwoną Wenecją, która miała stać się scenerią oraz katalizatorem wszystkiego, co kipiało w naszych sercach. W obliczu tak wielkiego szczęścia ogarnął mnie bez mała lęk.

Na chwilę przystanąłem między dwiema kolumnami dźwigającymi świętego Teodora i lwa świętego Marka. Patrzyłem na kościół della Salute, na Doganę di Mare, wyspę San Giorgio i Giudeccę w oddali. Po lewej stronie, aż po nieforemną bryłę Arsenалу wznosiły się pałace przy Riva degli Schiavoni. Za mną bazylika i plac Świętego Marka cierpliwie czekały, bym odwrócił się wreszcie w ich stronę, ku ich

przytłaczającemu pięknu. Kazałem im jeszcze trochę czekać, bo chciałem przedłużyć tę chwilę olśnienia. Znajdowałem się w centrum świata, między Wschodem a Zachodem, między przeszłością i przyszłością.

– I jak? – zapytał Javier.

– To piękne, i wy tu jesteście, wszystko się tak świetnie układa. Jestem szczęśliwy.

– Świat należy do nas – powiedział.

– Do wielu innych przed nami, do wielu innych po nas. Ale teraz należy do nas.

– Czy ty też myślisz o tych wszystkich, którzy przystawali dokładnie w tym miejscu, patrząc na to, co ty teraz widzisz?

– Tak. Ale przede wszystkim o nas.

Podeszła Pandora. Przysiadła u stóp kolumny świętego Teodora.

– To właściwie nasza rodzinna sceneria – powiedziała. – Tędy przechodziła moja babka z Nicolasem, szczęśliwa, a potem załamana. I moja prababka w towarzystwie Piotra Wasiliewicza, a potem ojca Nicolasa, stała tak jak my teraz, pomiędzy tymi kolumnami, które zawsze zdawały się dźwigać jakąś część naszego losu, i kontemplowała, też tak jak my, lagunę i Giudeccę.

– Czy znasz całą historię swojej rodziny? – zapytałem Pandorę.

– Odkrywałam ją po trochu – odrzekła Pandora z uśmiechem. – Bo widzisz, zagadki to moja specjalność.

Patrzyłem na Pandorę. Na tle biblioteki Sansovino i Pałacu Dożów, na dole tak lekkiego i tak masywnego powyżej, wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Z tymi płowymi włosami i wysokimi kośćmi policzkowymi była zarazem przejrzysta i tajemnicza. Uosabiała życie, radość i klarowność – a jednocześnie miała w sobie, przynajmniej w moich oczach, coś nieuchwytnego, co nagle czyniło ją daleką i niedostępną. Dokładnie pamiętam, jak między kolumnami Piazzetty pomyślałem sobie, że ta dziewczyna, choć tak bliska, jest nie dla mnie i nigdy nie będzie. Była niebezpieczna. Między nami przemknęło szybko coś na kształt cienia pełnego radości.

Nadeszli pozostali. Atalanta i Luis Miguel rozmawiali o jazzie i Nowym Orleanie. Obeszliśmy dookoła plac Świętego Marka

i usiedliśmy na tarasie Floriana.

– Co zamawiacie? – zapytał dziewcząt Luis Miguel.

– *Una granita di caffè* – powiedziała Atalanta.

Patrzyłem na plac, na kampanilę, na bazylikę, na monumentalny zegar, prowadzący w kierunku Mercerii, na dwa stare lwy na flankach kościoła i zastanawiałem się, co to takiego, ta *granita di caffè*. Obawiam się, że rzeczy nawet zupełnie małe miały dla mnie zawsze taką samą wartość, co te największe. W towarzystwie Romerów i O'Shaughnessych znalazłem się w mieście masek, zabawy i śmierci.

Wieczorem zjedliśmy wszyscy obiad z hrabiną Wrońską w domu na Giudecce.

– Czy wie pan już – zwróciła się do mnie z uprzejmym pytaniem – co pan będzie robił?

– W Wenecji?

– Nie, nie. W życiu.

Co chciałem w życiu robić? Ależ nic, absolutnie nic innego ponad to, co właśnie robiłem. Przebywać w towarzystwie Romerów i O'Shaughnessych, chodzić z nimi i patrzeć, jak żyją – na tym polegało moje zadanie, na tym polegało szczęście. Niczego innego nie pragnąłem i wiedziałem o tym tak dobrze, że starałem się wyryć w pamięci wszystkie szczegóły i każde najdrobniejsze słowo tych chwil w doskonałości swej niemal bolesnych. Po obiedzie – makaron i scampi – usiedliśmy w ogrodzie między domem a wielką laguną, w którym powoli zaczynało zmierzchać.

Siedzieliśmy nieruchomo, z zadartymi głowami. Przyglądaliśmy się, jak niebo z niebieskiego przechodzi w zielone, w różowe, w czerwone i powoli osuwa się w noc. Jedna po drugiej pojawiały się i zaczynały świecić gwiazdy. Daremnie próbowaliśmy wypatrzeć chwilę ich stopniowego pojawiania się. Długo pozostawały w ukryciu, a potem nagle już świeciły. Luis Miguel wytrzasnął skądś gitarę. Atalanta zaczęła śpiewać. Plessis-lez-Vaudreuil odpływało w dal. Hrabina Wrońska udała się na spoczynek. Siedzieliśmy w pięcioro w ogrodzie, w którym Verdi ujrzał ją po raz pierwszy i gdzie się w niej zakochał. Javier położył głowę na kolanach Pandory.

– Oho, rozumiem, rozumiem – powiedział Luis Miguel. – To nasza



miłosna edukacja.

Mijały dni. Jak wszyscy spacerowaliśmy po Torcello i Burano od strony Ghetto Vecchio i domu Tintoretta, przy którym trzymało straż trzech kamiennych Maurów w turbanach. Zwiedzaliśmy Akademię i Scuola di San Rocco. Od czasu do czasu szliśmy na kolację i tańce do którejś ze starych rezydencji nad Canal Grande. Pamiętam nawet obiad wydany w pałacu, który swego czasu Piotr Wasiliewicz kupił w dwie godziny od jednego z rodaków przypalonego przez karciane długi i który Marie Wrońska po śmierci męża sprzedała. Czas nieodwracalnie płynął, a jednocześnie kręcił się w kółko. W inne dni chodziliśmy kąpać się na Lido, gdzie pasiaste namioty wokół hotelu Excelsior gościły potomków dawnych patrycjuszy i rodziny nowych przywódców faszystowskich, jednych z drugimi połączonych niezliczonymi więzami. Mussolini przejął dekadentkie Włochy i próbował z nich zrobić naród żołnierzy; operetkowe sceny nieustannie przeplatały się z policyjno-bandyckimi operacjami, z których najgłośniejszą było zabójstwo Matteottiego przed kilku laty. Nasza polityczna świadomość, jakby powiedział Carlos, nie chciała się obudzić. Hrabina Wrońska, co zupełnie naturalne, nastawiona była wrogo wobec tego, co nadal nazywała bolszewizmem. Wszyscy z otoczenia Orłowów i Naryszkinów, ludzie, którzy w większości zachowali się kiedyś wobec niej bardzo nieładnie, ponieśli śmierć lub wygnał ich sowiecki komunizm; wiek, wspomnienia, historia, wspólne interesy sprawiły, że nagle zamienili się w sojuszników, w starych przyjaciół. Wzorem większości weneccjan i weneccjanek ze swojego środowiska hrabina chętnie przyjmowała u siebie na Giudecce nowych panów Włoch. Faszyzm specjalnie jej nie przeszkadzał. Radowały ją, i nie tylko ją, nareszcie punktualne pociągi i rozkwit dumy narodowej. My natomiast – koniec wielkiej, trwającej przez cztery lata rzezi był jeszcze bardzo bliski – myśleliśmy tylko o tym, żeby się bawić, żeby robić co innego niż nasi rodzice i korzystać ze świata, który ofiarował nam, tak bardzo tego złańcionym, tyle cudowności. Wiszący nad naszymi apetytami i odkryciami faszyzm, wtedy jeszcze dość odległy, był najmniejszym naszym zmartwieniem.

Z nas wszystkich Agustín najżywiej reagował na to, co działo się we Włoszech i co wkrótce miało stać się w Niemczech. Możliwe, że

z powodu jego kultu dla siły i zwycięstwa demokracja go nudziła. Świat postrzegał w kategoriach zawodów – i kochał zwycięzców. Wtedy, kiedy my spacerowaliśmy nad laguną i, przez pamięć malarzy i wielkich admirałów, spędzaliśmy czas na nicnierobieniu, on zdobywał pierwsze nagrody i odbierał puchary z rąk Mussoliniego. Do dziś mam list, który przysłał nam z Rzymu do Wenecji, w którym wychwalał pod niebiosa faszyzm i Duce.

– Jakie to dziwne – mówił Javier, spoglądając na Canal Grande z mostu Rialto. – Jeden z moich braci jest komunistą, a drugi faszystą.

W późniejszym czasie wiele rozmów w podobnym duchu miałem odbyć z Carlosem Romerą, którego w okresie naszego pobytu na Giudecce słabo jeszcze znałem.

– Największy sprzeciw budzi we mnie to – mówił – że Agustín tak beztróska zdaje się zapominać o żydowskiej krwi Finkelsteinów. Ten faszyzm, który tak podziwia, to przecież modelowy nazizm. A kluczem do nazizmu jest antysemityzm. Myślę, że gdyby żył Jeremiasz, powiedziała by swojemu wnukowi, co o tym myśli.

– A czy twoja babka Conchita powiedziała by też, co myśli o swoim wnuku Carlosie?

– Świat się zmienia – odparował Carlos. – Zawsze powinno się dążyć do większej sprawiedliwości i szczodrości.

Sprawiedliwość, braterstwo, postęp – dla Agustína to były anachronizmy. Myślę, że nienawidził słabości i przegadanego bałaganu naszych demokracji. W Mussolinim widział spadkobiercę antycznego świata, świata, który wydał walkę dekadencji. Marzyło mu się przymierze imperialnej Anglii z odrodzonymi Włochami. I kiedy na scenie pojawi się Adolf Hitler, będzie gotów podziwiać go, a niewykluczone, że mu nawet służyć.

W Wenecji, obojętni na zwiastuny i symptomy ostrzegawcze, tańczyliśmy, śpiewaliśmy, poznawaliśmy nazwiska Longheny i Vivaldiego, Carpaccia i Bellinich. Beztróska to z całą pewnością inna nazwa szczęścia. Nasze ograniczało się do wąskiego kręgu nas samych. Na czerwonomiodowym tle weneckich pałaców świat dla mnie ograniczał się do sióstr O'Shaughnessy i obu braci Romero, aż nagle w naszej grupie pojawił się nowy element: do Wenecji przyjechał Simon

Finkelstein.

W historii, tak jak w powieściach – a historia to przecież nic innego, jak dzieło jakiegoś tajemniczego, wszechstronnego i genialnego powieściopisarza – istnieją tylko dwa nieodzowne elementy: czas i spotkania. Starożytni filozofowie pryncypiów naszego świata upatrywali w wodzie, w powietrzu, w ogniu i w ziemi. Ja natomiast uważam, że życie, na obraz i podobieństwo wszechświata, galaktyk i planet, zmierza naprzód dlatego, że istnieje upływ czasu i że nigdy nic ani nikt nie pozostaje sam. Przed bogatą fasadą barokowego kościoła z figurą Mojżesza nasza pięcioosobowa grupka, w której właściwie nic specjalnego się nie działo i do której Vanessa i Jessica z racji wieku nie w pełni jeszcze należały, wpada prosto na Simona Finkelsteina. Simon nie jest sam. Podróżuje po Włoszech z niebrzydką i wyjątkowo pospolitą Niemką, którą poderwał w pociągu.

– Coś takiego! Czy mnie wzrok nie myli? Czy to moi siostrzeńcy ze swoją uroczą kompanią?

– We własnej osobie, wujku Simonie – odrzekł Luis Miguel. – A to Pandora i Atalanta, które spotkałeś już w Glangowness. Oraz nasz francuski przyjaciel, którego zapewne nie znasz.

– Prawdziwi z nas szczęściarze, Ingrid, żeśmy natknęli się na tę paczkę! W Wenecji jestem po raz pierwszy. Czy możemy się do was przyłączyć, bo wygląda mi na to, że pośród tych wszystkich *campi* i *fondamenta* czujecie się jak ryba w wodzie?

– Ależ naturalnie, wujku Simonie. Idziemy właśnie do Rialto. Chodźcie z nami. Przekonacie się, że po Wenecji mimo wody można też spacerować.

– *Avanti! Avanti! Avanti Savoia!* – zawołał wuj Simon, potrząsając parasolem, który na wszelki wypadek zabrał ze sobą do tego dziwnego kraju, nie znając jego klimatu.

Pojawienie się Simona Finkelsteina zakłóciło naszą dotychczasową rutynę. Żyliśmy w zwolnionym tempie. On narzucił naszej gromadce zawrotny rytm. Zaczęło się oczywiście od tego, że ogromnie spodobał się hrabinie Wrońskiej. Jego wesołość i wdzięk górowały chyba nawet nad nieco demonicznym urokiem jego młodzieńczych wspomnień. Z absolutną naturalnością mówił o swojej meksykańskiej egzystencji

i swojej pogardzie dla życia. Opowieść o jego pierwszym spotkaniu z Jeremiaszem Finkelsteinem była nieodparcie zabawna, zabarwiona nutą czułości dla tego obcego starca, który okazał się jego ojcem. W odróżnieniu od członków naszej *grupetto*, naszego stadka – a już zwłaszcza ode mnie – których życie od zawsze było wytyczone i prawdopodobnie już do końca toczyć się miało według dość przygnębiającej rutyny, Simon Finkelstein zdawał się pojawiać nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd zmierzać. Kiedy wspominał Paca Riverę lub swoje amerykańskie dzieciństwo w przestępczym świecie Kalifornii czy Nowego Meksyku, który przynajmniej na jakiś czas stał mu się rodziną, słuchaliśmy go z rozdziawionymi ustami. Galopady Pancha Villi rozlegały się osobliwym echem po tej oazie spokoju i starej kultury, jaką był dom na Giudecce. Czasami, słuchając Simona, miałem wrażenie, że oprócz Verdiego do Wenecji powrócił również Falstaff lub jeden z bohaterów *Aidy*. Tyle że miejsce dworu Henryka IV i świątyń Górnego Egiptu zajęli nowojorscy gangsterzy i tropikalne *sierras* Meksyku. Zastanawiam się, czy Marie Wrońska nie miała podobnych odczuć. Zresztą spośród nas była jedyną, której awanturnicze życie rywalizować mogło – choć w zupełnie innym stylu – z życiem dawnego Brzdąca.

Przyjaźń Simona z Brianem O'Shaughnessym i lata wojny nad Somną i Izerą zbliżały go do nas w tym samym stopniu co jego pokrewieństwo z Javierem i Luisem Miguelem. Różnica wieku zacierała się, stawał się jednym z nas. Chodził z nami na spacerunki i rozśmieszał Pandorę. Pewne problemy nastęrczała obecność młodej Niemki Ingrid. Mimo własnych wspomnień, o których mówiła z taką swobodą, a może właśnie z ich powodu hrabina Wrońska stawała się z wiekiem nieprzejednanie surowa. Jasno dała do zrozumienia, że wprawdzie Simon Finkelstein jest na Giudecce miłe widzianym gościem, lecz podejmowanie jego towarzyszek nie wchodzi w grę. Nagle nad laguną i kanałami zaczęła się zabawa w podchody. Kiedy Simon Finkelstein wybierał się na śniadanie lub obiad do domu na Giudecce, my spotykaliśmy się z Ingrid na stopniach kościoła Redentore lub przed Gesuati. Przez jakiś czas bawiła nas ta komedijka. Wkrótce jednak sam Simon poczuł się nią zmęczony.

- Ta dziewczyna doprowadza mnie do rozpacz – oświadczył.
- Jest niebrzydka – rzuciłem bez przekonania.
- Może. Ale co twoim zdaniem mam z nią zrobić?
- Spław ją – powiedział Luis Miguel.

Tak też Simon uczynił. Któregoś wieczoru krótko nas poinformował, że z Ingrid już koniec. Niemka trochę nam ciążyła; nowina, że się jej pozbył, raczej nas ubawiła. Lecz ku mojemu zdumieniu oburzyła Pandorę.

– To okropne – powiedziała. – Biedna dziewczyna. Współczuję jej. Współczuję.

- Nie przesadzaj. Czy była aż tak interesująca?
- Interesująca? Nie wiem. Ale kochała Simona.
- Nie byłbym tego taki pewny. Tak czy inaczej, on jej nie kochał.
- Tak myślisz?
- No pewnie. To była tylko przygoda. Przelotna miłośćka. Epizod. O wiele mniej poważny niż między tobą i Percym Bassetem.

– Bzdura! Tak jakby można Percy’ego Basseta porównywać z Simonem!

Tym sposobem pewnego wieczoru w Wenecji dowiedziałem się, że Pandora O’Shaughnessy dojrzała do tego, by paść Simonowi w ramiona. Sprawa wydałaby mi się mniej poważna, gdyby córka Briana zgodnie z klasycznym schematem poprzestała na radości z powodu zniknięcia Ingrid i odzyskania wolności przez Mulata. Ale stawiając się z takim uporem na jej miejscu, Pandora zdradziła, jak wielką wagę przywiązuje do obecności Simona i zainteresowania z jego strony. Może nawet sama nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Od tej chwili wypadki potoczyły się dość szybko. Dla Simona Finkelsteina atmosfera Wenecji była trochę duszna. Muzea i kąpiele na Lido nie wystarczyły, by zatrzymać i rozerwać dawnego towarzysza Paca Rivery z meksykańskich *sierras*. Kiedy pokonał już wpływ lagunę i śladem Byrona dopłynął na wysepkę Ormian, uznał, że nie ma tu już dla niego nic do roboty. Weneckie hrabiny go nie interesowały. Ani Carpaccio. Nigdy nie widziałem, żeby Simon, powodowany kurtuazją czy konformizmem, próbował udawać bodaj cień zainteresowania czymś, czego nie uważał za ekscytujące. Javier zachwycał się

plaskorzeźbą z porfiru, nazywaną Mori lub Tetrarchami, u zbiegu bazyliki Świętego Marka z Pałacem Dożów, przedstawiającą cztery postacie, które toczą ze sobą walkę czy może raczej się całują. Powiedział nam, że nadgryziona zębem czasu grupa pochodzi z IV wieku i przedstawia dwóch Cezarów i dwóch Augustów, którzy dzielili w owym czasie rządy nad Cesarstwem Rzymskim.

– A gdybyśmy ich tak zwędzili? – zaproponował Simon.

– Zwędzili? Niby jak?

– Na pewno da się to jakoś rozmontować. Przyjdziemy w nocy z oskardami, stalowymi drągami, dwoma łomami, dwoma młotkami i migiem, hop!, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał i czwórka facetów jest nasza.

Najpiękniejszy złom stulecia pozostał w fazie projektów i czterech Mori nadal splata się w uścisku na narożniku Świętego Marka. Simon był wściekły. Potrzebne mu było ryzyko, przygody, chciał, żeby coś się działo. Nie miałby nic przeciwko nocnemu pościgowi przy wtórze przenikliwego ryku syren po pustej lagunie i krwawej bójce z weneckimi policjantami, którzy z braku samochodów są bezużyteczni i pozostają niewidoczni. Myślę, że Brzdąc jako człowiek dorosły mógł żyć tylko wtedy, kiedy śmierć deptała mu po piętach. Był obojętny na sztukę. Historia przyprawiała go o ziewanie. W nieco zastałej atmosferze rodzinnej pensji na Giudecce wraz z jej chorobliwym urokiem i wspomnieniami niebawem zaczęło mu brakować powietrza. Sama Wenecja nawet mu się podobała: miasto z tymi stadami gołębi obsiadających asfalt i marmurowymi lwami nieodmiennie usiłującymi wzbić się w górę, było zabawne. Ale wbrew legendom i tradycji, jak na niego zbyt rzadko się tu umierało. Śmierć w Wenecji to domena malarzy, poetów, rzeźbiarzy, kompozytorów. To historia należąca do przeszłości. I domena muzeów. A literatura i muzea były dla Simona Finkelsteina czymś zupełnie obcym. Żył wyłącznie w teraźniejszości; piękno, gdy nakierowane było ku przeszłości, nudziło go. W Wenecji dzieje się niewiele. Nawet morze jest płaskie. Pełno tu namiętności, ale zawsze jakby trochę teatralnych. Simon nie potrzebował wiele czasu, by odkryć, że w Wenecji przemoc gości wewnątrz.

– Powiedz mi, ty, który znasz tak dobrze Włochy – zagadnął

mnie – czy tutejsza mafia jest bardzo aktywna?

– Nie sądzę – odparłem. – Są tu komuniści, hrabiny, faszyci, przemysłowcy, kardynałowie, potomkowie dożów i sławnych kurtyzan. Ale samych dożów już nie ma. Ani kurtyzan. O ile mi wiadomo, nie ma tu też mafii ani bandytyzmu, ani porachunków na modłę mediolańską czy neapolitańską. Wenecja, bardziej niż jakiegokolwiek inne miasto, była widownią zbrodni politycznych i zbrodni w afekcie. To miasto Faliera, Otella, uczciwego Jagona – kanalii, jak głosi formuła. A także Volpone’a. W Wenecji często szachruje się i zabija. Ale zawsze z wdziękiem i elegancją. Z sercem, oczywiście. I często słowami. Jakoś nie widuję rywalizujących band, wzajem się masakrujących na Canal Grande albo gangsterów w gondoli. Najemni mordercy są dyskretniejsi. Niech pan założy maskę, Simon. I odłóż na bok swoje rewolwery. Dziś w Wenecji umiera się już tylko z powodu wspomnień lub z miłości.

– Tak też myślałem – powiedział Simon. – No i może z nudy.

Nudził się śmiertelnie między hallem hotelu Daniela, gdzie wciąż miał nadzieję spotkać jakieś znajome twarze, a *Legendą świętej Urszuli*, po której się już niczego nie spodziewał. Przyznaję, że nieraz się nawet zastanawiałem, czemu gryząc wędzidło, tkwi nad brzegami tej cudownej laguny, które dla niego były tak bezbarwne. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Któregoś wieczoru oznajmił, że nazajutrz wyjeżdża z Wenecji. Spodziewaliśmy się tego. Niespodzianką było co innego. Razem z nim wyjechała Pandora. Miała niewiele ponad szesnaście lat. On dawno już przekroczył czterdziestkę.

Na wieść o tym hrabina Wrońska się załamała. Czuli się odpowiedzialni za Pandorę. Bawiła ją obecność w domu niebezpiecznego Mulata, którego przeszłość nie była jej obca. Na powiernika swojego wzburzenia i wyrzutów sumienia wybrała mnie.

– Nie wydaje się panu – mówiła, spacerując ze mną powolnym krokiem po ogrodzie na Giudecce – nie wydaje się panu, że przynoszę pecha wszystkim z mojego otoczenia? Zburzyłam spokój Naryszkinom i Herbignacom. Nie spełniłam oczekiwań ani Giuseppego Verdiego, ani Piotra Wasiliewicza. Zna pan tragiczne losy Nadii i Nicolasa. Mój syn zniknął. Moja córka umarła. Wnuczka prowadziła spokojne życie i wydawało się, że nareszcie choć ona jest szczęśliwa. Miałam nadzieję,

że na niej klątwa wygasła. A tu proszę, czwarte pokolenie rzuca się w te same szaleństwa, które popełniłam już ja i moje dzieci. Jak powiem Hélène, że Pandora uciekła z Simonem Finkelsteinem?

Uspokajałem ją, jak mogłem. Mówiłem o fatum, którego była ofiarą: na pewno nie ona ponosiła główną odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Przypomniałem, że Simon był przyjacielem ojca Pandory na długo przed tym, nim przyjęła go na Giudecce. Pandora wcześniej czy później i tak by Simona spotkała. A że spotkała go w Wenecji? To niczyja wina.

– Ach, Wenecja... – mówiła hrabina. – Czy czuje pan cały zamęt tego miasta ogołoconego z drzew, które nieustannie umiera z powodu piękna i wskrzesza się na nowo w rozkoszy? Z Wenecją wiązały się wszystkie moje chwile szczęścia i wszystkie niedole.

Trzeba było powiadomić Briana i Hélène o tym, co się stało. Marie Wrońska nie czuła się na siłach, by to zrobić. Atalanty, a tym bardziej obu dziewczynek lepiej było nie mieszać do przedwczesnych romansów najstarszej siostry. Bliźniacy byli siostrzeńcami diabolicznego Mulata. Wniosek nasuwał się sam: to ja miałem udać się do Glangowness w niezbyt godnej pozazdrosczenia roli zwiastuna złej nowiny. Wsiadłem do pociągu jadącego do Londynu i dalej do Szkocji.

W Glangowness gościł akurat Winston Churchill. Jego obecność bynajmniej nie przyczyniła się do odprężenia atmosfery, ciężkiej wskutek moich rewelacji. Nie muszę mówić, jak okropnie przygnębiona była miss Prism – bardziej przejęta, obawiam się, postępkami brata Rosity Romero aniżeli losem Pandory. Na myśl o córce wydanej na pastwę tego zwyrodniałego potwora Hélène oczywiście uderzyła w płacz. Próbowałem ją pocieszyć, lecz chyba dość niezręcznie:

– Widzi pani, on jest przemiły. Bardzo wesoły, bardzo łagodny... Popatrzyła na mnie z gniewem poprzez łzy.

– Łagodny? Ten morderca?... Łagodny... Panu również udzielił się ten obłęd czy co? Słowo daję, ten Murzyn chyba was wszystkich zaczarował!

Z obawy, by nie zadrażniać sytuacji, nie ośmieliłem się odpowiedzieć, że ten Murzyn nie jest nawet Metysem ani Mulatem, tylko mieszańcem o jasnej karnacji, a jeśli idzie o ścisłość, potomkiem



białego mężczyzny i Mulatki. I przyjacielem Briana.

Brian wyrzucał sobie, że do owczarni w Glangowness wpuścił wilka z Meksyku i znad Sommy.

– Gdyby nie ja, ten odrażający osobnik nigdy nie dostałby się do naszego środowiska i nikt nie wpadłby na to, że jest synem Jeremiasza Finkelsteina. To moja wina. To wszystko przeze mnie.

Więc z kolei jego pocieszałem. Ale jemu także nie odważyłem się powiedzieć tego, co myślałem: że gdyby Pandora nie uciekła z Simonem, to pewnie uciekłyby z innym. Zaczynałem podejrzewać, że zamiłowanie do sekretów i tajemniczych przygód jest u sióstr O'Shaughnessy silniejsze od wszystkiego.

– I jeszcze ta różnica wieku! – lamentowała Hélène, siedząc w salonie na czerwonym pufie pod palmą. – Czy zdaje pan sobie sprawę, że ona ma szesnaście lat! Szesnaście lat! To przecież dziecko. Och, ten potwór! Wykorzystać dziecko! I to córkę przyjaciela, który tyle dla niego zrobił!

I znów się rozplakała. Nie wiedziałem, co robić. Wstałem, poklepałem ją po ramieniu. Sytuacja na pewno nie wyglądała cudownie, ale jakoś trudno mi było wyobrazić sobie, żeby miała oznaczać zupełny koniec świata. Ponadto miałem tę zasługę, że zachowywałem, przynajmniej pozornie, spokój i starałem się, na ile to możliwe, brać w obronę Simona, choć z wielu czysto osobistych względów romans Pandory na pewno mnie nie uszczęśliwił.

Winston Churchill zaprowadził trochę ładu w głowach O'Shaughnessych. Zdecydowanie odradził wytaczanie procesu o uwiedzenie nieletniej. Zamiast ujawniać skandal, bo to był skandal, należało raczej spróbować go zatuszować.

– Czy przypomina pan sobie – zwrócił się do mnie, gdy przez chwilę znaleźliśmy się sami pod portretami rani i generała wojsk indyjskich – jak wielkie wrażenie zrobiła Pandora, jeszcze jako mała dziewczynka, na Benjaminie Disraelim, to znaczy Jeremiaszu Finkelsteinie? Wcale mnie nie dziwi, że syn przejął pałeczkę po ojcu, tyle że zrobił to z większym wigorem.

Sławny człowiek trochę mnie onieśmielał. Miał oczywiście rację. Pospiesznie wybąkałem kilka słów potwierdzenia. Z przyjaznym

pomrukiem położył mi dłoń na ramieniu. Przypuszczam, że to on przekonał swoich przyjaciół O'Shaughnessych, by powierzyli mi misję sprowadzenia córki marnotrawnej na łono rodziny, do Glangowness.

Wcześniej jednak należało powiadomić Romerów. Pojechałem z Brianem O'Shaughnessym do Londynu. Trochę żałuję, że powodowany dyskrecją odmówiłem udania się z nim do ambasady Argentyny. Wieczorem opowiedział mi, że spotkanie z Jego Ekszelencją oraz Rositą byłoby nawet i zabawne, gdyby nie to, że jemu również towarzyszyły potoki łez. Rosita załamywała ręce, zadając sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby Brzdąca nigdy nie odnaleziono. Aureliano sprawiał wrażenie zdruzgotanego: ze smutkiem mówił o katastrofalnym przykładzie, jaki szwagier daje jego synom. Przypuszczam też, że ambasador hamował się, by nie wypomnieć Brianowi, że to w końcu on, który wygrzebał eks-Brzdąca gdzieś z błota nad Izerą, pośrednio popchnął go w ramiona córki.

Carlos był jak zwykle zaprzątnięty wykładami na Oksfordzie i przygotowaniem do kongresu w Madrycie. Javier i Luis Miguel – skądinąd o kilka lat ode mnie starsi – wydawali się za młodzi, żeby brać ich pod uwagę. Sztab powołany przez załamanych Romerów i zapłakanych O'Shaughnessych poparł decyzję Churchilla i do pomocy w odzyskaniu Pandory przydzielił mi Agustína. Słuszniej byłoby powiedzieć, że mimo pasowania mnie na rycerza przez ostatniego z rodu Marlborough to raczej ja zostałem przydzielony do pomocy Agustínowi. Zresztą, cóż bardziej oczywistego? On – po Brianie – był najbliższym przyjacielem Simona i jedyną osobą zdolną mu przemówić do rozsądku.

– Ale czy pan myśli – dopytywał się Brian – że zdoła odnaleźć pańskiego wuja?

– Jestem tego pewny – odparł Agustín.

– Pan coś wie! – zawołał Brian tknięty nagłym podejrzeniem.

– Absolutnie nic.

– Skąd więc ta pewność, że się panu uda?

– Mam swoje powody – odrzekł Agustín z rozbijającą skromnością.

Nasza włoska przygoda pozostawiła mi po sobie niezatarte wrażenie. Przyjechaliśmy obaj do Wenecji nie jako turyści, lecz jako

detektywi. Nie rzuciwszy nawet okiem na Frari czy San Zanipolo, odbywaliśmy długie narady z hrabiną Wrońską, z Javierem i Luisem Miguelem, z Atalantą. Dzieciom, które i tak wszystko rozumiały, kazano wyjść. Z wyżyn swoich dziesięciu czy dwunastu lat Jessica z błyszczącymi oczami pytała wszystkich głośno, czy może z nami pojechać, mnie zaś szeptała na ucho, że wie o mnóstwie rzeczy.

– Posłuchaj, Jessico – powiedziałem, kładąc jej ręce na ramionach. – Prawdę mówiąc, to nie jest sprawa dla ciebie.

– Bardzo bym wam pomogła, wiesz. Znam dobrze Pandorę. Mam własne domysły na temat...

– Na jaki to temat? – zapytałem z uśmiechem.

– Powiem ci, jak mnie ze sobą zabierzesz.

Popatrzyłem na nią rozbawiony: już i jej zaczynało się udzielać szaleństwo sekretów.

Bardziej poważne rozmowy odbywałem z hrabiną Wrońską i bliźniakami. Nie dysponowaliśmy żadnym tropem. Nie chcieliśmy mieszać w to policji. Co robić? Agustín zachowywał kamienny spokój.

– Bez obaw, droga pani – mówił do sędziwej damy. – Wszystko będzie dobrze.

– Sprowadzi ją pan? – pytała Marie Wrońska.

– Na pewno – odpowiadał Agustín.

Kiedyś hrabina Wrońska uważała ohydneho uwodziciela za człowieka czarującego. Teraz za czarującego uznała detektywa prowadzącego śledztwo. Moja słabość do Wrońskich rosła z każdym dniem.

– Wyjeżdżamy – oznajmił mi Agustín.

– Ale dokąd?

– Zobaczysz.

Zgodziłem się.

Opuściliśmy Wenecję za kierownicą bugatti czy hispano-suizy, już dobrze nie pamiętam, którą młody Romero wypożyczył ze stajni wyścigowej w Weronie. Wyruszyliśmy jak Tankred, jak Boemund, jak Gotfryd z Bouillon na wojnę z niewiernymi. Była wczesna jesień. Przepiękna pogoda. Jechaliśmy przez Ferrarę, przez Bolonię, przez Florencję, ale niczego nie widzieliśmy. Szukaliśmy księżniczki

uprowadzonej przez smoka.

W Rzymie Agustín na trochę mnie zostawił.

– Słuchaj – powiedział – muszę się spotkać z paroma osobami. Pochodź sobie, zajrzyj do muzeum, poderwij jakąś dziewczynę, rób, na co masz ochotę. Spotkamy się o siódmej u stóp Schodów Hiszpańskich.

Co miałem robić? Wspiąłem się na Awentyn i Kapitol, pospacerowałem po Forum. Nie byłem Brzdącem: nie wpadła mi w ramiona żadna dziewczyna. Punkt siódma, trochę zły, ale zachwycony znalazłem się na placu Hiszpańskim. Agustín już na mnie czekał.

– Kłapa – oznajmił. – Jedziemy.

– Dokąd? – zapytałem zaskoczony.

– Do Neapolu. Byłem idiotą, od tego powinniśmy byli zacząć. Myślałem, że będę mógł obejść hierarchię i pójść na skróty. Trzeba zaczynać od początku.

Niewiele z tego zrozumiałem. Nie zdążył jeszcze wstać dzień, a my już byliśmy w Neapolu. Przespaliśmy dziesięć godzin w cudownym hotelu z widokiem na port Santa Lucia, naprzeciwko zamku dell'Ovo.

– Nie mam jednak szczęścia – budząc się, powiedział Agustín. – Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, jest piękna pogoda, wszystko urocze, chciałbym pospacerować, pójść popływać i zawsze jestem sam.

– Nie jesteś sam – zaprotestowałem słabo.

– No wiesz... Rozumiesz... Jesteśmy bez dziewczyn.

– Właśnie jednej szukamy – przypomniałem.

Jeszcze tego samego wieczoru w wielkim domu na przedmieściu Neapolu z nieufnością i ciekawością zawierałem znajomość z Zero Sant'Archangelem.

Po wstępnych uprzejmościach Agustín oświadczył:

– Chciałbym wiedzieć, gdzie się podziewa Simon.

– Zgubiłeś go? – zapytał Sant'Archangelo.

– Nie wiem, gdzie jest – powiedział Agustín.

– Nie powiedział ci, dokąd się wybiera?

– Tego mi nie powiedział.

– Może nie chciał, żebyś wiedział?

– Słuchaj, tu chodzi o dziewczynę – rzekł Agustín. – Ten dureń wyjechał z Angielką, która ma piętnaście czy szesnaście lat. Narobiło się

z tego rejwachu jak sto diabłów. Jeśli go nie znajdziemy, trzeba będzie puścić za nim policję. A tego lepiej uniknąć, sam rozumiesz.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział wolno Zero, pocierając dłonią podbródek. – Ale nie bardzo mi się to podoba.

– Nie proszę cię o wiele. Tylko żebyś się dowiedział, gdzie jest.

– I co potem?

– Potem już sobie poradzimy. Przysięgam ci, że nie będzie policji ani skargi, ani żadnych represji, nic. Słyszysz? Żadnej policji. Pogadam tylko z Simonem, to wszystko. Ale muszę wiedzieć, gdzie go znaleźć. Pomyślałem, że tobie łatwo będzie go namierzyć.

– Czy łatwo, to nie wiem. Na pewno jest to możliwe.

– Tak też pomyślałem.

– I sądzisz, że Simon będzie zadowolony, że bawię się dla ciebie w szpicla?

– Wiesz, co ci powiem? Jestem prawie pewny, że będzie się z tego śmiał.

– Ach, co do tego, to może masz i rację.

Zero Sant'Archangelo pilnował się, żeby niczego nie obiecywać. Ale kiedy wracaliśmy do naszego luksusowego hotelu, Agustín sprawiał wrażenie raczej spokojnego; był pewny, że machina zostanie puszczone w ruch.

– Co robimy? – zapytał mnie na tarasie kawiarni, na którym w przepiękającym nadal słońcu piliśmy białe wino. – Zostajemy tutaj czy wyjeżdżamy?

– A co tu można robić? Równie dobrze możemy poczekać w Rzymie albo w Wenecji.

– Dlaczego w Rzymie? – zapytał Agustín.

– Wydaje mi się, że Pandora miała wielką ochotę zobaczyć Rzym i Florencję.

– Dobrze, więc jedźmy do Rzymu. Może tam są. Zobaczymy. Wyobrażam sobie, że tak czy inaczej ukryli się gdzieś we Włoszech. Przez jakieś pięć, sześć dni poczekamy na wieści na Kapitolu. A później, jeśli się nic nie zdarzy, wrócimy do Wenecji.

W Rzymie padało. Zatrzymaliśmy się w Excelsiorze na rachunek świętej pamięci Conchity i Jeremiasza, którzy z za światów z pewnością

śledzili wszystkie te wydarzenia – ona z gniewem, on z rozbawieniem. Zaliczyliśmy Kaplicę Sykstyńską, muzeum w Watykanie i Forum wyłaniające się z ziemi pod twardą ręką Mussoliniego.

– To już szczyt wszystkiego – powiedziałem do Agustína. – Ten przeklęty Simon niechcący przyczynia się do ukulturalniania Plessis-Vaudreuilów i Romerów.

– Faktycznie – odrzekł Agustín. – O ile pamiętam, to raczej do niego niepodobne.

Któregoś wieczoru, w cztery czy pięć dni po naszym przyjeździe, po powrocie do hotelu wpadliśmy na siwowłosego mężczyznę o pięknej prezencji, dość wysokiego i tęgiego, który przedstawił się nam jako *commendatore* czy *avvocato* Luigi d'Acosta czy Da Costa.

– Jestem przyjacielem Sant'Archangela – powiedział. – Polecił mi dowiedzieć się, czy panowie czegoś nie potrzebują.

– A, może się więc razem napijmy – zaproponował Agustín.

Usiedliśmy z trzema szklaneczkami whisky, które wkrótce zamieniły się w sześć i zaraz potem w dziewięć. *Commendatore* czy *avvocato* bardzo narzekał na panującą aktualnie w Rzymie pogodę.

– Sant'Archangelo polecił mi panom powiedzieć, że bardzo pięknie jest na Capri.

– Gdzie? – zdziwił się Agustín.

– Na Capri. To taka mała wysepka naprzeciw Neapolu.

– Wiem – odrzekł Agustín.

Spędziliśmy wieczór w towarzystwie *commendatore*, który zabrał nas do trattorii na tyłach Panteonu, gdzie funghi porcini i funghi trifolati były również częścią narodowego dziedzictwa.

– Wracamy, skąd przyjechaliśmy – szepnął do mnie Agustín, kiedy *commendatore* płacił rachunek.

Następnego dnia pogoda była piękna, my zaś znaleźliśmy się z powrotem w Neapolu.

– Byłem idiotą – po raz piąty czy szósty powtórzył Agustín, kiedy przeprawialiśmy się małym stateczkiem kabotażowym przez zatokę między Neapolem a Capri. – Byłem idiotą. Mogłem od razu się domyślić, że zabierze ją na Capri.

I opowiedział mi, że zanim spotkali w Reggio Sant'Archangela,

zwiedzali razem z Simonem okolice Neapolu i amalfijskie wybrzeże, i Simon był urzeczony pięknem tych stron. I że przyjechał tu z młodą angielską modelką, która nie pozostawiła mu po sobie żadnego niezatartego wspomnienia. Marzył, żeby wrócić jeszcze kiedyś – „z dziewczyną, rozumiesz, ale z dziewczyną... no, wiesz...” – nad te czarowne, rajske, jak uważał, brzegi.

– Kiedy o tym mówił – ciągnął Agustín – miał taką dziecinną minę, co było do niego zupełnie niepodobne. Jakby go rozświetlało jakieś wewnętrzne światło. Mulat w uniesieniu zamienił się w rozmarzonego anioła. Dobry Boże! Byłem idiotą.

Wraz z pozostałymi pasażerami wysiedliśmy na ląd w Marina Grande. Zaczynała się jesień. Wszyscy już wyjechali. Była przepiękna pogoda. Nieliczne domy nad zatoką z obu stron otaczały wysokie skały. Dopiero później miałem poznać nazwy takie jak Anacapri czy pałac Tyberiusza.

Nie była to jednak stosowna chwila na turystykę czy historyczne obrazy. Byliśmy kimś w rodzaju prywatnych, bardzo prywatnych detektywów, mających do wypełnienia dość szczególną misję. Wsiedliśmy z naszymi skromnymi bagażami do samochodu i ruszyliśmy do Capri.

– I co ty o tym myślisz? – zapytał mnie Agustín.

Co myślałem? Że Simon i Pandora mieli rację, rzucając wszystko dla tych miniaturowych domków w otoczeniu scenerii na miarę olbrzymów. Raptem tknęła mnie dość niemiła myśl.

– Bardzo ładne – odpowiedziałem szybko.

Odnalezienie Mulata w towarzystwie młodziutkiej jasnowłosej dziewczyny na tej wyspie, gdzie wszyscy wszystkich znali, nie powinno nastęrczyć większych trudności. Przez trzy dni wypytywałem sklepikarzy, portierów w hotelach, właścicieli trattorii. Parokrotnie jakiś zaganiany kelner czy wesoła, cała w pąsach dziewczyna donosili nam, że widzieli parę jak dwie krople wody podobną do naszych zbiegłych kochanków.

– Tylko żeby nie wyjechali – powiedział Agustín.

– Niby dokąd?

– Nie wiem. Do Istambułu, do Pekinu, na Tahiti. Ziemia jest

okrągła.

– No cóż, mamy przed sobą całe życie, ich i nasze – odrzekłem. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby objechać świat w pogoni za nimi na koszt rodziny twojej i O’Shaughnessych.

– Mieliby dzieci i wnuki rozsiane po całej planecie. A my byśmy ich wciąż szukali.

– Może sami byśmy już nie wiedzieli, dlaczego wyjechaliśmy ani czego właściwie szukamy.

– W końcu by umarli. I my też.

– A nasze i ich życie stałoby się samym tylko polowaniem, pozbawionym już jakiegokolwiek sensu.

Śmialiśmy się. Śmialiśmy się. Przypuszczam, że się śmiałem. Słońce nadal przygrzewało. Krążyliśmy po wyspie pośród mącznic, drzew mastyksowych i złotowłosu, zwiedziliśmy łodzią grootę Morskiego Bawołu, w której z hukiem rozbijają się fale, i tę przeklętą starą grootę Lazurową, gdzie... etc., etc.

– Musimy w pierw objechać wszystkie najbardziej uczęszczane miejsca. W końcu tam właśnie ludzie najczęściej się spotykają.

– Musimy – zgodził się Agustín, wyciągnięty na dnie łodzi, z dłonią zanurzoną w jesiennej, nadal ciepłej wodzie.

Rozstawiliśmy na całej wyspie sztafetę posterunków bojowych z płatnymi najemnikami, którzy mieli informować nas o wszelkich ruchach nieprzyjaciela. Naszymi ludźmi byli: kelner z kawiarni na Piazzetcie, strażniczka z willi w San Michele w Anacapri, przewodnik z pałacu Tyberiusza, dwóch hotelowych portierów. Ale oczywiście to nie oni wydali nam zbiegów, tylko przypadek, potężniejszy od ludzi.

Jeżeli zdarzyło wam się kiedyś spędzić, w spokojniejszych, mam nadzieję, okolicznościach, kilka dni na Capri, to może pamiętacie cypel Tragara. Obeszliśmy raz jeszcze z Agustínem Piazzettę i uliczki Capri i przygotowując plany batalii, pełną aromatów drogą schodziliśmy właśnie w dół ku przylądkowi Tragara, kiedy nagle na tle błękitu morza i nieba (wybaczcie tę malowniczą przesadę i koloryt lokalny, który tuszuję jak mogę) zarysowały się przed nami nagie i wyraźne masywy trzech skał Faraglioni. Agustín odwrócił się do mnie.

– No?



– A tak... rzeczywiście.

Podchodziliśmy coraz bliżej trzech najślawniejszych na świecie – obok Gibraltaru, Głowy Cukru w Rio de Janeiro, Scylli i Charybdy, Grand-Bé wicehrabiego de Chateaubrianda i oczywiście Hongkongu – skał morskich. Powoli zaczynaliśmy dostrzegać coraz więcej szczegółów. Było tu trochę rybaków i nielicznych plażowiczów; poza tym wybrzeże było niemal puste. Z występu skalnego jednej Faraglioni ktoś skakał do wody. Na skale siedziała młoda kobieta twarzą zwrócona ku słońcu. Podeszliśmy bliżej. Pływak był bardzo śniady. Młoda kobieta jasnowłosa.

– Patrz! – powiedział Agustín, ściskając mnie za ramię.

– A co innego robię? – odpowiedziałem szorstko.

– Chyba ich mamy!

– Tym lepiej.

Brzdąc skoczył do morza, rozpościerając ramiona niczym anioły na murach kościołów opadające ku Abrahamowi. Po czym energicznie zaczął płynąć. Widzieliśmy, jak w dole toruje sobie drogę w burzy piany. Podpłynął do skały, wdrapał się na nią zwinnie jak małpa i obserwował teraz wyspę i morze. Pandora podniosła się i zamachała ręką. Zakończenie naszej misji napełniło mnie satysfakcją mniejszą, niż mógłby pomyśleć postronny obserwator. Wieczorem wszyscy czworo zjedliśmy kolację w trattorii w Marina Piccola.

– No cóż, najważniejsze to uniknąć dramatów i moralizowania – powiedział Finkelstein.

Co do tego wszyscy byliśmy zgodni. Pandora ujęła go za rękę. Sporo wypiliśmy: butelka lambrusco, *fiasco* lacrima christi i jeszcze jedna wina z Wezuwiusza. Mimo wuja Simona, który młode lata miał już dawno za sobą, acz duchem i temperamentem nadal pozostał młody, może nawet za bardzo, średnia wieku była niska. Wieczór był bardzo wesoły.

– Pamiętasz – zwrócił się Finkelstein do Agustína – jak byliśmy tu we dwóch i żalowaliśmy, że tylko we dwóch?

Agustín w odpowiedzi niewyraźnie coś mruknął. Uwaga Simona była trochę nietaktowna.

Kiedy późną nocą wracaliśmy – Simon i Agustín kilka kroków

przed nami – Pandora uwiesiła się mojego ramienia.

– No, cóż – powiedziałem – sprytne to.

– Bardzo sprytne – odrzekła. – A nawet lepiej.

– Ile ty masz teraz lat?

– Szesnaście – powiedziała. – Albo coś koło tego. Czy to nie cudowne?

– Bardzo – odrzekłem. – Ale co zamierzasz zrobić?

– To ostatnie pytanie, jakie sobie zadaję. Człowiek zastanawia się, co robić, kiedy nie jest pewny tego, co robi.

– A ty jesteś pewna?

– Najzupełniej – odpowiedziała.

Przez chwilę milczała.

– Wiesz, jestem bardzo szczęśliwa.

– Cieszę się – odrzekłem.

– Czy jest coś ważniejszego od tego szczęścia, które właśnie odkrywam?

– Musi być jeszcze trwałe.

– Och, Jean – zawołała. – Są sprawy, które trwać będą zawsze.

I co miałem na to odpowiedzieć? Zazdrościłem jej. Zazdrościłem Simonowi. Capri było cudowne, a ja miałem wredny charakter. Na tarasie w hotelu wypiliśmy jeszcze po kieliszku i poszliśmy spać.

Jeszcze nie zasnąłem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przez moment myślałem, że to Pandora. Ale był to Simon. Wszedł.

– Mam problem – oświadczył.

– Wyobrażam sobie – odpowiedziałem sucho.

– I co mam zrobić? – zapytał.

– Co innego. Tak czy inaczej, co innego.

– Wiesz...

– A gdybyśmy tak zamiast zajmować się przez cały czas panem, zajęli się przez chwilę Pandorą?

– Przecież to ona chciała...

– Powspółczuję panu innym razem.

– Dobrze wiesz, że jedyne, na czym mi prawdziwie zależy, to moja niezależność, moja wolność.

Popatrzyłem na niego. Nie brakowało mu tupetu. Miał wdzięk, to

pewne. Ale przede wszystkim miał tupet.

– Więc, co? – zapytałem.

– Cóż, myślę, że trzeba by ją teraz zająć czym innym.

– To znaczy czym? – zapytałem.

– Ja nauczyłem ją życia. Myślę, że dałem jej szczęście. Ale nie ja jeden jestem na świecie.

– Oczywiście... oczywiście... Ale niech mi pan powie, czy dla pana na świecie jest tylko ona?

Teraz z kolei on na mnie popatrzył.

– Bardzo ją lubię – powiedział.

– Bardzo?

Na moment się zawahał.

– Bardzo – powtórzył.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy się na niego nie rzucić.

– Nie masz jakiejś whisky? – zapytał.

Miałem w pokoju butelkę. Zamiast się na niego rzucić i dać sobie rozkwasić twarz, bo był wyższy ode mnie i silniejszy, przyniosłem dwie szklanki. Przez godzinę czy dwie popijaliśmy.

– Widzisz – powiedział – ona mnie kocha, to oczywiste. Ale czasami zastanawiam się, czy rzeczywiście jestem dla niej odpowiedni.

– Faktycznie, można by się nad tym zastanowić – powiedziałem jak najspokojniej.

– Trochę ze mnie Murzyn, trochę Żyd...

– To akurat nie jest najważniejsze.

– Sporo przeżyłem, jestem dla niej za stary...

– O, może o tym należało pomyśleć...

– Myślałem. Ona mówi, że nie.

– A pan? – zapytałem. – A pan? Jak pan uważa?

– Uważam... uważam... uważam, że możesz mi mówić po imieniu.

Był kompletnie zalany. Ja też. Już od dawna się nad sobą litowałem. Litowałem się też trochę nad nim. Ale przede wszystkim żal mi było Pandory.

– Powinna poznać również innych mężczyzn – podjął.

– Kogoś konkretnego masz na myśli? – zapytałem.

– Ona bardzo lubi ciebie, lubi Agustína, lubi Javiera...

– Ona bardzo lubi mnie, ty bardzo lubisz ją. Wszyscy mamy tylko, jeśli dobrze zrozumiałem, problem z wyborem.

– Pomyślałem sobie... – ciągnął Simon.

– O czym jeszcze pomyślałeś?

– Pomyślałem, że może Javier czy Agustín, czy ty, powinniście...

– Cóż – powiedziałem, wstając – musimy pogadać o tym z Pandorą.

Następnego ranka wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Simona, czuliśmy się nietęgo. Trochę przeholowaliśmy z piciem.

– Mimo wszystko trzeba by pomyśleć o zawiadomieniu rodziny, że cię znaleźliśmy – powiedział Agustín do Pandory. – W końcu przyjechaliliśmy na Capri nie tylko po to, żeby popić i popływać, ale też żeby cię ze sobą zabrać.

– Zabrać dokąd? – zapytała Pandora.

– Jak to dokąd? Do domu – powiedział Agustín.

– Cóż, to prawda! – odezwał się Simon.

– W porządku – powiedziała Pandora.

Miała tę cudowną zaletę, że chwyciła szybko, niemal w pół słowa. Po powrocie do Neapolu Agustín wysłał do Sant' Archangela krótki liścik, do którego kilka słów dopisał Simon – „Oto *grupetto* z Reggio i Neapolu w odtworzonym i poszerzonym składzie...” – a potem, nie bez trudu, zdołał się dodzwonić do ojca, ambasadora. Z punktu widzenia finansowego oraz moralnego prościej było powiadomić Romerów w Londynie niż O'Shaughnessych w Szkocji. Połączenie było kiepskie. Aureliano źle słyszał. Na tyle jednak dobrze, że mógł odetchnąć z ulgą. Zanim rozmowa została przerwana, Jego Ekscelencja zdążył wyrazić – oczywiście „ze wzruszeniem” – Agustínowi i mnie swoją wdzięczność. I dodał, że natychmiast powiadomi Briana i Hélène, oczekujących w Szkocji z niepokojem na wieści z Włoch. Nawet słowem nie wspomniał o Simonie, który, kiedy Agustín do nas dołączył, zrobił lekko roztargnioną minę. Patrzyłem na Pandorę. Twarda z niej była sztuka, jak to się wtedy mówiło.

Dziwna była ta nasza podróż na północ. Tak jakby powrót z podróży poślubnej z akcentami pogrzebowymi. Nie zamierzaliśmy wyrzekać się uroków turystyki. W Rzymie, we Florencji, w pociągu do

Paryża i Londynu Simon, Agustín i ja robiliśmy, co w naszej mocy, by rozładować napiętą do ostateczności atmosferę. Pandora siedziała w kącie, milcząc jak zaklęta.

– Wiesz, kogo przypominamy? – szepnął do mnie Agustín w luksusowym wagonie sypialnym, którym przemierzaliśmy równiny Emilii.

– Karawaniarzy w przebraniu birbantów? Pijaków bladym świtem?

– Raczej dwóch gliniarzy eskortujących zbiegów, z którymi, mimo rozkazów, są zaprzyjaźnieni.

Ani razu nie przyłapałem Pandory na tym, żeby płakała. Ale przez całą podróż z Neapolu do samego Londynu była bliska łez. Już w Glangowness i w Wenecji często wspominała, że bardzo by chciała poznać Florencję. Chcąc spełnić przynajmniej to jej życzenie, spędziliśmy dwie noce w Fiesole. Podczas naszego krótkiego pobytu nad Arno Agustín i ja nagle odkryliśmy, że mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia, więc Pandora i Simon spacerowali po Florencji sami. Brzdącowi oczywiście nie spodobało się Duomo, brama Baptysterium też nie wystarczyła, by nawrócić go na florenetyńską sztukę. Za to w pałacu Medyceuszy uznanie w jego oczach znalazł barwny orszak Trzech Króli, gdzie w postaci Baltazara rozpoznał siebie. Większość darowanego im czasu spędzili w ogrodach Boboli; doszli aż do górującego nad całym miastem kościoła San Miniato al Monte, którego nazwa później oraz w innych okolicznościach miała stać się tak mi swojska. O czym rozmawiali, nie wiem. Chyba o niczym specjalnie wesołym. Ale kiedy na Piazza della Signoria przed Palazzo Vecchio znów ich spotkaliśmy – parę dość dziwną: on w średnim wieku, ona jeszcze prawie dziecko, on śniady, mroczny i kędzierzawy, ona olśniewająco jasna blondynka – szli, trzymając się za ręce.

W pociągu do Paryża przy wtórze stukotu kół powracały do mnie obrazy z ostatnich dni. Były w nich gorycz i słońce. Wenecka Dogana di Mare w przepięknym obramowaniu obu kolumn Piazzetty, zamek dell'Ovo w Neapolu, Faraglioni na Capri, rzymski Kapitol, Ponte Vecchio we Florencji, przydrożne cyprysy – wszystko to jaśniało pełnym blaskiem. Przymknąłem oczy. Zasnąłem. Słońce zasnuł jakiś groźny cień; był to cień Mulata. Pandora wpatrywała się w niego na skałach

Tragary i śmiała się w jego ramionach. Nagle uśmiech zastygł jej na ustach. Rozbudziłem się gwałtownie, spocony i z bijącym sercem. Pandora siedziała obok, zapatrzona przed siebie. Zadałem sobie pytanie, o czym myśli.

Naturalnie, sporo się śmialiśmy. Poszliśmy we czworo do wagonu restauracyjnego zjeść kolację i napić się jeszcze szampana. Agustín opowiadał o swoich samochodach i wyścigach. Wspominali z Simonem wspólne przygody. Pandora milczała. Wyglądałem przez okno na małe włoskie wioski, przesuwane się przed naszym wzrokiem i znikające w ciemnościach.

Myślę, że już wtedy zadawałem sobie pytanie, jaka przeszłość mogła doprowadzić do tego, co aktualnie przeżywaliśmy. I zachwycił mnie ten świat, tak cudownie zabawny i tak cudownie okrutny. Rozmyślałem nie tylko o przeszłości. Zastanawiałem się też nad tym, co szykuje nam przyszłość. Opuściliśmy wagon restauracyjny odprowadzani spojrzeniami gości skierowanymi głównie na Pandorę, milczącą i promienną. Wróciliśmy do naszego przedziału.

Przed pójściem spać jeszcze chwilę posiedzieliśmy razem. Gawędziliśmy o tym i owym: o kryzysie gospodarczym, triumfie faszyzmu, Republice Weimarskiej, dymisji Poincarégo i awansie Tardieu. Pandora usnęła. Czuję jej głowę opartą na moim ramieniu. Milczałem. Siedziałem nieruchomo. Potem wziąłem ją na ręce i zaniósłem na przygotowaną właśnie kuszetkę.

W pociągu, który zagłębiał się w noc, by przejechać Alpy, Simon i Agustín na korytarzu zdawali się zawzięcie o czymś dyskutować. Podeszedłem do nich.

- Tak będzie lepiej – mówił Agustín.
- Co będzie lepiej? – zapytałem.
- Że nie pojawię się jak ten kwiatek w salonach ambasady albo na polowaniu w Glangowness – odparł ze śmiechem Simon.
- Wypadłoby to dość niezręcznie – rzuciłem krótko.
- Radziłem właśnie Simonowi, żeby wysiadł w Paryżu – wyjaśnił mi Agustín.

– A Pandora? – zapytałem. – Czy ktoś tu bierze w ogóle pod uwagę Pandorę?

– Przecież wy jesteście – powiedział Simon. – Na szczęście, wy jesteście.

– Na szczęście – powtórzyłem.

– I co zamierzasz zrobić potem? – zapytał Agustín Simona, patrząc mu prosto w oczy.

– Przecież wiesz, że nigdy nie zastanawiam się, co będę robił potem – odrzekł na to Simon.

Niemal identyczną odpowiedź usłyszałem na Capri od Pandory. Siła, szczęście, a być może niebawem też i nieszczęście Pandory i Simona brały się z ich umiejętności życia wyłącznie dniem dzisiejszym. Nigdy nie oglądali się, tak jak ja, za siebie. Tak samo nigdy nie planowali przyszłości, jak na przykład Carlos Romero. I jedno, i drugie brało życie takim, jakie jest. A kiedy obracało się przeciwko nim, ani myśleli się skarżyć. Pandora nie skarżyła się. Simon grał swoją rolę z absolutną naturalnością. Być może ta właśnie odwaga, czy, jak kto woli, ślepotą, ta obojętność, ta pogarda dla konsekwencji, w której równie dobrze można się było dopatrywać amoralności, zbliżyły ich ku sobie. I pomogły im się rozstać.

Na peronie Gare de Lyon, kiedy Simon i Pandora byli jeszcze w wagonie, nachyliłem się do Agustína:

– Zaczynam wierzyć, że nasz przyjazd sprawił Simonowi ulgę, że niecierpliwie na nas czekał.

– Chcesz powiedzieć, że pomogliśmy mu spławić Pandorę?

– Poniekąd. Zastanawiałem się nawet, czy to nie on sam powiadomił Sant' Archangela.

– Coś takiego! Biedna Pandora!

Oboje pojawili się w drzwiach wagonu. Padał deszcz. Po uludach Mezzagiorno znowu witała nas Północ. Pandora nałożyła ciemny beret na swoje jasne włosy.

– Wyglądasz jak mały żołnierz – powiedziałem ze śmiechem.

– Ach, może dlatego, że idę na śmierć – odrzekła.

Masakra na szczęście nie trwała długo. Nie mogliśmy powtarzać na każdym etapie ceremonii pożegnania. Wszystkim mnóstwo czasu zajęło mówienie sobie „do widzenia” już na Capri, w Neapolu, w Rzymie, we Florencji. W Paryżu sprawy potoczyły się błyskawicznie. Simon

schwycił swoją walizkę, przywołał taksówkę, odwrócił się, uniósł rękę. Pandora stała nieruchomo na skraju chodnika. Jej pierwsza miłość już znikła. Wydawało mi się, że słup soli w berecie lekko pobladł na twarzy.

Nikt jeszcze i nigdy nie hołubił żadnej kobiety tak jak my obaj Pandorę w jesiennym Paryżu dotkniętym kryzysem. Znów była naszą siostrzyczką, naszą małą dziewczynką. Próbowaliśmy ją oszołomić szampanem i kalamburami. Agustín z jednej strony, ja z drugiej otaczaliśmy ją względami i wesołością na zawołanie. Śmiała się, żeby nam sprawić przyjemność.

– Podobno – powiedziałem do Agustína – toreadorzy zmuszają śmiertelnie rannego byka, żeby się kręcił wkoło. To my jesteśmy takimi ponurymi toreadorami z maleńkim byczkiem.

Agustín przypominał sobie jakąś restaurację niedaleko Madeleine, w której kiedyś, w dniu wyścigów, jadł obiad z rodzicami. Bez większego trudu ją odnalazł i z wybiciem godziny ósmej czy ósmej trzydzieści wkroczyliśmy naszą trójką do Larue. Z wszystkimi tymi wspomnieniami, tłoczącymi się w naszych głowie, nie było mowy, żeby pójść wcześniej spać. Zaprowadziłem naszą grupkę do Boeuf sur le Toit – która przed kilkoma laty przeniosła się z rue Boissy-d'Anglais na rue de Penthièvre – gdzie spotkaliśmy Jeana Cocteau, Georges'a Aurica, Gastona Gallimarda i wielu innych oraz, jakkolwiek może się to wydawać dziwne, marszałka Lyauteya. O ile pamiętam, był też chyba Jacques Doucet, ale pamięć musi mi płatać figle, bo niedawno Javier Romero zwrócił mi uwagę, że ten krawiec i miłośnik sztuki wtedy już nie żył. Znałem trochę Georges'a Aurica, który kilka razy gościł w Plessis-lez-Vaudreuil. Szykował się już do wyjścia, ale podszedł do naszego stolika i zamienił z nami kilka słów.

– A w tej ślicznej dziewczynie to pewnie obaj się kochacie? – powiedział.

– No pewnie – odrzekł Agustín. – Ale ona kocha tego trzeciego.

– A kto go nie kocha! – zawołał Auric, unosząc ręce w górę. – Kto go nie kocha! Wszystkie piosenki o tym mówią, wszystkie wiersze Heinego i wszystkie nasze dramaty.

To ja zawiozłem Pandorę do Glangowness. W końcu Agustín był jednym z Romerów i najbliższym przyjacielem obrzydłego Mulata.



W oczach naszych Montekich wszystko, co miało związek z Romerami, odgrywało rolę Kapuletów. Ja byłem chyba jedynym z przyjaciół Pandory, który w Glangowness mógł zostać potraktowany łaskawie.

W samochodzie wiozącym nas ze stacji do zamku ująłem dłoń Pandory.

– W porządku? – zapytałem, nie bawiąc się w piękne słówka.

– W porządku.

– Jeszcze trochę odwagi. Czeka cię trudna przeprawa. Ale potem będzie już po wszystkim.

– Po wszystkim? – powtórzyła Pandora.

– To znaczy... chcę powiedzieć... będziesz mogła robić, co zechcesz.

– Najbardziej tęsknię...

Zawahała się.

– Najbardziej tęsknisz...?

– Za jego ciałem – powiedziała Pandora.

Znów znaleźliśmy się na żwirze, który chrząścił pod kołami, ostatni zakręt przed podjazdem, kilka kamiennych schodów. Brian już czekał. Schwycił córkę w ramiona.

Odbyło się kilka dość dziwnych posiłków, które wspominam z zażenowaniem. Coś spowolnionego i wyważonego, przypominającego połączenie żałoby dworskiej, rekonwalescencji w Szwajcarii oraz wdzięczności wobec poczciwego bernardyna z flaszką sznapsa na szyi – czyli mnie. Hélène okazywała mi bezgraniczną wdzięczność i trochę mnie unikała; byłem świadkiem wydarzeń, o których lepiej było zapomnieć.

Potem z Wenecji przyjechała Marie Wrońska z Atalantą, Vanessą i Jessicą. Mówiło się o odseparowaniu na pewien czas Pandory od sióstr. Zupełnie jakby chodziło o odmianę jakiejś zaraźliwej choroby, przed którą lepiej chronić małe dzieci. Na szczęście zdrowy rozsądek zwyciężył i O'Shaughnessy zrezygnowali z poddania kwarantannie odzyskanej córki marnotrawnej. Zakon Królewskiego Sekretu przeobrażony pod wpływem życia, miłości, doświadczenia i smutku znów funkcjonował w najlepsze. W oczach oczarowanych sióstr Pandora cieszyła się niezrównanym prestiżem. Wydawało im się, że nareszcie wzięły rewanż na okazujących im lekceważenie Romerach. Oczywiście,

w odwiecznej walce z klanem chłopców dziewczęta nie miały szans. Ale przynajmniej zmusiły ich do uznania swego istnienia.

Hrabina Wrońska okazywała mi wiele uprzejmości. W końcu to ja z pomocą Agustína zażegnałem skandal i wszystko załatwiłem. W czasie gdy Pandora, pół dziecko, pół femme fatale, gawędziła z sir Winstonelem lub podejmowała podwieczorkiem przyjaciółki, swoje rówieśnice, które wciąż jeszcze myśl o balach napelniała rozmarzeniem i którym rodzice pozwalali, aczkolwiek niechętnie, przyjeżdżać do Glangowness wyłącznie przez snobizm silniejszy od obawy przed skandalem i bez mała diabłem – „Murzyn! Córka lorda Landsdowna uciekła z Murzynem!” – ja w towarzystwie hrabiny Wrońskiej spacerowałem po alejkach, po oranżerii i pod wielkimi drzewami Glangowness.

– Jak szybko upływa życie! – mówiła. – Zobacz pan, zobaczy. Przez długi czas człowiek wyobraża sobie, że jest autorem dramatu, aż tu nagle okazuje się, że jest już tylko widzem.

– Widzów takich jak pani, madame, mógłbym słuchać całymi godzinami.

– Jaki pan miły. Nie jest panu nudno spędzać czas z taką starą kobietą jak ja?

– Wrońscy nigdy mnie nie nudzą. A panią wprost uwielbiam.

– Mimo to czuję się trochę winna. Czasami zastanawiam się, czy to przypadkiem nie z mojego powodu Pandora jest taka, jaka jest.

– Jest piękna – powiedziałem.

– Uroda to być może tylko zapowiedź niedoli.

– Wydaje mi się, że pani ukochany Stendhal twierdził coś dokładnie odwrotnego: że piękno to obietnica szczęścia.

– Piękno... Piękno... Widzi pan, tym, co się liczy, nie jest piękno ani szczęście, ani może nawet nie nieszczęście. Ważne jest, by zrobić coś ze swoim życiem; żeby pozostał po nim trwały ślad we wspomnieniu i w sercu.

Kilka miesięcy później w Covent Garden odbyło się galowe przedstawienie *Nabucco* Verdiego. Obecni na nim byli król Jerzy V, królowa Mary i wielu ministrów oraz byłych ministrów. Był Baldwin, Ramsay Mac Donald i oczywiście Winston Churchill. Hrabina Wrońska poprosiła, bym jej towarzyszył. Odniosłem niejasne wrażenie, że

dostępuję najwyższej nagrody. W końcu trudno było w podzięcie za moją lojalną służbę wetknąć mi do ręki czek albo posłać kwiaty.

Muzyka Verdiego ogromnie hrabinę wzruszyła. Napływały do niej fale wspomnień. A wspomnienia Marie dla mnie oznaczały marzenia. Po chórze niewolników, w ogromnej loży, którą zajmowaliśmy tylko my dwoje, odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Wszyscy jesteśmy niewolnikami.

– Niewolnikami innych – odrzekłem. – I niewolnikami samych siebie.

– Tak, tak to mniej więcej jest. Namiętności innych i nasze własne namiętności. Szaleństwa innych. I nasze własne szaleństwo.

## Rejs na wyspy

Mijały lata; a cóż innego robią? Historia świata biegła swoim torem: po zimie przychodziła wiosna, po lecie – jesień. W tę ciągłość wślizgnęła się jednak zmiana. Świat nagle zauważył, że w ciągu dwudziestu, trzydziestu lat zmienił się bardziej niż dotąd przez całe wieki. Przed tabernakulum kościoła Sacré-Coeur w Nowym Jorku ojciec Conejedo zainstalował drewniany radioodbiornik, transmitujący kazania wygłaszane w Rzymie po łacinie przez ówczesnie urzędującego Ojca Świętego. Stacja watykańska zarejestrowana została w Międzynarodowym Biurze w Bernie, a jej litery wywoławcze brzmiały: HVJ. H jak Holy See i V jak Watykan. Ponieważ regulamin wymagał trzeciego inicjału, Pius XI osobiście zdecydował: J – dla Jezusa. W Dayton Beach na Florydzie brytyjski kapitan Malcolm Campbell za kierownicą blue birda osiągnął szybkość czterystu kilometrów na godzinę. Agustín, który zdobył właśnie swoim bugatti samochodową Grand Prix Monaco, wyprzedzając Chirona, znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Mermoz odbywał regularne loty nad południowym Atlantykiem. Maryse Hilsz i Maryse Bastié zyskały sławę równą Grecie Garbo, a hydroplan zdaniem znawców miał już wkrótce zdetronizować samolot. Na kronikach filmowych widać było, jak z wdziękiem ląduje, wzbijając trąby wodne i wywołując burzę oklasków. Carlos Romero był przekonany, że rozwój nauki nieodłącznie wiązać się będzie z postępem ducha. Mniej więcej w tym czasie, kiedy w Paryżu otwierano Wystawę Kolonialną, agitatorzy komunistyczni, szybko przywołani do porządku przez Legię Cudzoziemską, siali niepokoje w Północnym Annamie. Nawet w Europie hiszpańska republika Alcali-Zamory, byłego monarchisty i liberała, pod wpływem dyktatury nawróconego na republikańską prawicę, obaliła Alfonsa XIII. Za sprawą jednego z paradoksów, które tak kocha historia, zdetronizowany król, żegnany przez tego, który zajął jego miejsce, znalazł schronienie w Paryżu, w republikańskiej Francji, skąd właśnie wyjeżdżała grupa uchodźców, by zasiąść w rządzie nowej republiki. Do

Azji wyruszyła Żółta Flota. Paryż i Londyn żyły konkursami piękności, pokazami mody, ślubami królewskimi i mieszanymi mariażami – wnuk Clemenceau poślubił prawnuczkę Sary Bernhardt – oraz balami dobroczynnymi. Prasa obwołała córkę Szalapina najpiękniejszą kobietą świata. Nowy niekoronowany król, symbol nowego świata, kawaler Legii Honorowej, zaproszony przez księcia i księżną Westminsteru na kilkudniowy wypoczynek do ich wspaniałej posiadłości w Normandii, mały uśmiechnięty człowieczek z balkonu hotelu Crillon pozdrowiał tłumy przybyłe na Place de la Concorde, by mu zgotować owację. Był nim Charlot.

Upojeni postępem, ogłuszeni wojną, którą wygrali bądź przegrali, przygnębieni kryzysem, inflacją, ożywieni jednak nadzieją na nieograniczony postęp – ludzie nie byli już wcale tacy pewni, że ich los u zarania naznaczony jest przekleństwem. Nauka, prasa, radio, środki przekazu, a zwłaszcza demokracja rozbudziły w nich samoświadomość. Wiedzieli, że nic ich już nie powstrzyma. Wyobrażali sobie nawet, że w dalekiej przyszłości może nareszcie będzie lepiej. Przez długie tysiąclecia wojen i klęsk głodu, nędzy, tortur i ciemnoty świat trwał w bezruchu. Wynaleziono ogień, rolnictwo, miasto. Pojawił się Jezus. Ale wszystko to dokonywało się tak powoli, że zdawać się mogło, iż nic nigdy się nie zmieni. W świecie jednak panował ruch. W ruch wprawiało go cierpienie, okrutna wojna, rewolucja bolszewicka, Czarny Czwartek z października 1929 roku. Tacy jak Hugo, Darwin, Marks, Freud, a niebawem również Picasso byli zwiastunami nowych czasów. Te już nadchodziły.

Na kilka lat straciłem z oczu siostry O'Shaughnessy i braci Romero. Każde z nich podążało własną drogą. Stan zdrowia skazywał mnie na życie w Plessis-lez-Vaudreuil oraz towarzystwo dziadka. Od czasu do czasu docierały do mnie wieści od Pandory lub Atalanty, Agustina czy bliźniaków. Prawdziwie zasmuciła mnie wiadomość o śmierci hrabiny Wrońskiej. W czasach, gdy spojrzenia wszystkich kierowały się ku przyszłości, ona wprowadziła mnie w inny świat – zaczarowany świat fikcji i marzeń, w świat przeszłości. Już nie mojej i moich bliskich z Plessis-lez-Vaudreuil. Ale o znacznie bardziej tajemniczej, być może bardziej urzekającej i mroczniejszej; przeszłości

innych. Od Pandory, która była przy babce w jej ostatnich chwilach w Glangowness, dostałem list. To ona na polecenie umierającej wrzuciła w ogień odpowiedź Hortense Herbignac na list, który przed swym ślubem z Piotrem Wasiliewiczem Wrońskim wysłała do niej z Wenecji Marie de Cossigny. Napisałem do Pandory, że odejście jej prababki bardzo mnie zasmuciło i że z ciekawości, przez pustotę, słabość lub po prostu przywiązanie do tej wyjątkowej kobiety dałbym wszystko, by móc poznać treść ostatniego listu Hortense Herbignac. W odpowiedzi Pandora przysłała mi tych kilka linijek:

Ostatnie słowa Hortense Herbignac do Marie de Cossigny na zawsze przepadły. Już od jakiegoś czasu mama, półsłówkami i jakby ze wstydem, wspominała mi o tym liście. Przypuszczam, że był obelżywy. Lub gorzej, zawierał wzgardliwe przebaczenie pełne smutku i pogróżek. Mam nadzieję, że nie było to przekleństwo obejmujące wszystkich. Prababka zostawiła mi mnóstwo innych papierów, bilecików, zdjęć, z którymi nie bardzo wiem, co zrobić: teraz, kiedy wszystkie te tajemnice powoli się wyjaśniły, przestałam interesować się przeszłością tak namiętnie jak ty. Nie chcę tych świadków, od których nic nowego się już nie dowiem. Boję się ich. Nudzą mnie. Chciałbyś je dostać? Ona tak często mówiła mi o tobie z taką przyjaźnią i zaufaniem, że chyba będziesz najlepszym depozytariuszem tych wspomnień, a możliwe, że i sekretów. Powiedz tylko słowo, a będą twoje.

I tak to najpierw w teczce, potem w szufladzie komody, potem w walizce i na koniec w sławetnym kuferku, który miał mi towarzyszyć aż do San Miniato, zacząłem gromadzić pamiątki po Marie de Cossigny, po Wrońskich, po O'Shaughnessych, a jeszcze później po Finkelsteinach i Romerach. List Pandory zapoczątkowuje żmudny proces, przez długi czas podświadomy i ukryty, drogą licznych archeologicznych znalezisk i rekonstrukcji mający doprowadzić do powstania tych wspomnień o minionych czasach, przez które właśnie wędrujecie.

Czas, jedyny i wieloraki, jest wszędzie. Podczas gdy ja z upodobaniem zagłębiałem się w przeszłość Marie Wrońskiej, nagle tak prostą i oczywistą, ponieważ już zamkniętą, wokół czterech sióstr O'Shaughnessy i czterech braci Romero – których, jak wiecie, było pięciu – świat się nadal kręcił. Zewsząd, z przekłamaniami skłaniającymi

do refleksji nad wartością przekazów historycznych, docierały do mnie pogłoski o Pandorze i jej przygodach, w które sam byłem kiedyś tak blisko zamieszany, a które wracały do mnie teraz z oddali poprzez usta innych, ubarwione przez ich wyobraźnię i fantazmaty. Historia Pandory i Simona sama w sobie była zdumiewająca. Plotki wzbogaciły ją dodatkowo o różne pikantne i od początku do końca zmyślone szczegóły. A to, że Simon Finkelstein, zanim wprowadził młodszą od siebie o dwadzieścia pięć lat Pandorę, był kochankiem – tylko jak i kiedy? – hrabiny Wrońskiej, starszej od niego o lat czterdzieści, a od Pandory o sześćdziesiąt pięć. To znów patentowani donosiciele, jakby nie dość im było mieszania pokoleń, niefrasobliwie mylili Romerów z Wrońskimi, robiąc z Simona brata, wuja czy kuzyna Pandory O'Shaughnessy, choć nie łączyło go z nią absolutnie żadne pokrewieństwo. To jasne, że Simon Finkelstein ze swoją burzliwą przeszłością, śniadą skórą i kędzierzawymi włosami był wcielonym diabłem, który po długiej nieobecności na nowo zawitał na ziemi. Kiedyś Jeremiasz Finkelstein ubolewał, że porzucił obóz buntowników i wyrzutków społecznych dla kapitalistycznych salonów. Syn pomścił go, stając się na powrót małym murzyńskim Żydkiem, ubóstwianym przez Jeremiasza, zanim został porwany i przepadł jak kamień w wodę. Los zrobił z Brzdąca prześladowanego rebelianta, o którym marzył ojciec, kiedy, wzbogacony i wyniesiony w hierarchii społecznej, wpatrywał się w leżącego w kołysce syna. Również Pandora w oczach chrześcijańskich matek i głów bogatych rodów uchodziła za współczesną czarownicę, którą za wszelką cenę należało trzymać z dala od dzieci. Cóż za przykład dawała własnym siostronom! Ile strapienia przysporzyła rodzicom! Sto lat wcześniej jej mały świeatek zamartwiłby się na śmierć na dalekich szkockich wrzosowiskach czy nad jeziorem, po którym pływałyby łabędzie. Dwieście lat wcześniej Pandorę zamknięto by w klasztorze, z którego by już nie wyszła; okrywające ją milczenie od czasu do czasu przerywałyby tylko krzyki Woltera lub płomienne tyrady Diderota. W przededniu Wielkiej Wojny, rewolucji bolszewickiej, marszu na Rzym i krachu gospodarczego, w przededniu przejęcia władzy przez Hitlera, z zamków w Turenii i starych rezydencji West Endu dobiegały jęki, lecz winowajczynie miała się dobrze, pałaszując kolejne

słodczy w towarzystwie pełnych admiracji sióstr. Nawet Brian i Hélène ustosunkowali się na swój sposób do tych wydarzeń, nad którymi ubolewali, i zuchwałego postępu najstarszej córki. Może niejasno przeczuwali, że to tylko początek długiej serii, która dopiero nadejdzie? By stawić czoło przeciwnościom losu, ze swoiście terapeutycznym zapalem udzielali się towarzysko, udając, że mimo skandalu dobrze się bawią.

– Najważniejsze to być głuchym i ślepy – dowodził Brian. – Głuchym, żeby nie słuchać plotek, i ślepy, żeby nie czytać gazet, bo zawsze istnieje ryzyko, że człowiek natknie się w nich na imię ukochanej córki opatrzone jakimś irytującym komentarzem.

Koniec końców, jedyną osobą, dla której cała ta historia okazała się prawdziwym ciosem, była Rosita Romero, żona ambasadora i siostra Simona Finkelsteina: postanowiła umrzeć. Niewykluczone, że ze zgryzoty. W dzieciństwie, w niedługi czas po śmierci swego uwielbianego dziadka Periclesa Augusta, przeżyła kolejny wstrząs, jakim było zniknięcie jej młodszego brata. Kiedy Simon, przybrawszy postać Brzdąca, wrócił, nie posiadała się ze szczęścia. Utrata złudzeń była zbyt bolesna, plotki ze świata zbyt trudne do zniesienia. Pod względem surowości i bezkompromisowości Rosita z niezamierzonym powodzeniem poszła w ślady swojej teściowej, Conchity Romero. Krążyły słuchy, że niedługo po wojnie jeden z bliźniaków, wróciwszy późno w nocy czy nad ranem do domu, ze zdumieniem odkrył w swoim łóżku matkę, która czekając na jego powrót, w nim zasnęła. Postępowanie Simona stało w sprzeczności z wszelkimi zasadami, jakie usiłowała wpoić własnym synom. Prościej było odejść. Pozwoliła, by zabrała ją śmierć. Odejście Rosity Romero zasmuciło mnie z dość szczególnego powodu: nie dlatego, że byłem z nią związany, ale dlatego, że nigdy jej nie spotkałem. Dla kronikarza Romerów i O'Shaughnessych było to zawodowym błędem.

Pogrzeb Rosity Romero był pięknym katolickim ceremoniałem celebrowanym w protestanckiej stolicy. Oczywiście byłem na nim. Obok załamane go ojca stali imponującym rzędem czterej bracia Romero. Najbardziej interesujący stał nieco dalej: kolorowy brat Rosity, obiekt zainteresowania ambasadorów i małżonek parów, odgrywał swoją rolę



szóstego z Romerów bez przesadnej afektacji, ale też i cienia nieśmiałości. Po drugiej stronie nawy czekały mnie inne niespodzianki: zapłakana miss Prism, a przed nią cztery siostry O'Shaughnessy z matką, wszystkie zachowujące się z absolutną naturalnością. Zauważyłem, że Simon Finkelstein kłania się Pandorze, na co ona odpowiada mu uśmiechem. Myślałem o Capri, o Florencji, o przyjeździe na Gare de Lyon. Za tą wymianą uśmiechów krył się cały świat namiętności i cierpienia. Kilka miesięcy później Aureliano Romero wyjechał z Londynu do Buenos Aires, gdzie został szefem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Bracia Romero i ich diaboliczny wuj byli zdani sami na siebie. Teraz oni wysuwali się na pierwszą linię. A Hitler przejmował władzę. Zmieniały się barwy epoki: po niebieskiej – zwycięstwa, po zielonej – nadziei, po płowych przeblyskach kryzysu obecnie stawała się czerwono-czarna.

Po pogrzebie Rosity Romero spędziłem w Londynie kilka dni, które wypełniły mi wizyty u Hilditcha i Keya oraz w National Gallery. Tak Romerowie, jak O'Shaughnessy'owie zaproponowali, żebym się u nich zatrzymał. Miałem jednak wrażenie, że przynajmniej przez jakiś czas wspólne wspomnienia miast zbliżyć, raczej nas od siebie odsunęły. Któregoś ranka o dość wczesnej porze w moim pokoju hotelowym zadzwonił telefon. Był to Luis Miguel. Przyjaźniłem się z Agustínem, ale głównie z Javierem. Carlosa znałem słabo, a jeszcze mniej Luisa Miguela. Wiedziałem tylko, że jest wesoły i beztroski, że uchodzi za pływaka oraz że ten ambasadorski syn, Latynos o smagłej twarzy i miłośnik tanga, jest ulubieńcem pańien z dobrych domów. Luis Miguel chciał się ze mną zobaczyć. Podał mi adres knajpki, w której mieliśmy się spotkać. Widząc go czekającego na mnie przy stoliku, odniosłem wrażenie, że dość marnie wygląda. Ledwie zasiedliśmy do jakiegoś podłego posiłku, w pobliżu osobnika z kimś mi się kojarzącego, chyba z Hore-Belishą, i ledwie zdążyłem w dwóch słowach wspomnieć o jego matce, mocno rozemocjonowany Luis Miguel wyznał mi sekret, który zdumiał mnie i niemal odebrał mowę: był zakochany w Pandorze O'Shaughnessy.

– O, nie! – szepnąłem bez tchu.

– Niestety tak! – powiedział, uśmiechając się z miną bardziej

zawstydzoną niż triumfalną.

– Niepokoi mnie to twoje „niestety” – powiedziałem.

– Dobrze wiesz, że z Pandorą to zawsze przygoda.

– Wiem.

– Trochę się jej boję.

– Wyobrażam sobie.

Zapadła długa chwila milczenia. Luis Miguel musiał chyba uznać moją reakcję za mało entuzjastyczną. Ja zaś straciłem humor.

Pomyślałem, że znów się zaczyna. Nazbyt dobrze już z góry wiedziałem – w stosunku do innych człowiek zawsze zachowuje trzeźwość spojrzenia – jaki będzie finał tej przygody i nie miałem ochoty się w nią mieszać. Co było o tyle słuszne, że nie znałem jeszcze wszystkich szczegółów. Niedługo czekałem, by się wszystkiego dowiedzieć i ostatecznie upewnić, że lepiej trzymać się z dala od tego, co się aktualnie święci.

– Muszę ci powiedzieć... – podjął Luis Miguel.

– Jeszcze coś?

– To wszystko jest trochę dziwne...

– Nie wątpię: w stosunkach z Pandorą rzadko bywa pewne.

– Myślałeś może, że między Simonem i Pandorą wszystko skończone?

– Nic nie myślałem. Zrobiliśmy we Włoszech z twoim bratem, co było do zrobienia, a potem, wyobraź sobie, zająłem się czym innym.

– Pandora jest wciąż zakochana w Simonie.

– Co ty powiesz!

– Ale Simon jej już nie kocha.

– Jego strata.

– Najgorsze...

– To jest coś jeszcze gorszego?

– Najgorsze jest to, że Simon...

– Najgorsze jest to, że Simon usilnie cię namawiał, żebyś się zajął Pandorą.

– No nie! A ty skąd o tym wiesz? Simon ci powiedział?

– Simon nic mi nie mówił. A jeśli coś mówił, to nie miało żadnego związku z tobą. Już na Capri i podczas naszej upojonej podróży z Neapolu

do Paryża doradzał najpierw twojemu bratu, a potem mnie, żebyśmy zainteresowali się Pandorą. Może to u niego jakaś mania, czy co?

– Nie żartuj. To wcale nie jest śmieszne.

– A kto mówi, że śmieszne?

– Simon powiedział, że jest za stary, niezdolny dać Pandorze szczęście i liczy, że ja ją trochę rozerwę.

– Wszystko to już znam. I co zrobiłeś?

– Spotkałem się z Pandorą.

– No i?

– No i... Jest cudowna.

– To też wiem. Wszyscy wiedzą.

– Jest nieszczęśliwa.

– Pocieszasz ją?

– Ona nie chce.

Popatrzyłem na Luisa Miguela. Był uroczy. Nie, żeby prawdziwie przystojny. Ale uroczy. Podbijał wszystkie serca. Naturalnie oprócz serca Pandory. A więc oczywiście pułapka się zamknęła i sam się w niej zakochał. Simon nadal miał spustoszenie. Najpierw – pojawiając się. Potem – odchodząc. A jeszcze później znajdując sobie zastępstwo u boku Pandory, zupełnie tak jak ci farciarze w dawnych czasach, którzy kupowali sobie rekruta, żeby odbył za nich służbę wojskową. Próbował kupić mnie. Próbował kupić Agustína. A teraz kupował najsłabszego, Luisa Miguela, i jego, zamiast nas, posyłał na pewną śmierć.

– I co teraz? – zapytałem.

– Nie wiem. Musisz mi pomóc.

Poczułem, jak nagle wzbiera we mnie coś bardzo silnego. Była to litość. Połączona z gniewem. Czy długo jeszcze będę musiał wyrwać sobie wzajem ze szponów chłopców Romero i panny O'Shaughnessy? Miałem co innego do roboty niż ta pełnoetatowa rola życzliwego głupca i znachora serc. Miałem po uszy Agustína i Javiera. Nienawidziłem Simona. Luis Miguel doprowadzał mnie do rozpaczki. Siostry O'Shaughnessy były zarozumiałymi pozerkami, patentowanymi nudziarami i w ogóle plagą mojego życia. A sama Pandora... a Pandora... niech się... Podniosłem wzrok. Luis Miguel ze swoimi pyzatymi policzkami wyglądał jak foka, której odebrano piłkę, jak wielki bobas

postawiony w kącie. Czyżby zamierzał się rozplakać, tu w tym londyńskim barze, dwa kroki od królowej Mary, tak poprawnej i godnej w swoim pałacu Buckingham, i od Hore-Belishy siedzącego nad piwem i śledziami? Wyciągnąłem ręce przez stół, skądinąd niezbyt szeroki, i schwyciłem go za ramiona.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Masz tylko jedno wyjście: uciekaj najszybciej jak możesz. Nie dasz temu rady. Nikt nie da rady. Skręcisz na tym kark. Przestań być marionetką swojego ukochanego wujaszka. Przestań być zabawką i pośmiewiskiem Ich Wysokości ze schowka. Chcesz, żebym ci pomógł? To bierz nogi za pas. Pyskaj i więcej się z nią nie spotykaj.

Jakiś czas potem doszły mnie słuchy, że Luis Miguel rozpuścił po całym Londynie – to znaczy wśród garstki próżniaków z kręgu Romerów i O’Shaughnessych – plotkę o mojej nieszczęśliwej miłości do najstarszej córki Briana i o mojej zazdrości. Wszystko to była oczywiście prawda. Czy to ta sytuacja, na którą nikt i tak nic nie mógł poradzić, uniemożliwiła mi oddanie przysługi przyjacielom, a zwłaszcza temu biednemu Luisowi Miguelowi, wtykającemu palec w śmiercionośne tryby? Jak słusznie przypuszczacie, zrobił wszystko, by zbagatelizować moje ostrzeżenia. Minęło kilka miesięcy i do Paryża zawitał Javier. Zaprosiłem go do Larue, z którym wiązały się moje wspomnienia, a pośrednio i jego.

– I co? – zapytałem, opierając łokcie o stolik i nachylając w jego stronę. – Co z Luisem Miguelem?

– O Boże!... – westchnął.

– Komplikacje?

– Kłopoty.

– Aż tak źle?

– Nawet gorzej – powiedział.

– Opowiadaj.

Opowiedział. Błędy miłości są równie niebezpieczne jak jej zbrodnie i przewiny. Na przekór oczywistości Pandora uporczywie wyobrażała sobie, że Simonowi na niej zależy. Rozdzielało ich społeczeństwo albo poczucie obowiązku, albo jakieś bliżej nieznanne okoliczności, albo też skrupuły Simona. Skrupuły Simona!... Wskutek

jakiejś niepojętej aberracji dochowywała mu wierności. Luis Miguel jej się podobał. I to był już szczyt wszystkiego. Ale pozostawała wierna Simonowi. Nie mogła poślubić Luisa Miguela, choć ten nieustannie prosił ją o rękę, ani się nawet z nim przespać. Z powodu Simona. Luis Miguel wariował. Pod wpływem namiętności ta postać rodem z wodewilu czy salonowej komedii przeobrażała się w bohatera tragedii. Pod werniks dyplomatycznej poprawności i konformizmu Romerów zaczynała przenikać odrobina mrocznego szaleństwa. Pewnego wieczoru, kiedy jak zwykle w ramach flirtu pozwalała mu się obściskiwac w samochodzie – zupełnie jak te młode gęsi, zjeżdżające do Glangowness na tańce, które nigdy w życiu nie widziały nawet cienia męskiego członka – ale powodowana jakimiś paradoksalnymi oporami moralnymi oraz uporem nadal nie chciała mu się oddać, Luis Miguel załamał się i wszystko wyśpiewał. Gniewnie, bełkotliwie, szybko, ze łzami w głosie i ściśniętym gardłem powiedział, że Simon osobiście poprosił jego, Luisa Miguela, żeby postarał się zyskać względy Pandory, żeby ją uwiódł, zawrócił jej w głowie i raz na zawsze go od niej uwolnił. Wygarnął wszystko, co miał na sercu: za siebie, za Simona, za nas. Dla dopełnienia miary, dodał jeszcze, że bohater znad Sommy i meksykańskich prerii wcześniej próbował tego samego numeru z Agustínem i ze mną. I że my dwaj mieliśmy się na baczności i wymknęliśmy mu się z łap. Ale on nie jest taki jak my. Dla niego to nie zabawa. Zakochał się w niej prawdziwie i na zawsze. I nie chce być już narzędziem w rękach Simona Finkelsteina. Nie chce, żeby poświęcała się dla tego podejrzanego wuja, bo na jego sercu nie można polegać i ma ją w nosie, tak samo jak swoją pierwszą ofiarę, którą zgwałcił gdzieś pod Guadalajarą i poderżnął jej gardło.

– Chyba trochę przesadził – powiedziałem do Javiera, kiedy sommelier z powagą nalewał château-siaurac do naszych kieliszków, już pustych.

– Chyba tak – zgodził się Javier. – Nieważne. Napijmy się, bo sprawa zapowiada się gorąco.

Wypiliśmy.

Pandora w milczeniu wysłuchiwała tyrady Luisa Miguela. Przez cały wieczór nie odezwała się słowem. Oczyma pamięci widziałem, jak stoi

przede mną z tymi swoimi wysokimi kośćmi policzkowymi i wypukłym czołem w obramowaniu jasnych włosów. Widziałem też, jak w pociągu przemierzającym równiny Lombardii i Alpy siedzi między mną i Agustínem, naprzeciw kochanka. Nieporuszona, spięta – tak samo musiała wyglądać w samochodzie Luisa Miguela. W końcu powiedziała, żeby ją odwiózł do domu. Wysiadając z samochodu, odwróciła się do niego i rzuciła:

– Przyjedź po mnie jutro wieczorem. Zjemy razem kolację. Będę ci miała coś do powiedzenia.

Następny wieczór Luis Miguel miał spędzić z trzema braćmi, cudownym trafem znów razem. Odwołał spotkanie. I słusznie: tego wieczoru Pandora nie była rozmowniejsza, za to poszła z nim do łóżka.

Wychyliłem jednym haustem kieliszek.

– Twoje zdrowie, przyjacielu – powiedziałem do Javiera.

Bez zbędnego krygowania się, z wielką godnością odrzekł:

– I twoje.

I wychylił swój.

Sommelier w roli chóru greckiego znów za nami stanął.

– No dobrze! – powiedziałem. – Więc co? Raj?

– Piekło – odrzekł.

Pandora zaczęła nienawidzić po równi obu swoich kochanków. Simona za to, że ją upokorzył i zdradził; Luisa Miguela za to, że otworzył jej oczy na postępowanie Simona i sam na tym skorzystał. Jak to: skorzystał? Oczywiście, bo przespała się z nim tylko po to, żeby się zemścić na Simonie. A teraz nienawidziła jednego i drugiego. Gardząc Simonem, nadal sypiała z ogłupiałym z namiętności Luisem Miguelem. I myślała tylko o tym, żeby pójść do łóżka z Simonem. Wuj braci Romero przeżywał akurat krótki, więc tym bardziej intensywny romans z jedną z najślawniejszych w owym czasie aktorek, której nazwiska podać nie mogę, ponieważ jeszcze żyje i zaciekle chroni swoją przeszłość. I chciał tylko jednego: żeby córka Briana wreszcie zrozumiała i dała mu święty spokój.

– Znalazła się między wujem a siostrzeńcem – powiedział Javier, który był już na sporym rauszu. – Między wujem a siostrzeńcem. Kocha się z siostrzeńcem, a wolałaby to robić z wujem.

– Ach, Naryszkinowie... Ach, wuj i siostrzeniec... Powtarza się numer z Naryszkinami.

Javier spojrzał na mnie zdumiony. Nie wszystkim przecież, tak jak mnie, a teraz również wam, dane było wiedzieć tyle, czyli prawie wszystko o przeszłości Marie Wrońskiej i jej niedoszłym romansie z dwoma Naryszkinami. Historia powtarzała się, a przy tym szła naprzód i czyniła postępy: w Sankt Petersburgu Marie de Cossigny nie spała z żadnym z Naryszkinów. Trzy czwarte wieku później siedemnasto- czy osiemnastoletnia Pandora O'Shaughnessy sypiała i z wujem, i z siostrzeńcem.

Nie można już było uiścić rachunku, tak jak zrobił to ojciec Javiera w 1914 roku jednym złotym ludwikiem. Zapłaciłem frankami Poincarégo; wyłuszczone banknotami i monetami, niewiele już wartymi. Wstaliśmy i wyszliśmy na Place de la Madeleine, zatłoczony taksówkami, tłumem przechodniów i sprzedawców gazet. Niebo było pochmurne. Mżył drobny deszczyk. Ruszyliśmy rue Royale w kierunku Place de la Concorde, pełnego oddziałów gwardii lotnej.

– Co się dzieje? – zapytał Javier.

– Właściwie nic – odparłem. – Obalają republikę.

– Ale kto ją obala?

– Ci, którzy piętnaście czy dwadzieścia lat oddali za nią życie.

Było to, dokładnie już nie pamiętam, w przeddzień czy nazajutrz po wstrząsie z 6 lutego, rozpadzie sojuszy, krwawych potyczkach pomiędzy napiętowanymi przez lewicę wichrzycielami a gwardią konną, po Chiappie w obszernym płaszczu z białym szalem i pułkownikiem de La Rocque na czele swoich oddziałów. W czasie gdy austriacki malarz umacniał swoją władzę nad tajną policją i masami rozjątrzonymi bezrobociem i zawrotnym spadkiem wartości marki, w Paryżu wybuchły zamieszki. Od narodzin Jessiki i ostatnich przygód Briana i Brzdąca nad Sommą i Izerą upłynęło z górą piętnaście lat. Do szturmów czołgów Guderiana i ryku stukasów nad kolumnami uchodźców zostało ich już tylko pięć. Demokracjami wstrząsała gorączka lęku i niepewności, walka najuboższych przeciwko uprzywilejowanym oraz ludzi pracy o prawo do wypoczynku. W dalekim Plessis-lez-Vaudreuil mój dziadek zastanawiał się, czy nie pora wziąć odwet na hydrze

Rewolucji, święcącej nieprzerwany triumf od 1789 roku. Za Daladiera i Mandela cała sprawa upadła. Trzeba było czekać na Vichy i starego marszałka, by zgodnie ze wszelkimi prawidłami sprzeczności dziejowych nadzieje walczącego nacjonalizmu mogły się wreszcie ziścić poprzez paradoks przegranej.

Vanessa była w owym czasie niesforną dziewczynką przeistaczającą się w podlotka. Miała włosy jeszcze jaśniejsze niż Pandora, twarz bardziej pociągłą, zdecydowaną i wyrazistszą od Atalanty o łagodnym, niemal idealnym owalu twarzy w obramowaniu jasnobrazowych loków. Jako jedyna z czterech sióstr miała w sobie coś z chłopczycy. Uwielbiała okręty, śnieg, noce pod namiotem, przygodę. Atalanta kochała przyjęcia, stroje, podwieczorki. Vanessa wyśmiewała się z konwencjonalnych i takich *ladylike* upodobań siostry. Ją samą interesowały wyłącznie guzy i zadrapania. Ciągle ją korciło, żeby coś zepsuć.

Spokrewnieni z Bismarckami i Bülowami Tipnitzowie od ubiegłego wieku przyjaźnili się z Landsdownami, McNeillami i O'Shaughnessymi. Przyjeżdżali na polowania do Glangowness. Ich z kolei odwiedzało się w Bawarii, gdzie w Tutzing nad jeziorem Starnberg mieli majątek sąsiadujący z włościami świętej pamięci Piotra Wasiliewicza. Więzy między dwiema rodzinami, rozluźnione przez wojnę, w czasach Republiki Weimarskiej na nowo się zacieśniły. Starszy syn, Heinrich von Tipnitz, miał dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata. Jego siostra Renate była mniej więcej w wieku Vanessy. Stary Tipnitz – sumiasty wąs, ciężka laska, zielony filcowy kapelusz z borsuczą kitą, krótka myśliwska kurtka, zbyt chętnie noszone skórzane spodnie ze skórzanymi szelkami – zaprosił Vanessę na kilka tygodni do Bawarii.

„W pobliżu są góry, które pięknie wyglądają w zapadającym zmroku – pisał do Briana. – No i warto obejrzeć moją kolekcję porcelany”.

– Znakomicie – powiedział Brian. – Jak znam Vanessę, będzie biegała po górach i tłukła porcelanę.

I, w pewnym sensie, tak się właśnie stało.

Przyjechała wiosną. Różańce jezior lśniły w słońcu, dzieci przy



fontannach w starych, oszczędzonych przez wojnę wioskach miały jasne włosy, na zielonych, ciągnących się hen, aż po Alpy łąkach pasły się krowy. Podobali jej się ludzie, kraj, jedzenie, bezpretensjonalna wesołość spotkań i zabaw. Wieczorami tańczyła na placach, na których rosły lipy. Tańczyła przede wszystkim z Heinrichem von Tipnitzem.

Heinrich von Tipnitz był młodzieńcem wysokim, jasnowłosym, dość przystojnym, nie za mądrym. Programowo lekceważył dziewczęta, przedkładając nad nie uroki munduru i dyscypliny wojskowej. Należał do stowarzyszenia młodzieży, które w początkach lat trzydziestych nosiło nazwę Sturm Abteilungen – Oddziały Szturmowe. Renate opowiadała o tym przyjaciółce z wielkim podnieceniem i, zabarwionym pewnym lękiem, podziwem.

Młodzi z SA w brnatnych koszulach ze swastyką na lewym ramieniu popierali poczynania Hitlera, który niedawno powołany został do Kancelarii Rzeszy, podlegali zaś kapitanowi Roehmowi; masywny, trochę tępawy trybun wojskowy, niechętnym okiem widziany przez armię i konserwatywną arystokrację, obracał się w środowisku wielkiego przemysłu, skąd wywodziła się większość jego stronników. Oczywiście Vanessa bardzo niewiele z tego rozumiała. Nie miała bladego pojęcia, czym mogło być SA w Niemczech na początku lat trzydziestych. Ze swoim czarującym angielskim akcentem mówiła po niemiecku akurat tyle, by poradzić sobie w tramwaju czy w sławnej monachijskiej pinakotece. Zaciekawiona i lekko podekscytowana chodziła razem z Renate i Heinrichem na zebrania brnatnych koszul. Przypominały one jarmarki ze sztandarami ze swastyką i z akordeonami, z kiełbasą i przemowami, i wyciąganiem ramion w trakcie śpiewów nad ogromnymi kuflami piwa, z których przelewała się piana. Wciśnięta między przyjaciółkę o włosach równie jasnych jak jej i zaplecionych w warkocze a Heinricha von Tipnitza, którego wielu z SA poznawało i pozdrawiało wyciągniętym na modłę faszystowską ramieniem, miała wrażenie, że znalazła się w jakimś nieznanym świecie, że uczestniczy w narodzinach nowego i groźnego ruchu.

– Widzisz – mówił Heinrich, opiekuńczym gestem obejmując ją za ramię – cały naród budzi się z koszmaru przegranej, bezrobocia i inflacji. Czy wiesz, że wszyscy ci biedni ludzie jeszcze niedawno wozili marki

taczkami, żeby kupić za nie pastę do zębów albo kilogram kartofli? A kiedy znaleźli się w sklepie, mówiono im z zakłopotaniem, a nieraz i oschłym tonem, że milion czy nawet miliard marek to za mało i że od dwudziestu minut kosztuje to trzy czy cztery miliony, a niedługo kosztować będzie pięć albo siedem. Wy, w Anglii, nie zaznaliście takich dramatów. Tym milionom Niemców i Niemek bez pracy i bez pieniędzy, przytłoczonym wstydem i rozpaczą, przywrócił nadzieję jeden człowiek, jeden przeciwko wszystkim: Adolf Hitler.

– Czy on nienawidzi Anglików? – zapytała Vanessa.

– Ależ skąd – powiedział Heinrich. – Hitler nienawidzi dwóch rzeczy: utartego, wyniosłego konserwatyizmu kapitalistycznych junkrów, a jeszcze bardziej bolszewizmu. Gdyby nie my, przybyły ze wschodu bolszewizm, popierany przez Żydów, raz kapitalistów, to znowu komunistów, zalałyby całą Europę: ubogą Polskę, germańską Czechosłowację, same Niemcy, Francję urabianą przez Leona Bluma i socjalistów sprzymierzonych z komunistami, a nawet Anglię, choć leży na wyspie.

W tym momencie Heinrich musiał przerwać swoje wyjaśnienia. Olbrzymi tłum na stojąco zaintonował nazistowski hymn, sławny *Horst Wessel Lied*, od nazwiska pewnego dość podejrzanego działacza, niewykluczone, że sutenera, który poniósł śmierć w czasie nieudanego hitlerowskiego puczu:

*Die Fahne hoch, die Reihen dicht geschlossen...*

*Die Reaktion, die Rote Front erschossen...*

Tym sposobem echa Roehma, Horsta Wessla i Hitlera za pośrednictwem Vanessy dobiegały aż do Szkocji. Przypominam sobie pewną kolację w Glangowness, czy może w Londynie, w czasie której bracia Romero spokojnie sobie rozmawiali z siostrami O'Shaughnessy, kiedy nagle Vanessa półgłosem zaintonowała *Horst Wessel Lied*:

*Die Fahne hoch, die Reihen...*

– A cóż to takiego? – przerwał Carlos, unosząc brwi.

– Niemiecki marsz – powiedział Agustín.

– Nazistowska śpiewka – mruknął Carlos. – Kanalie, durnie!

– Mylisz się – powiedział Agustín. – Znam Niemców. Swoje przeszli. Dla nich jedyna słuszna droga to ta, którą wskazuje im Hitler. Poradzą sobie, zobaczysz.

– A my? – zapytał Carlos. – My w tym wszystkim?

– Nam pozostaje zrobić to samo. Pójść śladem Hitlera, śladem Mussoliniego.

– Wiesz, Augustin... – powiedział Carlos.

– Tak?

– Chwilami budzisz we mnie taki niesmak, że aż się dziwię, że jesteśmy braćmi.

– Tylko czy nimi są? – szepnęła do mnie Pandora.

– Czy są kim? – spytałem zdezorientowany.

– Braćmi – odpowiedziała Pandora.

– Oczywiście, że są – odparłem szybko i również szeptem. – U Romerów nie ma takich skandalicznych historii jak u Wrońskich.

– Co ty powiesz? – rzekła. – To pewnie dlatego nie są tacy zabawni jak my.

Vanessa opowiadała o swoich spotkaniach z Renate i Heinrichem, o piknikach na wsi w towarzystwie innych SA. Zbierali polne kwiaty, chodzili po skałach, tańczyli na łąkach lub spacerowali po lesie. Kochali przyrodę na równi ze swoim namiętym przywiązaniem do niemieckiej ojczyzny i osoby Führera. Niekiedy rodzina Tipnitzów wraz z kilkorgiem przyjaciół zasiadała przy odbiorniku radiowym w drewnianej obudowie i wszyscy w milczeniu, zafascynowani, wysłuchiwali kanclerskiego przemówienia-rzeki. Vanessa знаła już na tyle niemiecki, by z grubsza zrozumieć, o czym mówi orator; powoli porywała ją słowna egzaltacja, wywołująca zbiorową histerię u niewidzialnego, lecz wyraźnie oszalałego audytorium. Wystąpienie przerywały slogany, skandowane przez klakę i niestrudzenie podejmowane przez tłum rozentuzjasmowany i rozemocjonowany do najwyższego stopnia: *Sieg Heil! Sieg Heil!* albo *Ein Volk, ein Reich, ein Führer!* Już, już wydawało się, że Adolfa Hitlera będącego u kresu sił ogarnia wyczerpanie, ale zaraz znów ruszał pełną parą, podtrzymywany i dopingowany owacjami swoich zwolenników. Siedząc między Heinrichem i Renate, Vanessa słuchała z szeroko otwartymi oczami.

Nie cała rodzina Tipnitzów podzielała zapal młodego członka SA w brunatnej koszuli ze swastyką na ramieniu. Stary wuj Otto, brat dziadka Heinricha i Renate, w pewnym stopniu podzielał opinie Carlosa. Mówił, że Niemcy, niemiecka poezja, filozofia niemiecka, tradycja niemiecka są tym, co jego sercu najdroższe, ale woli już tych idiotów socjaldemokratów od tych krzykaczy nazistów. Był w tym odosobniony. Ledwie głos Führera przestawał ciskać klątwy, przypominające ostatni akt wielkiego widowiska operowego, mężczyźni podrywali się, trzaskali obcasami i unosząc ramię wołali: *Heil Hitler!*

Przysłuchiwałem się tym opowieściom. Wyobrażałem sobie Vanessę odkrywającą hitlerowską Bawarię.

Przyznaję, że jako kiepski psycholog, którego wolty serca niezmiennie zaskakują, sądziłem, że młody Heinrich von Tipnitz gwałtem wedrze się do hermetycznego kręgu Ich Wysokości ze schowka i Zakonu Królewskiego Sekretu. Historia i przeznaczenie miały go wymieść ze sceny jak źdźbło słomy.

Pewnego wieczoru Heinrich von Tipnitz zabrał siostrę i Vanessę do piwiarni nad jeziorem Starnberg. Powietrze było niezwykle łagodne. Na Bawarię, na jej usiane kapliczkami łąki, jej spokojne jeziora, jej skórzane spodnie, jej miłość do dzieci, jej wspomnienia po szalonym królu spłynął spokój bliskiego już lata. W oddali wznosił się imponujący masyw pokrytych wiecznymi śniegami wysokich Alp, z Garmisch-Partenkirchen, gdzie królowały *telemark, christiania, stemm-bogen*, i z nawiedzonym przez cienie Wagnera i Wotana orlim gniazdem w Berchtesgaden. Heinrich gawędził o tym i owym, żartował, podsuwał Vanessie *bretzels*, aż nagle umilkł. Do sali wszedł wysoki mężczyzna w czarnym, obcisłym mundurze. Vanessa uniosła oczy.

W czasie gdy przeznaczenie, nie spiesząc się, szykowało w Bawarii na Vanessę swoje sidła i pętle, w Londynie Pandora nadal rozrabiała. Powoli doprowadzała Luisa Miguela do rozpacz. On, taki żywy, tak ruchliwy tracił całą swoją wesołość. Stawał się cieniem samego siebie. Co mogliśmy zrobić? Dotrzyśmy do niego, jak choremu towarzystwa mówiliśmy o Pandorze gorzej, niż faktycznie myśleliśmy. Zwróciliśmy się do Simona: zaśmiał nam się w nos. Udaliśmy się do Pandory: uniosła tylko ręce w górę. Wróciliśmy do Luisa Miguela: uważał, że świat jest

źle urządzony.

– To wina Simona – powiedział do mnie. – I moja. Ostrzegaleś mnie. Nie wolno zakochać się w kimś, kto zakochany jest w kim innym. Przecież jak świat światem, od Racine’a i Eurypidesa, wiedzieliśmy o tym. Wpadłem w pułapkę.

– Pozwólmy mu wierzyć, że jestem zakochana w Simonie – powiedziała do mnie Pandora. – To będzie dla niego mniej okrutne. A prawda jest taka, że już nie kocham Simona. Ale Luisa Miguela nigdy nie kochałam. Gdybym wciąż jeszcze kochała Simona, Luis Miguel nie byłby tym, który mógłby mnie pocieszyć. Nie pokocham go tylko dlatego, że nie kocham już Simona.

Sytuacja, tak trafnie podsumowana przez Pandorę, tak klasyczna i prosta, na nowo wywołała w całej Europie mnóstwo wzajem sprzecznych komentarzy. Uważano, że Pandora jest rozdarta między dwoma mężczyznami. Wyobrażano sobie, że wykorzystuje Luisa Miguela, ażeby odzyskać Simona. Mówiono nawet, że Simon Finkelstein rozpacza z powodu uczuć Pandory do młodego Romera. Kiedy zabraknie właściwego klucza, porywy serca umożliwiają snucie najbardziej szalonych przypuszczeń.

– Jakie to szczęście – mówiłem do Pandory – że Jessica jest taka młoda, a Atalanta taka rozsądna, bo Vanessa czasami trochę mi przypomina ciebie: jest inna, ale prawie tak samo niebezpieczna.

Przynajmniej raz miałem rację. W bawarskiej piwiarni nad brzegiem Starnbergersee Vanessa uniosła oczy na mężczyznę od stóp do głowy ubranego na czarno, który na moment przystanął na progu. Był dość wysoki, szczupły, o pociągłej, kanciastej twarzy, mógł mieć jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Jego grube brwi zrosnięte były nad nosem. Mężczyzna obrzucił kolistym spojrzeniem salę i gości. W tym momencie zauważył go Heinrich von Tipnitz; pospieszył w jego stronę, pozdrowił go wyciągniętym ramieniem i ze skwapliwością podprowadził do stolika, przy którym siedziały obie przyjaciółki.

– Moja siostra... Nasza angielska przyjaciółka...

Mężczyzna skłonił się. Uścisnął dłoń Renate von Tipnitz, potem Vanessy O’Shaughnessy. Na moment się zawahał. Spojrzał na Renate. Spojrzał na Vanessę. I usiadł przy ich stoliku.

Długo nie zabawił. Miał spotkanie z jakimiś osobnikami w mundurach, którzy nadeszli niemal zaraz po nim. Powoli wstał, uklonił się ponownie i odszedł. Spojrzenie jego skrzyżowało się ze spojrzeniem Vanessy.

– Jak on się nazywa? – zapytała Vanessa Heinricha, kiedy zostali sami.

– Rudolf Hess – odparł Heinrich z ważną miną.

I wdał się w długie wyjaśnianie dziewczętom, którym to nazwisko nic absolutnie nie mówiło, kim jest Rudolf Hess.

A był on synem niemieckiego kupca osiadłego w Egipcie, urodzonym w Aleksandrii w ostatnich latach ubiegłego wieku i od pierwszych przygód i porażek Adolfa Hitlera jego towarzyszem. W krótkim czasie stał się jednym z jego najbliższych współpracowników. Duszą i ciałem oddany sprawie narodowego socjalizmu, był obecnie jednym z tych, którzy pospołu z Führerem dzielili przywileje i obowiązki najwyższej władzy. Szczuplejszy od Goeringa, nie tak niepokojący jak Goebbels, mniej odrażający od Himmlera, uosabiał przygodę, ryzyko, odwagę i przyszłe – prawie już odniesione – zwycięstwo; miał czym zaintrygować córkę Briana. Nie przypominał w niczym Churchilla, generała Turnbulla czy Percy'ego Basseta. Był zaprzeczeniem wszystkiego, co znała. Od pierwszego spojrzenia, możliwe, że z powodu uniżonej i pełnej admiracji postawy Heinricha von Tipnitza spodobał się Vanessie. W ciągu następnych dni często o nim rozmawiała z Heinrichem.

„Mam nowiny od Vanessy – pisała do mnie Pandora. – Jest bardzo szczęśliwa. Kolekcjonuje Edelweissy i nazistowskich przywódców. Przysłała mi zdjęcie, na którym pośród morza swastyk unosi w górę ramię. Przypuszczam, że zdarza jej się też opleść nim szyję Heinricha von Tipnitza. Czyż cały świat nie składa się z wyciągniętych i obejmujących się ramion? Luis Miguel bierze mnie w swoje. Chciałby mnie zatrzymać. Znów poprosił mnie o rękę. Co o tym myślisz?”

Co o tym myślałem? Nic dobrego. Luis Miguel żył złudzeniami. Pandora nie wyjdzie za niego za mąż. A gdyby na nieszczęście wyszła, byłoby to oczywiście jeszcze gorsze. Pandorze potrzebne były przygody, wyzwania, łamigłówki, zdobywanie szczytów, otchłanie, pustynie. Nie

potrzebowała balów w doborowym towarzystwie i wytwornych wieczorów w Londynie i Paryżu, które był jej w stanie zaoferować czarujący i płocho Luis Miguel. Czego one wszystkie, Pandora i pozostałe Ich Wysokości ze schowka, potrzebowały? Odpowiedź była prosta: potrzebowały czegoś innego. Ledwie opuściwszy progi dzieciństwa, Vanessa, w odmienny od Pandory sposób, wkroczyła w nowy świat.

Wkroczyła zwyczajnie, śmiało i z sukcesem. Jeśli, z jakichś tajemniczych przyczyn, które stanowią o uroku i niepokoju życia, mężczyzna w czerni jej się spodobał, to i on nie pozostał nieczuły na jej wdzięk i młodość. Jasne włosy dziewczyny, jej zdrowy i krzepki wygląd, wolne od miękkości rysy twarzy czyniły z niej modelową przedstawicielkę germańsko-aryjskiej rasy, o której na okrągło rozprawiali przywódcy nazistowscy. Co więcej, była córką członka Izby Lordów – i była Angielką. Ten zakazany owoc arystokracji i demokracji brytyjskiej był nieodparcie atrakcyjny. Vanessa O'Shaughnessy pojawiała się u boku Rudolfa Hessa w charakterze obietnicy podboju, potencjalnego zakładnika, wymarzonego połączenia narodowego socjalizmu z tym, co najlepsze i najpiękniejsze w liberalnej demokracji, której ostoją była Anglia.

Heinrich von Tipnitz już wielokrotnie spotykał się z przywódcą nazistowskim. Pod różnymi pretekstami Rudolf Hess wzywał go do Berlina i Monachium.

- Co słyhać u pańskiej siostry, Tipnitz?
- Dziękuję, wszystko dobrze.
- Urocza jest ta jej przyjaciółka, Tipnitz.
- Urocza – zgodził się Tipnitz.
- Angielka, prawda? – spytał Hess z roztargnioną miną,

przerzucając akta.

Tipnitz, stojąc przed biurkiem, za którym siedział Hess, poczuł, że jego czoło pokrywa się potem. Jakaż niezręcznością było przedstawiać Vanessę Rudolfowi Hessowi! Czyżby ten miał mu mieć za złe utrzymywanie kontaktów z Angielką?

- Ona kocha Niemcy – odezwał się niepewnym głosem.
- Tym lepiej – powiedział Rudolf Hess. – Tym lepiej. Bo może

okazać się dla nas wielce użyteczna. Trzeba liczyć się z cudzoziemcami i przysługami, jakie mogliby oddać sprawie narodowego socjalizmu. Chętnie bym się z nią spotkał. Rzecz jasna, dyskretnie. Nie wolno jej spłoszyć. Mógłby pan to jakoś zaaranżować, przyjacielu?

Tipnitz poczuł ulgę. Wszystko poszło raczej dobrze. Rudolf Hess zapowiedział, że wraca do Bawarii pod koniec tygodnia. Heinrich zorganizował obiad we czworo w małej prywatnej salce w Vier Jahreszeiten w Monachium.

Spotkanie wypadło znakomicie. Vanessa, mniej onieśmielona od Renate, była niezwykle wesoła. Hess sprawiał wrażenie zachwyconego. Heinrich von Tipnitz czuł, że odgrywa ważną rolę i przyczynia się do eksportu narodowego socjalizmu.

– A co z SA? – zapytał Heinricha przy kawie Hess.

– Wszystko w porządku.

– A Roehm?

– Ludzie go uwielbiają.

– Ach, tak! A co u pana?

– Jak zawsze wierny Führerowi – górnolotnym i służalczym tonem odpowiedział Tipnitz.

Wstając od stołu, Rudolf Hess zamienił kilka słów z Heinrichem. Po czym zwracając się do Vanessy, zaproponował, że zabierze ją nad Tegernsee, gdzie miał się spotkać z przywódcami nazistowskimi z Bawarii i Wirtembergii.

– Porywam panią – powiedział. – Pani przyjaciele nie będą mi mieli tego za złe. Zrobimy sobie rundkę wokół jeziora. Mój samochód odwiezie panią do Tutzing na kolację.

Vanessa poczuła, że się rumieni; radość, która ją ogarnęła, prawie ją zaskoczyła.

Odjechali we dwoje wielkim mercedesem, prowadzonym przez szofera w wysokich butach z cholewami i ze swastyką na ramieniu. Na podjeździe hotelu Renate i Heinrich z lekko zmieszanymi minami machali im na pożegnanie.

Wyjechali z Monachium. Mijali wioski, a w nich drewniane domy i gospodarstwa tchnące atmosferą spokoju i dobrobytu. Samochód jechał szybko. Vanessa po raz pierwszy znalazła się w towarzystwie



mężczyzny, którego cała uwaga skupiona była wyłącznie na niej. Nagle, zza drzew malujących się wielkimi zielonymi plamami na tle intensywnie niebieskiego nieba, na którym świeciło słońce, dostrzegła wysokie Alpy.

– Jakież to piękne! – powiedziała, wychylając się do przodu i patrząc przez okno.

– Cieszę się, że mój kraj się pani podoba – powiedział Rudolf Hess, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Może kiedyś pokaże mi pani również swój.

– Och, tak! – zawołała Vanessa. – Przyjedzie pan do Glangowness! Pozna moje siostry. Wie pan – dorzuciła po chwili milczenia – są ładniejsze ode mnie.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Rudolf Hess.

I ujął dłoń Vanessy. Najpierw ją cofnęła. A potem, ponieważ nie ustępował, zostawiła ją w jego dłoni. Fontanny, drewniane balkony, piękne widoki, szybka jazda limuzyny, w której przyjemnie pachniało skórą – ogarnęło ją upojenie. Dotarli nad Tegernsee w głębokim milczeniu, lecz trzymając się za ręce.

– Mam dwadzieścia minut do spotkania – odezwał się Rudolf Hess. – Moglibyśmy się przejść i rozprostować nogi. A potem mój samochód odwiezie panią do Tutzing i po mnie wróci.

Spacerowali brzegiem jeziora. Hess ujął ją pod rękę i opowiadał o Niemczech, o swoich młodzieńczych marzeniach, o pracy w Berlinie u boku Adolfa Hitlera. Przez dziewczynę szybkimi falami przemykały obrazy i emocje. To wszystko było takie niesamowite: poddała się jakiejś nieokreślonej, odurzającej błogości.

– Vanessa chyba zwariowała! – mówił Carlos, kiedy spotykaliśmy się w Paryżu czy w Londynie. – Nazista! Pandora mówi, że ona spotyka się z nazistą! I to jakim! Drugim po Hitlerze! Szefem tej bandy. Zabójcą.

– One wszystkie są trochę szalone – mówił Javier zrezygnowanym tonem. – Nie bardzo wiem, co wyczynia w Monachium Vanessa. Wystarczy mi Pandora. Doprowadza Luisa Miguela do czarnej rozpacz. Ale z niej zaraza! Sam już nie wiem, czego należałoby mu życzyć: czy żeby za niego wyszła, czy żeby go rzuciła. Raz jej nienawidzę, raz ją uwielbiam. Niech tylko zostawi Luisa Miguela, to wtedy ja sam się

w niej zakocham.

Luis Miguel zaczął mieć do wszystkich pretensje o swoją porażkę z Pandorą. Nienawidził Simona, który był za to najbardziej odpowiedzialny. Mnie miał za złe, że próbowałem go ostrzec. Nie ufał Javierowi, który był zbyt wrażliwy na urodę Pandory. Często spotykała się z bliźniaczym bratem Luisa Miguela i całymi godzinami rozmawiali o Simonie i Luisie Miguelu, o spustoszeniach namiętności i różnych życiowych sprawach. Od czasu do czasu Javier posyłał jej wiersze, które potem z uśmiechem mi odczytywała. Miałem wrażenie, że koło zamyka się trochę za szybko i z niepokojem zadawałem sobie pytanie, czy pod pretekstem wzajemnej pomocy i trzeźwej oceny sytuacji nie skończy się to tak, że obaj bliźniacy ucierpią tak samo i w końcu z sobą zerwą.

– Mój Boże! – mówiłem do Javiera – mój Boże, te siostrzyczki O'Shaughnessy... jeszcze nam dadzą popalić...

– Obawiam się, że to jeszcze nie koniec – odpowiadał Javier z przygnębieniem i nutą ironii. – Mężczyźni za nimi szaleją.

\*

W zapadającym już zmierzchu zatrzymali się kilka kroków od jeziora. Wziął ją w ramiona. Z szeroko otwartymi oczami oparła głowę o jego pierś.

– Spotkałem panią tylko dwa razy – powiedział. – A już mi na pani zależy.

– Tak? Ale nic o panu nie wiem. A pan nie wie nic o mnie.

– Wiem, że jest pani piękna i prawa, i że rozumie pani mój kraj. Czuję, że jest mi pani potrzebna.

– Przecież się już więcej nie zobaczymy.

– Ależ oczywiście, że tak. *Wo ein Wille ist, ist auch ein Weg.*

Chcieć to móc.

– Wierzę – powiedziała. – Ale trzeba chcieć.

Pocałował ją w usta. Nareszcie zamknęła oczy.

Wracając do samochodu, Rudolf Hess zapytał:

– Czy jest pani blisko związana z Heinrichem von Tipnitzem?

– Jestem zaprzyjaźniona z jego siostrą.

– To nie jest pani zakochana w Tipnitzu?

– Ależ skąd. Ale bardzo go lubię.

– Rozumiem – powiedział Rudolf Hess.

Zamilkli na chwilę, idąc obok siebie przez mały zagajnik i trzymając się za ręce. W oddali Vanessa dostrzegła mercedesa, który już czekał. Rudolf Hess przystanął.

– Czy pani mi ufa? – zapytał, ujmując ją za ramiona.

– Nie wiem – odrzekła Vanessa. – Chyba tak.

– Dam pani najwyższy dowód przywiązania – patrząc przed siebie, szybko wyszeptał Rudolf Hess. – Proszę powtórzyć Heinrichowi ode mnie, żeby bardzo uważał i miał się na baczności przed...

Nagle przerwał, zamilkł, schwycił Vanessę obiema dłońmi z taką gwałtownością, że przestraszona takim połączeniem zapamiętania i brutalności, aż krzyknęła.

– Nie, nie, proszę mu tylko powiedzieć, żeby do mnie przyjechał. Ale szybko, jak najszybciej. Zrozumiała pani?

I spojrział nią z taką intensywnością, że po raz pierwszy poczuła lęk przed tym mężczyzną, który tak ją pociągał, przed jego oczami szaleńca ocienionymi grubymi brwiami, przed jego absurdalną gwałtownością. Odruchowo się cofnęła. Wypuścił ją z ramion. Z powrotem się w nie rzuciła.

\*

Pandora miała się lepiej. Luis Miguel był zgubiony, ale Pandora miała się lepiej. Simon porzucił swoją aktorkę i znowu zniknął. Sygnalizowano jego obecność tu i tam, w Chinach i w Afryce: handlował bronią razem z Profesorem alias Paco Rivera, alias El Sombrero, upijał się w towarzystwie dziewczyn w lokalach Hongkongu lub Berlina. Pandora śmiała się. Była wyleczona. Była zaszczepiona. Przeszła przez próbę, która miała odtąd pozwolić jej przemierzać bez uszczerbku czarodziejskie lasy i najgorętsze sytuacje. Tocząca ją choroba przeszła na Luisa Miguela.

Od czasu do czasu – gorzki, a dziś budzący śmiech owoc tej odległej epoki i mojej edukacji – przeszywał mnie swoisty ból: przygoda Pandory z Simonem Finkelsteinem była historią zbyt głupią, czymś nie do wymazania, jak skaza na metalu lub tkaninie. Pandora śmiała się. Czyżby, wcielając w życie dawne rady miss Evangeline Prism, inkasowała cios i cierpiała w milczeniu? Nie sądzę. Ona już nie

cierpiała. Teraz cierpiał Luis Miguel.

Często w Glangowness, w Londynie, w Paryżu – z Javierem, jak zawsze żyjącym marzeniami, lub z Agustínem, w przerwie między jednymi wyścigami w Norymberdze i drugimi o Grand Prix Monaco, rozmawialiśmy o Pandorze, o Wenecji, o Capri, o powrocie uciekinierki w eskorcie dwóch żandarmów. Wszystko to zostało zapomniane, rozplynęło się w przeszłości. Przez długi czas myślałem o Pandorze jako ofierze niebezpiecznego awanturnika. Wyobrażałem ją sobie jako osobę na zawsze naznaczoną tym piętnem, śmiertelnie zranioną, porzuconą przez pierwszą i jedyną miłość swego życia. Powoli jednak wychodził na jaw inny obraz Pandory. Kochała Simona – ale szybko uporała się z tym doświadczeniem inicjacji. Przyniosło ono być może pewne szkody, tyle że ucierpieć od nich mieli inni. Co wrażliwsi wyobrażali sobie, że opaliła sobie skrzydła; tymczasem ona wyostrzyła tylko pazury i zęby. Poczułem ulgę – już nie cierpiała. A jednocześnie lęk: teraz każe cierpieć innym.

\*

Pora rozpoczęcia kolacji dawno minęła, kiedy wyczerpana drogą i emocjami Vanessa dotarła wreszcie do Tutzing, gdzie Renate i Heinrich uprzedzili już rodziców o jej przypuszczalnym spóźnieniu. Widziała Alpy rozświetlone zachodem słońca i księżyc nad jeziorem Starnberg. Przez całą podróż powrotną rozmyślała o tym dniu i lawinie wydarzeń, które przyniósł: obiad w Vier Jahreszeiten, uprowadzenie jej samochodem, spacer nad brzegiem Tegernsee, wymiana pocałunków, słowa Rudolfa Hessa. Czuła ogarniające ją łagodne podniecenie i wzruszenie; miała wrażenie, że się w nich rozplywa. Zapadła w półsen, w którym słyszała ostatnie słowa Rudolfa Hessa: „Proszę powiedzieć Tipnitzowi, żeby przyjechał się ze mną zobaczyć... żeby się miał na bacności przed...”. Przed czym lub przed kim Heinrich miał się mieć na bacności? Postanowiła jak najszybciej przekazać powierzoną jej wiadomość.

Tego wieczoru nie nadarzyła się sposobność rozmowy z nim. Renate, sama już po kolacji, przygotowała dla Vanessy zimny posiłek. Śmiejąc się i wydając okrzyki, rozmawiały o niespodziankach tego dnia. Mimo ciekawości przyjaciółki, Vanessa dyskretnie przemilczała uroki

Tegernsee. Kiedy wróciły do salonu, gdzie czekały na nie wilgotne jeszcze od sznapsów bujne wąsy starego Tipnitz, Heinrich poszedł już spać. Nazajutrz rano Vanessa wczesnie wstała. Spotkała Heinricha w chwili, gdy wychodził.

– Heinrich – powiedziała – musisz się zobaczyć z Hessem. Prosił, żebym ci to powtórzyła. To pilne.

– Znowu! – odrzekł Heinrich. – Ależ ja bez przerwy się z nim widuję!... Wiesz, chyba wpadłaś mu w oko – dorzucił ze śmiechem.

– Słuchaj, to nie o mnie chodzi. Ale o ciebie. Radzi, żebyś uważał i miał się na baczności.

– Miał się na baczności! Ale przed czym?

– No właśnie. Tego nie wiem. Chce się z tobą zobaczyć, żeby ci to powiedzieć.

– Przynudza – powiedział Heinrich.

Vanessie całkowicie obca była finezja i kokieteria, w których celowała Pandora. Niemniej przemknęło jej przez myśl, że przyczyną złego humoru Heinricha może być lekka zazdrość o Rudolfa Hessa. W słowach Hessa wyczuła coś poważnego. Wiedziała oczywiście, że ostrzeżenie to ma również jakiś związek z nią. Nie chciała być przyczyną, choćby tylko pośrednią, zlekceważenia czy zwłoki, mogących zaszkodzić młodemu Tipnitzowi. Użyła całego swojego uroku i daru perswazji, by przekonać go, że powinien zatelefonować do kompana Hitlera. Heinrich von Tipnitz niechętnie się zgodził. Udało mu się złapać nazistowskiego przywódcę oraz zobaczyć się z nim przed jego wyjazdem z Bawarii do Berlina.

– No i? – zapytała Vanessa.

– Cóż... – powiedział Tipnitz, wyglądający na mocno poruszonego.

– Co się stało? – dopytywała się Vanessa.

– Nie mogę ci nic powiedzieć – mruknął Heinrich. – To jest zbyt... zbyt...

I jasnowłosy dryblas, o głowę przerastający Vanessę, która też niska nie była, rozplakał się.

Już później Vanessa opowiadała mi, że był – i pamiętam, że na te słowa lekko się uśmiechnąłem – „biały jak prześcieradło, blady jak śmierć”.

To chyba w tym czy następnym roku – pod koniec lata 1934 albo 1935 – Brian i Hélène wpadli na dobry pomysł: na dwa czy trzy tygodnie wynajęli jacht i zabrali ze sobą córki oraz czterech braci Romero. Wiedzieli naturalnie o uczuciu Luisa Miguela do Pandory – i w gruncie rzeczy byli mu przychylni. Zagrozeniem, wrogiem nadal pozostawał Simon Finkelstein. Gotowi byli na wszystko, byle wyegzorcyzmować wspomnienie po nim. Agustín i Javier, ale również Pandora, bardzo nalegali, żebym i ja do nich dołączył. Cały ten mały świątek wraz ze swoimi sekretami i namiętnościami wsiadł na pokład w Pasalimani w Pireusie i popłynął na wyspy. W Wiedniu podczas nieudanej próby puczu naziści zamordowali kanclerza Dollfussa. Na horyzoncie coraz wyraźniej rysowała się postać Hitlera.

W czasie rejsu na „Fairy Queen” dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o braciach Romero i siostrach O’Shaughnessy. Opłynęliśmy przylądek Sunion, gdzie przed stu laty ten narcystyczny wandal, lord Byron, wyrył swoje imię na marmurowej, na wpół zatopionej kolumnie, spacerowaliśmy w palącym słońcu po Delos, po Mykonos, po Santorini, przybiliśmy do wybrzeży Rodos, obserwowaliśmy zachody słońca nad przepięknymi zatokami, nad białymi klasztorami – a Pandora i Vanessa ze śmiechem opowiadały mi o tym wszystkim, co przed chwilą wam zrelacjonowałem. Za jednym zamachem poznawałem dwa dotąd zupełnie mi obce światy: pełnych światła wysp greckich i pełnych tajemnic młodych dziewcząt.

Dla mnie cała ta przygoda zaczęła się nieco wcześniej: w czasie gdy pozostali płynęli jachtem, Agustín, Carlos i ja wybraliśmy się samochodem do Aten. Ówczesnym drogom daleko było do tego, czym są dzisiaj: macedońskie dzieci, które nigdy dotąd nie widziały samochodu, biegły obok razem z psami, które, rozbudzone z drzemki, ujadały jak najęte na tego przerażająco chyżego stalowego potwora. Bitymi i kamiennymi drogami, poślubionymi przez deszcze, susze i mróz, bez żadnych drogowskazów poruszaliśmy się z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu jakiś pasterz, pop czy wieśniaczka wskazywali nam drogę. Błądziliśmy, zawracaliśmy, spaliśmy w samochodzie albo pod gołym niebem. Nie musieliśmy się obawiać żadnych złodziei z tej prostej przyczyny, że w promieniu setek

kilometrów nie było nic do ukradzenia. Widzieliśmy po drodze antyczne mosty, bizantyńskie klasztory, ikony, meczety, leśne wodospady i bardzo piękne, bardzo niespieszne postacie, zda się żywcem wyjęte z Biblii czy z *Władcy gór*.

– Ale frajda! – mówił Agustín.

– Ale bieda! – mówił Carlos.

Braci Romero przez długi czas postrzegałem jako monolityczny blok. Na placach Salzburga, między kolumną Rolanda a pałacem Sponza w Dubrowniku powoli zaczynałem odkrywać, co ich dzieli i co ich od siebie różni. Agustín był zwolennikiem ładu, podziwiał siłę, kochał męskie cnoty, świecąc ich przykładem we własnym życiu i zawodzie. Wyrażał się o Dollfussie bez pobłażliwości. Okazywał zainteresowanie bliskie sympatii dla Duce i Führera, wyznawców kultu zwycięstwa, którzy nieraz go już u siebie podejmowali. Carlos był lewicowcem i często zdarzało mu się nazywać brata faszystą. Te kontrasty rodzinne nie były niczym niezwykłym. W Carlosie widziałem kontynuatora dawnych marzeń Jeremiasza Finkelsteina, w jego bracie Agustínie – ostatnie wcielenie dynastii Romerów, człowieka, któremu ojciec obrzydził humanistyczny liberalizm. I jeden, i drugi byli nieodrodnymi potomkami swojej rodziny.

W Dubrowniku, w Sarajewie, w Macedonii piliśmy mnóstwo śliwowicy. Potem śliwowica ustąpiła miejsca retsinie i ouzo. Trzyosobowe stoliki w cieniu meczetów rozrastały się do rozmiaru rodzinnych stołów biesiadnych. Kiedy cztery panny O'Shaughnessy z rodzicami kroczącymi na przedzie i czterema braćmi z tyłu pojawiały się w tawernach na wyspach, nie obywało się bez niejakiego zamieszania. Pamiętam jeden wieczór w tawernie Alexisa na starówce w Rodos: na widok Pandory i jej równie olśniewających sióstr kelner stracił głowę i upuścił tacę. Zdarzało się też, że jakiś amator samochodów rozpoznał Agustína, prosił go o autograf pod wyrozumiałym spojrzeniem Briana i Hélène.

– Jakie to uroczę – mówił Carlos. – Prawdziwie mieszczkański obrazek, alegoria naszych czasów: piękno i sława w cieniu fortuny.

– I co? – zapytała Vanessa Heinricha von Tipnitz, kiedy wrócił ze spotkania z Rudolfem Hessem.

– I co? – na starych uliczkach Rodos, na stromych ścieżkach Patmos, na pokładzie „Fairy Queen” ja z kolei zadawałem to pytanie Vanessie w białej sukience, w espadrylach na bosych stopach, spalonej słońcem.

Biały jak prześcieradło, blady jak śmierć Heinrich von Tipnitz pochlipał chwilę na ramieniu Vanessy. Wieczorem przed kolacją poszła z nim na spacer nad jezioro i wtedy wydobyła od niego więcej. Wszystko kręciło się wokół Roehma i jego brunatnych koszul. Zirytowali oni w końcu Hitlera. Dlaczego? Tego Vanessa już dobrze nie pamiętała. Hitler widział w Roehmie, jak jej tłumaczył Heinrich, rywala, a być może zagrożenie. Obaj działali na tym samym terenie. Brunatne koszule rosły w siłę, wymykającą się Hitlerowi, posłuszną wyłącznie rozkazom Roehma. Kapitan Roehm uważał, że Hitler okazuje zbyt wiele cierpliwości wobec starego marszałka...

– Jakiego marszałka? – zapytała Vanessa.

– Hindenburga – odpowiedział Heinrich. – Dowódcy wojsk w czasie ostatniej wojny. Został on prezydentem republiki i teraz, po naszym zwycięstwie, zmuszony jest nazywać Hitlera kanclerzem, czyli jakby premierem. A Hitler...

Vanessa już nie słuchała. Szła obok Heinricha, nerwowo mnąc kartkę papieru w kieszeni. Był to krótki liścik, który późnym popołudniem, gdy była zupełnie sama, przywiózł jej do domu motocyklista w mundurze.

Droga Vanesso,

Bardzo mi pani brakuje. Dla pani, wyłącznie dla pani, próbuję uratować wiadomą jej osobę. Proszę jej przekazać, żeby zrobiła to, co powiedziałem. Natychmiast. To sprawa życia lub śmierci. Chcę, żeby pani coś dla mnie zrobiła. Proszę o mnie myśleć – tak jak ja myślę o pani.

Całuję.

List, pisany wyraźnie w pośpiechu, z licznymi skreśleniami, podpisany był: „R”. Słowo „natychmiast” zostało podkreślone. U dołu strony była jeszcze jedna linijka: „List po przeczytaniu proszę zniszczyć”. Nie zrobiła tego i przez cały wieczór to składała, to rozkładała go w palcach.



Heinrich von Tipnitz nadal mozolnie wyjaśniał jej powody zerwania między kanclerzem i zawadzającym mu kapitanem. To Hess poinformował Heinricha o tym, co się szykuje, i ostrzegł: tak czy inaczej, oznacza to koniec brunatnych koszul.

– Ale co ci konkretnie powiedział? – dopytywała się niecierpliwie Vanessa.

– Właśnie to. To, co ci powiedziałem.

– Coś ci doradził – nie ustępowała Vanessa. – Przedstawił swoje zdanie.

– Ach! Chciał, żebym wystąpił z SA – powiedział Heinrich.

Panny O'Shaughnessy mogły się podobać mężczyznom, nie były jednak idiotkami. Albo były, ale z nagłymi przeblyskami geniuszu, gdy w grę wchodziła namiętność. Vanessa momentalnie pojęła, że zbliżają się do sedna sprawy.

– I co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Na pewno swoich nie zostawię – odrzekł Heinrich von Tipnitz.

Przez długie godziny przed i po kolacji Vanessa spierała się z Heinrichem. Czy rzeczywiście ma przepaść razem z SA? Czy powinien opuścić ich i przejść na stronę Hitlera? Heinrich von Tipnitz zaciekle się bronił. Kochał swój mundur, swoich towarzyszy, zespołowe życie. Był przywiązany do Roehma. Nie mógł ich zdradzić. Kilka razy oznajmił Vanessie, że podjął decyzję: uprzedzi swoje dowództwo, ostrzeże ich. Vanessa zaangażowała w tę batalię cały swój urok i potencjał. Dotąd walczyła o Heinricha, o jego karierę, o jego ambicje. Ale teraz walczyła również o Rudolfa Hessa: za żadną cenę nie chciała stać się niegodną zaufania, jakie jej okazał, i pokrzyżować jakieś tajemnicze plany, o których niewiele wiedziała, ale domyślała się ich wagi.

Na wyspach Morza Egejskiego niemiłosiernie prażyło słońce. Szliśmy pod górę po białych schodach między niebieskimi domami. Nagle zza kościoła, pomiędzy drzewami oliwnymi ukazało się morze. Pobiegliśmy ku rozpalonej plaży i wskoczyliśmy do wody.

– No i w taki właśnie sposób zostaje się agentem – stwierdziłem.

– Od razu takie wielkie słowa!... Darzyłam przyjaźnią Heinricha, to wszystko.

– A Hessa?

Spojrzała na mnie roześmiana. Życie było piękne. Morze ciepłe i spokojne. Nie było się czym przejmować.

Heinrich był słabeuszem. Vanessa była o wiele silniejsza i bardziej zdecydowana. Całkowicie go przekabaciła. Nigdy nie dowiedziałem się, jak było naprawdę, ale dam głowę, że Heinrich von Tipnitz nie tylko opuścił swoich; on ich również wydał.

Dzięki Vanessie, dzięki niemu Rudolf Hess zdobył wszelkie niezbędne informacje o planach SA. Naturalnie Tipnitz nie był jedynym dostarczycielem tych danych: wśród brunatnych koszul było mnóstwo agentów na żołdzie Hitlera. Z dnia na dzień, w zamian za zdradę Tipnitz znalazł się po stronie zwycięzców. Jakich zwycięzców? Czarnych koszul, oczywiście, Schutz Staffeln Adolfa Hitlera – historycznych rywali Sturm Abteilungen w koszulach brunatnych – osławionych Oddziałów Bezpieczeństwa, które przejdą do historii jako SS.

30 czerwca 1934 roku w Bad-Wiesse nad Tegernsee odbył się zjazd brunatnych koszul Roehma. Zorganizowano rodzaj wielkiego pikniku. Jedzono i pito, śpiewano i tańczono. Sypały się drwiny pod adresem Hindenburga i tradycyjnej armii.

– Gdzie Tipnitz? – zapytał Roehm.

Nikt nie wiedział. Od trzech dni go nie widziano.

Czy w romantycznej i odświętnie udekorowanej oberży, gdzie zatrzymała się większość kierownictwa SA, rzeczywiście doszło do takiej rozpusty i takich orgii, jak to rozgłaszała później SS? Tak czy inaczej pod koniec nocy dał się słyszeć warkot silników: po niedawnej zabawie zjawily się pojazdy pełne esesmanów, którzy zajęli miasteczko i oberżę, budząc – na chwilę – pijanych, słodko śpiących, wtulonych w piersi dziewczyn lub w objęcia kolegów. Ciemnymi uliczkami nadbiegali esesmani, kolbami i kopniakami wyważali drzwi, wpadali do pokoi. Wszystko trwało zaledwie kilka minut. Zaskoczeni w głębokim śnie przywódcy brunatnych koszul co do jednego zostali wymordowani z karabinów maszynowych lub zasztyletowani. Zagrożenie ze strony SA zostało zlikwidowane. Była to sławna „noc długich noży”. Poprzedniego dnia Heinrich von Tipnitz wyjechał do Berlina, gdzie wstąpił do SS. Wczesnym rankiem do Vanessy zatelefonował Rudolf Hess. Powiedział jej, co się stało, i zapytał, czy teraz nareszcie mu ufa? W odpowiedzi coś

wyjąkała. Jej wakacje w Bawarii dobiegały końca. Wracała do Anglii. Kazał jej obiecać, że się z nim znów zobaczy. Obiecała.

Kanclerz Rzeszy nie miał już rywali. Po długim przemówieniu i krótkich debatach Reichstag, zwołany do Berlina na posiedzenie nadzwyczajne w sali dawnej opery Krolla, zgotował mu owację, marszałek von Hindenburg nadesłał telegram z życzeniami i gratulacjami, mocarstwa zagraniczne wstydliwie odwracały wzrok, uporczywie milcząc, niewykluczone, że uradowane wewnętrznymi konwulsjami wstrząsającymi Niemcami. Wiele lat później, w czasach kiedy jeszcze krążyłem między San Miniato a Plessis-lez-Vaudreuil, z mieszanymi uczuciami fascynacji i grozy wziąłem udział w projekcji filmu Viscontiego, który odtwarzał w formie fikcyjnej intrygi tamte wydarzenia. Pamiętam jego tytuł: *Zmierzch bogów*.

W Niemczech, w Rosji, w Hiszpanii, w Austrii Europa zdążyła ku swojemu krwawemu przeznaczeniu. Ale myśmy się tym nie przejmowali. Nurkowaliśmy w morskich falach, sypialiśmy na pokładzie, na grzbietach osłów wspinaliśmy się do kaplic i klasztorów na stokach wzgórz. Wszystkie wyspy są do siebie podobne. Na morzu tym są one tym, czym wakacje w czasie. Rodzajem wyizolowanej przestrzeni otwartej na wszelkie wiatry, przystankiem podczas biegu, iluzorycznym rajem w samym sercu świata. Szczęście to nawias, w którym zamykamy siebie samych. Na błękitnym i jak okiem sięgnąć pustym morzu obwarowujemy się w nim jak w twierdzy. Podnosimy zwodzone mosty. Beztrosko żeglujemy po morzu bogów.

Nie zamierzam tu przedstawiać mojego dziennika podróży. Oczywiście, prowadziłem go, wiernie odnotowując słowa Javiera i Agustína, dąsy Jessiki, śmiech Vanessy, spotkania w portach i nasze wizyty w świątyniach i nadmorskich knajpkach. Ten stary dziennik o kratkowanych stronicach i w czerwonej okładce, ze śladami tu i ówdzie wilgotnej bryzy znad Morza Egejskiego, nadal przechowuję w moim magicznym kuferku pełnym wspomnień po minionych czasach, o kilka zaledwie kroków od tarasu w San Miniato, na którym w bladym wiosennym słońcu siedzę teraz i piszę. Wystarczy mi go otworzyć, by w pół wieku od tamtej podróży Toskanię wypełniło morskie powietrze. By w mojej pamięci podniósł się wieczorny wiatr. Gdyż to, co istniało

kiedyś, nigdy nie przestaje istnieć.

Mógłbym przez całe strony opowiadać wam o Delos i Mykonos, o Patmos i Santorini. Tylko po co? Było pięknie. Czasami ciążyło mi nawet towarzystwo Pandory lub Javiera. W czasie gdy Carlos przechadzał się z Jessicą, a Agustín dyskutował z Vanessą, wspinałem się samotnie na szczyty nadmorskich skał, poznaczone ścieżkami wydeptanymi przez kozy, i wpatrywałem się w morze. W tym miejscu, dwa czy trzy tysiące lat temu, narodziły się tragedia i przeznaczenie. Do wszystkich tych, wciąż mnie nawiedzających historii Wrońskich i McNeillów, Romerów i Finkelsteinów nigdy by nie doszło, gdyby nad tym morzem, w którym z takim zapalem nurkowaliśmy, poeci i filozofowie nie wymodelowali w swoich dialogach i eposach określonego obrazu człowieka, w całości ukształtowanego przez namiętności i nieuchronność.

Często, siedząc na dziobie statku lub wyciągnięty na rozgrzanych słońcem kamieniach, marzyłem o Pandorze. Kilka metrów dalej ona sama drzemała na pokładzie lub w kabinie albo pływała w morzu. Pojawiała się w moich marzeniach tak jakby od „Fairy Queen”, od Morza Egejskiego i ode mnie dzieliły ją tysiące kilometrów. Mówiłem już chyba, i to pewnie nie raz, jak była piękna. Greccy marynarze w portach brali ją za jakąś skandynawską lub germańską boginię. Mylili się. W sposób oczywisty stanowiła skrzyżowanie blondynki słowiańskiej z angielską. Nie tylko z powodu rysów twarzy, wysokich kości policzkowych, wypukłego czoła, długich jasnych włosów i zielonych oczu. Lecz także z racji charakteru, poprzez to ciągłe łączenie – które miało powalić na kolana tyle dzielnych batalionów – gwałtownych namiętności ze skrajną rezerwą, niekiedy graniczącą z oziębłością. Słusznie czy nie, lecz ukrytych, podskórnych korzeni towarzyszącej jej od najmłodszych lat obsesyjnej potrzeby uwodzenia upatrywałem w nieszczęściach Marie Wrońskiej, Nadii i Nicolasa. Na jej dzieciństwie zaciążyła długo odwlekana rewelacja, która w końcu spadła na nią jak grom z jasnego nieba: jej dziadek Nicolas był przyrodnim bratem jej babki Nadii. Świadomie bądź nie, całe jej życie nakierowane będzie na odtwarzanie tego samego dramatu, tyle że z pewnym przesunięciem: zamiast pokochać rodzony czy przyrodni brata, którego nie miała,

wynalazła sobie rodzaj rodzinnego kręgu ześrodkowanego wokół Romerów, i na nich wypróbowywała swoje talenty. Był tam wuj, byli siostrzeńcy – no i byłem ja. Nagle „Fairy Queen” przestawał być obrazem rajy unoszącego się na falach pośród bajkowej scenerii, a zamieniał się w zaklęty krąg koszmaru, a zarazem rozkoszy w krainie Atrydów. Zaczynałem nabierać przekonania, że nic nie dzieje się przypadkiem: wszechobecne historie Wrońskich i Romerów, McNeillów i Finkelsteinów w sposób całkiem naturalny zaowocowały w Grecji rodzinnymi dramatami i nieuniknionym przeznaczeniem. Pewnego wieczoru na Rodos, w cieniu starych murów i rycerskich oberży odrestaurowanych przez Duce ujrzałem Pandorę w ramionach Luisa Miguela. Nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej.

– Odbiło jej? – skomentował to Javier. – Pamiętasz, co opowiadała?

Uniosłem rękę. Myślę, że nawet lubiła wszystkie te teatralne zagrywki i te sprzeczności. Powoli zaczynałem rezygnować z prób zrozumienia serc sióstr O’Shaughnessy.

Kiedy piszę te strony, w San Miniato zapada zmrok. Zrywa się wiatr. Zamykam oczy. Znów siedzę pomiędzy Vanessą a Pandorą przy długim stole, ustawionym na dworze w cieniu starej lipy na dziedzińcu tawerny Alexisa na starym mieście w Rodos. Pogoda jest piękna. W powietrzu przesyconym aromatami kwiatów i kuchni wyczuwa się powiew meltemi. U szczytu stołu – Brian. Naprzeciw niego Hélène. Są tak znakomicie wychowani! Z uśmiechem przysłuchują się słowom córek i ich przyjaciół. Obok znanych im Heinricha von Tipnitsa i jego siostry Renate musiało obić im się o uszy również nazwisko Rudolfa Hessa; nie obudziło jednak ich czujności. Mimo burzliwej przeszłości babki i własnych rodziców, a może właśnie z tego powodu oraz przez świadome odcinanie się od wszelkich zawirowań i problemów, Hélène ze swym uroczym uśmiechem, swoją czułością wobec córek, swoim przywiązaniem do męża jest absolutnie niezdolna podejrzewać jakiegokolwiek tragedii, dramatu czy najdrobniejszej nawet nieprzyjemności. Uważa swoje córki za niewiniątka, którym jedyne, co może się przydarzyć, to małżeństwo z miłości, takie jak to, które ją samą, jak w bajce, połączyło z bogatym dziedzicem. Oczywiście,

Pandora narobiła głupstw. Ale to już przeszłość. Nie poślubi brata – bo go nie ma, ani wielkiego magnata, rewolucjonisty i liberała – bo to wymarły gatunek, ani genialnego muzyka – bo żadnego jakoś nie widać w pobliżu, ani nawet Simona Finkelsteina. Zatem wszystko w porządku. Gdyby mogła zostać żoną Luisa Miguela Romery, daj Boże, nie byłoby to nawet takie złe. Lepszy byłby oczywiście młody diuk Bedford, albo ten czarujący książę Rutland, który... W końcu Luis Miguel...

Romerowie to ludzie całkiem przyzwoici, nie było w ich rodzinie żadnych skandali – a, prawda! ta krew żydowska, no i murzyńska, hmm, niedobrze... Ale co z tego? Nawet sami Landsdownowie mają w sobie hinduską krew i przodków zbrodniarzy – a zresztą fortuna Conchity przesłania wszystko. Ten młody Luis Miguel jest całkiem miły.

W każdym razie więcej wart od swojego wuja Simona, aż zastanawiające, jakim sposobem – a, prawda, wojna... – ten człowiek mógł się tak blisko zaprzyjaźnić z Brianem. Po drugiej stronie stołu w cudacznej mieszance greckiego z pidgin i włoskim rozmawia z właścicielem tawerny Brian O'Shaughnessy, ostatni lord Landsdown, Szkot, Irlandczyk brytyjski po czubki włosów, myśliwy w przebraniu marynarza, mający solidne oparcie w swoich lasach, gruntach, polach i zamku w Glangowness. Tworzą one wokół niego swoisty mur obronny. Chronią go przed historią i słońcem Grecji. Jasna broda pirata, której od wypłynięcia z Pireusu nie goli, to spadek po Kevinie i Brentonie McNeillach, wykolejeńcach i moczymordach z połowy osiemnastego wieku, a może również po jeszcze odleglejszych wspólnych anglosaskich przodkach z czasów Ivanhoe, Ryszarda Lwie Serce i nieszczęsnego króla Harolda, męża Edith o łabędziej szyi, pokonanego i zabitego przez Wilhelma Zdobywcę w bitwie pod Hastings. Mimo Verdiego i Wrońskiego, i Nadii, i Nicolasa – Brian poślubił Hélène. Przygody jego smarkatych córek na pewno nie sprowokują go do lamentów. Z wyżyn swoich dwunastu stuleci zwycięstw i przegranych, chwały i przygód spokojnie obserwuje rozgrywającą się na jego oczach publiczną i prywatną historię swych najbliższych.

Czas unosi nas i odmienia. W ciągu kilku dni siostry O'Shaughnessy i bracia Romerowie ulegli na moich oczach metamorfozie. Dowiedziałem się, że Carlosa i Agustína rozdziela cały

bezmiar świata, że Vanessa w wieku lat szesnastu podejmuje niebezpieczną grę, że Pandora obsesyjnie pragnie się podobać, że Luis Miguel triumfuje, zda się z każdym dniem zadając kłam moim słowom. W miarę jak brat odzyskiwał dobry humor i kwitł ze szczęścia u boku Pandory, naturalniejszej, łagodniejszej i bardziej niż zwykle nieodgadnionej, Javier ku mojemu zdumieniu stawał się posępny i rozżalony. Czyżby i jego miała dopaść rodzinna przypadłość?

– Wiesz co? – powiedział Javier. – To niesłychane. Niesłychane.

– Ale co? – zapytałem.

– Luis Miguel powiedział mi, że już niedługo ożeni się z Pandorą.

– A masz coś przeciwko temu?

– Nie wiem.

– Jeszcze tego nie zrobił – przypomniałem.

I dałem mu kuksańca, na którego w pełni zasłużył.

Jessica, chwała Bogu, była jeszcze dzieckiem. Najstarszy z paczki, Carlos Romero, który mógłby być jej ojcem, wziął ją pod swoje skrzydła, i razem zwiedzali świątynie i grobowce.

Kastellorizo, niedaleko Kaşu i tureckiego wybrzeża, to dziwna, odległa wysepka, której półkolisty port tworzy istic operetkową scenię, jarzącą się barwami i w zapadającym zmierzchu nieco nostalgiczną wesołością. Wskutek licznych klęsk naturalnych i społecznych mieszkańcy Kastellorizo masowo wyemigrowali, co ciekawe, do Australii. Pozostała melancholijna i piękna pusta muszla na użytek turystów, których zresztą z powodu jej oddalenia nie było zbyt wielu. Dosyć jednak, by wśród nich na pokładzie oszałamiającego jachtu, przy którym „Fairy Queen” wyglądał jak stara łajba, znalazł się pewien młody, dość przystojny Amerykanin, spadkobierca zarazem Mellonów i Vanderbiltów, tych Vanderbiltów, którzy – pamiętacie? – odegrali pewną niewielką rolę w życiu Jeremiasza Finkelsteina. Ciemnowłosy, niezbyt wysoki, na przemian to wesoły, to zatopiony w nie wiedzieć jakich marzeniach, nazywał się Thomas K. Gordon i samotnie, jedynie w towarzystwie marynarzy, kucharza i stewarda krążył po wyspach Morza Egejskiego.

Kiedy dopłynęliśmy do portu w Kastellorizo, zapadała noc. Nazajutrz rano bliźniaków i siostry naszła nieodparta ochota złożenia

wizyty na „Alcyonie”. Wysłano Pandorę pod eskortą Luisa Miguela. Gospodarz jachtu miał akurat jeden ze swych posępnych dni, więc przyjął ich raczej chłodno.

– Czego chcecie? – warknął.

– Jest nas dziesięcioro na tym małym jachcie obok – wyjaśniła Pandora. – Mój ojciec pyta, czy zjadłby pan z nami obiad.

– Nie opuszczam pokładu. Jeśli chcecie, możecie przyjść wszyscy na kolację do mnie.

– Co za statek!... – powiedziała Pandora.

– Rozejrzyjcie się. Mnie tam wszystko jedno.

I wrócił do swojej kabiny, która była olbrzymia i jasna, pełna antyków i wyposażona w istic filmową łazienkę.

– I co? – zapytała Vanessa, kiedy Pandora z Luisem Miguelem wrócili na „Fairy Queen”.

– Był bardzo dziwny – stwierdziła Pandora.

– Nie patrzył na ciebie? – zapytał Javier.

– Prawie wcale – powiedziała Pandora. – Ale zaprosił nas wszystkich na kolację.

Kolacja na „Alcyonie” w porcie Kastellorizo pozostawiła mi po sobie mieszane wspomnienia. Wokół nas jarzyły się światła miasteczka. Marynarze w białych strojach pomagali stewardowi serwować dania, których nie powstydzilaby się żadna paryska czy londyńska pani domu. Była whisky, bordeaux, szampan. U szczytu stołu Thomas Gordon, mając po prawej stronie Hélène, po lewej Pandorę, milczał jak zaklęty. Prowadziliśmy między sobą ożywioną rozmowę, jakby go wcale nie było.

– Bardzo wam wszystkim wesoło, prawda? – spytał Thomas, nachylając się ku Pandorze.

– Za to pan jest bardzo pewny siebie, prawda? – odparowała Pandora.

– Przeszkadza to pani? – zapytał Thomas.

– Ani trochę – powiedziała Pandora.

Po kolacji, na pokładzie, pośród ciepłej nocy Pandora, akompaniując sobie na gitarze, śpiewała piosenki pasterzy szkockich i marynarzy bretońskich, my zaś wtórowaliśmy jej chórem. Myślałem



o Brzdącu, o Rudolfie Hessie, o zwycięstwach Agustína w lśniących bolidach, o wielkich nadziejach Carlosa, który pasował do Thomasa, bo siedział lekko nadąsany.

Późną nocą wróciliśmy na pokład „Fairy Queen”.

– Co za wieczór! – powiedział Javier.

– No i jak ci się podoba? – zapytała Atalanta Pandorę.

– Jacht?

– Ach nie! Thomas.

– Niezły – powiedziała Pandora.

– Nie odezwał się do mnie ani słowem – poskarżyła się Vanessa.

– Do mnie też nie – zawtórowała jej Atalanta.

– No właśnie – powiedziała Pandora.

Nazajutrz wcześniej rano Thomas zawołał do nas z nabrzeża. Był w świetnym humorze. Chciał jechać łowić ryby, pływać, obejrzeć foki, które, jak twierdzili marynarze, zbierały się w jednej z grot Kastellorizo. Tego dnia i przez wszystkie następne prawie się z nim nie rozstawaliśmy. Opłynęliśmy wkoło wyspę. Pożeglowaliśmy razem aż do wybrzeży Turcji, do Kaşu, na wyspę Kekova, gdzie zatopione przez morze licyjskie grobowce tworzą jeden z najbardziej niezwykłych widoków Morza Śródziemnego. Nocami spacerowaliśmy wśród ruin z innej epoki. Thomas powoli się oswajał. Rozmawiał z Brianem o interesach, żartował z Vanessą i Atalantą.

– Nie jest taki zły – zapewniał Luis Miguel.

– Tak myślisz? – mówiła Pandora.

Któregoś dnia, na godzinę lub dwie przed zachodem słońca, Thomas zabrał Pandorę na spacer po wyspie. Kiedy wrócili, była już głęboka noc.

– Co ci mówił? – zapytała Vanessa siostrę.

– Był bardzo tajemniczy – powiedziała Pandora. – Podróżuje. Jest bardzo samotny. Myślę, że ma wielkie możliwości i nie bardzo wie, jak je wykorzystać.

– Pocałował cię? – zapytała Vanessa, niepoprawna romantyczka.

– Jesteś okropnie ciekawska – odrzekła Pandora.

Pięć czy sześć tygodni później podczas balu w Glangowness – wieczorowe suknie i czerwone bordeaux, myśliwi w kiltach,

podporucznicy wracający z Indii, chichoty młodych dziewcząt – Pandora ogłosiła swoje zaręczyny z Amerykaninem. Zaledwie osiem dni później wiadomość o tym wydarzeniu, zamieszczona w niezwykle długim i lekko egzaltowanym liście, znalazła się na biurku Rudolfa Hessa w Berlinie. Luis Miguel postanowił wyjechać do Argentyny, gdzie, jak twierdził, życie jest piękniejsze niż w Europie.

## Carlos i Jessica na jednym jadą wózku

Przez trzy czy cztery lata żyło nam się cudownie. Boże, jakże piękne było życie! Front Ludowy przyznał płatne wakacje milionom mężczyzn i kobiet, którzy parami wyjeżdżali teraz nad morze, którego nigdy jeszcze nie widzieli. Wsiadałem na pokład „Normandie”, by razem z Pandorą powłóczyć się po kraju, od Karoliny Południowej do Kalifornii, od Florydy do Wirginii. Upadała Austria. Zwiedzaliśmy Toskanię, Abruzję, Puglię. Nastąpił kryzys w Sudetach, a wkrótce po nim w Monachium. Zjeżdżaliśmy się wszyscy do Briana i Hélène w Glangowness. Wojska niemieckie zajęły Pragę. Agustín i Javier jeździli z Atalantą na nartach w Zermatt; z Pandorą do nich dołączaliśmy. Nie byliśmy ślepi, nie byliśmy takimi tchórzami czy głupcami, jak można by się obawiać; oczywiście wiedzieliśmy, że zbliża się wojna, do której dąży Hitler, choć Vanessa zarzekała się, że wcale tak nie jest. Chcieliśmy po prostu nacieszyć się światem, zanim nastąpi katastrofa, i Europą, zanim zniknie z powierzchni Ziemi.

Ówczesny świat był bardzo bliski dzisiejszego, a zarazem bardzo odległy. Tysięczne więzy, o wiele silniejsze niż obecnie, łączyły go z przeszłością. A w przyszłości pokładał ogromne nadzieje. Nie było pigułki antykoncepcyjnej, nie było telewizji, samoloty stanowiły rzadkość i z wyjątkiem sióstr O’Shaughnessych większość młodych panien do dnia ślubu zachowywała cnotę. Nie wynaleziono jeszcze bomby atomowej. Komunizm dopiero się rozwijał. Ludzie nadal pokładali wiarę w nauce i postępie. Mimo doświadczeń pierwszej wojny światowej i kryzysu z 1929 roku wciąż jeszcze gorąco wierzyliśmy w promienną przyszłość, której na przeszkodzie stał jedynie Adolf Hitler.

Każdy z nas dobrze wiedział, że mniej więcej od czasu naszej wyprawy na „Fairy Queen” wkroczyliśmy w okres zawirowań i że lata powojenne zaczynają przechodzić w przedwojenne. Trwaliśmy w zawieszeniu. Pomiędzy odchodzącą w przeszłość rzezią naszych ojców i właściwie nieuniknionymi konsekwencjami grózb ponawianych

przez Hitlera zostało nam jeszcze kilka lat pomyślnych. Pierwszym sygnałem ostrzegawczym, jeszcze na mniejszą skalę, była wojna w Abisynii wydana przez Mussoliniego negusowi Hajle Sellasje. Drugim sygnałem ostrzegawczym, poważniejszym i bardziej krwawym, próbą generalną przed potopem z 1940 roku, była wojna w Hiszpanii.

Tego wieczoru, gdy Pandora wciąż jeszcze opalona greckim słońcem ogłosiła swoje zaręczyny z Thomasem Gordonem, byłem oczywiście wśród gości w Glangowness. Lało jak z cebra. Zajmowałem się głównie Luisem Miguelem, na dniach wyjeżdżającym do Argentyny, na którego aż żal było patrzeć. Przez kilka dni na wyspach Dodekanezu – wtedy jeszcze włoskich – na nowo ożyła w nim nadzieja. Utrata złudzeń była bardzo bolesna. Ze zgrozą wspominał zniszczone kolorowe domy Kastellorizo i dziką, monumentalną scenerię skał morskich.

– Może to i lepiej – powiedziałem, próbując go pocieszyć. – Sam wiesz, jak lubię i podziwiam Pandorę. Ale życie z nią musi być katorgą, a może nawet piekłem.

– A bez niej? – mruknął Luis Miguel.

– Taki już los nas wszystkich.

– Z wyjątkiem tego skurwiela – powiedział Luis Miguel.

Pandora tańczyła właśnie z Thomasem Gordonem. Uśmiechała się. Znałem ten uśmiech. Raptem zaświtała mi w głowie myśl, czy młody Amerykanin ze swoimi chwilami milczenia i fortuną, swoimi fumami i napadami nagłej wesołości nie jest li tylko kolejnym wybiegiem w życiu Pandory. Po co u licha wychodziła za niego za męża? Odpowiedź była prosta – z pewnością zbyt prosta: bo go nie znała, bo dodawał jej pewności siebie, bo jej się podobał. Orkiestra przestała grać. Pandora podeszła do nas.

– Kocham was – oświadczyła, obejmując nas obu za szyje.

– No, no! – powiedział Luis Miguel. – A którego konkretnie?

– Oczywiście obydwóch – odrzekła z rozbrajającą naturalnością.

– A ten trzeci, tam? – zapytał Luis Miguel, ruchem podbródka wskazując Thomasa Gordona pogrążonego w rozmowie z Brianem i Agustínem.

– Tamten to co innego – powiedziała. – Za niego wychodzę za

mąż.

A może była do tego stopnia lekkomyślna i beztroska, że aż w pewien sposób szalona? A może kompletnie jej nie obchodziło, jak potoczy się jej własne życie? A może po prostu lubiła się z Thomasem Gordonem kochać? Jakże słabo znamy ludzi, których we własnym przekonaniu znamy najlepiej! Kompletnie nie potrafiłem przewidzieć żadnego, najdrobniejszego nawet ruchu Pandory czy Javiera. Ani nawet wytłumaczyć sobie już po fakcie, jakie kierowały nimi motywy czy intencje. Zadowalałem się obserwowaniem ich życia i opowiadaniem o tym, co robili i co ich spotykało. A reszta... Mówi się, że trzeba się z kimś przespać, żeby go zrozumieć. Nie wydaje mi się jednak, żeby fakt dzielenia z kimś tego samego łóżka, tej samej nocy, tej samej rozkoszy wystarczył do zgłębienia jego łędźwi i serca. Zespolecie się z drugim człowiekiem wcale nie czyni go prostszym i bardziej przewidywalnym. Gdyż ludzie są różni, skomplikowani, niepewni i trudni do przejrzenia. Nie jestem pewny, czy Luis Miguel lub Javier byli czytelni nawet dla siebie samych. Jestem przekonany, że Pandora nigdy do końca nie wiedziała, co robi ani o co jej chodzi – i że ta niepewność stanowiła jeden z jej uroków. Wiem, że opowiadam o wydarzeniach zewnętrznych i postrzegalnym obliczu egzystencji innych po to, by nie zastanawiać się nad ukrytym obliczem swojego własnego życia.

Pojawił się Javier.

– Tylko ciebie tutaj brakowało – powiedziałem.  
– Im więcej szaleńców, tym weselej – odparł z ponurą miną.  
– Oto twoi szaleńcy, Pandoro – oznajmiłem.  
– Świetnie, chłopaki – powiedziała, przyglądając się każdemu po kolei z miną dowódcy dokonującego przeglądu swoich oddziałów – bo będziecie mi jeszcze potrzebni.

Odniosłem wrażenie, że te zwykłe słowa, nieco dwuznaczne i być może okrutne, podziałały niczym balsam na serca obu bliźniaków, zdecydowanie niepoprawnych.

Carlos skończył rozmowę z Brianem. Podeszedłem do niego. Był w kiepskim nastroju.

– One są niesamowite – rzucił.  
– Kto taki?

– Oczywiście panny O’Shaughnessy. Niesamowite.

– Bez przesady – powiedziałem. – Cały ten światek jest dokładnie taki, jaki powinien być, kiedy ma się pieniądze, zamek w Szkocji, w żyłach rosyjsko-irlandzką krew, wśród przodków Verdiego i prezencję wiadomo jaką.

– No to nieznośna jest ta ich kasta, ich rodzina, ich sposób bycia, ich, jak to określają, środowisko. Wyłącznie hipokryzja, płochosc, sztuczność i niekonsekwencja. Wszyscy tutaj, włącznie z jej własnym ojcem, zachodzą w głowę, czemu akurat tego chłopaka wybrała sobie Pandora i w ogóle co ją napadło. Albo jej siostra: zakochana w naziście! Myślę, że Atalanta też jest już stracona. Poślubi jakiegoś skretyniałego księcia lub bajecznie bogatego bankiera, albo obu. Posiadanie kilku nie jest zabronione. Tylko małą Jessicę można by jeszcze uratować.

Na moment zadałem sobie pytanie, czy aby również Carlos nie dołączył do trupy Romerów i nie zakochał się w Pandorze. W porę jednak przypomniało mi się, że jest intelektualistą i jego główną powinnością jest ferowanie ocen moralnych.

– I tańczy to to, i świętuje, i flirtuje z nazistami, i plecie Bóg wie co. Tylko dlaczego i po co interesować się takimi osobami? To szumowiny ludzkości. Zgnilizna. Trujące, bezużyteczne kwiaty.

– Takie są najpiękniejsze – odparłem z uśmiechem. – Przyznaj chociaż to, że są piękne.

– Oczywiście, są piękne. I nic przeciwko nim nie mam. To pieniądze psują wszystko, wszystko to, co je otacza i za czym się obwarowują: wojsko, Kościół, sprawiedliwość, policję, Izbę Lordów, tradycje...

– Problem z siostrami jest taki, że z tych czy innych względów człowiek czuje się dobrze w ich towarzystwie. Wiem, że trudno o większą niesprawiedliwość. Ale nic się na to nie poradzi! Zawsze jest to sławetne „coś”. Może to po prostu urok?

– Może. Początkowo wyrzucałem sobie, że spędzam z wami w Grecji tyle czasu. A potem urok O’Shaughnessych i mnie się zaczął udzielać. A jednak... Rzecz w tym, że im wszystkim brakuje szczodrości.

Nie wiem, czy to szczodrość właśnie, czy może raczej zamiłowanie do ryzyka i żyłka awanturnicza doszły do głosu u jednego z naszych

najdawniejszych znajomych. Od pewnego czasu straciliśmy go z oczu. Przypadek sprawił, że oto nagle znów się nam objawił. Któregoś wieczoru Carlos Romero w trakcie jednego ze swych częstych pobytów w Paryżu zaprosił mnie – jak przypuszczam, w ramach walki z płochością O’Shaughnessych – na wiec poparcia dla Etiopii zorganizowany przez Kongres Intelktualistów Antyfaszystowskich, jeśli dobrze pamiętam, w Salle Pleyel albo w Mutualité. Na podium zasiadła rzędem plejada znakomitości aktualnych lub przyszłych: Leon Blum o wyglądzie księcia dla niepoznaki przebranego za afgańskiego charta, André Gide z miną kościelnego, który wymknął się z kaplicy świętej „Nouvelle Revue Française”, Jean Guéhenno, Jean Cassou oraz pewien młodzieniec bardziej błyskotliwy, bardziej bystry od reszty i mówiący urywanym głosem: André Malraux. Po wystąpieniach piętnujących włoską agresję w sali zapanowała ciemność: kronika przedstawiła lekko rozedrgane obrazy scen oporu stawianego przez Etiopczyków oddziałom Mussoliniego. Widać było negusa, który wyglądał, jakby zstąpił z prawosławnej ikony czy miniatury z Topkapi, kilku jego dygnitarzy pod wielkimi parasolami oraz bosonogich żołnierzy w obszernych derkach.

Nagle poczułem dłoń Carlosa zaciskającą się na mojej ręce.

– Patrz! – wyszeptał.

Patrzyłem. Wyteżając wzrok patrzyłem. Negus w asyście kilku chwatów o smagłej cerze zniknął z ekranu. Pojawiły się teraz karabiny maszynowe, biegnący żołnierze, kobiety i dzieci roznoszące amunicję.

– O co chodzi? – mruknąłem.

Aż raptem go zobaczyłem. Kamera znów przesuwała się po otoczeniu negusa. Za nim zaś, o niemal równie ciemnej karnacji, lecz nietrudny do rozpoznania, uśmiechając się pośród tych zaaferowanych lub posepnych twarzy, stał Simon Finkelstein.

– Cóż, przynajmniej nie straciliśmy wieczoru – skwitowałem to półgłosem.

Tego samego zdania był również Carlos. Piętnaście dni później dołączył do Simona w Addis Abebie.

O udziale Carlosa Romery i Simona Finkelsteina w bitwach pod Aduą i Aksum wspomniano tylko w dwóch lub trzech książkach

amerykańskich i angielskich, nie zawsze odznaczających się ścisłością. John Sturgees, korespondent wojenny „New York Timesa”, w swojej słynnej książce *Lew z Judy*, pogubiwszy się zapewne w parantelach Finkelsteinów z Romerami i w zażyłości Romerów z O’Shaughnessy’ami, przedstawia Carlosa Romery jako siostrzeńca lorda Landsdowna.

– To już szczyt wszystkiego – powiedział Brian, dowiedziawszy się z pogłosek o tym nietakcie. – Wziąłem już na siebie Wrońskiego i Verdiego, i Nadię, i Nicolasa. Czy naprawdę muszę jeszcze przygarnąć do rodziny Jeremiasza Finkelsteina i Florindę z Bahii, i Periclesa Augusta? I tak szczęście, że ten przekłety żurnalista nie zrobił z Simona Finkelsteina mojego zięcia. To by już było coś... Skoro już, to wolę, żeby moim siostrzeńcem był syna Aureliana niż jego szwagier.

Aureliano i Brian walczyli jako lotnicy na froncie nad Sommą i Izerą. Eks-Brzdąc i Carlos pilotowali w Etiopii samolot, który przeszedł do legendy pod imieniem Królowa Saby. Unieruchomili na ziemi wiele maszyn włoskich, niszczyli składy amunicji, ostrzeliwali kolumny wroga wkraczające do walki, zaatakowali, choć bez powodzenia, włoski sztab generalny zebrany na konferencji z udziałem marszałka Badoglio. Był to jeden z pierwszych w historii lotnictwa przykładów partyzantki powietrznej. Byli Cartouche’em i Mandrinem na pokładzie tego samego samolotu. Kessel, Monfreid, Malraux, Corniglion-Molinier, Dos Passos, do których, tak jak do wielu innych, dotarły te wieści, opowiadają o obu awanturkach i ich wyczynach w „Marianne”, w „Vendredi”, w „Paris-Soir”, w „New Yorkerze”. Obaj konspiratorzy zdobyli niejaką sławę.

Jessica miała w owym czasie szesnaście czy siedemnaście lat. Dla wszystkich sióstr O’Shaughnessy był to trudny okres, a raczej wiek, kiedy zaczynały się w nich budzić temperament i namiętności, które odtąd już nieprzerwanie wyrządzać będą kolejne spustoszenia. W tym mniej więcej wieku złowiona na Capri Pandora wracała z Agustínem i ze mną do Glangowness, a Vanessa we wczesnych latach nazizmu zawarła przez Tipnitza znajomość z Rudolfem Hessem. Teraz przyszła kolej na Jessicę.

Ze swoimi błękitnymi oczami i czarnymi kręconymi włosami



Jessica bardzo się różniła od sióstr. Tym, co uderzało u Pandory, co mnie w niej zdumiewało i być może urzekło, była jej obojętność – wobec innych, ale także wobec samej siebie. Była tylko obserwatorem własnego życia, traktowała je jako teren zabaw czy poletko doświadczalne. Podatna na wszelkie namiętności, zawsze gotowa im ulec, rzadko się oburzała i nigdy nie skarżyła. Chętnie podejmowała grę i często wygrywała. A kiedy przegrywała, jej żal i łzy nie trwały długo. Można by pomyśleć, że wszystko ją bawi, a już zwłaszcza własne niedole. Do swoich porażek – podobnie jak jej sukcesy, niezliczonych – podchodziła trochę jak amator zachwycający się własnymi odkryciami. Zakon Królewskiego Sekretu odcisnął na niej niezatarte piętno. Wydawało jej się, że świat to wyłącznie fatum i przygody: nieustannie rzucała się w przygody i godziła się z fatum. Moralność, a nawet instynkt samozachowawczy zastąpiła u niej ciekawość. Vanessa była w tym jeszcze bardziej zapamiętała i bezkompromisowa. Kochała zwycięzców. Gardziła pokonanymi. Była pewniejsza siebie niż Pandora, u której żyłka do hazardu graniczyła z ryzykanctwem i ekstrawagancją. Średnia, Atalanta, była znacznie łagodniejsza, wrażliwsza, najbardziej predysponowana, żeby być szczęśliwą. Jej też przypadnie w udziale życie jeśli nie najszcześniejsze, to w każdym razie najspokojniejsze i pogodzone z losem. Ze wszystkich czterech sióstr Atalanta najbardziej przypominała ich matkę Héléne. Dawni znajomi rodziny, pamiętający hrabinę Wrońską jeszcze z Paryża czy Londynu, twierdzili nawet, że podobna jest do swojej babki Nadii. Jessica była inna.

Już jako dziecko często płakała. „Muszę sobie popłakać” – mawiała ze śmiechem. W Glangowness nieraz po jakiejś nieco żywszej dyskusji w gronie rodziny lub wzmiance, która z tego czy innego powodu jej się nie spodobała, Jessica podrywała się, mówiąc: „Wychodzę. Idę płakać”. Sadowiła się w pokoju bilardowym, jeśli był akurat pusty, lub w łazience i dawała swobodny upust łzom.

– Co robi Jessica? – pytał czasami Brian po powrocie z polowania lub ze spaceru po wrzosowiskach.

– Płacze – odpowiadała Héléne.

– Ach, tak – mówił Brian. – Jak skończy, niech do mnie przyjdzie.

Podobnie jak siostry Jessica była pasjonatką. Ale gdy namiętności

Pandory wybuchały wewnątrz, Vanessy zaś były gwałtowne i obsesyjne, u Jessiki przybierały one postać raptownej burzy, nawałnicy, gwałtownego porywu wiatru. W jej żyłach musiało płynąć trochę tej irlandzkiej krwi, która pchnęła do rewolty starego Edmunda O'Shaughnessy. Skłonna do egzaltacji, entuzjasmowała się drobiazgami, wygłaszała słowa potępienia tonem biblijnej klątwy. Ileż to razy zdarzało mi się słyszeć, jak w trakcie mniej lub bardziej spokojnej dyskusji z Vanessą lub Agustínem, nagle pod wpływem emocji lub oburzenia, których nie potrafiła opanować, wybuchała płaczem.

Pamiętam też pewien dość uroczysty obiad w Glangowness z udziałem Winstona Churchilla w przeddzień przyjęcia, na którym Pandora miała ogłosić swoje zaręczyny z tym biednym Thomasem. Przyszły wielki człowiek, już wtedy będący znakomitością, rozprawiał o Hitlerze, o Blumie i Daladierze, o Mussolinim i Stalinie. Nienawidził komunistów i nienawidził nazistów. Miał niewiele estymy dla francuskich socjalistów i radykosocjalistów. Politykę własnego kraju uważał za zbyt labilną. W gruncie rzeczy jedyną osobą zasługującą w jego oczach na względy był on sam. Znał swoje niedostatki, ale i tak wolał siebie od innych łącznie ze wszystkimi ich przerażającymi cnotami i budzącymi obrzydzenie zaletami. „Dramatem demokratów jest to, że nie potrafią czy też nie chcą uśmiercić dziesięciu tysięcy ludzi po to, by uratować milion” – mawiał. W odróżnieniu do Vanessy, która uważała za niedorzeczne potępienie Hitlera, jedyne, jak uważała zdolnego stawić czoło bolszewikom, i nie krępowała się powiedzieć tego głośno, Jessica zdawała się zgadzać z wystąpieniem wujaszka Winstona, przeplatany, jak to miał w zwyczaju, niewyraźnymi pomrukami i wybuchami homerycznego śmiechu. Ale kiedy Churchill napomknął – mimochodem, jakby to był tylko jakiś nieco irytujący incydent lub anegdota, nad którą nie warto się rozwodzić – o nieodzownej konieczności poświęcenia setek czy tysięcy istnień ludzkich, zebrani przy stole ze zdumieniem ujrzeni łzy dosłownie tryskające z pięknych niebieskich oczu Jessiki. Odpowiedzialny za Dardanele buldog Europy zachował się wtedy cudownie. Wstał, pochylił się nad Jessicą i kładąc jej dłoń na ramieniu, powiedział, że ją kocha:

– *I love you, darling.*

Po czym wyjął z kieszeni olbrzymią kraciastą chustkę do nosa, w którą, dam głowę, wycierał pędzle, którymi malował swoje okropne obrazy. Otarł nią łzy Jessiki, przykazując, by nie niszczyła swoich pięknych oczu – pięknych i o wiele ważniejszych od wszelkich międzynarodowych planów strategicznych razem wziętych. A potem odwrócił się do stołu, przy którym wszyscy siedzieli oniemiałi, i tubalnym głosem mruknął:

– Właśnie dlatego, że istnieją kobiety takie jak ona, potrzebni są mężczyźni tacy jak ja.

Tego dnia zadałem sobie pytanie, czy aby nie było błędem z mojej strony stawianie Pandory z jej wyniosłym milczeniem i zamiłowaniem do tajemnic ponad wszystkimi kobietami, które spotkałem. Od tego też dnia datuje się podziw, jakim nigdy nie przestałem darzyć tego największego człowieka naszych czasów.

I oto praca, której się podjąłem, wydaje mi się prawie niewykonalna. Już w relacjach między czterema siostrami trudno mi było się połapać. Mam wrażenie, że próba wytłumaczenia z zewnątrz i przełożenia na słowa tego ciągu milczeń, spojrzeń, szalonych chichotów, komplementów wyrażających jednocześnie rezerwę, miłosnych sprzeczek, harmonii przeciwieństw przerasta moje siły i umiejętności. Niekiedy wydawało mi się, że siostry rozdzieliły między sobą role – co oczywiście jest nieprawdą, wręcz absurdem – i że nawet ich wzajemna rywalizacja, jak najbardziej rzeczywista i ostra, była dodatkowym świadectwem ich niezachwianego przymierza i miłości, jaką się darzyły. Często słuchając słów Vanessy, Jessica z trudem ukrywała oburzenie i gniew. Już samo imię Rudolfa Hessa, zresztą rzadko wymieniane w Glangowness, wystarczyło, by ją rozsierdzić. Z kolei Vanessa, jak przypuszczam, uważała Jessicę za istotę pokroju fryzjerki czy sekretarki, przez pomyłkę rozkwitłą na rabatach w Glangowness, za ucieleśnienie moralności midinetki, którą w tym samym mniej więcej czasie, czy może trochę później po drugiej stronie kanału La Manche piętnował Montherlant. Pandora – bo tak było najprościej – uważała poglądy i uniesienia swoich sióstr za dziecinne, może trochę spóźnione zabawy. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jedną umieścić po swojej prawicy, drugą po lewicy. Ona sama,

oczywiście pośrodku, zadowoliliby się sprawowaniem rządów nad tą jedyną połową świata, która ją prawdziwie interesowała: nad mężczyznami.

Kiedy jednak opozycja wobec którejś z sióstr pod naporem ataków z zewnątrz przestawała być sprawą wewnętrzną schowka, Ich Wysokości momentalnie, z budzącą podziw skwapliwością i szybkością tworzyły jednolity front. Z dziesięć, ze dwadzieścia razy byłem świadkiem, jak siostry już, już gotowe sobie nawymyślać, nagle się godziły, bo ktoś spoza Zakonu Królewskiego Sekretu nieopatrznie pozwolił sobie wystąpić przeciwko jednej z nich z tym czy innym zarzutem, skądinąd wcześniej chętnie wykorzystywanym przez trzy pozostałe.

W obliczu ataków z zewnątrz Pandora bez najmniejszego trudu przy Jessice wczuwała się w skórę quasi-komunistki, a przy Vanessie – quasi-faszystki. Z pokorą dziecka, a później nastolatki, która już z góry wie, że przypadnie jej godne pozazdrosczenia miejsce w hierarchii społecznej, ale wie też, że istnieją szczytniejsze ambicje, Atalanta podziwiała zuchwalstwo sióstr i wybaczała im wszystko. Jej miejsce, jej pozycja, jej oszałamiające, a skromne zaszczyty ustalone były raz na zawsze: zostanie w domu, będzie pomnażać rodową schedę i ze swojego okna odprowadzać wzrokiem odchodzące w dal córki marnotrawne. Vanessa z odrobiną afektacji czuwała nad Jessicą, grając rolę starszej siostry, spieszącej z pomocą najmłodszej, która z powodu swojej egzaltacji oraz złego towarzystwa znalazła się w niebezpieczeństwie. Koniec końców, to Jessica, najlepszej i najbardziej wspaniałomyślniej, najtrudniej było bronić starszych sióstr przed atakami, często w pełni uzasadnionymi, pochodzącymi z różnych stron. Zmuszała się. Też stawiała czoło. Była buntowniczką – ale przede wszystkim była jedną z sióstr.

Któregoś dnia Vanessa poprosiła Jessicę, żeby przyniosła jej z poczty list z Berlina. Jessica skrzywiła się: nie chce mieć nic wspólnego z tymi odrażającymi typami, niech Vanessa sama się zajmuje swoimi odstręczającymi sprawami, to wstyd i hańba mieć w rodzinie przyjaciółkę nazistów i tak dalej, i tak dalej. Robiło się coraz głośniej: drobna sprzeczka zaczynała zamieniać się w wielki dramat, kiedy ogarnięty nagłym zniecierpliwieniem Brian, zmęczony zapewne

aluzjami regularnie pojawiającymi się w kronikach towarzyskich czasopism i opasłych dodatkach niedzielnych gazet – ku przerażeniu Hélène, która pewnie dlatego, że sama nie miała matki, uwielbiała swoje dzieci i wybaczała im wszystkie kaprysy – postanowił wymierzyć karę. Kazał sprowadzić Vanessę, ostatnimi czasy często wyjeżdżającą do Berlina, do Bawarii, do Szwarzwaldu i na bałtyckie plaże – i zmył jej głowę z rzadką jak na niego brutalnością. Vanessa z rozognioną twarzą i oczami pełnymi łez musiała się położyć. Jessica natychmiast popędziła na pocztę.

– Bardzo ładnie, kochanie – pochwaliła ją Pandora. – Zachowałeś się jak dzielny żołnierz.

I, być może na pamiątkę swoich przypadkowych i raczej rzadkich lektur, uszczypnęła ją w ucho.

Już w okresie wyprawy na „Fairy Queen” Carlos i Jessica całkiem nieźle się dogadywali. We dwoje tworzyli, jak to z humorem nazywali Brian i Hélène, klan intelektualistów. Kiedy Vanessa i Agustín pływali wokół jachtu, kiedy na pokładzie Pandora i bliźniaki bujali w obłokach, Carlos i Jessica wyruszali na poszukiwanie grobowców, starych kamieni i okaleczonych posągów. Rozmawiali ze sobą o życiu, które namiętnie kochali, i o tym, jakie jest niesprawiedliwe. Z tego czy innego powodu wszyscy pasażerowie „Fairy Queen” uważali ich udział w rejsie za rzecz całkiem oczywistą. Tymczasem oni, Carlos i Jessica, z niepokojem i niemal z ubolewaniem nieustannie roztrząsali problem przywilejów przypadłych im w udziale.

– Dewizą intelektualisty – mawiał często Carlos – jest: *Don't take it for granted*, nie przyjmuj tego za pewnik. W historii tak jak w nauce, w etyce tak jak w polityce, nigdy sobie nie wyobrażaj, że zdobyłeś coś raz na zawsze.

– Czyż to, co nas otacza, nie jest całkowitym tego zaprzeczeniem? – pytała Jessica. – Wychowywano mnie w przeświadczeniu, że wszystko zdobyte jest raz na zawsze, a zwłaszcza że należy postępować tak, aby to, co już zdobyte, pozostało zdobyte na zawsze.

– Znakomicie! – mówił Carlos z uśmiechem. – Znakomicie! Dotknęłaś właśnie sedna sprawy. Myślę, że gdybym miał czas,

zrobiłbym z ciebie ludzi.

Wspięli się razem na akropol w Lindos z grecką świątynią obudowaną murami średniowiecznej cytadeli. Z białych marmurowych schodów rozciągał się widok na ruiny liczące niemal dwadzieścia stuleci oraz dalej, na morze.

– Spójrz, Jessico – mówił Carlos – wszystko się rozpada i wszystko się odradza; cywilizacje nieustannie wzajem się niszczą i wzajem się z siebie wywodzą.

– Czy teraz jest lepiej, niż było kiedyś? – zapytała Jessica.

– Liczy się nie tylko piękno – odpowiedział Carlos. – Trzeba umieć dostrzec kryjące się za nim całe cierpienie człowieka. Wielu ludzi oddało życie za wzniesienie tych świątyń, za zbudowanie tych murów. W sztuce postęp nie istnieje, ale w moralności – tak. My walczyliśmy o godność człowieka.

Oczy wracającej z Lindos Jessiki zdawały się lśnić blaskiem światła na powierzchni morza.

Przygody Carlosa w Etiopii wprawiały Jessicę w rozmarzenie. Dumą napawała ją myśl, że zna jednego z tych legendarnych bojowników, o których pisały gazety. Rzadko wymawiała imię Carlosa, ale często o nim myślała. Kiedyś w Anglii Javier zapytał Jessicę, czy pamięta jeszcze włóczęgi po Lindos i wyspach greckich z najstarszym z Romerów.

– Jasne, że pamiętam – odrzekła Jessica.

– A wiesz, co on teraz porabia?

– Pewnie wystawia się na śmierć – powiedziała Jessica.

Kiedy Carlos Romero wrócił z Abisynii, wzruszona Jessica powitała go niczym bohatera. Była w grupie działaczy oczekujących go w Londynie z czerwonymi transparentami, obiecującymi Mussoliniemu ogólnoswiatową anatę. Nie opuściła żadnego z propagandowych wystąpień, jakie profesor religioznawstwa z Cambridge, a potem lotnik i doradca negusa wygłaszał na terenie całego kraju przed audytorium raz nielicznym, innym razem pełnym entuzjazmu.

– Czyś ty się przypadkiem w nim nie zadurzyła? – zapytała naiwnie Atalanta znad talerza z kanapkami z ogórkiem podczas plenarnego, acz nieoficjalnego zebrania Zakonu Królewskiego Sekretu.

– Mam wrażenie, że tak – powiedziała nierozważnie i nieco uszczypliwym tonem Vanessa. – Bo co by robiła z tym bolszewikiem, gdyby nie była w nim zakochana?

Jessica miała wtedy jakieś siedemnaście lat. Żywo wzruszyła ramionami.

– Moje biedne przyjaciółki – powiedziała. – Naprawdę tylko to jedno wam w głowie? Nigdy nie pomyślałyście, że można podzielać te same poglądy, a zwłaszcza – dorzuciła z miną wyrażającą najwyższą pogardę – tę samą niechęć? Tym, co mi się podoba u Carlosa, co u niego podziwiam, są jego przekonania.

– Kochanie – odezwała się Pandora, kładąc dłoń na nadgarstku Jessiki – ty jesteś z nas wszystkich najlepsza.

I zaśmiała się tym swoim gardłowym śmiechem – kryjącym w sobie tyleż samo czułości co ironii – który miał stać się sławny na całym świecie.

\*

Niekiedy wydarzenia toczą się ze zdumiewającą szybkością. Przez długie lata nie dzieje się prawie nic, po czym nagle wszystko nabiera tempa. Między zdobyciem Konstantynopola a odkryciem Ameryki jest kilka takich lat, kiedy wraz z upadkiem Grenady, i z malarstwem włoskim, i rozwojem druku wszystko toczy tak szybko, że nie wiadomo, w którą stronę patrzeć. W tym samym mniej więcej czasie żyją Sokrates, Konfucjusz i Budda. Aleksander Wielki czy Napoleon narzucają historii tak imponujące przyspieszenie, że wystarczy im ledwie kilka lat, by odmienić obraz świata. Nie pozwalając, by czas odetchnął pokojem i sprawiedliwością, zaraz po wojnie w Etiopii wybucha wojna w Hiszpanii.

Zabójstwo Calva Sotelo w 1936 roku oznacza dla historyków początek wojny domowej w Hiszpanii. Często słyszałem, jak Romerowie półgłosem rozmawiali o udziale ich wuja w tym przełomowym wydarzeniu. Jedno, co pewne, to że opuściwszy Addis Abebę tuż przed wkroczeniem Włochów, a może zaraz po, Simon Finkelstein od 1936 roku przebywa w Hiszpanii. Utrzymując z komunistami dwuznaczne i bliskie kontakty, walczy po stronie POUM i anarchistów. Spotkać go można w Walencji, w Barcelonie, w Madrycie, w Sierra Teruel.

Zaledwie na kilka miesięcy przed zwycięstwem Franco, w salonie Grand Hôtel Colón w Barcelonie spotyka się na pewnym sławnym późnym obiedzie pół tuzina cudzoziemców. To dawni towarzysze broni z czasu wojny abisyńskiej: Carlos Romero, André Malraux, Hemingway, Finkelstein, Kessel. Do tych pięciu zuchów dołączyła młoda, niespełna dwudziestoletnia kobieta, Jessica O'Shaughnessy. Menu składa się ze sztokfiszka i soczewicy, ale wina odkryte w piwnicy hotelowej przez Kessla i Hemingwaya: romanée-conti, château-pétrus, cheval-blanc wynagradzają, i to z nawiązką, niedostatek stawy w oblężonym mieście. Bardziej zaabsorbowany kinem niż przegraną już wojną Malraux rozprawia głównie o opublikowanej kilka miesięcy temu *Nadziei* i filmie, który na jej podstawie właśnie kręci: *Sierra de Teruel*. Hemingway gromadzi słowa, obrazy i przeżyte przygody na potrzeby książki, którą aktualnie pisze o wojnie w Hiszpanii; książki, której bohaterów będzie się później utożsamiać z Garym Cooperem i Ingrid Bergman. Wypiwszy w pojedynkę butelkę cheval-blanc, deklamuje teraz przed André i Carlosem, Simonem i Jefem sławny poemat Johna Donne'a: „Nie pytaj nigdy, komu bije dzwon; bije on tobie”. Kesselowi nie daje spokoju zwłaszcza zniknięcie milicjantek w kombinezonach i z pistoletami w dłoni. Od Barrio Chino po Las Ramblas, od portu do katedry – daremnie ich wszędzie szukał, by w końcu dowiedzieć się, że Campesino kazał je rozstrzelać, bo zarażały jego ludzi. Po kolacji na cześć Jessiki, która wpadła mu w oko, Jef porozbija wszystkie szklanki. Ale oto znów z rozpędu zagalopowałem się, pomijając kolejne etapy. Muszę się cofnąć. Od wyprawy na „Fairy Queen” i ogłoszenia w Glangowness zaręczyn Pandory wiele się zdarzyło.

Wspomnienie! O wspomnienie! Co tobie?

W przestrzeni

Pławili się drozdowie, śpiewacy jesieni...<sup>[2]</sup>

W San Miniato znowu nastąpiła jesień. Niebo jest nadal cudownie czyste, być może jeszcze bardziej przejrzyste niż w rozedrganych mgiełkach wiosny i lata. Ale dni robią się coraz krótsze. Noce chłodniejsze. W świetle lampy, przy której spisuję te wspomnienia, zaludniają je zjawy z przeszłości. W mojej samotności z wyboru wirują wokół mnie obrazy czterech siostr w objęciach czterech braci.



Znów do mnie wracają te na zawsze minione lata, kiedy wszyscy zadawali sobie pytanie, czy zapowiadana burza rzeczywiście rozpęta się na dobre w zdjętej trwogą Europie i kiedy z pewnej odległości śledziłem przygody jasnowłosej dziewczyny, która znaczyła dla mnie więcej niż Monachium czy Guernica. Wspominam twarze – i jej twarz – wspominam przyjemności, smutki, spotkania i rozstania. Widzę Pandorę wyjeżdżającą do Ameryki. Do ostatniej chwili byłem przekonany – a może miałem tylko taką nadzieję – że zerwie zaręczyny. Kilka tygodni po balu w Glangowness, ale jeśli dobrze pamiętam, jeszcze przed seansem filmowym antyfaszystowskich intelektualistów, Pandora przyjechała do Paryża obejrzyć najnowsze kolekcje i nabyć kilka sukien. Towarzyszyła jej miss Prism, którą iście brytyjskie poczucie humoru obarczyło misją pilnowania jej cnoty. Poszliśmy razem do Wortha, do mademoiselle Chanel, która wtedy jeszcze nie spotykała się z księciem Westminsteru, do pani Lanvin, do kapitana Molyneux; chodziliśmy razem do teatru i do kina, żeby zobaczyć Annabelle, Edwige Feuillère i Victora Francena, i na spacerzy nad Sekwanę. Dwu- lub trzykrotnie Pandora otrzymała zaproszenie na jakiś mniej lub bardziej oficjalny obiad czy kolację – od ambasadora brytyjskiego, który przyjaźnił się z Brianem, od Mortemartów wracających z Glangowness z polowania na cietrzewie, od mojego dziadka będącego przejazdem w Paryżu – ale najczęściej stołowaliśmy się w jednym z tych lewobrzeżnych bistro, za którymi Pandora przepadała.

– Może zajrzemy znowu do Larue? – zaproponowałem z uśmiechem.

– Serdeczne dzięki – odrzekła. – Raz wystarczy.

– Powiedz mi, byłaś bardzo nieszczęśliwa? – spytałem.

– Raczej ogłupiała – powiedziała. – Tak właśnie: ogłupiała.

Chciało mi się przede wszystkim spać. Wiesz... od Wenecji niewiele sypiałam.

– Ale wytłumacz mi jedno: Simon...

– Co Simon?

– Często myślałem o tym, że na Capri znacznie więcej rozmawiałem z Simonem niż z tobą. Nawet nie zapytałem, czy ci na nim zależało.

- Chcesz wiedzieć?
- Cóż... powiem ci: nagle mi się odechciało.
- Mimo to się dowiesz: uwielbiałam się z nim kochać.
- Ach, tak. I nadal ci to zostało?
- Niezbyt długo. O tym się zapomina.
- A Thomas?... Z nim jest to samo?
- Sama nie wiem...
- Jak to, nie wiesz... Przecież za niego wychodzisz!
- No, właśnie. Wychodzę za niego. Jeszcze nie wiem. Zobaczymy.
- Nie kochasz go.
- Ależ kocham.
- Ale tak sobie... tak sobie. Przecież równie dobrze mogłabyś wyjść za innego?
- Ale wychodzę za niego.
- Nie wyjdiesz za niego.
- Wyjdę. Wychodzę.

I wyszła. W Glangowness znowu odbył się wielki bal. Byłem na nim z Javierem i Agustínem. Luis Miguel zniknął nam z oczu. Wyjechał do Argentyny, skąd z rzadka przysyłał nowiny Javierowi i mnie. Pisał parę słów o swoim zdrowiu i o interesach, ale nigdy nie wspominał o Pandorze. Thomas Gordon ściągnął na swój kawalerski wieczór mnóstwo przyjaciół i przyjaciółek. Kilka dni przed ślubem, kiedy on w starej, zabójczo malowniczej gospodzie w okolicach Glangowness wydawał kolację, z udziałem głównie aktorek z Hollywood i amerykańskich milionerów, Pandora zaprosiła swoje małe grono do przepastnej sali jadalnej zamku, udostępnionej jej przez Briana i Hélène, którzy pod nawalem przygotowań do ślubu wyskoczyli na chwilę do Edynburga czy Londynu, bo trzeba było jeszcze kupić jakieś bardzo specjalne abażury i liberie dla lokajów. Był to fantastyczny wieczór. Było nas ze dwadzieścia osób, może nawet nie. Stawiła się cała stara gwardia. Oczywiście z wyjątkiem Simona. I z wyjątkiem Carlosa. Walka z faszyzmem i przygotowania do ogólnoswiatowej rewolucji zatrzymywały ich z dala od nas. Tworzyli awangardę wielkiego ruchu powstańczego, który miał nas zniszczyć. Na honorowym miejscu zasiadła Pandora promiennie uśmiechnięta, olśniewająca, królewska.

Stanowiła żywy obraz sukcesu, urody i szczęścia. Naprzeciwko niej siedziałem ja. Mógłby to miejsce zajmować jej ojciec albo jej amerykański narzeczon, albo pół Murzyn, pół Żyd Simon Finkelstein, albo Luis Miguel, jej nieszczęśliwy kochanek, lub, również obecny, młody Percy Bassett, jej pierwsza miłość, który nie był już wcale taki młody, albo jeden z dwóch zaszczycających nas swoją obecnością synów księcia, z którymi Brian, a jeszcze bardziej Hélène wiązali takie nadzieje, albo – bo właściwie czemu nie? – Agustín lub Javier. Tymczasem nie: zajmowałem ja. Taki nadmiar szczęścia ani mnie grzał, ani ziębił. W tym pożegnaniu panińskiego stanu młodej dziewczyny było coś z czuwania przy zmarłym. Chwilami wydawało mi się, że Pandora, mimo promiennego uśmiechu, zaraz się rozplacze. Ale siedząc po przeciwnej stronie stołu, byłem za daleko, by odróżnić ten niedostrzegalny niuans, który dzieli radość od smutku i szczęście od radości. Niewykluczone, że łzy w oczach miałem tylko ja.

Dużo wypiliśmy. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo wesołych. Kobiety miały na sobie skromne wieczorowe sukienki: kreacje numer 2, gdyż kreacja numer 1 zarezerwowana była oczywiście na uroczystość ślubną. Mężczyźni byli w *dinner jackets*. Wśród obecnych było jedno czy dwa młode małżeństwa, przyjaciele z dzieciństwa, którzy się pobrali. Javier był posępny, przystojny i bardzo blady. Pił równo i śmiał się jak inni. Pod koniec, przed deserem, w przerwie między *château-lafite* – *superb*, jak ocenił Bassett – i oszałamiającym *sauternes* zadeklamował wiersz na cześć Pandory. Z kieliszkami w rękę wstaliśmy i potracając się, ruszyliśmy niczym na front ku szczytowi stołu, żeby ucałować Pandorę. Przyjmowała te przejawy serdeczności z naturalnością i wesołością. Ona również wstała.

Nie wiem, co mówiła. Nie dość powiedzieć, że nie pamiętam. Myślę, że w ogóle nie zrozumiałem ani nawet nie słuchałem jej podziękowań. Przelatywały mi gdzieś nad głową i opadały w przepaść. Widziałem, że jej wargi poruszają się, ale jak w jednym z tych koszmarnych snów, które wszyscy znają, jak w filmie grozy nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Dopiero z oklasków i okrzyków zorientowałem się, że skończyła mówić. Usiadła z powrotem. Rozdawała pocałunki niczym te gwiazdy amerykańskie, których sylwetki i pozy zaczynaliśmy

właśnie, z mieszanymi uczuciami zdumienia i zazdrości, podziwiać na naszych magicznych ekranach. Zresztą może ja też trochę za dużo wypilem.

Pośród głośnego gwaru goście odchodzili od stołu. Mężczyźni wychylali ostatni kieliszek, by zaraz potem zasiąść do koniaku i cygar. Atalanta w uniesieniu ucałowała siostrę. Formowały się pary, próbując wyłamać się z coraz szybszego podziału na osobne grupki mężczyzn i kobiet. Podszedłem do Pandory, żeby jej powiedzieć, że wszyscy ją bardzo kochamy i pragniemy jej szczęścia.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła.

– Oczywiście, że cię nie zostawię.

– Właśnie dzisiejszego wieczoru trzeba mnie kochać.

– Ja ciebie zawsze kocham – oświadczyłem.

Spojrzała na mnie.

– To dobrze – powiedziała. I po chwili wahania dodała: – Bo bałabym się, gdybyś przestał mnie kochać.

Podszedł Percy Bassett w towarzystwie Agustína. Znów zaczął się towarzyski wir. Oddaliłem się. Wieczór upłynął mi na rozmowach z tymi i owymi oraz na oglądaniu prezentów dla Pandory od przyjaciół. Na stole w saloniku stała duża, już wtedy staroświecka, fotografia hrabiny Wrońskiej. Czas mijał. Stałem bez ruchu, wpatrzony w lekko znużony i daleki uśmiech Marie de Cossigny, matki Nicolasa i babki Hélène. Wszystko: Królewski Sekret, „Fairy Queen”, chateau-lafite, abażury z Edynburga i liberie z Londynu, zaręczyny z Amerykaninem, tajemnice i uroki sióstr O’Shaughnessy – wszystko to brało swój początek od Marie Wrońskiej, od jej miłości do Verdiego, od spotkania na poczcie w Alpach Berneńskich, od dni grozy w Wenecji. W przeszłości, mimo jej dramatów i nieszczęść, było coś trwałego i napawającego otuchą. To raczej terażniejszość była mglista, nieuchwytna i niepewna. Aż powstawało pytanie, czy kiedykolwiek w ogóle stworzy jakąś przeszłość. Pocziwą, starą przeszłość o trwałych zarysach, w której nic już nie będzie można zmienić. Za moimi plecami stanęła Pandora.

– Marzysz? – zapytała.

– Trochę – odparłem. – O niej. O niej, no i o tobie.

Z tymi zielonymi oczami, jasnymi włosami i wysokimi kośćmi policzkowymi była bardzo podobna do swojej prababki. I nagle przyszło mi do głowy, że ona nie spotkała jeszcze swojego Verdiego – nie bez powodu, bo talentu, geniuszu i uczucia nie spotyka się na co dzień. Cała reszta była oczywiście bez znaczenia. Ująłem jej dłonie.

– Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa.

– Ja też – odparła z uśmiechem. – Nie gustuję w nieszczęściu.

– Wiesz, jak bardzo cię kocham.

– Wiem – powiedziała.

Nasze dłonie rozłączyły się. Już odchodziła. Ale na moment jeszcze się odwróciła.

– Czasami mi się wydaje – powiedziała szybko – że bardzo mi na tobie zależy.

– Świetnie. Czyli jesteś na dobrej drodze. Tak trzymaj.

– Dziwne – powiedziała, tym razem przeciągając słowa – ale często mam takie uczucie, że ciebie nie wolno mi kochać.

– Może dlatego, że mnie prawdziwie lubisz i nie chcesz mi sprawić bólu jak tyłu innym?

– Może... Och, Jean – rzuciła nagle. – Myślisz, że naprawdę tak trudno pokochać kogoś na zawsze?

– Wcale tak nie myślę – odpowiedziałem spokojnie. – Odwrotnie, myślę, że to rzecz najprostsza pod słońcem i najbardziej powszednia. Trudne natomiast jest się przed tym wzbraniać.

– Szczęściarz z ciebie – powiedziała.

– No, nie wiem – odrzekłem.

To były ostatnie słowa, jakie zamieniłem z Pandorą przed jej ślubem. Nie dam głowy, że przytoczyłem je dokładnie. Ale bardzo dobrze pamiętam ich ogólny sens oraz te, które padły na samym końcu:

– Szczęściarz z ciebie.

– No, nie wiem.

Uroczystość była piękna i świetnie zorganizowana. Nikt już nie pamiętał o romansie Pandory z Simonem Finkelsteinem. Panna młoda była w bieli, trzymała w dłoni bukiet, a ja byłem jej świadkiem. Prasa całego świata poświęciła po kilka linijek, nieraz nawet stron ze zdjęciami, ślubowi najstarszej córki lorda Landsdowna ze spadkobiercą

Mellonów i Vanderbiltów. Ja również sypnąłem garść ryżu na samochód, który odwoził Pandorę na dworzec i nad morze. A potem wróciłem do Francji, do dziadka i do Plessis-lez-Vaudreuil.

I właśnie w Plessis-lez-Vaudreuil kilka miesięcy później dostałem list od Javiera – by użyć formuły Cocteau – zaskakujący, zważywszy na to, czego się oczekiwało. Carlos Romero uprowadził Jessicę.

Jak wynikało z listu Javiera uzupełnionego o mnóstwo innych, stopniowo pozyskiwanych przeze mnie informacji, przebieg wydarzeń wyglądał następująco. Raz jeszcze wszystko zaczęło się od Simona Finkelsteina. Zwabiony wojną i przemocą jak rekin, który płynie tam, gdzie krew, Simon szybko i wcześniej od innych, zorientował się, że zamieszki w Hiszpanii uczynią z tej okrutnej i podatnej na namiętności ziemi idealny grunt pod wojnę domową na skalę ogólnoswiatową, o której nie przestawał marzyć. W przerwie między Etiopią a Hiszpanią wielokrotnie spotykał się – już nie w Berlinie, gdzie obecnie królował nazizm – lecz w Szwajcarii i Moskwie ze swym dawnym mistrzem z czasów heroiczych, Profesorem, Księżulkiem, El Sombrero, czyli krótko mówiąc – z Pakiem Riverą. Przypuszczalnie na Kremlu miały miejsce liczne rozmowy z udziałem dwóch ludzi o tym samym imieniu, z których pierwszy, Andriej Wszyński, był już sędziwy i znany, nazwisko zaś drugiego, młodego Andrieja Gromyki, nic nikomu jeszcze wtedy nie mówiło. Simon opuścił Moskwę i Paca Riverę z gotowym planem działania. Wiemy już, że w ten czy inny sposób zamieszany był w zabójstwo Calva Sotelo. Wielu podejrzewało, że maczał palce również w katastrofie lotniczej pod Lizboną, w której śmierć poniósł generał Sanjurjo, jeden z przywódców powstania. Przez najbliższe trzy lata całe jego zainteresowanie skupiać się będzie na Hiszpanii. I, przynajmniej pozornie, stopniowo będzie brał rozbrat z komunistami. Istnieją dwie różne wersje co do rzeczywistej roli, jaką Simon Finkelstein odegrał w obozie hiszpańskich republikanów: zdaniem jednych powoli dołączał do swojej prawdziwej rodziny, zbliżając się z anarchistami; zdaniem innych pozostał tym, kim był od czasu wojny abisyńskiej, a możliwe, że już od końca lat dwudziestych: rodzajem tajnego agenta Kominternu w łonie skrajnego odłamu lewicy niekomunistycznej. Liczne świadectwa z ostatnich lat zdają się potwierdzać raczej to drugie. Boris Souvarine

w różnych przyczynkach do studium komunizmu w przededniu drugiej wojny światowej oraz André Thirion w *Rewolucjonistach bez rewolucji* upatrują w Simonie Finkelsteinie stalinowskiego szpicla, zakonspirowanego, lecz wierzącego w sprawę. Sam Simon w dokumentach i listach, jakie po sobie pozostawił, zawsze odrzucał taką interpretację, przedstawiając się jako wolny strzelec międzynarodowego anarchizmu, przejściowo zauroczony skutecznością aparatu komunistycznego – z którym związał się bez reszty i do samego swego tragicznego końca w 1939 roku Profesor, Księżulek alias El Sombrero – lecz który szybko powrócił do swoich wolnomyślnych sympatii u boku hiszpańskich, a zwłaszcza baskijskich i katalońskich anarchistów, oraz najbardziej skrajnego odłamu Brygad Międzynarodowych.

Jak załoga z Abisynii, drużyna z Addis Abeby miałyby się nie uformować na nowo w Walencji, w Barcelonie, w Madrycie? Simon zaapelował o pomoc do Carlosa: ponieważ Niemcy i Włochy definitywnie opowiedziały się po stronie nacjonalistów, to samo powinni uczynić po stronie przeciwnej antyfaszystowscy demokraci. Dla Apostołów i ich przywódcy była to niepowtarzalna okazja podjęcia odpowiednich działań.

Apel Simona Finkelsteina o pilną pomoc postawił najstarszego z Romerów w dość kłopotliwej sytuacji. Rzecz w tym, że z jego inicjatywy Święci Apostołowie zredagowali, rozprawdzili – oraz uzyskali pod nim podpisy sporej liczby studentów Oksfordu i Cambridge – tekst zdecydowanie pacyfistyczny, w gwałtownych słowach wzywający młodych Anglików, by nie godzili się oddawać życia za króla i ojczyznę. Zażądanie od nich teraz, by oddali życie za Republikę Hiszpańską, mogło się okazać dość trudne. By wytłumaczyć Finkelsteinowi, w czym problem, Carlos wysłał jednego ze swoich przybocznych do Walencji, gdzie Brzdąc dowodził ludowym ruchem oporu. W odpowiedzi Simon przysłał krótki telegram: *King may die, people must live* – „Król może umrzeć, ludzie żyć muszą”. Na decyzję Carlosa wpłynęła nie tylko przedstawiona tak bez ogródek opinia Simona. Również Paco Rivera odbył specjalną podróż z Moskwy do Londynu, żeby spotkać się z Carlosem i nakłonić go do rzucenia do walki Świętych Apostołów. Carlos dał się w końcu przekonać i mimo

swego pacyfizmu wkrótce stał się jednym z najbardziej czynnych i skutecznych agitatorów Brygad Międzynarodowych. „W końcu historia ma to do siebie, że wierność jej ideałom często polega na ich zmianie” – mówił. I powoływał się na członków Konwentu Narodowego, którzy najpierw głosowali za zniesieniem kary śmierci, a potem za zgładzeniem króla.

Tym, którzy analizują dziś okres drugiego międzywojnia, trudno uniknąć porównania go z końcem XVIII wieku, z latami dojrzewania i oczekiwania na Rewolucję Francuską. Od 1933 roku wszyscy w Europie wiedzieli, z każdym rokiem coraz bardziej tego pewni, że w przyszłości czai się katastrofa drugiej wojny światowej, podobnie jak w umysłach filozofów Oświecenia i burżuazji finansowej od czasów Woltera i Rousseau, Turgota i Neckera, i od uzyskania niepodległości przez zbuntowane prowincje Ameryki zaprogramowany był kres przywilejów i słodkiego życia. Trzeba by zatkać oczy i uszy, by nie dosłyszeć pomruku nadciągającej przyszłości. Ale tak jak w przededniu rewolucji feudalne społeczeństwo poprzebierane w stroje dworskie trwa w beztrosce, a niekiedy nawet – na przykład poprzez reakcję szlachecką – umacnia się w swych strukturach i roszczeniach, tak samo to, co w łonie zwycięskiej demokracji ostało się jeszcze ze społeczeństwa tradycyjnego, w czasach Frontu Ludowego i wojny domowej – kiedy to po drugiej stronie Pirenejów, w ramach próbnych ćwiczeń za pośrednictwem podstawionych Hiszpanów stają do konfrontacji Hitler i Stalin – beztrosko używa życia. Burżuazja boi się socjalistów i Leona Bluma, Brygad Międzynarodowych i sowieckiego komunizmu. Boi się także, choć w inny sposób, bo z domieszką fascynacji, faszyzmu i nazizmu, które jednocześnie i pociągają ją, i przerażają. W oczekiwaniu na przyjście Führera, który wszystko puści z dymem i zatopi w morzu krwi – a także w nadziei na druzgocącą klęskę, jaką zada po drodze marksistom i bolszewikom – urzęduje się rejsy po wyspach greckich, tańczy do utraty tchu w salonach Londynu i Paryża, korzystając ile można z cudownej dekadencji Europy i chwilowego odroczenia, z każdą wiosną coraz bardziej niepewnego, darowanego czasom pokoju przez pokonanych, nagle zamienionych w zwycięzców. Jean Giraudoux pisze *Zygfryda*, czyli *Limousin* oraz



*Wojny trojańskiej nie będzie.* Jean Giono roztrząsa swój poetycki pacyfizm i odmowę posłuszeństwa. Święci Apostołowie uroczyście zobowiązują się zdezerterować z pola walki. Wśród europejskich intelektualistów następuje rozdział na faszystów opowiadających się za męskością i radością życia, takich jak Mosley i Brasillach, oraz antyfaszystów opowiadających się za trzeźwością i rozumem, takich jak Gide i Malraux, obaj bracia Huxleyowie czy Tomasz i Heinrich Mannowie. Faszyci są za Hitlerem, antyfaszyści za pokojem. Prawica nacjonalistów wroga jest Hitlerowi, choć pełna podziwu dla jego metod działania. Lewica nienawidzi wojska i nie ufa sile – nawet wtedy, gdy chodzi o swoich stawiających opór obcym. Pod połączonymi ciosami wszechmocnego państwa i rewolucyjnego marksizmu, a zwłaszcza padając łupem własnych sprzeczności, stara Europa dogorywa, jarząc się tysiącem ogni. A Jessica?

W odróżnieniu od swojej trzeciej córki Vanessy ani Brian, ani Hélène nie czuli cienia sympatii dla Hitlera i nazizmu. Nie widzieli też powodu, by zmieniać cokolwiek w swoim stylu bycia i życia. Uważali, że Anglia już nie z takimi miała do czynienia. Poradziła sobie z Napoleonem, z niezwyciężoną Armadą, z Kościołem katolickim, z cesarzem Wilhelmem II, skądinąd kuzynem świętej pamięci królowej Wiktorii, to i nie ustąpi przed jakimś malarzem parweniusem, w dodatku nawet nie Niemcem jak Fryderyk II czy Bismarck, tylko Austriakiem jak Johann Strauss. Brian, zwłaszcza pod nieobecność Churchilla, którego kpin trochę się obawiał, miał gotową odpowiedź dla wszelkiej maści defetystów i amatorów złych nowin. Klepiąc ich po ramieniu, mówił: „Ejże! A nasza Navy?” i z powrotem wracał do lektury „Timesa”, całkiem jak za tych dawnych dobrych czasów, które próbowano mu teraz odebrać, podobnie jak jego włości, rolls-royce’ e, panowanie nad morzami, Kanałem Sueskim i Imperium Indyjskim. A Jessica? Trochę cierpliwości.

Odbywały się kolejne bale. Po ślubie i wyjeździe Pandory do Ameryki jej trzy siostry nagle poczuły się osamotnione. Zakon Królewskiego Sekretu pozbawiony swej natchnionej fundatorki, swojego filaru, rozpadał się. Ich Wysokości ze schowka nie miały innego wyjścia, jak tylko wkroczyć w świat i spróbować pójść śladem oraz w miarę

możliwości dogonić tę, która przed nimi wstąpiła na ścieżki życia. W czasie gdy marszałek Badoglio i marszałek Graziani mianowani kolejnymi wicekrólami Etiopii zaprowadzali w Addis Abebie porządki Mussoliniego i wskrzeszonego na nowo starożytnego Rzymu; w czasie gdy Front Ludowy Leona Bluma – „Uroczy – mówił o nim Brian – uroczy, wykształcony, nieraz bywaliśmy razem w teatrze pospołu z Marcelem Proustem, Robertem de Montesquiou i Bertrande de Salignac-Fénelon” – przejmował we Francji władzę z poparciem, choć bez udziału komunistów; w czasie gdy w Hiszpanii rozpętywała się, w dużej mierze dzięki Simonowi Finkelsteinowi, wojna domowa, a oddziały Adolfa Hitlera wkraczały do Nadrenii – co wieczór niedobitki Ich Wysokości ze schowka tańczyły w ramionach urzeczonych mężczyzn, próbując zapomnieć, że były kiedyś cztery, a zostały tylko trzy. A oto i Jessica.

Jak się domyślicie, z Pandorą czy bez Pandory, odniosły oszałamiający sukces. Zwłaszcza Jessica, taka młoda, taka żywa, taka nieprzewidywalna i taka inna, niejednemu zawróciła w głowie. Przypominacie sobie może młodych książąt Rutlandów i Devonshire, z którymi takie nadzieje wiązała Hélène? Teraz kram Pandory przejęła Jessica. Sprawiała, że prosperował równie pomyślnie i równie dwuznacznie jak za czasów siostry: obaj młodzieńcy, Hélène, Brian, może nawet sama Jessica kolejno, a być może jednocześnie, wyobrażali sobie, że bliski jest już dzień ostatecznych zaręczyn oraz uroczystości, której ewentualny splendor przywróci pełnię blasku Zakonowi Królewskiego Sekretu, zwołanego pospiesznie w wąskim gronie przy czekoladkach i dżemach z czasów dzieciństwa. My zaś powoli zaczynamy się już orientować, jak u Wrońskich i O'Shaughnessych funkcjonują pewne sprawy – od kiedy trwają i powtarzają się w różnych okolicznościach i kolejnych pokoleniach: Jessica nie wyjdzie za mąż ani za księcia Rutland, ani za księcia Devonshire. Ale pewnego jesienno-wieczoru, po powrocie z polowania na cietrzewie i z konnej przejażdżki po liliowych wrzosowiskach, nagle okaże się, że jest zaręczona z młodym Geoffreyem Lennonem, dalekim kuzynem Landsdownów i bliskim Rutlandów. Brian O'Shaughnessy uznał to za rzecz zupełnie normalną. Wiadomo, świat się kręci. Ale kręci się przede wszystkim

wokół własnej osi. Abstrahując już od jego wspaniałych i wybitnie krzepiących w naszym niespokojnym świecie koligacji, Geoffrey Lennon był najmłodszym, najzaciej urodzonym i prawdopodobnie najbogatszym z grona konserwatywnych posłów. Wuj Winston bardzo go lubił i już teraz mówiło się o nim jako o ewentualnym członku przyszłego gabinetu. Hélène była w siódmym niebie. Mówiła sobie, że Rutlandowie, ewentualnie Devonshire mają jeszcze szansę poślubić Atalantę. Albo Vanessę.

Pandora przysłała siostrze list, który stał się przedmiotem wnikliwej analizy ze strony członkiń Królewskiego Sekretu, zanim trafił w ręce rodziny, która uznała, że jest świetnie napisany, choć ciut może niepokojący. „Kochanie – pisała Pandora – jestem zachwycona twoim szczęściem, tak jakby chodziło o moje własne. Masz go więcej ode mnie. A to mierzyłam zbyt blisko, jak z Percym Bassettem, a to zbyt daleko, jak z Simonem. Geoffrey to anioł. Znam go. Trafiłaś w dziesiątkę. To dla mnie wielka radość wiedzieć, że przynajmniej ty będziesz szczęśliwa za nas cztery”. O Thomasie nie było ani słówka, no i to „przynajmniej ty” nie wywarło na rodzinie korzystnego wrażenia. Sama zaś Jessica po cichu zadawała sobie pytanie, czy to rzeczywiście takie pochlebne i podniecające trafić w dziesiątkę. Możliwe, że pod wpływem Pandory marzyło jej się więcej błędów i mniej precyzji.

To Winston Churchill, zupełnie niechcący, sprawił, że wszystko się zmieniło. Bardzo lubił Jessicę i bardzo lubił młodego Lennona, któremu wróżył wielką karierę. Zaprosił ich oboje na obiad z udziałem kilku polityków, Nancy Mitford stawiającej wtedy pierwsze kroki, Simone Simon czy też Danielle Darrieux przebywających akurat przejazdem w Londynie z powodu jakiegoś filmu. I, by oszczędzić Jessice nadmiaru obcych twarzy, zaprosił także profesora Romerę, bo choć nie podzielał jego poglądów, to cenił jego inteligencję. W końcu nie bez powodu Anglia uchodzi za kraj tolerancji i swobody myśli w pełni znaczenia tych słów.

Przy stole rozmawiano o wszystkim. Carlos Romero zajmował się wyłącznie Jessicą, tak jakby Winston Churchill, jedna z największych ówczesnych znakomitości, był nieobecny na wydanym przez siebie obiedzie. Tak jakby nigdy nie istniał żaden Geoffrey Lennon, oficjalny

narzeczony Jessiki O'Shaughnessy. Carlos Romero – wysoki, naturalny, zachowujący się ze zbijającą z tropu swobodą i pewnością siebie – zjawiał się jako ostatni. Podszedł prosto do Jessiki i nawet się z nią nie przywitawszy, tonem bezgranicznego smutku niczym Juliusz Cezar osuwający się na Brutusa, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

– A więc... ty też...

Jessica oblała się gwałtownym rumieńcem. „Nigdy jeszcze – opowiadała mi później, w okrutnych okolicznościach, które odkrywamy zawsze za późno – przenigdy nie było mi tak wstyd. Nagle wydało mi się, że mimo woli zdradziłam wszystko, co najświętsze, że zachowałam się okropnie. Było na tym obiedzie sporo interesujących ludzi, mających wiele do powiedzenia. Ale ja słyszałam tylko Carlosa i widziałam, że rozstrzyga się mój los”. Carlos i Jessica ledwo wstali od stołu, usiedli w kącie. Carlos nie przestawał mówić. Mówił, że życie jest piękne i nie zostało stworzone po to tylko, by służyć naszym przyjemnościom. Jessice wydawało się, że znów wróciła do czarownych ranków w zatoczkach Dodekanezu. Wzbijała się ponad codzienność, na którą składały się jej rodzina, drogi Winston Churchill i jej własny narzeczony Geoffrey Lennon.

„Człowiek nie zawsze wie, co robi – mówiła Jessica. – Nagle poczułam, że z Carlosem łączą mnie nierozzerwalne więzy. Jak mogłam o tym nie wiedzieć? Jak mogłam nie zorientować się, że za tą wymianą słów na Rodos, w Patmos, na Kastellorizo, na pokładzie «Fairy Queen» dokonało się coś niezwykłego i że nie byłam już wolna? Tuż pod bokiem wujaszka Winstona, przyglądającego mi się z rozrzewnieniem i lekkim niepokojem, nie mówiłam sobie, że zdradzam Geoffreya z Carlosem. Mówiłam sobie, że zdradziłam Carlosa z Geoffreyem Lennonem”.

W czasie gdy rozemocjonowana Jessica myślała wyłącznie o Carlosie, który był nareszcie przy niej, uradowany spotkaniem z Jessicą Carlos myślał wyłącznie o Simonie i o hiszpańskiej rewolucji. Mężczyźni kochają w kobietach ich ciała, kobiety w mężczyznach – ich projekty. Ale kobiety, tak skłonne do marzeń, lubią obecność mężczyzn. Tymczasem mężczyźni, mimo że od razu chcieliby się kochać, są zawsze nieobecni. Carlos, gdy pod zirytowanym okiem sir Winstona i Geoffreya Lennona z ogniem przemawiał do Jessiki O'Shaughnessy, której

w głowie było tylko jedno: nie rozstawać się z nim już nigdy, myślami był już gdzie indziej. Kiedy goście – posłowie i aktorki, pisarze i dziennikarze, Anglicy i cudzoziemcy – wyszli, składając wylewne podziękowania sir Winstonowi Churchillowi zastanawiającemu się, jak wypadł obiad, los kilkorga z nich był już przesądzony: przy portu Jessica i Geoffrey Lennon zrozumieli, że nie są dla siebie stworzeni, a Carlos poczuł, że w jego życiu zaczyna się coś dziać. Ale myślał o Hiszpanii.

Myślał tak intensywnie, że te trzy tygodnie, które upłynęły od obiadu u sir Winstona, były dla Jessiki torturą. Nie dlatego że, jak można by sądzić, nie kochała już Geoffreya Lennona, którego zamierzała poślubić, ale dlatego że nie do końca była pewna miłości Carlosa. Mówiła sobie, i nie myliła się, że od Jessiki O'Shaughnessy woli on Brzdąca i Świętych Apostołów, i Brygady Międzynarodowe, a możliwe, że i panów Negrina lub Gromykę czy Paca Riverę. Wpadła na okropny pomysł: spotkała się z Carlosem i ogłupiała z miłości wyznała mu ze łzami, że gotowa jest wszystko rzucić i z nim zostać, pod tym wszakże warunkiem, że uroczyście obieca jej, iż wyrzeknie się polityki, Karola Marksa, Brygad Międzynarodowych, Simona Finkelsteina, którego serdecznie nienawidziła, oraz Republiki Hiszpańskiej.

Carlos Romero zachował się z cudowną łagodnością i czułością większą niż kiedykolwiek. Wziął ją w ramiona. Namiętnie pocałował. Przynależ, że będzie ją zawsze kochał i nigdy jej nie zapomni. Po czym zdecydowanie odmówił obiecywania czegokolwiek odnośnie do Karola Marksa i Simona Finkelsteina. Odwrotnie, zobowiązał się połączyć w jedną sprawę, w jego przekonaniu świętą, ogólnoswiatową rewolucję i niezatarty, choć być może – niestety! – odległy już obraz Jessiki O'Shaughnessy. Powoli zaczynacie poznawać najmłodszą z sióstr i jej determinację. Zalała się łzami. Płakała bez końca. Po czym w wyznaczonym dniu zgodnie z planem wyszła za mąż za Geoffreya Lennona, którego wszystkie te wydarzenia przerosły i nawet nie próbował nad nimi zapanować.

\*

Tym, co w siostrach O'Shaughnessy było przeurocze, co w nich po prostu uwielbiałem, było to, że z nimi nic i nigdy nie było ostateczne. Mogłoby się wydawać, że Jessica wybrała Geoffreya Lennona. Mogłoby

się wydawać, że Jessica zerwie z Lennonem. Mogłoby się wydawać, że Jessica pogodziła się z tym, że ma Lennona. A ona w osiem dni po ślubie wyjechała z Carlosem. Wtedy to Brian, Anglo-Irlandczyk ze starego rodu, potomek królów Irlandii, szkocki właściciel ziemski, uczciwy, ograniczony konserwatysta, lojalny sługa Korony Brytyjskiej, zaczął się zastanawiać nad wychowaniem, które dał swoim córkom. Już przygody Pandory były dla niego wstrząsem. Trochę go zdziwiły uczucia jego trzeciej córki do wysokiego dygnitarza nazistowskiego. Kolejne wolty najmłodszej, Jessiki, zupełnie go wytrąciły z równowagi.

– Czymże, na Boga, zasłużyliśmy sobie na takie córki? – zapytał biedną Héléne.

Héléne nie odpowiedziała. Myślała o Marie Wrońskiej, o Verdim, o Nicolasi i o swojej matce i czuła się w pewnym stopniu winna wszystkich szaleństw córki. Wzruszony Brian dostrzegł, że jest bliska łez.

– To nieważne – powiedział, biorąc ją w ramiona. – To nieważne, przecież wiesz, że są cudowne i kochamy je takimi, jakie są.

Miał rację. Córki miał cudowne. Tyle że trochę niebezpieczne. Ale czułe, wspaniałomyślne, pełne pasji. Cudowne. Nie wydaje mi się, by winę za to, jakie były, ponosiło ich wychowanie. Czy żeby wszystko można było składać na karb ich trudnego dziedzictwa. Czy żeby klucza ich wyskoków szukać w tej przeklętej epoce, w jakiej przyszło nam żyć, z wszystkimi jej marzeniami i namiętnościami, z jej bombami i konwulsjami. Jak historia długa i szeroka, zawsze istniały dziewczęta stworzone do tego, by być piękne, kochać chłopców, porzucać rodziny, a nawet mężów. Rzec po prostu w tym – i szalałem przez to ze szczęścia, a niekiedy z rozpaczy, byłem tym oczarowany na równi z innymi – że w tych czterech ślicznych osobkach, które w dodatku miały szczęście być siostrami, nastąpiła kumulacja przygód i powabów, do czego przyczynił się być może współczesny świat i to osławione przyspieszenie historii. Dziś na moim tarasie w San Miniato wspominam dwuznaczne słowa Carlosa na balu w Glangowness, kiedy najstarsza z siostr ogłosiła swoje zaręczyny z Amerykaninem: „Są niesamowite... Niesamowite”. Teraz już wiedział, do jakiego stopnia. Pandora była niesamowita. Z powodu swojej urody, obojętności, nietrwałości uczuć.

Vanessa była niesamowita z powodu swojej zuchwałości i zaślepienia. Jessica była niesamowita z powodu swojej gwałtowności i wrażliwości. A już najbardziej niesamowite było to, że wszystko kręciło się w kółko i po przygodach przeżywanych na całym świecie przez McNeillów i Wrońskich, Finkelsteinów i Romerów dla wielu, podobnie jak dla mnie, cały świat sprowadził się do czterech zachwycających sióstr i czterech dzielnych braci.

Nie zdziwi was specjalnie, jeśli powiem, że oto znów uczestniczyłem w uroczystości ślubnej jednej z panien O'Shaughnessy. Ale tym razem nie byłem, jak na ślubie Pandory, świadkiem panny młodej. Nie byłem też, bo wyrosłem już z tego wieku, honorowym paziem, która to rola przypadła mi w udziale na ślubie ich rodziców, Hélène Wrońskiej z Brianem O'Shaughnessym. Tym razem w pierwszych rzędach świątyni, wśród członków rodziny uczestniczyłem w ślubie najmłodszej z czcigodnym Geoffreyem Lennonem. Kiedy do panny młodej podszedł Carlos, by ją ucałować, nie mogłem nie zauważyć spojrzenia Jessiki. Mimo całej mojej nieufności do psychologii, sprawczyni błędów i złudzeń, pomyślałem sobie wtedy, że to jeszcze nie koniec wielkiego poematu sióstr O'Shaughnessych, ich serialu, jeśli wolicie, ich sagi, ich przygody. Kiedy w Plessis-lez-Vaudreuil, dokąd zaraz potem wróciłem, dowiedziałem się z listu Javiera o ucieczce Jessiki z Carlosem Romerą, był to dla mnie szok. Lecz niewielka niespodzianka. Zachowanie Jessiki, oceniane z zewnątrz, zakrawało na kompletną aberrację. Publika zawsze próbuje wytłumaczyć sobie rzeczy, których nie rozumie: na temat tego jednego z najgłośniejszych skandali w towarzystwie brytyjskim natychmiast zaczęły krążyć różne nonsensowne komentarze. Jedni szeptali, że małżeństwo nie zostało skonsumowane, że Geoffrey jest impotentem, bądź homoseksualistą, że Jessica ma podobne problemy co Madame Récamier. Raymond Mortimer, zdolny młody krytyk mający w małym palcu całą literaturę francuską, sparodiował pewien czterowiersz o romansie Chateaubrianda z Juliettą, sto lat wcześniej krążący po drugiej stronie kanału La Manche.

Oboje kochali się czule,  
Lecz miłość ta długo nie trwała,

Bo czego wziąć nie mógł w ogóle,  
Dać mu nie mogła, więc nie dała.<sup>[3]</sup>

Wierszyk był uroczy. Ale jak pokazać miała przyszłość, pomówienia, które rozpowszechniał, były czystym absurdem. Nie znałem przeszłości Geoffreya Lennona w Cambridge czy Oksfordzie, ale w późniejszych latach spłodzi udane dzieci, które w swoim czasie też spotkamy na naszej drodze. I wiem też z pewnego, jak sądzę, źródła, że w materii miłości fizycznej Jessica, podobnie jak jej siostry, na pewno nie miała problemów; jeśli już, to raczej talenty i predyspozycje.

Potem pałeczkę przejęli inni, z miną znawców powtarzając tajemniczo, że ujawnienie jakichś niepomiarne ważnych rewelacji politycznych zmusiło Geoffreya do rozstania się z Jessicą. Trudno o lepszą ilustrację „chybania” tych wszystkich poronionych komentarzy i szeptanych na ucho hipotez. To fakt, że w całą sprawę zamieszana była polityka. Ale to nie Geoffrey Lennon, lecz Jessica, z bólem i wahaniem, podjęła decyzję i pokierowała wszystkim. Zdawać by się mogło, że musi przejść przez wszystkie etapy doświadczenia i inicjacji; że droga do Carlosa wiodła przez jej małżeństwo z Geoffreym.

Nazajutrz po ślubie, czy w dwa dni później, Jessica zorientowała się, że popełniła straszliwy błąd i że jest śmiertelnie zakochana w Carlosie. Dotąd kierowały nią oczywiście nie tylko urok i pokusa, jaką dla młodziutkiej dziewczyny stanowi małżeństwo, lecz także przekonanie, że będzie mogła tym ślubem zaszachować Carlosa i narzucić mu swoją wolę. Ponieważ Carlos nie uległ, wpadła we własne sidła, zmuszona konsekwentnie działać do końca, włącznie z zawarciem małżeństwa, o którym do ostatniej chwili nie wiedziała, czy okaże się dla niej schronieniem, którym się zadowoli, czy tylko atutem w grze znacznie bardziej skomplikowanej. Ledwie zakończyła się uroczystość ślubna, odpowiedź nasunęła się sama, wszelka mgła ustąpiła i krajobraz rozjaśnił się, a zarazem pociemniał: kochała Carlosa namiętnie i po to tylko, by mieć go nareszcie dla siebie, popełniła szaleństwo, ryzykując, że utraci go na zawsze.

Teraz przynajmniej już wiedziała, że kocha go takiego, jakim jest: zamieszanego w politykę, z nieodłącznym Simonem Finkelsteinem u boku, pochłoniętego bez reszty rewolucją hiszpańską – awangardą



rewolucji ogólnoswiatowej. Musiała przed Bogiem i ludźmi oddać się temu biednemu Geoffreyowi Lennonowi, by nareszcie zrozumieć, że gotowa jest dzielić Carlosa z Simonem Finkelsteinem, z Brygadami Międzynarodowymi, ze światową rewolucją i z Karolem Marksem. Cóż miała począć Jessica, od dwudziestu czterech godzin będąca prawowitą małżonką Geoffreya Lennona, dziedzicznej i dość miłej dla oka podpory brytyjskiego establishmentu? Zrobiła rzecz najprostszą w świecie: spotkała się z Carlosem i powiadomiła go o swoich odkryciach.

Długie kluczenie i manewry Jessiki pod jednym przynajmniej względem nie poszły na marne: jej ślub był dla Carlosa Romery szokiem. Po raz pierwszy w życiu wnuk Jeremiasza Finkelsteina, syn ambasadora i nadętego humanisty zastanowił się nad sprawą, o którą walczył. Czy warta była tego, by poświęcić na jej ołtarzu ofiarowane mu szczęście? Czy warta była tego, by jakieś dalekie i abstrakcyjne widoki na rewolucję przedkładać nad jak najbardziej żywe i namacalne wdzięki Jessiki O'Shaughnessy? Carlos Romero wpadł, choć w inny sposób, w pułapkę tej samej namiętnej i bezlitosnej logiki co Jessica: nie może sobie pozwolić na żadne kompromisy i półśrodki. Wybiera zatem Karola Marksa i Simona Finkelsteina, rezygnując z Jessiki, drobnomieszczanki, której w głowie jedynie banalne, egoistyczne szczęście. Ale kiedy Jessica, będąca już mężatką, przyszła i powiedziała, że kocha go takiego, jakim jest, z całym jego bagażem, poczuł wielkie szczęście i padł sobie w ramiona. Nie chciał Jessiki próbującej odciągnąć go od rewolucji, ale Jessica zamężna absolutnie mu nie przeszkadzała; bez najmniejszych skrupułów wyrwał ją ze świętych więzów małżeńskich. Trzeba powiedzieć, że Jessica nie miała nic przeciwko temu i bez cienia oporu pozwoliła się z nich wyrwać, czy wręcz zmusiła go, by ją z nich wyrwał. To, czego by nie dała ani nie zaakceptowała jako panna, zaakceptowała i dała w euforii małżeństwa – małżeństwa z innym – które, jak się okazało, było jedynie wyzwaniem i objawieniem.

Odtąd wszystko potoczyło się bardzo szybko. Niewykluczone, że Carlos Romero jako typowy lewicowy intelektualista okresu międzywojennego zadowoliliby się dzieleniem czasu między miłość a rewolucję. Ale Jessica sama pociągnęła go dalej. Dałbym głowę, że zależało jej na wymazaniu najmniejszego nawet śladu swoich

panieńskich zastrzeżeń co do zaangażowania politycznego Carlosa Romery. Nakłoniła go, by wziął na siebie całe ryzyko zaistniałej sytuacji, i upierała się, żeby dzielić je razem z nim. Był to akurat ten moment, kiedy Simon Finkelstein domagał się od Świętych Apostołów coraz większej pomocy i bardziej bezpośredniego zaangażowania się w walkę. Decyzja zapadła błyskawicznie. Któregoś pięknego poranka Carlos i Jessica wsiedli na statek płynący do Bordeaux, skąd ruszyli dalej do Hiszpanii. Hélène była załamana i tonęła we łzach. Brian wciąż zapraszał Geoffreya na weekendy do Glangowness i na obiady do swojego klubu. Tak jakby w oczach społeczeństwa nienaganne i pełne ubolewania maniery ojca mogły wymazać wspomnienie po wybrykach córki. Na nabrzeżu w Southampton Atalanta i Vanessa powiewały chusteczkami. Z tyłu za nimi Javier i Agustín na pożegnanie machali rękami. Tego samego ranka z Ameryki nadszedł telegram adresowany do Jessiki. Oto leży przed moimi, a teraz i waszymi oczami: „Myślę o tobie, kochanie, podziwiam cię i kocham. Ucałuj ode mnie Carlosa. Bądźcie szczęśliwi za nas wszystkich. Nie pozwólcie, żeby błahe sprawy zniszczyły w was sprawy wielkie. Zapomnijcie o wszystkim. *No pasarán*”. Podpisany był przez Pandorę.

Geoffrey Lennon długo nie rozpaczał. Możliwe, że z nas wszystkich on był najsilniejszy. Najspokojniejszy, najbardziej poważny. Był człowiekiem, który sprawy właściwie oceniał. Pamiętam, że wtedy, w porównaniu z Carlosem, z Agustínem, z Simonem, wydawał mi się trochę bezbarwny. Kto mógł przewidzieć, że w przyszłości stanie się jednym z bohaterów bitwy o Anglię, ucieleśnieniem ideałów, dla których miliony mężczyzn poszły na śmierć? Młodość kocha skrajności, szaleństwo, niepokoje. On był zrównoważony, z tych, co to się nie zmieniają. Twardy jak skała. Dla nas, żyjących namiętnościami, zwyczajnie nudny. Piętnaście miesięcy później ożenił się z Atalantą, która oczywiście poprosiła siostrę o zgodę i błogosławieństwo. Jessica ze śmiechem udzieliła jej jednego i drugiego w wesołym, bardzo pięknym i wzruszającym liście. Wysłany został z Barcelony, z Grand Hotel Colón, w którym mieściła się kwatera główna lewicowych intelektualistów ze wszystkich zakątków Europy, i nosił datę: „Piątek, w Sierra de Teruel”.



## Portret autora w roli ratownika serc

Któregoś dnia pośród lasów Plessis-lez-Vaudreuil nasza mnie nieodparta chęć, by znów zobaczyć Pandorę. Tęskniłem za nią. Napisałem do niej długi list. W odpowiedzi przysłała telegram. Zawierał tylko jedno słowo, za to warte wszystkich innych: „Przyjeżdżaj”. Dziadek już od dawna namawiał mnie, żebym wybrał się przestudiować metody amerykańskiego i kanadyjskiego leśnictwa. Zarezerwowałem kabinę na pokładzie „Normandie”, konkurującej w tamtym czasie o niebieską wstęgę z „Queen Mary”, i wariując z niecierpliwości i ze szczęścia, wylądowałem w Nowym Jorku.

Ówczesna Ameryka nie była już tym krajem nowych wyzwań i azylu, jaki poznał kiedyś Jeremiasz Finkelstein, przybywając bez grosza przy duszy z Polski i Berlina, czy ekscentrycznie odziany Pericles Augusto, który ścigał tu w ślad za córką. Nowy Jork był ogromnym miastem, pod pewnymi względami równie osobliwym, co pod innymi Wenecja; miastem, które stolice starej Europy – jeszcze przez jakiś czas zachowujące uprzywilejowaną pozycję z racji swoich imperialnych aspiracji, wzbudzających u Amerykanów zachwyt i irytację – sprowadziło do poziomu staroświeckich miast-muzeów czy większych osad o znaczeniu lokalnym. Statua Wolności wprowadzała w nowy, gigantyczny świat, w całości nakierowany na przyszłość, a nie, jak Bawaria czy Prowansja, Toskania czy Andaluzja, zapatrzony w przeszłość; w świat pełen filmowych studiów, drapaczy chmur, w owym czasie jeszcze zupełnie nowych, dolarów, które kryzys z 1929 roku nieznacznie tylko uszczuplił, i milionów samochodów. My, Europejczycy, żywiliśmy wobec ówczesnej Ameryki ambiwalentne uczucia: była bogata i infantylna, okropnie nieokrzesa, leżała trochę jeszcze odłogiem, potrzebowała naszych rad i doświadczenia, była jak ta panna z prowincji, obiecująca, lecz trochę nieobyta, która za szybko wyrosła. Wiele rzeczy w Amerykanach nas fascynowało: ich sposób odżywiania się i ubierania, kompletnie pozbawiony tego wyrafinowania, z którego my uczyniliśmy wręcz profesję, a im było zupełnie obce, ich

zamiłowanie do reklamy i gangsterstwa, ich apetyt na pieniądze, wtedy jeszcze nas zdumiewający, niemal notoryczny brak dozorców i służby – jak można się obejść bez dozorców, bez kucharek, bez pokojówek? – brak wielkich instytucji państwowych i wysokich urzędników, a jeszcze bardziej nieobecność tych par kochanków i kochanek, obojga żonatych czy zamężnych, tak często spotykanych w społeczeństwie i literaturze europejskiej. Chętnie wyobrażaliśmy sobie, że Ameryka „dojrzeje”, że „wyrobi się”, jak zwykło się mówić o winach i obuwiu, że dorośnie, że powoli – by uniknąć, jak mawiała Gertruda Stein, „bezpośredniego przejścia od barbarzyńskiego prymitywizmu do dekadencji” – stanie się tworem elastycznym i zużyтым na podobieństwo Europy. Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy, że to raczej Europa już niedługo stanie się czymś w rodzaju Ameryki, tyle że na bardziej ograniczoną i nie tak swobodną skalę.

Pandora czekała na nabrzeżu. Kiedy w tłumie ujrzałem jej uśmiech, jej jasne włosy i uniesioną w górę rękę, którą machała, żebym ją zauważył, przez moment zadałem sobie pytanie, jak to możliwe, że wytrzymałem bez niej tak długo. Nie zmieniła się. Padła mi w ramiona. Mocno ją przytuliłem. Jej włosy pachniały piaskiem, morzem, wiosną. Na moment zamknąłem oczy.

– Och, Jean! – powiedziała. – Och, Jean!

Milczałem. Patrzyłem na nią. Nie wiedzieć czemu, bałem się, że się rozpłacze. Ale nie płakała. Przywarła do mnie niczym do deski ratunkowej, przybywającej z bezkresu przestrzeni i czasu.

– I co? – powiedziałem. – I co?

I by ją osłonić przed tłumem tragarzy, podróżnych, gapiów, by osłonić ją przed innymi, a może przed nią samą, otoczyłem ją ramieniem.

I tak przytuleni, nie będąc ani ojcem i córką, ani bratem i siostrą, ani kochankami, ruszyliśmy nowojorskim nabrzeżem ku początkom drugiej kadencji prezydenta Franklina Roosevelta. Było dość chłodno, po jasnym niebie przemykały chmury. Pandora miała na sobie czarną prostą sukienkę pod lekkim płaszczkiem z białej wełny. Co mogłem jej powiedzieć? Nigdy nie było mi łatwo zorientować się w uczuciach innych ludzi. Powtarzałem trochę niemądrze:

– I co, kochanie? I co?

Szła obok mnie w milczeniu. To spuszczała głowę, to unosiła ją, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. Chciałem, żeby ta chwila, kiedy znów się spotkaliśmy i nic jeszcze nie zostało powiedziane, trwała w nieskończoność.

– Jesteś mi potrzebny – oświadczyła nagle.

– Na pewno nie tak, jak ty mnie – odparłem.

– No, nie wiem. Dzięki, że przyjechałeś.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedziałem.

Na Pandorę czekał olbrzymi cadillac czy oldsmobile z dodatkiem w postaci szofera.

– Wolisz tak? – zapytała.

– Ale jak?

– Samochodem, z szoferem.

– Jest mi wszystko jedno – odpowiedziałem.

– Świetnie, to bierzemy taksówkę.

Podeszła do szofera i coś mu powiedziała. Wsiadł do swojej niebotycznie długiej, lśniącej maszyny i po chwili zniknął nam z oczu. Przeszliśmy jeszcze kilka kroków, wymieniając jakieś uwagi na temat zdrowia Hélène i mojego dziadka, po czym przywołaliśmy taksówkę, której kierowca był czarnoskóry.

– Central Park – rzuciła Pandora.

Wsiadła do samochodu i oparła mi głowę na ramieniu. Co miałem zrobić? Obejmowałem ją ramieniem, na każdym zakręcie czując na twarzy i szyi jej oddech.

– Dużo tych zakrętów? – zapytałem cicho.

– Nie ma żadnych – powiedziała, odchylając głowę do tyłu i spoglądając na mnie. – Ale nie szkodzi. Zachowuj się tak, jakby były.

Więc ją pocałowałem. Cóż w tym dziwnego. Przepełnąłem Atlantycką, żeby pocałować Pandorę. Wjechałem do Nowego Jorku z ustami na jej ustach. Bardzo lubiłem Amerykę. Jak to dobrze, że przez pomyłkę ją odkryto, że zaludniono awanturnikami i prostytutkami, że na złość Anglikom pomogło się jej uzyskać niepodległość. Jak najśluszej na zakończenie bankietów wygłaszano peany na jej cześć. Ale przede wszystkim słusznie było tu przyjechać i odbyć rundę po wszystkich jej

stanach.

Wiedziałem, że najlepiej jest mówić jak najmniej. Na szerokich, zatłoczonych samochodami alejach prowadzących do centrum Nowego Jorku przeżyłem kilka cudownych chwil. Każdy oczywiście ma własne wyobrażenie o szczęściu. Ludzi, którzy nie wiedzieli, że jestem aż tak gorącym zwolennikiem *american way of life* i którzy w trakcie jakiejś kolacji lub weekendu na wsi wypytywali mnie o Amerykę, zaskakiwałem często stwierdzeniem, że dla mnie szczęściem było znaleźć się w Nowym Jorku i jechać w kierunku Central Parku. Gwoli prawdy powinienem był dodać, że było to szczęście dość krótkotrwałe.

– Wiesz... – zaczęła.

– Nie mogłabyś jeszcze chwilę poczekać? – zapytałem, całując ją.

– Muszę z tobą porozmawiać... – oświadczyła, wtulając twarz w moje ramię.

– Nie wątpię.

– Nie złość się – powiedziała.

– Ależ skąd – odrzekłem. – Słucham cię, najmilsza. Mam wrażenie, że od lat nie robię nic innego.

Lekko się odsunęła, wtuliła w kąt taksówki, która jechała w tym momencie przez Piątą Aleję, skrzyżowała ramiona, obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Powinieneś mnie nienawidzić – powiedziała.

– Próbuję – odrzekłem. – Wprawiam się. Tyle że na swoje nieszczęście nie potrafię. Bardzo bym chciał. Ale to niełatwe.

Zaczęła mówić szybko, oschłym tonem, jakby mi chciała dać nauczkę.

Miała dobrą nowinę: jest w ciąży. I złą: nie bardzo wie z kim.

– Może z Thomasem? – podsunąłem taktownie.

Nie, nie, z przyczyn natury technicznej, nad którymi wolałaby się nie rozwodzić, nie może to być dziecko Thomasa. Za sprawą niejasnych i dość skomplikowanych mechanizmów Thomas K. Gordon, jej mąż, którego zawsze uważałem za durnia, wydał mi się nagle druhem, sojusznikiem, a możliwe, że już wkrótce przyjacielem.

– Dziwny jest u Wrońskich ten uporczywy brak związku męża z dziećmi – powiedziałem z lekkim rozdrażnieniem, którego zaraz

pożałowałem. – To już u was jakaś tradycja rodzinna czy co?

Nie był to odpowiedni moment na mówienie tego, co się myśli. Pandora się rozplakała. Rzuciła mi się w ramiona, w nich łatwiej było jej szlochać. Cichym głosem, głaszcząc jej jasne włosy, powiedziałem, że ją przepraszam. Łzy spływały jej po policzkach, skapując na wyłogi mojego podróżnego płaszcza i pozostawiając na nich drobne, szybko schnące ślady. Znow wszystko było po staremu, znow wszystko wracało na swoje miejsce. Przeplłynąłem morze, by wziąć Pandorę w ramiona. I oto znow w nich była, a ja osłaniałem ją przed światem, nad którym sprawowała rządy. Przytulałem ją z daremną czułością. Nie przestawała płakać.

Tego samego wieczoru nastąpiła zmiana scenerii. Pandora mieszkała na rogu Piątej Alei w olbrzymim apartamencie z widokiem na park, w którym jej sypialnia sąsiadowała z moją. Thomas przeprowadzał inspekcję swoich fabryk w Detroit. Pandora była roześmiana, wesola, chciała wyjść. W końcu nie pali się. Możliwe, że jest w ciąży. Ale dziecko może poczekać. Zostało wstawione w nawias. Już dawno temu Javier utrzymywał, że Pandora stanowi przygnębiająco banalną ilustrację nawrotów szaleństwa rosyjskiej krwi. Wyszliśmy. Zewsząd zaczęły się pojawiać jakieś dziwne typy. Zdawać by się mogło, że na spotkanie z piękną panią Gordon, o której rozpisywały się magazyny i kolumny poświęcone modzie, stawily się wszystkie genialne rozbitki i wszyscy wykolejeńcy Wschodniego Wybrzeża. Wytworzył się między nimi swoisty rodzaj wymiany: ona dostarczała im picia, oni jej odurzenia. W wytapetowanym na czerwono nocnym lokalu, gdzie jakiś czarnoskóry, przygrywając sobie na pianinie, chrapliwym głosem, z powolną, a potem nagle bardzo szybką gestykulacją śpiewał *Souvenir*, *souvenir* oraz wiele innych, co jedna to bardziej rozdzierających, piosenek – jako najbliżsi przyjaciele Pandory Gordon przedstawili mi się: awangardowy meksykański malarz, uchodźca polityczny mieszkający w Stanach oraz były bałtycki oficer carskiej armii, kompletnie łysy i z monoklem w oku. Nie, nie znali jej rodziny, ale od pierwszych dni pobytu Pandory na amerykańskiej ziemi nie odstępowali jej na krok. Pierwszy schwycił mnie w ramiona i z łomotem zaczął walić po plecach. Drugi trzasnął obcasami. Gonzales – ten malarz, który



malował ogromne metafizyczno-naiwne freski, używając do tego celu środka w sprayu przeciw komarom oraz rozpylaczy do perfum, takich samych jak te, z których, często napełniwszy je eterem, robią użytek fanatycy różnych szkół samby przez cały czas trwania karnawału w Rio – chciał mnie koniecznie zaciągnąć w środku nocy do jakiejś piwnicy w Greenwich Village, gdzie wystawiano jego dzieła, których i tak, czy to w dzień, czy w nocy, prawie nie było widać, a żeby cokolwiek zobaczyć, potrzebna była lampa. Pułkownik Pietiakow z iście wojskowym wigorem spotęgowanym przez alkohol nalegał, byśmy niezwłocznie udali się na pewne zebranie Kozaków, na którym rozpatrywana będzie kwestia niepodległości Ukrainy. Pomyślałem sobie, że Pandora może dość szybko się zestarzeć.

Aby zapobiec temu zagrożeniu oraz niewątpliwie wielu innym, Pandora piła. I to sporo.

– Nienawidzę alkoholu – oświadczyła urywanym głosem. – Dlatego wciąż go zmieniam. Kelner! Proszę zabrać tę okropną whisky. Spróbujemy trochę wódki.

Odwiedziliśmy dwa, może trzy kluby. Kiedy opuszczaliśmy ostatni, było już bardzo późno, czy jak kto woli – bardzo wcześnie. Pułkownik, który odłożył na później wyzwalenie Ukrainy, sztywno wyprostowany, coraz sztywniej wyprostowany, o wiele za bardzo wyprostowany, schwycił mnie za mankiet.

– Jest taka nieszczęśliwa – powiedział. – Taka piękna! A taka nieszczęśliwa...

W oczach miał łzy. Zostawiliśmy go razem z Gonzalesem przy taksówce. Pandora prawie siłą wcisnęła mu do kieszeni kilka dolarów. Całował dłonie swojej dobrodziejki, a przy okazji, przez pomyłkę lub z afektu, obawiam się, że i moje. Malarz wyrzucał z siebie jakieś słowa bez ładu i składu i nie bardzo było wiadomo, czy to skutek jego wrodzonej egzaltacji, czy whisky. W Nowym Jorku zaczynał się dzień. Pandora milczała zapatrzona w pustkę.

I tak to w Nowym Jorku, młodym jeszcze, zatłoczonym i wyludnionym, bo odnalazłem Pandorę, spędzaliśmy wspólne dni i noce, które pozostawiły mi po sobie mieszane wspomnienia bólu i słodyczy. Nie zamierzam opowiadać wam tu swojego życia, próbuję

tylko wskrzesić Pandorę i jej siostry. Odgrywam w ich życiu pewną rolę czy może raczej to one odgrywają pewną rolę w moim. Nie liczcie, że się ode mnie dowiedziecie więcej. Javierowi, Luisowi Miguelowi i paru innym osobom dałem do przeczytania jeden z fragmentów tych wspomnień, które spisuję teraz w San Miniato. Javier zauważył, że niewiele się z nich można dowiedzieć o moich stosunkach z Pandorą: „Ma się takie wrażenie, jakbyście byli bezcieleśni...”. Cóż, jest, jak jest. Miałbym sobie za złe, idąc na łatwiznę pikantnych wyznań i modnych opisów. Zupełnie nie gustuję w tego typu literaturze. Pozostawiam ją debiutującym młodym literatkom i amatorom wielkich nakładów. Są rzeczy, których o Pandorze i o sobie nie opowiem. Swoją drogą dość zabawna jest myśl, że Pandora mogłaby być bezcielesna. Wesoła czy smutna, nigdy nie przestawała z nieodpartą siłą fascynować mężczyzn. Być może już odgadliście, że nie byłem wśród nich wyjątkiem.

Zawsze otoczona tłumem figurantów, posiadała tę specyficzną cechę, że zawsze sprawiała wrażenie samotnej. Carlos, Vanessa, Atalanta znali i utrzymywali kontakty z mnóstwem ludzi. Pandora była zupełnie sama. Rozmawiałem z nią, brałem ją w ramiona z uczuciem, że od zawsze na mnie czekała i że na świecie istniejemy tylko my. Obawiam się, że było to wrażenie dość mylące. Nieraz zresztą zadawałem sobie pytanie, czy kunszt Pandory nie polegał przede wszystkim na tym, że w każdym potrafiła wzbudzić przekonanie, że istnieje tylko on i ona.

Nie wyobrażajcie sobie jednak, że przez cały czas grała. Jednym z kluczy do Pandory jest to, że ona nie grała. Ilu to mężczyzn – od Percy’ego Bassetta, jej pierwszej miłości, przez Thomasa Gordona, jej pierwszego męża, Simona Finkelsteina, jej pierwszego kochanka, po tego czy owego z dziwnych typów, którymi tak lubiła się otaczać – wyrzucało jej, w okrutnych często słowach, że się nimi bawiła. Nawet mnie samego nieraz kusiło, by oskarżyć ją o dwulicowość, kokieterię czy manipulację. Zupełnie niesłusznie. Pandora robiła, co chciała i kiedy chciała, a namiętność w jej sercu przeplatała się z obojętnością.

Brałem ją w ramiona. Rzucała się w nie gwałtownie, zastygała w nich w milczeniu, nieruchoma, prawie martwa. Często płakała. Ogarniała mnie rozpacz. Wtedy ona zaczynała mnie pocieszać:

– To nic takiego, kochany, nic takiego.

I głaszcząc po włosach, obsypując smutnymi pocałunkami, pochylała się nade mną niczym matka uspokajająca dziecko. I tak wymienialiśmy pieszczoty i smutki, moje – spowodowane przez nią, jej – spowodowane nie przeze mnie. Zdarzało się, że pocałunki te zbłądziły na nasze usta, na nasze ciała. Wtedy otrząsała się z zamyślenia. Wracała do życia. Powoli się ożywiała. Ogarniało mnie szczęście. Nic tak nie przypominało namiętności, jak te chwile, kiedy łyzy ustępowały miejsca rozkoszy. Nagle chwyciła mnie w swoje sidła, porywało w swoje odmęty nowe uczucie i zadawałem sobie pytanie, czy miłość, o której należało zapomnieć, nie przypomina dość wyraźnie miłości, która próbowała – być może na próżno – zapomnieć. Teraz znów ja, leżąc na plecach z rozkrzyżowanymi ramionami, zapadałem w posępne milczenie.

– Najdroższy – mówiła Pandora.

Widziałem nad sobą jej twarz, jej uśmiech. Było mi wstyd. Byłem lekarzem wykorzystującym swoją pacjentkę, nielojalnym spowiednikiem, fałszywym i bezużytecznym przyjacielem. I o sobie, i o niej myślałem z jednakowym współczuciem.

– To po prostu niemądre – mówiłem. – Nie sądzisz, że moglibyśmy...

Kładła mi palec na ustach.

Thomas nie spieszył się z powrotem z Detroit. Było aż nazbyt jasne, że z tego bezsensownego małżeństwa niewiele zostało. Przyznaję, że nie mogłem się zdecydować na rozmowę z Pandorą o jej życiu. Za bardzo bałem się tego, co mi powie. Chroniłem się w milczeniu, w pieszczotach, w pocałunkach: w tym wszystkim, co mogło nam, jej i mnie, przynieść pociechę i zapomnienie. Próbowałem wypełnić terażniejszość namiastką rozkoszy, by wyegzorcyzmować za jednym zamachem i przeszłość, i przyszłość.

Któregoś dnia, mając dość czekania na Thomasa, lub na odwrót, pragnąc uniknąć jego powrotu, Pandora nagle postanowiła wybrać się do Kalifornii. zaproponowała, żebym z nią pojechał. Długo się nie zastanawiałem. Wysłałem do Plessis-lez-Vaudreuil telegram, zapowiadając krótko, że moja nieobecność potrwa dłużej, niż

planowałem, po czym wsiedliśmy do jednego z tych, tak niepodobnych do naszego pocziwego Orient Expressu, pociągów przemierzających Stany Zjednoczone z jednego krańca na drugi, od swojskiego Atlantyku po świetlisty i obcy Ocean Spokojny.

Podróż była długa. Przez cały czas jej trwania krążyliśmy mgliście, półsłówkami, nigdy nie wypowiadając się ostatecznie wokół sytuacji Pandory i dziecka w jej łonie. Od czasu do czasu obrzucałem ją ukradkowym spojrzeniem: czy się zmieniła, czy było to już widoczne? Ale nie, szczupła i świeża mimo wszystkich tych wyczerpujących nocy, mimo całej tej niepewności i rozterek nadal była taka, jaką ją od zawsze znałem. Cudownie niewinna, niezrównanie subtelna. Te tak czyste rysy, ta twarz tak gładka skrywała sekrety, których zdradziła mi zaledwie znikomą część i z których istnieniem i tak trzeba się było w końcu pogodzić. Przyjechaliśmy do Los Angeles w olśniewającym słońcu i w Beverly Hills – na Sunset Boulevard 8152, o ile mnie pamięć nie myli – zatrzymaliśmy się w czymś w rodzaju klubu czy raczej oazy otoczonej betonową pustynią. Miejsce to nosiło dźwięczną i trochę komiczną nazwę: Ogród Allaha. O dwa kroki od otoczonego palmami centralnego patio Thomas i Pandora wynajmowali przez cały rok apartament w bungalowie nad basenem, którego kształt dziwnie przypominał zarys Morza Czarnego. Tu czekała mnie niespodzianka.

W Ogrodzie Allaha – zawdzięczającym swoją nazwę nieudanej grze słów, jako że była to nabyta na licytacji i zamieniona w elegancki hotel dawna posiadłość urodzonej w Jałcie na Krymie Ałły Nazimovej, tej samej, która wystąpiła jeszcze u boku Rity Hayworth w *Krwi na piasku* – spotykało się głównie ludzi ze świata filmu zatrudnionych w Hollywood, w owym czasie znajdującego się w zenicie sławy i dynamizmu. Wieczorem w dniu naszego przyjazdu Pandora przedstawiła mnie niewysokiemu mężczyźnie w średnim wieku, o niebieskich oczach i w jasnym garniturze, sprawiającemu wrażenie osobnika pogrążonego w głębokiej melancholii, który czekał na nasze przybycie. Był to Scott Fitzgerald.

Po głośnych sukcesach w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych autor *Wielkiego Gatsby'ego* i *Czula jest noc*, cieszący się uznaniem nawet w Europie, stał obecnie u progu ruiny finansowej

i moralnej. Przyjechał do Hollywood w poszukiwaniu niepewnej kariery scenarzysty i tych kilku tysięcy dolarów, które potrzebne mu były do spłacenia długów oraz pokrycia kosztów pobytu w zakładzie psychiatrycznym jego żony i jedynej miłości, zniszczonej przez alkohol i schizofrenię Zeldy. Dzięki Etienne'owi de Beaumont, który był moim wujem, oraz wielu innym, znałem od dawna i podziwiałem *Wielkiego Gatsby'ego*, opowieść o pieniądzach, o chorobie naszych czasów i o wielkich nadziejach powoli zamieniających się w stracone złudzenia. *Czuła jest noc* oraz zbiór opowiadań – *Tales of the Jazz Age* – wpadły mi tylko w ręce; pożyczył mi je chyba Javier Romero. Pamiętałem z grubsza bohaterów tych książek, którzy zlewali mi się w jedno z ich autorem, pogrążonym, jak sobie wyobrażałem, w wirze mrocznych uciech, tajemnic i kobiet.

Noszący nazwisko bohatera powieściowego Scott Fitzgerald zaskoczył mnie swoim zachowaniem, niepewnym, niezdecydowanym, prawie skrępowanym. Pił jak gąbka. Sprawiał wrażenie człowieka bliskiego zamienienia się w starca czy raczej podstarzałego nastolatka, u którego resztki kruchej elegancji mieszały się ze zgorzknieniem. Ten rozbitek wciąż jeszcze cieszył się opinią kobieciarza. Sam słyszałem, jak Pandora pytała, co słyhać u jego biednej Zeldy, ale także, jak się mają Nora, Laura, Beatrice, Eleanor, Sheilah i kilka jeszcze innych, których imiona wyleciały mi z pamięci. Zastanawiałem się, jaki pożytek może mieć ten czterdziestoletni starzec ze wszystkich tych imion. Od czasu do czasu jego twarz rozpromieniał pewien melancholijny wdzięk, dostarczając mi częściowej odpowiedzi na to pytanie. Trochę się ożywiał, kiedy zaczynał mówić o Lazurowym Wybrzeżu z początku lat trzydziestych i o Grande Corniche, po której o zmierzchu krążył kabrioletem w towarzystwie wtedy jeszcze olśniewającej i już tracącej rozum Zeldy.

– Ach, mój Boże – mówił z rozdzierającą nostalgią w głosie. – Straciłem swoje najpiękniejsze lata w pogoni za wiecznym nadmorskim karnawalem. Ale do diabła, nie żałuję, bo życie było wtedy snem.

Wokół Pandory, bardziej niż kiedykolwiek otoczonej ludźmi i samotnej, na nowo tworzył się wir. Chodziliśmy na kolacje z aktorami, z komikami, z wygnańcami, z pisarzami, którzy, cytując Gertrudę Stein,

„twierdzili, że XX wiek jest tam, gdzie jest Paryż”, w głowie mieli tylko Europę, ewentualnie bardziej intelektualne i mniej ospałe od Kalifornii Wschodnie Wybrzeże, i podobnie jak Fitzgerald gardzili sobą za zarabianie pieniędzy w Hollywood – lub jeszcze gorzej, za daremne próby ich zarobienia. W ciągu zaledwie kilku dni poznaliśmy Humphreya Bogarta i Ernsta Lubitscha, Darryla Zanucka i Roberta Taylora, Maureen O’Sullivan, Spencera Tracy’ego, Clarka Gable’a, a także Rosalind Russell i Melvyna Douglasa, odgrywających powtórkę z komedii *This Thing Called Love*.

Pandora była dość blisko zaprzyjaźniona z pewnym reżyserem, który chętnie uważał się za Szekspira i nazywał się Joseph Mankiewicz. Musiał o niej pamiętać, nadając w późniejszych latach imię Pandory bohaterce – grała ją Ava Gardner – filmu *Latający Holender*, którego wersja francuska tak właśnie była zatytułowana: *Pandora*. Mankiewicz dość surowo wyrażał się o Fitzgeraldzie, który pracował dla niego nad scenariuszem opartym na jednej z powieści Ericha Marii Remarque’a. *Na Zachodzie bez zmian* weszło do klasyki i Mankiewicz miał nadzieję powtórzyć ten sukces filmem *Trzej towarzysze*, opowiadającym historię trzech byłych żołnierzy w powojennych Niemczech.

Któregoś dnia nad basenem w Ogrodzie Allaha ze zdumieniem, wręcz zgorszeniem, usłyszałem, jak przy poobiedniej kawie Mankiewicz odzywa się do Pandory mniej więcej w te słowa:

– Nie bardzo liczę na Scotta w kwestii dialogów. Przecież dialog powieściowy bardzo się różni od dialogu w sztuce czy filmie. W powieści odwołuje się do wyobraźni: czytelnik sam nadaje mu taką czy inną intonację. W pewien sposób go odtwarza, staje się niemal jego autorem. Inaczej jest na scenie czy na ekranie, gdzie dialog odwołuje się bardziej do ucha niż do umysłu. Wywołuje bezpośrednie emocje. Dialogom Scotta brak drapieżności, kolorytu, tempa.

Poczułem zdziwienie i lekki smutek. Znów się dostało mojemu podziwowi dla pisarzy w ogóle, a dla Fitzgeralda w szczególności. Tego samego wieczoru Pandora, nie powtarzając Fitzgeraldowi surowej opinii Mankiewicza, nawiązała do jego stosunków z reżyserem. Scott gwałtownie, wręcz agresywnie połknął haczyk, powodowany potrzebą

usprawiedliwienia się, która miast mnie upewnić co do stanu jego umysłu, jeszcze bardziej mnie zaniepokoiła:

– Przez dziewiętnaście lat wszystko, co napisałem dla szerokich rzesz czytelników, sprzedawało się po rekordowych cenach, wszyscy też zgodnie przyznają, że moje dialogi należą do najlepszych. Tymczasem od człowieka, który nigdy nie pisał, dowiaduję się, że są nic niewarte i że pierwszy lepszy może w kilka godzin zrobić to o wiele lepiej.

I na pocieszenie, dla animuszu wychylił kilka podwójnych tomów collinsów. Myślę, że w naszym towarzystwie czuł się swobodniej niż z innymi, bo nie byliśmy ani pisarzami, ani artystami, ani intelektualistami, ani nikim ze świata filmu, i wyobrażał sobie, że niezbyt orientujemy się w jego wewnętrznym zagubieniu i życiowej porażce. Pandora odnosiła się do niego z wyrozumiałością i z czułością; zdawało się, że łączy ich rodzaj koleżeństwa, pełnego podziwu i wzajemnej sympatii.

– U was – powiedział z ujmującym uśmiechem – u was i z wami czuję się zawsze jak pasażer pierwszej klasy.

Ledwie odszedł, a do Pandory już spieszył kręcący się w pobliżu patio Ogrodu Allaha Groucho Marx ze swoim groteskowym wyglądem – cygaro w zębach, sylwetka zgięta, jakby miał lumbago – któremu zawdzięczał swoją niedawną sławę w *Nocy w operze* i *Dniu na wyścigach*:

– Co? Co? Kim jest ten chory i mało zabawny starzec? Myślałem, że już dawno nie żyje? Może to tylko jego duch?

Nasz pobyt w Kalifornii trwał tylko kilka dni – dziesięć, góra piętnaście. Spotkaliśmy jednak tyle osób, byliśmy świadkami tylu sytuacji, wysłuchaliśmy tylu zabawnych lub okrutnych anegdot i opinii jednych o drugich, że czułem się tak, jakbym w cieniu Century Fox, Metro Goldwyn Mayer oraz ich świętych potworów spędził długie miesiące. Ale najwięcej zamieszania wywołało pojawienie się Ernesta Hemingwaya.

Hemingway wrócił z Europy, by na Kongresie Pisarzy Amerykańskich, a potem samemu prezydentowi Rooseveltowi przedstawić swój film dokumentalny *The Spanish Earth*. Niedawno przyjechał do Kalifornii, gdzie zamierzał przeprowadzić kampanię

propagandową na rzecz hiszpańskich republikanów. Film obejrzał Ernst Lubitsch, który zasugerował, żeby wprowadzić w nim pewne cięcia i przyprawić sosem à la Hollywood. Ku zachwytowi Fitzgeralda młodszy od niego o dwa lata Hemingway zdecydowanie odmówił. Znow widzę Pandorę siedzącą na patio pod palmami czy nad basenem między Fitzgeraldem a Hemingwayem – między kruchym urokiem porażki a władczością sukcesu.

Gdy tylko Scott dowiedział się o przyjeździe swojego przyjaciela Ernesta – dla którego swego czasu uczynił więcej niż jakikolwiek inny pisarz amerykański, polecając go krytykom i nie szczędząc pochwał – zaczął przejawiać niepokój graniczący nieledwie z paniką. Wyznał Pandorze, że będzie potrzebował dużo alkoholu, żeby odważyć się na spotkanie z Hemingwayem. I dodał:

– Nie ma co próbować pisać, dopóki Ernest kręci się w pobliżu.

Z tego, co wiem, cała sprawa zaczęła się dość dawno temu. Po okresie przyjaźni obu pisarzy – jednego o stylu prostym, wyrazistym i wolnym od ozdobników, drugiego o stylu bardziej melodyjnym, wrażliwszym i bogatszym – stosunki między nimi, z wielu trudnych do wychwycenia powodów, zaczęły się psuć. Ernest przeszedł od zapoznania do sławy, Scott od błyskawicznego i niemal zawrotnego sukcesu do serii okrutnych porażek. Nad brzegiem tego komicznego basenu w Ogrodzie Allaha usłyszałem, jak zaniepokojony myślą o spotkaniu z Hemingwayem Scott mruczy do Pandory:

– Ma nerwy równie rozstrojone jak ja, tyle że u niego kryzys objawia się inaczej: u mnie melancholią, u niego megalomanią.

Czytałem i podziwiałem wiele książek Hemingwaya. *Słońce też wschodzi* – którego bohaterka lady Brett nieraz przypominała mi Pandorę – wzbudziło we mnie autentyczny zachwyt. Czytałem również po angielsku długie i piękne opowiadanie zatytułowane *Śniegi Kilimandżaro*. Za historią o pewnym polowaniu kryje się temat powolnej degradacji i porażki pisarza i mężczyzny. Od Pandory dowiedziałem się, że Hemingway, opisując upadłego pisarza, wzorował się na postaci Scotta Fitzgeralda.

– Gdyby ze mną ktoś tak postąpił jak Ernest ze Scottem, nie chciałabym go nigdy więcej widzieć – powiedziała Pandora



z gwałtownością, która mnie zaskoczyła.

I rzuciła kilka cierpkich słów zarówno pod adresem Scotta, jak i Ernesta, przeciwstawiając emocjonalny masochizm pierwszego męskiemu sadyzmowi drugiego. Dodała też, że żona Scotta Zelda nigdy nie ufała Hemingwayowi, którego uważała za „oszusta”.

Rosły Hemingway, zwłaszcza przy Fitzgeraldzie, sprawiał wrażenie siły i nieco wystudiowanej męskości. Teraz młodszy odnosił się do starszego tonem wyraźnej i trochę krępującej wyższości. Niemniej konfrontacja brutalności, niemal wulgarności jednego z chorobliwą dystynkcją drugiego zaczęła się całkiem nieźle. Na początek Hemingway przekazał Pandorze wieści od jej siostry Jessiki, którą spotkał w Grand Hôtel Colón w Barcelonie.

– Wspaniała dziewczyna – stwierdził z przekonaniem. – Piękna, inteligentna, odważna. Myślę, żeby napisać coś o wojnie domowej w Hiszpanii. Mógłbym zapożyczyć od niej sporo cech dla bohaterki, która chodzi mi już po głowie.

Potem wspomniał w kilku słowach o Carlosie Romerze i zapytał, kim był towarzyszący im Mulat imieniem Simon, który, jak się zdawało, zrobił na nim niejake wrażenie. Trochę obawiałem się reakcji Pandory. Ale ona odpowiedziała ze spokojem:

– Bardzo go lubię. To nasz wspólny przyjaciel. Dość zadziwiająca postać. A także wuj Carlosa Romery.

I, jak zawsze ze zrozumieniem i serdecznością, zaczęła mówić o Jessice. Solidarności Ich Wysokości ze schowka i Zakonu Królewskiego Sekretu nie zdołały nadwerężyć ani odległość, ani polityka, ani sercowe perypetie.

Następnie, niczym wielokrotnie przerabiany numer, Fitzgerald i Hemingway zaczęli wspominać wspólne życie w Paryżu w czasach kubizmu, Wystawy Sztuk Dekoracyjnych, Jeanne Lanvin i Coco Chanel, detronizującej wtedy Paula Poireta, który z kolei wcześniej zdetronizował Paula Douceta, ich pierwsze spotkanie w barze Dingo, na rue Delambre, eskapady zakrapiane szampanem, whisky i dżinem i bijatyki o brzasku. Towarzyszyła temu autentyczna serdeczność. Trzeba było uważnie się wsłuchać, dostrzec pojawiający się chwilami w oczach Fitzgeralda błysk niepokoju, by wyczuć, ile rozterki

i niedopowiedzeń kryło się pod tymi pozorami komitywy. Spojrzałem na Pandorę: nie była naiwna.

Rozmowa zesłała na nakłady książek i sukcesy Hemingwaya.

– Serio – powiedział Fitzgerald. – Serio, szczerze ci zazdroszczę. Zazdroszczę ci tego wolnego czasu i swobody, z jaką zawsze robisz to, na co masz ochotę.

– Jeśli naprawdę chodzą ci po głowie czarne myśli – odrzekł na to Hemingway, śmiejąc się trochę zbyt głośno i klepiąc Fitzgeralda mocno w plecy – to załatw sobie jakąś dobrą polisę, a ja pomogę ci odejść.

– Przecież już to zrobiłeś – powiedział łagodnie Fitzgerald.

Po tej przejrzystej aluzji do *Śniegów Kilimandżaro* zapadła głęboka cisza. W chwilę później i po paru następnych kieliszkach Hemingway, niczym ogłuszony bokser podrywający się do ataku, znowu zaczął:

– Mam nadzieję, że tutaj, pośród tego piękna i wszystkich tych wspaniałych kobiet dałeś sobie wreszcie spokój z tym swoim przeklętym romantyzmem, tym swoim irlandzkim rozkoszowaniem się przegraną?

I wypiwszy jednym haustem kolejną whisky czy wódkę, śmiejąc się głośno, dorzucił:

– Przestałeś się wreszcie bać, że twój cholerny ptaszek, *your damned little birdie*, nie stanie na wysokości zadania?

Fitzgerald gwałtownie pobladł. Poderwał się, jakby miał rzucić się na Ernesta. Zatoczył się jak pijany, potarł dłonią czoło i w końcu zastygł bez ruchu z zagubioną miną. Myślałem, że się przewróci. Przyszło mi do głowy, i do dziś jestem o tym przekonany, że to nie alkohol, lecz choroba przyprawiła go pod wpływem zniewagi o ten stan. Pandora już była przy nim, objęła go zda się z czułością, ale głównie po to, by go podtrzymać, po czym odwracając się do Ernesta, rzuciła:

– Przynajmniej tego, drogi Erneście, nie musisz się obawiać. Pewnie już nieraz słyszałeś, że to wcale nie ci najwięksi krzykacze są najlepszymi kochankami. I zapewniam cię, że Scott jest w tych sprawach znakomity.

Ten dzień nad basenem w Ogrodzie Allaha, a zwłaszcza słowa Pandory rzucone tonem wyzwania pozostawiły mi po sobie mieszane wspomnienia. Pamiętam głęboką ciszę, a potem słowa Lubitscha:

– Brawo! Trafiony!

Niewiele zrozumiałem z tego pełnego niedomówień pojedynku na zabezpieczone nakładką florety między Fitzgeraldem a Hemingwayem. Wyjaśnienie tego, co zdarzyło się w Ogrodzie Allaha w obecności Pandory, miałem znaleźć dopiero po wielu latach.

\*

Hitler, Roosevelt i Churchill dawno już nie żyli, kiedy w San Miniato trafiła w moje ręce niewielka książeczka Hemingwaya zatytułowana *Ruchome święto*. Ze zdziwieniem i nostalgią natknąłem się w niej na niesamowity epizod, w którym, jak jakieś dziesięć lat przed spotkaniem w Ogrodzie Allaha Fitzgerald, zaniepokojony swoją fizyczną ułomnością, zszedł z Hemingwayem do toalety w restauracji Michaud na rogu rue Jacob i rue des Saints-Pères, i ściągnął spodnie, by zasięgnąć kompetentnej i surowej opinii konesera. Hemingway rozwiął jego obawy, tłumacząc, że trudno o coś bardziej mylącego i zniechęcającego niż kąć, pod jakim mężczyzna postrzega swoje genitalia. Następnie udali się obaj do Luwru, by móc swobodnie przyjrzeć się idealnym, a skromnym proporcjom męskiego członka w stanie spoczynku kilku najślawniejszych posągów. Chcąc wyrobić sobie bardziej miarodajne pojęcie i porównać je z własnymi doświadczeniami, Scott Fitzgerald, wykorzystawszy chwilową nieobecność strażnika robiącego akurat obchód sal, wdrapał się na głowę posągu, by obejrzeć jego przyrodzenie pod kątem, pod jakim zwykle smętnie dumał nad swoim.

Oczywiście zainteresowała mnie ta pełna niedomówień rozmowa na temat rozmiarów ptaszka Fitzgeralda i użytku, jaki zeń czynił. Ale tym, co w rycerskiej postawie Pandory spieszącej z odsieczą kochankowi – o ile przymiotnika rycerski można użyć w odniesieniu do kobiety ratującej mężczyznę – poruszyło mnie najbardziej, było jej jawne przyznanie się do romansu z Fitzgeraldem.

Kiedy Hemingway wraz z resztą towarzystwa opuścił Ogród Allaha, Pandora, Scott i ja zostaliśmy sami. Przez cały wieczór, przed starciem z Ernestem, a nawet potem, Scott Fitzgerald był niezwykle rozmowny i błyskotliwy. Jakby chcąc podziękować Pandorze za jej wielkoduszną pomoc, rozproszyć konsternację, jaka zapanowała wśród zgromadzonych, i zatriumfować nad Ernestem, opowiedział, jak to Zelda i on, pijani w sztok, zasnęli w swoim renault na przejeździe kolejowym,

czy też jak nocą skakali z wysokich skał przylądka Antibes, za każdym razem ledwie o włos unikając roztrzaskania się na kamieniach w dole. Czyniącej mu spóźnione wyrzuty Pandorze odpowiedział:

– Czyżbyś nie wiedziała, że rzeczą, której nienawidzę najbardziej na świecie, jest instynkt samozachowawczy?

Kiedy zostaliśmy sami, wybuchnął płaczem. W przypiływie gwałtownego załamania padł na ziemię, szlochał, krzyczał, że mu wstyd, że wszystko zaprzepaścił i że chce umrzeć. Pandora zajęła się nim z przykładową łagodnością i stanowczością, objęła dłońmi jego głowę i próbowała go zmusić, żeby się uspokoił. We dwoje zaprowadziliśmy go do bungalowu, który zajmował nieopodal naszego. Szukając piżamy, żeby rozebrać Fitzgeralda z garnituru – przedniego kroju, lecz zniszczonego już i wymiętego – Pandora otworzyła jedną z szuflad: znajdował się w niej tuzin równo ułożonych butelek dżinu. W szafce w łazience leżały kolejne, puste. Szlochając, Fitzgerald wymamrotał do Pandory:

– To twoja wina! Twoja wina!

I zanim padł na łóżko, na którym oboje przysiedliśmy, wskazał palcem na mnie i szepnął:

– I jego.

– Jakże ludzie się mylą – mruknąłem.

Następnego dnia wyjechaliśmy do Nowego Jorku. Podróż powrotna była przykra. Należało w końcu stawić czoło sytuacji, wokół której od tygodni krążyliśmy, próbując o niej zapomnieć z pomocą alkoholu i ruchu. Zastanawiałem się, czy Pandora nie zabrała mnie do Kalifornii po to tylko, żeby spotkać się z Fitzgeraldem. W Ogrodzie Allaha miała oczywiście mnóstwo okazji, by porozmawiać z nim sam na sam i zupełnie nie miałem pojęcia, co też mogli sobie wtedy powiedzieć. Wiedziałem natomiast, bo stwierdzałem to na każdym kroku, że powrót do Nowego Jorku bardzo się różnił od podróży do Hollywood. O ile w drodze do Kalifornii, po swoim załamaniu w Nowym Jorku, Pandora była wesoła i niemal beztroska, tak teraz sprawiała wrażenie niespokojnej i markotnej. Znowu popadała w długie chwile milczenia, znowu obrzucała mnie tym spanikowanym spojrzeniem, które sprawiało mi ból. Chciałem jej oczywiście pomóc, a jednocześnie miałem jej za

złe, że zataiła przede mną swoją znajomość z Fitzgeraldem.

– Ale Scott, kim on jest dla ciebie, kochanie? Czy ci na nim zależy?

Nie odpowiadała. Naciskałem:

– Wiesz, że twoje stosunki z nim nie są mi zbyt miłe. Byłem raczej zadowolony, że jest o mnie zazdrosny, choć niestety bez powodu. Ale jest przystojny i uroczy. To wielki pisarz. Napisał wspaniałe rzeczy. Właśnie dlatego, że posiada talent, może nawet geniusz, przeżywa trudny okres. Jestem pewny, że mogłabyś mu pomóc. Ale najpierw ty sama musisz wziąć się w garść i wiedzieć, czego chcesz. Nie w tym rzecz, żebyś do jego słabości dorzucała jeszcze i własną rozterkę. Nie chciałbym – dodałem z uśmiechem – żebyś skończyła jak jego żona, której stan jest chyba nie najlepszy.

Długo przemawiałem w tym duchu, przeplatając prawdę ze zmyśleniami, plotąc różne głupstwa, by wypełnić chwile ciszy, starając się domyślić tego, co nie zostało powiedziane, i przywrócić Pandorze choć trochę równowagi i radości życia, tak w niej przecież silnej, a której wszystkie te wydarzenia próbowały ją pozbawić. W pociągu wiozącym nas do Nowego Jorku Pandora nagle z czarującym uśmiechem oznajmiła mi:

– To jest dziecko Scotta.

Nie wiedziałem i nadal nie wiem, czy to prawda. Nie wiem też, czy sama wierzyła w to, co mówi. Już później nieraz rozmawialiśmy na spokojnie o *Wielkim Gatsbym* i o *Czuła jest noc*, o Ogrodzie Allaha, o ostentacyjnie obnoszonej męskości Hemingwaya i o kruchym, a tak silnym uroku biednego wielkiego Fitzgeralda. Nigdy nie padła między nami najmniejsza nawet aluzja co do jej krótkiego wyznania w pociągu. Pandora już nigdy więcej nie wracała do tego tematu. Sam oczywiście za nic w świecie nie chciałbym jej zmuszać, by to powtórzyła. Nieraz zastanawiałem się, czy ukołysany miarowym turkotem pociągu nie zdrzemnąłem się i czy mi się to wszystko nie przyśniło. Ale te cztery słowa Pandory: „To jest dziecko Scotta”, które z różnych powodów mną wstrząsnęły, słyszę tak wyraźnie, że chyba niemożliwe, żebym je wymyślił. Od tej podróży z Kalifornii do Nowego Jorku śmiało mogę powiedzieć, że przez całą resztę życia przychodziły mi do głowy

rozmaite domysły. To, że była kochanką Fitzgeralda – jak wiele innych przed nią i kilka innych po niej – nie ulegało wątpliwości. Ale to jeszcze nie dowód, że dziecko było jego. Może spłodził je malarz Gonzales albo ukraiński pułkownik? Albo jeszcze ktoś inny, ktoś, kogo nie znałem nawet z nazwiska? Jak się później dowiedziałem, niemal zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku Pandora zaczęła prowadzić szalone życie, wywołując skandal za skandalem – szybko tuszowane dzięki miłości lub zaślepieniu Gordona, ale przede wszystkim dzięki jego pieniądzom – wędrując z baru do baru i z łóżka do łóżka, na zmianę to prowokując, to grożąc samobójstwem. Któregoś wieczoru, po kolacji z udziałem pisarzy i dziennikarzy, kompletnie pijana chciała wyskoczyć z czwartego piętra, by przynajmniej poczuć, skoro nie będzie mogła o tym opowiedzieć, jak to jest, gdy z wyżyn współczesnego świata człowiek spada w pustkę. To Ernest Hemingway był tym – ach, te spotkania! – który w ostatniej chwili ją powstrzymał. Tak wyglądał początek ich przyjaźni; przez niego też któregoś dnia poznała Fitzgeralda. Innym razem, również wstawiona, na zakończenie jednej z tych kończących się bladym świtem eskapad po barach, wezwała strażaków. Kiedy przyjechali swoimi czerwonymi wozami na syrenie i zapytali, gdzie ten pożar, którego nigdzie nie było widać, Pandora wystąpiła naprzód i teatralnym gestem uderzając się w pierś, oświadczyła:

– Tutaj.

Nawet wielka fortuna i wszystkie znajomości Thomasa Gordona nie zdołały zapobiec skazaniu jego żony na wysoką grzywnę oraz trzy dni więzienia za nieobyczajne zachowanie i obrazę służb publicznych.

W tym życiu pozbawionym reguł, miłości oraz jakiegokolwiek celu mogło zdarzyć się wszystko. W Nowym Jorku czy w Hollywood Pandora nieraz mi mówiła, jak bardzo zazdrości siostrom, skądinąd uwielbiającym ją bezgranicznie; zazdrości nawet Vanessie, której namiętność, choć tak absurdalna, nadawała jakiś sens jej życiu.

– Wiedzą, czego chcą. Nie chciałabym żyć tak jak Atalanta, tak spokojnie i kompletnie bez niespodzianek. Ale wyobrażam sobie, że jest szczęśliwa. Na swój sposób. Jessica znalazła swoją drogę. Nawet Vanessa ma kogoś, o kim można myśleć i kto inspiruje wszystkie jej poczynania. Wiele osób może to uważać za głupie, nawet godne

pogardy. Ale lepsze to niż nic.

Niezbyt miło było słuchać tych gorzkich słów. Oddałbym wszystko, by móc stać się dla Pandory centrum świata. Z radością zgodziłbym się zostać trzeciorzędnym malarzem meksykańskim, jak Gonzales, czy ukraińskim pułkownikiem na śmietniku historii, a tym bardziej genialnym pisarzem, nieszczęśliwym i upadłym jak przystoi geniuszowi, jak Fitzgerald. Żadnemu z nas nie było jednak dane odegrać w życiu Pandory tej głównej roli będącej spełnieniem jej marzeń. I dlatego wszystko było możliwe. Więc i to, że dziecko Pandory było dzieckiem pierwszego lepszego, owocem spotkania zapomnianego pośród trupiej bladości poranków, nieznanego bez imienia, a może i bez twarzy. Nic dziwnego, że Pandora wolała obraz Scotta Fitzgeralda od tych bezcielesnych i nierzeczywistych zjaw; na pewno prościej było wyprzeć się, że w ogóle istniały. A zresztą może, bo nigdy nie wiadomo, może faktycznie było to dziecko Fitzgeralda. Ponieważ nie było moje, takie rozwiązanie uznałem za najlepsze.

Po powrocie do Nowego Jorku znów przyszło mi walczyć o nie swoją sprawę. Pandora chciała usunąć dziecko.

– Byłoby cudownie – powiedziała. – Skończy się temat. Kurtyna opadnie. Wyjedziemy stąd. Zabierzesz mnie do Europy, wybierzemy się we dwoje w rejs po jeziorach włoskich.

Skąd te włoskie jeziora? Nie wiem. Ale przede wszystkim dlaczego ja? Tym bardziej nie wiem.

– Ale czy jesteś pewna...? – pytałem.

– Nie dręcz mnie – mówiła.

I znów zaczynała cicho szlochać na moim ramieniu.

Tak, balansując na codziennym pograniczu piekła, wyglądała sytuacja do chwili mojego powrotu do Francji. Zdrowie dziadka oraz rozmaite obowiązki wzywały mnie do Plessis-lez-Vaudreuil. Trzeba też dodać, że nie było żadnego istotnego powodu, bym siedział dłużej w Nowym Jorku. Nawet profesja psa obrońcy ma swoje granice. W chwili mojego wyjazdu żadna decyzja na tak, czy na nie nie została podjęta. Ale nawet wtedy, gdy nie dzieje się nic, jest coś, co dzieje się nieustannie: płynie czas. Niepodejmującej żadnych działań Pandorze coraz trudniej było ukryć swój stan. A już szczytem wszystkiego było to,

że opuszczałem Nowy Jork z niejasnym poczuciem winy. W końcu to nie z mojego powodu Pandora była w ciąży. Odprowadziła mnie na nabrzeże, unosząc dłoń na pożegnanie tym samym gestem, jakim mnie powitała. Prawdę mówiąc, dziwna z niej była osoba. Zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc. Ale nie chciała. Podejrzewam, że nie ja jeden byłem w podobnej sytuacji.

Kilka miesięcy później po powrocie z myśliwskiego podwieczorku, na którym towarzyszyłem dziadkowi, dowiedziałem się podobnie jak wszyscy inni, z udawanym zaskoczeniem i należytą radością, że Pandora urodziła syna. Szczęśliwe wydarzenie miało miejsce w Glangowness, skąd nadszedł telegram, naturalnie z prośbą, żebym został ojcem chrzestnym dziecka. Skwapliwie się zgodziłem i oto kolejny już raz z walizką pełną ubrań stosownych do okoliczności przekroczyłem próg starego, wiktoriańsko-gotyckiego gmaszyska.

Piękna jak zwykle, bardziej promienna niż kiedykolwiek Pandora podejmowała gości. Na temat naszych szczęśliwych i nieszczęśliwych dni w Nowym Jorku nie padło ani jedno słowo. I tylko z wyborną dyskrecją oraz udawaną obojętnością – gdy tymczasem w podobnych okolicznościach zazwyczaj zainteresowanie jest udawane – zapytałem, jakie imię dała dziecku, ciekaw, czy znów wypłynie imię Scotta.

– Francis – odrzekła.

– Ładne imię – powiedziałem.

Oczywiście wiedziałem, że autor *Gatsby'ego* nazywał się Francis Scott Fitzgerald.

W rodzinie zastanawiano się, czy Francis – jako że u McNeillów, O'Shaughnessych ani nawet u Wrońskich nigdy nie było żadnego Francisa – to imię częste u Gordonów. Lecz był to szczegół bez znaczenia: w kilka zaledwie dni po chrzcinach Pandora ku przygnębieniu Briana oraz przerażeniu Hélène oznajmiła, że się rozwodzi. Thomas – nieobecny – zachował się bez zarzutu. Nie stawiał żadnych przeszkód i zgodził się na wszelkie żądania. Nie żądano zresztą wiele. Amerykańskie małżeństwo poszło w zapomnienie. Zostało po nim tylko dziecko.

Jessica była nieobecna. Przebywała w Hiszpanii. Często rozmawialiśmy o niej i o tym, co pisała w listach, napełniających Briana



dumą oraz pewnym zakłopotaniem. „Republikanie – mówił – to jeszcze ujdzie, ale Carlos, to już doprawdy za wiele”. Nieobecność Jessiki była wszystkim na rękę: Atalanta przyjechała na chrzest z mężem, Geoffreyem Lennonem.

Często spacerowaliśmy z Atalantą po alejach Glangowness. Ubrany w tweedową, stosowną, jak mi się wydawało, do okoliczności kurtkę, grywałem z nią w krykieta. Zajmowałem miejsce u jej boku podczas uroczystych obiadów, którym przyzowali Brian i Hélène, zasiadający naprzeciwko siebie po obu krańcach długiego stołu uginającego się pod ciężarem sreber, zastawy z Sèvres czy Nymphenburga i biskwitowych figurynek na ozdobnych paterach. Atalanta była tą z sióstr, którą najslabiej znałem i która chyba najmniej mnie interesowała. Teraz powoli ją odkrywałem. Uwielbiała swoje siostry, zwłaszcza Pandorę. Z czułością i bezgraniczną wyrozumiałością mówiła o Vanessie i Jessice. Kochała je w sposób wolny od zazdrości. Nagle zaczęło mi się wydawać, że jej życie bez burz czy bez pozornych burz jest równie tajemnicze jak wszystkie szaleństwa jej ukochanych sióstr razem wzięte. Trudno mi było odgadnąć, czy sama wybrała taki byt – czy niebyt – czy tylko się z nim pogodziła; czy dochodziły w niej czasami do głosu niezaspokojone marzenia. Była łagodna i pełna wyrozumiałości dla namiętności innych. Niekiedy odkrywałem u niej jakieś rysy Pandory, Jessiki czy Vanessy. Ale ona, miast pozwolić, by miały ją jej własne pragnienia, tłumiła je w sobie i trzymała w ryzach.

– Bardzo cię lubię – mówiłem, odrzucając piłkę krykietową na drugą część boiska lub siedząc obok niej podczas podwieczorku w dniu chrzcina młodego Francisa Gordona.

– Ja ciebie też – odpowiadała. – Ja też. Darzę cię czułym przywiązaniem. Myślę, że to jedna z najstarszych i najszacowniejszych tradycji w naszej rodzinie.

– Tak, tak... Stanowię przypadek jedynej w swoim rodzaju i właściwie beznadziejny: kocham się we wszystkich naraz siostrach O'Shaughnessych.

– Błagam, tylko bez szczegółów – powiedziała z uśmiechem.

– Wiem – odrzekłem. – To zabronione. To jedna z reguł gry. Wolno mi kochać was wszystkie jak matka albo, powiedzmy, jak

guwernantka. Lecz nie wolno mi, jak kochankowi, wybrać tylko jednej.

– Jesteś naszym psem obronnym, bernardynem ratującym nasze serca. Zjawiasz się u każdej z nas z butelką rumu na szyi.

– Coś mi się zdaje, że niektóre z was wypijają go więcej niż inne.

– Ale ja chyba nie nadużywam tych twoich ratunkowych trunków?

– Och, nie! Ale inne bywają mniej rozsądne.

Do tych mniej rozsądnych należała Vanessa. Była tu z nami, z wielkim oddaniem zajmowała się synem starszej siostry. Sprawiała wrażenie idealnej matki i pani domu, osoby, którą bez wątpienia chciałaby być, podobnie jak Atalanta, i znacznie bardziej niż Jessica czy Pandora. Okoliczności uniemożliwiały jej realizację tego, tak przecież uzasadnionego, marzenia. W Glangowness większość czasu spędzała w towarzystwie dzierżawców i pastora, którzy czcili ją jak świętą. A potem, co dwa, trzy miesiące znowu jechała do Niemiec.

Niewiele wiedzieliśmy o tych jej wypadach; stały się one pewnym rytuałem, z którym w końcu nawet Brian się pogodził, choć ich częstotliwość już wkrótce zaczęła niepokoić Winstona Churchilla. Jako bliski przyjaciel rodziny przyjechał na chrzciny; odbył też ze mną spacer po ogrodach, niemal identyczny, jak niegdyś Marie Wrońska. Po kilku interesujących uwagach ogólnych na temat warunków meteorologicznych w Szkocji oraz dziedzicznego uroku Wrońskich i O'Shaughnessych, przystąpił do sedna:

– Jest pan blisko związany z córkami Briana, prawda?

– Bardzo – przyznałem. – Z daleka czy z bliska, obecnością lub myślą poświęcam im chyba większość mojego czasu.

– Gratuluję – powiedział. – To czas dobrze wykorzystany.

– Też tak sędzę. Lubię je bardziej niż kogokolwiek innego.

– Tak rozliczne talenty muszą czasami, jak mniemam, nastroczać pewnych problemów?

– Z pewnością – odrzekłem, biorąc rozpęd. – Gdyby miały ich mniej...

– Mniej problemów? Czy mniej talentów?

– Talenty czy problemy: jedno wynikają z drugich... Gdyby miały ich mniej, byłyby bezpieczniejsze, a tym samym mniej fascynujące. Bo to przeciętność wywołuje najmniej zamętu. Ostatecznie znaczna część

tych ich sławionych przez nas uroków łączy się z zamieszaniem, jakie powodują.

– Tak... Hmm... Cóż... Żadna z nich nie przysparza chyba Brianowi samych tylko radości. Oto proszę, Pandora rozwodzi się, a jednocześnie rodzi dziecko. Wiadomo coś panu o tym, dlaczego lub komu?

– Nie bardzo – szybko powiedziałem.

– A Jessica! Obawiam się, że całe to zamieszanie po części ja sam spowodowałem: doszły pana może słuchy o wydanym przeze mnie obiedzie?

– Naturalnie – odparłem. – Ale jestem przekonany, że i tak by do tego doszło. W ten czy w inny sposób. Ale by doszło.

– Ma pan rację. Wydarzenia wymykają się spod naszej kontroli. Zawsze jednak należy postępować tak, jakby zależały wyłącznie od nas. To klucz do wszelkiego działania i do każdego społeczeństwa.

Posuwał się drobnymi kroczkami, masywny i ciężki, z cygarem w ustach, z puciołowatą, już pożłobioną zmarszczkami twarzą, podpierając się laską ze swoim herbem, i odrzucając nią czasami jakiś kamyk lub gałązkę.

– Ale mnie najbardziej dziwna wydaje się Vanessa. Dobrze ją pan zna?

– Nie tak jak Pandorę.

– Co za pomysł, żeby zadurzyć się w Rudolfie Hessie! Przywódca nazistowski, szef bandy, zły duch Hitlera... Zdaje pan sobie sprawę, że cała ta historia może się źle skończyć? Liczę na pana, drogi chłopcze...

Na moment zawiesił głos, przystanął, popatrzył mi w oczy, jakby oceniając mój charakter i umiejętności, położył mi dłoń na ramieniu.

– ...Liczę na pana, *my boy*, że spróbuje pan w miarę swoich możliwości zminimalizować szkody.

W dniu chrzcin małego Francisa Gordona i przez cały pobyt w Glangowness zamieniłem z Vanessą ledwie kilka słów. Podobna do urodziwej klaczy, o pociągłej twarzy, prostych jasnych włosach i nieco szorstkim obejściu, tak osobliwie kontrastującym ze spolegliwością Pandory czy spokojem Atalanty – Vanessa, jak przypuszczam, trochę gardziła tym, co nazywała „arystokratyczną śmietanką brytyjskiej demokracji”. Zaczynała coraz bardziej bezkompromisowo przejmować

obcesowe poglądy swoich niemieckich przyjaciół.

– Czy nie robi się trochę zdzięczniały? – zapytała mnie któregoś dnia, kiedy wuj Winston z nieodstępnym cygarem w dłoni opuścił nas, by uciąć swoją zwykłą poobiednią drzemkę.

– Wcale tak nie uważam – odparłem.

– To ruina starego świata.

– Nie mam nic przeciwko temu, co stare.

– Nastanie nowy świat.

– Ten twój trochę mnie przeraża.

– I słusznie – powiedziała. – Bo on to wszystko wymiecie.

I jej naiwne spojrzenie spoczęło na ścianach obwieszonych rodzinnymi portretami, na obitych gobelinem meblach, na trawnikach w oddali.

Cztery siostry O'Shaughnessy wypełniały znaczną część mojego życia, nie wypełniały jednak całego mojego czasu. Wracałem do Paryża i Plessis-lez-Vaudreuil, opiekowałem się moim dziadkiem, spotykałem się często z Javierem Romerą, który powoli stał się moim najbliższym przyjacielem. Kiedy z perspektywy wieku dojrzałego spogląda się wstecz, każda młodość, nawet najbardziej niepozorna i byle jaka, wydaje się zawsze cudowna. „Młodość – pisze gdzieś Chateaubriand – młodość to urocza rzecz, u zarania życia umajona kwieciem wyrusza niczym ateńska flota na podbój Sycylii i cudownych wiosek Enny”. Ja również podbiłem pewną ilość Sycylii i cudownych wiosek Enny. Lecz kiedy je przemierzałem, nigdy właściwie nie odstępowało mnie wspomnienie Pandory. Śnieg w Alpach lub Pirenejach, miasteczka w różowym blasku zachodzącego słońca, zakurzone wiejskie drogi, które we dwoje lub we czworo przemierzaliśmy odkrytymi samochodami Agustína, wczesne poranki nad gładkim, zlewającym się w jedno z niebem morzem – to wystarczyło, by napełnić mnie niewysłowionym szczęściem, sprawiającym, że wszystko inne szło w zapomnienie. Wszystko – oprócz Pandory. Wędrowałem po Toskanii i Apulii, byłem w Bawarii i Austrii, wróciłem do Grecji, zwiedziłem Grenadę i Toledo: cieszyłem się światem oraz tym, że dane mi było, nie wiadomo dlaczego ani z czyjego zrządzenia, spędzić na nim trochę czasu. Nieobecna Pandora zawsze była gdzieś niedaleko.

Znałem trochę młodych kobiet, o których – wierny moim zasadom i na przekór przyjętym obecnie zwyczajom – niewiele opowiem. Niektóre z nich obracały się w tym samym piekielnym i magicznym kręgu co Romerowie i O’Shaughnessy: jedna była bliską przyjaciółką Carlosa, inna kuzynką męża Atalanty. Nieraz stwierdzałem, że nasze życie kręci się w kółko, najchętniej ogniskując się wokół kilku stałych punktów, które stają się ośrodkiem naszej egzystencji. Ośrodkiem mojego nadal pozostawało oczywiście Glangowness i jego oksfordzko-argentyńskie, rozsiane po całym świecie ekspozytury.

Dobiegał końca proces unifikacji świata, który z każdym rokiem coraz bardziej się kurczył. Nie były to jeszcze te czasy co dwadzieścia lat później, po wybuchu bomby i zakończeniu drugiej wojny światowej, kiedy to dzięki samolotom, pod pretekstem byle kolokwium czy reportażu spędzać będziemy przedłużone weekendy w Isfahanie czy Hongkongu, w Meksyku czy na Tahiti. Ale niepodzielne rządy samochodu otwierały przed nami na oścież bramy wolności. Elektryczność, telefon, anestezja, samolot, telewizja, penicylina, informatyka to wspaniałe odkrycia. Gdyby jednak trzeba było za wszelką cenę wskazać dwie największe rewolucje, które wstrząsnęły naszym stuleciem i zaszczepiły tak gwałtownie w nas wirusa wolności, nie zastanawiałbym się długo – najpierw był to samochód, a następnie pigułka antykoncepcyjna. To one, znacznie bardziej niż obie wojny, niż kryzys gospodarczy, niż wzrost bezrobocia i inflacji, niż postęp w medycynie czy biologii; w o wiele większym stopniu niż surrealizm czy unanizm, tak cudownie wyrażające wielkie ruchy naszych czasów, lecz ograniczone do bardzo wąskiej elity; bardziej niż faszyzm, a być może nawet marksizm, nadają naszej epoce jej niezrównany smak.

W ciągu tych pięciu czy sześciu lat poprzedzających drugą wojnę, w okresie między narodzinami nazizmu a paktem Ribbentrop–Mołotow, między szóstym lutego a wystąpieniem Petaina, między Frontem Ludowym a korytarzem gdańskim, o którym dziś już nikt nie pamięta, choć zapoczątkował on największą masakrę w dziejach ludzkości – przemierzaliśmy Europę w długich czerwonych lub czarnych, lub białych, a niekiedy nawet brązowych samochodach z listwami w ciemniejszym odcieniu, które do dziś pamiętam, uchodzących

w owym czasie za szczyt elegancji. Jeździliśmy nimi do Florencji, do Sewilli, do Salzburga, do kantonu Grisons czy do Szwarcwaldu u podnóża Alp Berneńskich. Ówczesne drogi były znacznie węższe od dzisiejszych i podróż do Austrii czy przeprawa przez Alpy zajmowały kilka dni. Za to nie było na nich prawie nikogo. Wiejskie drogi były puste. Obszar miast nagle się kończył, ustępując miejsca polom, lasom i łąkom. Nieraz zdarzało się, że padaliśmy ze zmęczenia, że zablądziliśmy, że przez długie godziny tkwiliśmy unieruchomieni awarią silnika, nie widząc nigdzie żywej duszy. Z wyżyn naszych śmiesznych maszyn byliśmy jeszcze w stanie wyobrazić sobie, czym były odbywane przed stu laty znacznie wolniejszymi dormezami i dyliżansami podróże Goethego czy Byrona, Chateaubrianda i Stendhala.

Pamiętam zwłaszcza pewien pobyt w Rzymie w towarzystwie Agustína i Javiera Romerów. Przypuszczam, że musiało to być gdzieś około 1937 roku. Możliwe, że był jeszcze rok 1936. A może już – mój Boże, jak ten czas szybko leci – początek 1938. Carlos siedział chyba jeszcze gdzieś w Hiszpanii. Od czasu do czasu dostawałem parę słów od Luisa Miguela, przebywającego nadal na wygnaniu w Argentynie. Agustín znajdował się w owym czasie u szczytu sławy. Nazwisko Agustína Romery, dziś już kompletnie zapomniane, było wtedy równie sławne, jak nazwiska Malcolma Campbella, kierowcy „błękitnego ptaka”, czy lotnika Detroyata. Tysiące widzów podejmowało je chórem, kiedy przed trybunami skąpanymi w słońcu lub tonącymi w deszczu wóz Agustína mknął z prędkością stu pięćdziesięciu czy stu osiemdziesięciu, a może już nawet dwustu kilometrów na godzinę. We wszystkich trattoriach Rzymu, w sklepach i na ulicach Agustín Romero miał swych fanatycznych wielbicieli, którzy go rozpoznawali. Javier i ja czuliśmy się trochę tak, jakbyśmy towarzyszyli jakiemuś renesansowemu księciu lub dobroczyńcy cierpiącej ludzkości, która w szybkości i ryzyku szuka zapomnienia o swoich kłopotach i bolączkach.

W Rzymie zwiedziliśmy Forum, które Mussolini wskrzesił i dosłownie dobył spod ziemi, wybraliśmy się do Watykanu i do San Giovanni in Laterano, odkryliśmy kościoły Santa Sabina i San Giovanni a Porta Latina z jego małą ośmiokątną świątynią ufundowaną przez burgundzkiego kardynała, w którym zachwyliła nas francuska

inskrypcja. A potem Agustín zaciągnął nas na poszukiwanie przyjaciół Sant' Archangela.

Sam Sant' Archangelo przeszedł już na emeryturę, czy coś w rodzaju emerytury, i pędził spokojne dni pod Gaete, gdzie miał wielki dom i skąd zdalnie kierował interesami. Odwiedziliśmy go całą trójką. Przybyło mu lat, lekko powłóczył nogami, głos zaczynał mu się trochę załamywać, lecz powitał nas ze swą zwykłą serdecznością.

– Jak sobie radzisz w czasach odradzającego się z popiołów Cesarstwa Rzymskiego? – zagaił Agustín po wymianie wstępnych uprzejmości.

– Ach, z interesami jest niełatwo... Ale zawsze tak było i zawsze będzie. Najważniejsze to zachować wierność, kultywować cnotę i bronić dziedzictwa i instytucji.

– Czy państwo nie daje się trochę we znaki?

– Człowiek jakoś sobie radzi... jakoś sobie radzi... Państwo to instytucja. Ale my także jesteśmy instytucją.

– A istnieją między tymi instytucjami jakieś pomosty, jakieś więzy?...

– Oczywiście! Oczywiście! Mamy wielu przyjaciół wśród faszystów, a i faszyci mają ich wielu pośród nas. Ale nie lokujemy wszystkich interesów w jednym worku. Patrzymy bardziej perspektywicznie...

– Bardziej perspektywicznie?...

– Powiem ci, drogi przyjacielu, że zajmuję się głównie Ameryką. Stajemy się tam coraz potężniejsi. Gdyby potrzebne ci było kiedykolwiek jakieś współdziałanie czy pomoc po drugiej stronie Atlantyku, wystarczy ci zwrócić się do mnie. Nie spłaciłem ci jeszcze do końca mojego długu wdzięczności: nigdy nie zapomnę o tym portfelu ukradzionym w Reggio di Calabria.

Nie wiedzieć czemu, słuchając Sant' Archangela, myślałem o Pandorze, która mimo swej władzy nad mężczyznami, czy może właśnie z jej powodu, tak bardzo potrzebowała pomocy.

Następnego dnia po naszym wypadzie do Gaete i odwiedzinach u nieznanego wielkiego człowieka Agustín zabrał nas na wytworne przyjęcie w wąskim gronie odbywające się w Pałacu Weneckim. Wśród

gości znajdował się król Wiktor Emanuel oraz Duce. Przy swoim ministrze, masywnym i zadowolonym, nowy cesarz sprawiał wrażenie bardzo niskiego. Ci dwaj mężczyźni, otoczeni setką faszystowskich dygnitarzy, wśród których znajdowało się również kilka kobiet, mieli w sobie coś teatralnego i trochę komicznego.

– Popatrz na nich – szepnął Javier. – Człowiek nieraz się zastanawia, jak też mógł wyglądać dwór Napoleona. Będziesz mógł powiedzieć, że znalazłeś się w samym środku jednej z fortec współczesnego świata.

– Prawdziwej fortecy czy takiej filmowej, tekturowej?

– Trudno powiedzieć. Trzeba poczekać i zobaczyć, jak to się skończy.

– Czyżby to przypadek obdarzył taką władzą to niepokazne książątko i tego odpustowego zapaśnika?

– W przypadku króla to kwestia dziedziczności, będącej nobliwą formą hazardu. Jeśli idzie o tego drugiego, odpowiedź jest trudniejsza. Nie bardzo wierzę w przypadkowość sukcesów wielkich ludzi. Każdemu nadarza się w życiu okazja zaznania potęgi, przygody, sukcesu. Są tacy, którzy potrafią to wykorzystać i tyle. Mussoliniemu ewidentnie dopisało szczęście. Widać również, że nie jest człowiekiem, który pozwoliłby mu się wymknąć.

Duce przechodził od grupy do grupy, pozdrawiany w stylu łączącym rzymską pompę z włoską komedią przez marszałków Grazianiego i Badoglio, przez świeżo powołanego do Wielkiej Faszystowskiej Rady Farinacciego, przez sędziwego De Bono z białą brodą, tak bujną, że sprawiała wrażenie doklejonej, przez księcia Volpi o przystojnej twarzy współczesnego kondotiera, który wymienił konia i zbroję na finanse i koleje żelazne. Niezwykle uroczy i w pełni świadomy swego uroku hrabia Ciano z satysfakcją napawał się swoją w pewnym stopniu uprzywilejowaną pozycją. Rozmawiał z teściem tonem swobodnym i wesołym, przynależnym jego randze, a przy tym ją podkreślającym. Przez moment zastanawiałem się, czy ta jego spokojna pewność siebie nie jest przypadkiem udawana i czy nie kryje się pod nią niepokój, a nawet tajony lęk. Byłem zadziwiony, widząc z tak bliska ludzi o nazwiskach znanych mi z gazet, którzy zdawali się zstępować



z Olimpu, na którym w jakiś dziwny sposób koegzystowały ze sobą tragedia historii i opera komiczna.

Duce przystanął na chwilę, by uścisnąć dłoń Agustína.

– Podziwiam pana ogromnie, signor Romero – powiedział do niego po włosku – jest pan najniebezpieczniejszym rywalem dla naszych kierowców z Półwyspu.

– To ja pana podziwiam. Jest pan największym człowiekiem naszych czasów.

– Ba! Mniejsza teraz konkurencja niż za Cezara czy Sykstusa Kwintusa...

Hrabia Ciano głośno się roześmiał.

Agustín przedstawił nas szybko Mussoliniemu i Ciano. Duce wciąż w towarzystwie zięcia zaciągnął nas trzech na sławny balkon nad placem Weneckim, skąd zwykł przemawiać do ludu rzymskiego. Widok na plac, kolumnę Trajana i przypory Forum miał w sobie cudowną łagodność i wielkość. Kilku przechodniów przystanęło, zbiło się w gromadkę przed pałacem, uniosło głowy, a ujrawszy maskę Mussoliniego, z łącińskim entuzjazmem zaczęło wiwatować na cześć Duce.

– Będziecie mogli opowiedzieć swoim rodakom w Paryżu i Londynie – oświadczył Duce, zwracając się do mnie i do Javiera z lekką ironią zabarwioną podniosłością. – Będziecie mogli im powiedzieć, że nie potrzebuję policji, by mnie oklaskiwano. Wy tłumaczcie im, że faszyzm, w większym stopniu niż potężny, jest przede wszystkim ludowy. Prawdziwa demokracja to my. Jak wam się wydaje, w jaki sposób Hitler i ja doszliśmy do władzy? Siłą i pieniędzem? Dobrze wiecie, że nie. Z racji urodzenia? Tym bardziej nie. Wbrew narodowi? Oczywiście, że nie. Dzięki narodowi. Z narodem.

Mussolini odszedł, by zamienić kilka słów z ambasadorem Wielkiej Brytanii, któremu zawdzięczaliśmy naszą obecność w Pałacu Weneckim. Rozmowa z nim wprawiła nas w konsternację. W tym operetkowym Cezarze wyczuwało się siłę; zadałem sobie pytanie, czy prestiż i fascynacja, jakie wzbudzał, nie stanowią pochodnej blasku władzy.

Wieczorem, już bez króla i Duce, wyświetlano film propagandowy o wojnie w Etiopii, po którym zaserwowano to, co można by nazwać po

wojskowemu polowym bufetem. Za sprawą ironii historii był to niemal ten sam film, z tym że odwrócony niczym rękawiczka, który kilka lat temu oglądałem w Paryżu w towarzystwie Gide'a, młodego Malraux i antyfaszystowskich intelektualistów. Na filmie w Salle Pleyel Mussolini był odrażający, a negus patetyczny. W filmie w Rzymie negus był żalony, a Duce zwycięski.

I był jeszcze Ciano, który w tym swoim nieskazitelnym mundurze wyglądał jak żywcem wyjęty z jakiejś nieco przeszarżowanej superprodukcji Metro Goldwyn Mayer. W kącie, otoczona ludźmi, a przecież samotna, siedziała młoda niebrzydka kobieta. Była to Clara Petacci, kochanka Duce. I nie trzeba było wcale wybiegać myślą naprzód, by poczuć zawrót głowy w obliczu tylu namiętności i przeznaczeń. Najzupełniej wystarczyły przeszłość i terażniejszość. Kiedy jednak, pisząc te słowa na tarasie w San Miniato w słońcu przezierającym przez zwały chmur, powracam wspomnieniami do tej faszystowskiej gali w przedwojennym Rzymie i w dodatku kiedy pomyślę o tym, co niczym nawałnica zmieść miało tych mężczyzn i te kobiety – czarujący hrabia Ciano stracony przez własnego teścia, Clara i Benito powieszani na rzeźnickim haku, Farinacci i De Bono rozstrzelani... – ogarnia mnie bez mała groza: rodzaj świętej grozy w obliczu upływu czasu i wichru historii.

Zebrani zasiedli przed ciemnym jeszcze ekranem. Wydawało się, że czekają z pogaszeniem świateł w sali i rozpoczęciem projekcji na kogoś, kto się spóźnia. Nagle ze zdumieniem ujrzałem, że Ciano wstaje, by powitać jakiegoś uśmiechniętego przybysza w czarnym mundurze SS. Momentalnie rozległ się szmer: „Hess! To Rudolf Hess!”. Nie znałem Rudolfa Hessa. Ale momentalnie zorientowałem się, i to chyba jeszcze przed innymi, że to on, kompan i ulubieniec Adolfa Hitlera. Zjawił się w towarzystwie młodej kobiety, którą rozpoznałem, nim ją jeszcze zobaczyłem: Vanessa O'Shaughnessy.

Skinęła nam głową z tą niefrasobliwą uprzejmością, jaka często towarzyszy klęskom i upadkom. Odpowiedziałem uniesieniem dłoni z zafrasowaną, prawie wymuszoną miną, jaką widuje się czasami u gamoniowatych postaci w amerykańskich filmach. Roześmiała się, jakby kpiąc sobie ze mnie, a może z siebie samej. Agustín zdążył już

wstać i bez cienia skrępowania ruszył w jej stronę. Zastygły na krześle ujrzałem, że całuje Vanessę, która z uśmiechem rzuciła do niego kilka słów. Po czym odwróciła się do Hessa i wskazując ręką w jedną, potem w drugą stronę, przedstawiła Agustína porucznikowi Führera. Uścisnęli sobie dłonie. Przed moimi oczami przemknął cień wspartego na lasce Winstona Churchilla.

Zapadła ciemność; na ekranie pojawił się Mussolini przemawiający do nieprzebranego tłumu. W trakcie projekcji przez cały czas myślałem o Vanessie. Widziałem ją wskroś murów Adui, oddziałów na stepach Ogadenu, wzgórz Erytrei. Był to tylko na nowo rozbudzony koszmar. Ale rzeczywistość, jak to często bywa, okazała się jeszcze gorsza: otaczające ją czarne koszule nie należały do faszystów, tylko do esesmanów.

Kolejne obrazy ukazywały żaloszny upadek negusa, szukającego schronienia w Lidze Narodów, triumf króla pasowanego na cesarza i nieustannie eskortowanego, podporządkowanego i trzymanego na smyczy przez swojego ministra i pana. Po oklaskach i kilku okrzykach: „Duce! Duce!”, kiedy na ekranie pojawiły się wypisane wielkimi literami trzy imperatywy faszystowskiej propagandy: *Credere, Obbedire, Combatiere*, wszyscy podnieśli się z miejsc z głośnym szmerem pogniecionych jedwabnych sukien i męskiego uniesienia.

– *Piccola la mia casa* – mruknął Javier pod wrażeniem splendoru wnętrza oraz gości – *numerosa la mia parole, ma ricca la mia fede in te, Duce!*

Na co odpowiedziałem półgłosem tym samym tonem:

– *Dove è nato il Duce? Il Duce è nato a Forli da Romagna. Ma non importa. Perché non importa? Perché è Italiano!*

Roześmialiśmy się. Agustín ledwie oddychał, otoczony tłumem wielbicielek. W pobliżu okna Rudolf Hess rozmawiał z Farinaccim. Vanessa, wspaniała, bardziej niż kiedykolwiek podobna do szalonej klaczy, podeszła i usiadła obok mnie.

– Wyglądasz przepięknie – powiedziałem. – Cała O’Shaughnessy, cała McNeill, cała Wrońska... Wszystko, co najlepsze. Szczęściara z ciebie!

– Cudownie się czuję – oznajmiła.

– To świetnie – odrzekłem. – Bo ze światem kiepsko. Ty czujesz się cudownie. Brawo! Szampana? Whisky? Może *una grappa*?

– Nie, nie, dziękuję. Ale gdybyś znalazł dla mnie jakieś piwo...

– Ejże!... Czy to nie pewna afektacja, żeby w takiej bliskości Forum i Trinità dei Monti, prosić o piwo?

Wzruszyła ramionami.

– Konam z pragnienia i lubię piwo.

Przerwała, po czym dodała.

– On też je lubi.

– Kto? On?

I dyskretnym ruchem głowy wskazałem na esesmana, stojącego za nami.

– Tak... Kocham go od tak dawna... Pamiętasz Rodos?...

Momentalnie powróciło do mnie wspomnienie „Fairy Queen”, portu w Rodos, tawerny Alexisa oraz Vanessy – wtedy jeszcze prawie podlotka przy małej Jessice. Na nowo zaczął mnie ogarniać zawrót głowy. Czyż nic i nigdy nie zatrzyma tej piekielnej maszyny produkującej plany, które zamieniają się we wspomnienia, i którą nazywamy światem? Znów ujrzałem tę scenę, jak przy długim drewnianym stole w tawernie słucham Vanessy opowiadającej o Tipnitzach, o rzezi SA i o pewnym młodym zdeklarowanym hitlerowcu o nic nam niemówiącym nazwisku Hess, zaprzyjaźnionym z Adolfem Hitlerem. I Briana, i Hélène na dwóch krańcach stołu słuchających córki jednym uchem. Dziś Adolf Hitler ostatecznie podporządkował sobie Niemcy. Sprzymierzył się z Mussolinim i z krainą samurajów oraz rewolucji przemysłowej, Japonią. Teraz szykował się do ataku na Europę. Zagroził Francji Daladiera i Anglii Chamberlaina. Prowadził rozmowy jak równy z równym ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim Stalina. Rudolf Hess – obok innych przywódców bandy, którym powierzono policję i propagandę, oraz marszałka lotnictwa, zda się żywcem wziętego z Szekspira, spadkobiercy Falstaffa, posiadacza kolekcji płócien starych mistrzów oraz odznaczeń – był drugą osobą w państwie. A mała jasnooka i jasnowłosa Vanessa, druga w kolejności siostra Pandory, wnuczka Nicolasa i prawnuczka mojej drogiej hrabiny Wrońskiej, była jego kochanką.

Wszystko wokół mnie zaczynało wirować. Każda chwila naszego życia to puszka Pandory, z której wydostać się może cokolwiek. Przypomniałem sobie najstarszą z siostr na wzgórzach Beverly Hills, w ramionach pijanego talentem i goryczą Scotta Fitzgeralda, wyobraziłem sobie najmłodszą w Hiszpanii gdzieś pod Barceloną czy Teruel u boku Carlosa Romery, którego dwaj bracia ledwie parę metrów ode mnie, w cieniu Cezarów, Sekstusów Kwintusów, Caravaggia i Michała Anioła zadawali się z dygnitarzami faszystowskiego imperium i nazistowskimi przyjaciółmi Adolfa Hitlera.

Już później, w innych Włoszech, o których nic przecież nie mogłem wtedy jeszcze wiedzieć, ten wieczór na placu Weneckim we wspomnieniu stanie się początkiem nieopisanych wstrząsów – których niewidzialne elementy składowe już się zgromadziły – oraz okazją do rozpamiętywania. Będę wspominał Vanessę i towarzyszących jej Rudolfa Hessa, Agustína, Javiera i mnie samego. Będę ją widział, jasnowłosą, nieco bladą, w ciemnozielonej, śmiało wydekoltowanej sukni, rozmawiającą ze mną o swej miłości. Przypomnę sobie siebie powracającego myślą do Rodos, do kolacji nas jedenaściora przy długim drewnianym stole w tawernie Alexisa i do pierwszych wybąkanych przez Vanessę wyznań. Przypomnę sobie siebie i swoje fantazje na temat miejsca, które przypadnie mi w tej wówczas jeszcze mitycznej przyszłości, w której teraz, siedząc przy moim biurku na tokańskim tarasie, wspominam ten wieczór w faszystowskim pałacu na placu Weneckim i zadurzoną w Rudolfie Hessie Vanessę.

W głowie miałem zamęt. O związku Vanessy z nazistowskim przywódcą wiedziałem już od dawna. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ich razem. Czy spotkała samego Hitlera, czy znała Goeringa, Goebbelsa, Himmlera? Znów pojawiła się przede mną masywna postać wujaszka Winstona z laską w dłoni i cygarem w ustach, a wypowiedziane przez niego w parku w Glangowness słowa: „Liczę na pana, *my boy*, że zminimalizuje pan szkody...” – powracały do mnie w pałacu na placu Weneckim uporczywym echem.

Tymczasem Vanessa opowiadała mi o swoim życiu z Hessem, napotykałym wszelkie możliwe przeszkody, jakie tylko historia na początku lat trzydziestych mogła piętrzyć między młodą, wysoko

urodzoną Angielką a hitlerowskim dygnitarzem. Po „nocy długich noży” i wyeliminowaniu SA kilka razy, i zawsze w towarzystwie Heinricha von Tipnitz, spotykała się z nim w Monachium i Berlinie. Za cenę przystąpienia do SS – lub też zdrady SA – Heinrich wyrósł na ważną postać w szeregach esesmanów i w najbliższym otoczeniu Rudolfa Hessa. Ani Rudolf, ani Vanessa nie zapomnieli swojego pierwszego spotkania i pierwszych pocałunków nad Tegernsee. Przywódca SS opowiadał Heinrichowi o Vanessie, młoda Angielka opowiadała mu o Rudolfie. Tipnitz, zachwycony ich zbliżeniem, jak mniemał, politycznym i ideologicznym, korzystał z każdej okazji, by doprowadzić do ich spotkania. Kiedy zorientował się w ich uczuciach, poczuł ukłucie zazdrości. Miał pretensję do Hessa, miał pretensję zwłaszcza do Vanessy: skoro mogła zakochać się w niemieckim hitlerowcu, dlaczego u diabła jego nie wybrała? Z wielką szczerością i zręcznością Vanessa rozwiązała ten problem podczas jednej z wycieczek nad bawarskie jeziora w towarzystwie członków Hitlerjugend. Młodzi mężczyźni mieli na sobie mundury lub skórzane spodnie – sławne *Lederhosen* – dziewczęta nosiły warkocze, chustki i białe bluzki. Pogoda była piękna. Wspinali się aż po granicę wiecznych śniegów, kąpali się w lodowatej wodzie strumieni i jezior, zbierali szarotki, jodłowali na szczytach gór lub na soczyście zielonych łąkach usianych drewnianymi domkami, a wieczorami przy ognisku śpiewali chórem pieśni miłosne i wojenne. Vanessa uświadomiła Heinrichowi, że przecież nigdy jej nie kochał i teraz też nie kocha, że zaangażowanie Rudolfa nie powinno go dotknąć i że taki układ między nimi już zostanie. Hess zaś dopełnił dzieła, mianując Heinricha von Tipnitz Obersturmführerem w Lipsku. Zważywszy na jego wiek, było to dość wysokie stanowisko. Vanessa została kochanką Rudolfa w pewien jesienny wieczór w Berlinie po capstrzyku z pochodniami, który, przynajmniej dla nich, miał swój ciąg dalszy w jednym z tych kabaretów, gdzie na stolikach stał nie tylko szampan, lecz także wewnętrzne telefony, i gdzie profesor Unrat z powieści Tomasza Manna ujrzał kiedyś nagle na swoje szczęście i pohańbienie zabójczą sylwetkę, długie nogi i szapoklak bohaterki *Błękitnego anioła*.

Pandora miała rację. Vanessa znalazła nareszcie cel w życiu: była

zakochana. O ile mi wiadomo, Rudolf Hess też. Wiecie już, że pisywali do siebie listy, którym zdarzało się wpaść w ręce Jessiki. Vanessa, kiedy tylko mogła, jeździła do Niemiec. Spędzała z zastępcą Hitlera trzy czy pięć dni, niekiedy tydzień lub dwa. A potem wracała do Anglii, starając się jak najlepiej przysłużyć ideologii kochanka. Tajne służby brytyjskie – sławna Intelligence Service, czy tak drogie autorom powieści szpiegowskich M5 – były dobrze poinformowane o miłości Vanessy i jej poczynaniach. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek, w najmniejszym nawet stopniu odgrywała rolę agenta wywiadu. Ale została bohaterką politycznego serialu czy fotograficznego reportażu w ówczesnym stylu, w którym nie zabrakło namiętnych uścisków, potrójnego naszyjnika z pereł, długiej cygarniczki i czarnych rękawiczek po łokcie; nawróciwszy się na narodowy socjalizm, uprawiała jego propagandę w wąskich, wręcz zamkniętych kręgach Royal Performance oraz balów dworskich.

Była jednak sprawa, która nie dawała Vanessie spokoju: jej stosunki z rodzicami. Brian i Hélène uwielbiali ją i ona ich uwielbiała. Niezwykle przykra była dla niej myśl, że mogłaby ich zranić czy bodaj zasmucić. Kilkakrotnie rozważała nawet, czy tylko w celu sprawienia im przyjemności nie poślubić jakiegoś bankiera lub baroneta. Ale zawsze w ostatniej chwili rezygnowała, czując, że nie zdobędzie się na taką ofiarę. I za każdym razem Brian i Hélène, którzy nie byli ślepi i widzieli wysiłki podejmowane przez córkę, by spełnić ich oczekiwania, oddychali z ulgą, gdy całe przedsięwzięcie – skądinąd będące spełnieniem ich marzeń – kończyło się fiaskiem. W wielkiej sali Pałacu Weneckiego, pod płótnami batalistycznymi i kasetonowym sufitem, z którego zerkali na nas bogowie i boginie, widziałem, jak Vanessa zмага się ze swoimi problemami.

– Jakie to smutne wciąż się tak ukrywać – mówiła. – Nie przepadam za światowym życiem. Ale bywają dni, kiedy oddałabym wszystko, byle z Rudim (nazywała go Rudi) gdzieś wyjść, móc się z nim pokazać. Najgorsze jest to, że oprócz Heinricha nie mamy żadnych wspólnych przyjaciół.

– Kiedy jednak pod koniec różnych bankietów i zebrań rozentuzjasmowany tłum gotuje mu owację, to chyba przyjaciół wam nie

brakuje.

– Żaden z nich mnie nie zna. Ach, co to byłaby za radość, gdybyś mógł pojechać ze mną kiedyś do Niemiec! Jestem pewna, że Rudi byłby zachwycony, mogąc cię ugościć. Nie powinno się wierzyć we wszystko, co Żydzi i komuniści wygadują o Niemcach: Niemcy bardzo lubią Anglików i uwielbiają Francuzów.

W Pałacu Weneckim znów pojawił się duch sir Winstona.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym pojechać z tobą do Niemiec? Byłoby to dla mnie ogromnie ciekawe...

– Czy mógłbyś pojechać do Niemiec? Ależ oczywiście! Co wy wszyscy macie za pomysły! Chodź, przedstawię cię Rudiemu. Osobiście cię zaprosi i będziemy razem urządzać wycieczki wzdłuż Renu i do Szwarwaldu. Och! Jean! Tak się cieszę! Będzie cudownie...

I pociągnęła mnie za sobą, powtarzając jeszcze kilkakrotnie „Rudi” swoim pięknym śpiewnym głosem. Drugi człowiek po Hitlerze z kurtuazją się ze mną przywitał. Wymieniliśmy kilka nic niekosztujących uwag o pięknie Włoch i uroku Angielek. Napiliśmy się valpolicelli. I faktycznie, zgodnie z przewidywaniami zaprosił mnie do Niemiec. Vanessa zaklaskała w dłonie. Ani sir Winstonowi Churchillowi, ani złemu duchowi Hitlera, ani żadnej z sióstr O’Shaughnessy nie sposób było odmówić. Przyjąłem zaproszenie.

Na fotografiach prasowych z marca 1938 roku widać młodą jasnowłosą kobietę i dość niepozornego mężczyznę na tylnym siedzeniu odkrytego samochodu, jednego z ostatnich wchodzących w skład oficjalnej kolumny samochodów nazistowskich wjeżdżającej właśnie do Wiednia: to Vanessa i ja. Z wszelkich podejrzeń o współpracę z hitlerowcami z góry oczyszcza mnie niepublikowany dotąd odręczny list od sir Winstona, na którego kopercie adresowanej do Plessis-lez-Vaudreuil widnieje ukośny dopisek: *personal and confidential*. Dziękuję mi w nim za opiekę nad Vanessą, jednocześnie polecając, bym spróbował wykorzystać rozterki miłości w służbie wolności. „Możliwe, że dzięki temu pan również, drogi chłopcze, zapewni sobie małą prywatną niszę w wielkiej dziejowej galerii namiętności i marzeń naszych czasów”.



## Noc w Barcelonie

Życie może koncentrować się wokół zawodu, wokół miłości, wokół sekretnego, bądź wyjawionego marzenia. Punktem centralnym opowieści o historii świata można uczynić Chrystusa albo Mahometa, albo Buddę, albo Karola Marksa, lub po prostu człowieka – o ile jest postacią realną – i jego losy. Zawsze będzie to ten sam świat, ta sama historia, ale ich ujęcie i sens będą tak różne, że może powstać pytanie, czy mowa o tej samej planecie. Każdy może wybrać ośrodek swojej historii i swojego życia. Ja chyba raz na zawsze wybrałem Pandorę i jej siostry.

W towarzystwie swojego syna Francisa, bardziej niż kiedykolwiek powabna i nieprzewidywalna, przedstawiająca sobą – w wydaniu młodszym i przynajmniej zewnątrznie – niemal taki sam obraz, jak przed trzydziestu laty Marie Wrońska z małą Hélène, Pandora stała się jedną z tych samotnych i wolnych kobiet, których spotyka się tak wiele w dzisiejszym świecie. Uroda komplikowała jej życie. Majątek je upraszczał. Zadomowiona na wielu kontynentach, nigdzie dłużej nie zagrzewała miejsca. Widywano ją w Paryżu na Balu Białych Łóżeczek, w Nowym Jorku przy ringu Madison Square Garden w te wieczory, kiedy upadał któryś z idoli lub kiedy rodził się nowy, w hotelu Palace w Saint-Moritz w lutym lub jeśli akurat nie w Saint-Moritz, to podczas karnawału w Rio, w Treetops lub w Amboselli w Kenii w okolicach Bożego Narodzenia, w hotelu Raffles w Singapurze lub w bajecznych pałacach władców Majsuru, Dżajpuru lub Udajpuru, z którymi się przyjaźniła. Od czasu do czasu dotrzymywałem jej towarzystwa. Dzwoniła do mnie gdzieś z drugiego końca świata, budząc zdumienie i irytację mojego biednego dziadka, który nie bardzo lubił nawet dostawać telegramy czy rozmawiać przez telefon, kiedy dzwoniło do niego z głównego miasta okręgu. Mówiła: „Przyjeżdżam”. Pytałem, prawie krzycząc, bo trzaski w stojącym na drewnianym postumencie aparacie z korbką zniekształcały głos, i ledwie ją słyszałem: „Gdzie jesteś?”. Odpowiadała ze śmiechem: „W Las Vegas” lub „W Sewilli”,

lub „W Punta del Este”, a czasami „W Glangowness”. Często mówiła: „Przyjeżdżaj”. Więc ruszałem w drogę. W świecie, w którym wielką rolę zaczynał odgrywać sport, wspólnie żeglowaliśmy lub jeździliśmy na nartach. Łodzie się nie zmieniły. Narty były bardzo długimi drewnianymi deskami, które przymocowywało się po prostu skórzanymi rzemieniami do sznurowanych trzewików. Urządzaliśmy wyprawy – zgodnie z przyrzeczeniem, pamiętacie? – nad jeziora włoskie, na Sycylię, jeszcze wtedy dziewiczą, na wyspy greckie. Objechaliśmy całą Florydę i Kolorado. Odwiedziliśmy znowu Kalifornię – lecz tym razem już bez Fitzgeralda. Myślę, że Pandora musiała mocno wyteńczyć pamięć, by przypomnieć sobie, że miała kiedyś kochanka, dziecko i w ogóle męża. Gordon z powrotem zapadł w swój złoty niebyt, z którego na kilka miesięcy wydobył go kaprys, a być może niepojęta i przelotna namiętność Pandory. Zwiedzaliśmy pałace, muzea i katedry całej Europy, którą poznaliśmy lepiej niż mój dziadek swoją rodzimą Górną Sarthe. Od czasu do czasu Pandora tajemniczo znikła.

Wodziła za sobą tabuny mężczyzn. Czyżby aż tak ich kochała? Tego nie wiem. Pewne jest natomiast, że oni za nią szaleli. Wspominałem już o tej wybuchowej mieszance dystansu i impulsywności, która czyniła ją tak niebezpieczną. Dodać do tego trzeba jeszcze jej dowcip, jej niemal niezmiennie dobry humor, ale przede wszystkim odziedziczoną po obojgu rodzicach bezpretensjonalność: podobnie jak Brian niemal wszędzie czuła się jednakowo swobodnie i tak jak Hélène sprawiała zawsze wrażenie nieświadomej posiadanych przywilejów. Wieczorami widywano ją w oszałamiających kreacjach, o których rozpisywała się cała prasa. Następnego dnia w jakichś przedziwnych dzielnicach, gdzie przypadkowo spotykali ją zdumieni znajomi, miała na sobie stary prochowiec, beret i pantofle na płaskich obcasach. I w prochowcu wcale nie wyglądała mniej atrakcyjnie. Zdawała się roztaczać wokół siebie aurę egzotyki i tajemnicy. Zakon Królewskiego Sekretu nie był przypadkowym wytworem jej dziecięcych i młodzieńczych fantazji. Emanująca z niej tajemniczość pociągała ją też u innych; wszystkiego była ciekawa, wszystko chciała wiedzieć. Przypuszczam, że to właśnie było powodem jej nieustannej potrzeby dowiadywania się czegoś

nowego o mężczyznach. Może jej pierwsza miłość i towarzyszące jej okoliczności, jeśli nie dramatyczne, to z pewnością romantyczne, pozostawiły w niej ślad trwalszy, niż skłonna była przyznać? Pragnę wierzyć, że Simon dawno już zniknął z jej życia. Niemniej po przygodzie w Wenecji i na Capri została w niej potrzeba upewniania się, że mężczyźni są do niej przywiązani, że zależy im na jej obecności, że zajmuje najważniejsze miejsce w ich marzeniach o przyszłości i w ich planach. Często miałem wrażenie, że własne życie niezbyt ją interesuje, że liczy na to, iż inni wniosą w nie coś nowego, że nadadzą mu sens.

Nad podziw skutecznie udało jej się stać dla tłumów mężczyzn na całym świecie swoistym przedmiotem pożądania. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy to aby nie naturalny porządek rzeczy, że wszyscy mężczyźni na tym ziemskim padole bywali, byli, są zakochani w Pandorze. Sądząc z dostępnych mi przykładów, była na najlepszej drodze do tego. Na sześciu mężczyzn z klanu Romerów i jego przybudówek – czyli wuja Simona Finkelsteina oraz autora tych stron – jej urokowi, z różnym szczęściem, uległo co najmniej czterech. Podróżując po świecie, wiele razy spotykałem mężczyzn, którzy, nieświadomi moich związków z O'Shaughnessymi, wyrażali się o niej z entuzjazmem bliskim egzaltacji: sprawiali wrażenie gotowych dla Pandory rzucić wszystko, co stanowiło o ich życiu, karierze czy majątku. Dzieła wyobraźni dopełniała prasa, fotografowie i kino. Niemal na każdym kroku widywało się jej sylwetkę, jej jasne włosy, jej dołek w policzku. Pandorę w ramionach Gary'ego Coopera lub Gregory'ego Pecka w magazynach amerykańskich, Pandorę pod koronami drzew Glangowness w brytyjskich magazynach poświęconych urodzie lub dekoracji wnętrz, Pandorę u boku Carpentiera lub Maurice'a Chevaliera we francuskich kronikach filmowych, między *Ludźmi za mgłą* czy *Hôtel du Nord* a reklamą Jeana Mineura. Niemal naturalną kolejną rzeczą musiało się to zakończyć zdjęciami próbnymi w Hollywood. Jak wiele innych rzeczy w pełnym paradoksów życiu Pandory okazały się kompletną klapą.

– Tak naprawdę – powiedziała Pandora – nie jest mi pisany sukces.

– Zabawne jest to, co mówisz – zaoponowałem zapalczywie. –

Zabawne, a nawet głupie. Przecież ty sama jesteś chodzącym sukcesem.

– Masz rację. Jest jeszcze gorzej. Mnie nie jest pisane szczęście.

Milczałem. Co miałem powiedzieć? Może faktycznie, za sprawą ostatecznego, mającego przywrócić pewien rodzaj równowagi paradoksu, najstarsza z sióstr O'Shaughnessy, posiadająca wszystko, o czym tylko można zamarzyć – urodę, wdzięk, majątek, swoistą inteligencję, cudowny charakter, żelazne zdrowie zdolne wytrzymać alkohol, zarwane noce, narkotyki oraz wszelkie inne ekscesy, całkowicie wolna od wszelkich patologii snobizmu, skąpstwa, chorobliwej ambicji czy bezrozumnej zazdrości – nie była stworzona do szczęścia?

– Tylko czego mi brakuje? – pytała tonem na wpół płaczącym, na wpół komicznym, jakby mnie pytała o jakiś zgubiony przedmiot czy szczegół ubioru.

– Może wielkiego uczucia?

– No, oczywiście... Skoro nikt mnie nie kocha...

– Ejże! – mówiłem. – Ejże! Dobrze wiesz, że jest dokładnie na odwrót. Twoim jedynym dramatem jest to, że ty sama nikogo nie kochasz.

Tym, którzy ją kochali, niełatwo było o niej zapomnieć. Rozmawiając o niej z Javierem, obaj stąpaliśmy na palcach. Luis Miguel po długim zesłaniu w Argentynie w końcu wrócił do Europy. Możliwe, że pogodzony z losem. Ale nie dam głowy, że wyleczony. Zapytał mnie o wieści od Pandory z obojętną miną, która nic dobrego nie wróżyła. Zawsze byłem przekonany, że nawet takiego starego wyjadacza jak Simon romans z Pandorą ruszył bardziej, niż się w naszym kręgu mówiło i niżby on sam przypuszczał. Doszło do tego, że zacząłem zadawać sobie pytanie, kto kogo właściwie uprowadził wtedy na naszych oczach w Wenecji. I czy nie przypadkiem tylko dlatego, że Pandora miała szesnaście lat, a Simon czterdzieści z okładem, jedno uchodziło za ofiarę, drugie za uwodziciela.

Często rozmawiałem o Pandorze z Atalantą. Atalanta z mężem i dwojgiem dzieci zamieszkała w Glangowness i może po prostu dlatego, że zawsze wiedziałem, gdzie ją znaleźć, zaprzyjaźniłem się z nią w końcu równie blisko co z jej siostrami. Spacerowaliśmy powolnym krokiem po tych samych alejach, po których wcześniej przechadzałem się z hrabiną Wrońską, z Winstonem Churchillem, z Pandorą, z Vanessą,

i nad brzegiem jeziora. Atalanta sprawiała wrażenie osoby doskonale zrównoważonej i pogodzonej z życiem. Aż nasuwało się pytanie, czy jednym ze składników tak pełnego harmonii szczęścia nie jest siłą rzeczy odrobina nudy. Rutyna i konformizm są być może tylko innymi imionami wierności.

– Ależ skąd – mówiła Atalanta, popychając przed sobą wózek i ciągnąc za rękę starsze dziecko – ależ skąd, nuda jest wyłącznie tam, gdzie panuje zamęt i ożywienie. Myślę, że moje siostry właśnie po to, by ją zwalczyć, gromadzą te tak zwane doświadczenia. Wydają się żyć chwilą. Przez cały czas musi się coś dziać, coś, o czym momentalnie się zapomina. Czy ty, który, jak sam mówiłeś, kochasz literaturę i leniuchowanie, dostrzegasz w tej zapamiętałej gonitwie, w tym wirze prawdziwe życie? Ja osobiście bardziej liczę się z czasem. Moje siostry usiłują spędzać go najszybciej jak się da, na romansach i przygodach. Ja staram się raczej sprawić, żeby trwał. W końcu te aleje, to jezioro, ten dom, to nazwisko, które nosiłam, i to, na które je zamieniłam – wszystko to wywodzi się z przeszłości, którą chciałabym przedłużyć i przenieść w przyszłość. To nie nuda krąży po tych ogrodach, lecz dążenie do szczęścia.

– Nigdy ze mną w ten sposób nie rozmawiałaś. Żadna z twoich sióstr tak ze mną nie rozmawiała. Niewykluczone, że masz rację. Ale czyżby osoby tak rozsądnej i zdyscyplinowanej nigdy nie nachodziły marzenia o tym, co nieoczekiwane?

– Zgadnij!

– Czy wiesz, że choć z pozoru tak rozważna, jesteś najbardziej zagadkową z sióstr O'Shaughnessy? Mam wrażenie, że cię właśnie odkrywam.

– Zajęło ci to sporo czasu – stwierdziła.

Pochyliła się nad wózkiem, w którym spało młodsze dziecko, i uklepując kocyki, poprawiając poduszkę, spojrzała na mnie z uśmiechem.

Po części właśnie dzięki Atalancie O'Shaughnessy, obecnie lady Lennon, koniec lat powojennych – które od początku lat trzydziestych z wolna zaczęły przechodzić w pierwsze lata przedwojenne – kojarzy mi się we wspomnieniach z łagodnością jesieni. Teraz już wszyscy

wiedzieliśmy, że korzystamy z chwili wytchnienia, odroczenia, nawiasu pośród grozy rzezi i zniszczenia. Na mapie tę klamrę w kalendarzu symbolizowała linia Maginota. Tak w czasie, jak w przestrzeni obwarowywaliśmy się przeciwko wielkiej inwazji, która pewnego dnia i tak w końcu miała nas osiągnąć. Pandora zdawała się niejasno przeczuwać, jak niewiele już czasu zostało nam na przyjemności i beztroskę. Odwrotnie niż Vanessa i Jessica, które starały się przyspieszyć historię, chcąc, by wreszcie doprowadziła je do jednego z tych odkrytych przez nie, a wrogich sobie państw-rajów, w których pokładały tak niewzruszoną wiarę. Ale dopiero za sprawą Atalanty ten tonący świat nabrał jedyne go w swoim rodzaju posmaku zagrożonej wieczności.

– Wiesz, co należałoby zrobić? – zapytała, popychając przed sobą jednego z praprawnuków hrabiny Wrońskiej i ciągnąc za rękę drugiego.

– Tyle jest rzeczy, których nie robimy! Należałoby żyć w zgodzie z ideałami, ratować wolność, tworzyć arcydzieła, zapewnić przyszłość cierpiącej ludzkości, ale przede wszystkim – być szczęśliwym.

– Dziwne jest to ludzkie zamiłowanie do nieokreśloności i abstrakcji... Tym, co należałoby zrobić, i to bezzwłocznie, jest zwołanie posiedzenia Zakonu Królewskiego Sekretu. Cztery siostry już od tak dawna nie zasiadły razem do podwieczorku! Zaczynam się zastanawiać, czy wszystkie te kłopoty, które składamy na karb różnych Hitlerów, Mussolinich, Stalinów, impasu w sztuce lub kryzysu wartości, niestabilności gospodarki i walki klas, nie biorą się z rozproszenia Ich Wysokości ze schowka. Ty powinieneś zająć się zebraniem ich na nowo. Nie wolno ci zalecać się do Pandory, pilnować Vanessy, śledzić na odległość Jessiki i spacerować ze mną po parku w Glangowness. Nie wstyd ci z powodu takich rozłamowych działań? Twoją powinnością na tym ziemskim padole jest zajmowanie się nami wszystkimi naraz. Najwyższy czas, byś sobie o tym przypomniał i zebrał nas wokół siebie, ty, który nie masz nic lepszego do roboty.

– Kiedy Jessica bawi się w komunistkę w Hiszpanii, Vanessa w nazistkę w Niemczech, Pandora wyczynia nie wiadomo co w Ameryce lub Azji. A ty masz męża, dwójkę dzieci, przyjęcia i bale dworskie, które zatrzymują cię w Anglii...

– Musisz sobie jakoś poradzić. Sądziłam, że masz posłuch w brytyjskim wywiadzie, w uchodzącej za tak groźną formacji SS, w szerokich kręgach mafii, wśród elit rewolucji proletariackiej i kosmopolitycznej inteligencji, a także u czterech tak rzadkich ptaszków jak bracia Romero. Jeżeli, mając cały ten świat do dyspozycji, nie uda ci się zaprosić czterech młodych dam, o których słyszy się wiele dobrego, a i fizycznie na pewno nieodrażających, na filiżankę czekolady lub herbaty i ciastka – zdradzę ci, jakie są moje ulubione – będzie to znaczyło, że upadliśmy jeszcze niżej, niż wciąż powtarza wujaszek Winston.

– Dziadek domaga się mojej obecności w Plessis-lez-Vaudreuil...

– Zapomnij choć na chwilę o tym swoim dziadku, dobrze? Czasami myślę, że stajesz się trochę uciążliwy i czy nie wykorzystujesz go jako alibi, kiedy nie wiesz, co powiedzieć ani jak się wyplątać z sytuacji. I tylko nie próbuj mi wmówić, że jestem niewolnicą swoich obowiązków. Cieszę się o wiele większą swobodą niż ty: jako historyk Wrońskich i biograf Nicolasa sam najlepiej wiesz, że nie mam już dziadka.

Piętnaście dni później siedziałem z Pandorą, która właśnie przyплыnęła na pokładzie „Normandie”, w pociągu z Hawru do Paryża. Zostawiła za sobą pewnego sławnego pianistę, nacierza z Teksasu oraz drugorzędnego aktora, któremu mimo maleńkiej rólki w *Dyżansie* bardzo trudno było dorównać pozycją Errolowi Flynnowi, Clarkowi Gable’owi czy Tyrone’owi Powerowi.

– No więc, o co chodzi? – zapytała, ściągając beret i potrząsając jasnymi włosami.

Uniosłem palec i uroczystym tonem oznajmiłem:

– Zebranie plenarne Zakonu Królewskiego Sekretu.

Ulokowałem Pandorę w Ritzu w pokoju z widokiem na Place Vendôme i sławną kolumnę, którą Courbet obalił i własnym sumptem postawił na nowo. Znów chodziliśmy na kolację do starych kątów, do Larue i lewobrzeżnych knajpek. Spacerowaliśmy po Paryżu, nad którym zawisło widmo katastrofy, która tę swojską scenerię miała obrócić w ruiny.

– Pamiętasz Forum, Akropol i Lindos?

– No pewnie – odpowiedziała Pandora. – Nie bierzesz mnie przypadkiem za korzeń estragonu?

– Po Paryżu też zostaną piękne ruiny.

Przez całe lata słuchałem opowieści mojego dziadka o tym, jak słodkie było życie przed rewolucją, przed 1848 rokiem, przed Drugim Cesarstwem, przed wprowadzeniem podatku dochodowego, przed Frontem Ludowym, przed odrażającymi czasami radykosocjalizmu. Teraz tenże sam radykosocjalizm był ucieleśnieniem słodczy życia. A na drugim brzegu rzeki i na wielkich równinach Wschodu niecierpliwie czekali barbarzyńcy. Nad Paryżem zerwał się wieczorny wiatr, który uderzył już w Wiedeń i Pragę, który wiał już w Warszawie. Na Pont des Arts między kopułą Instytutu a Luwrem, o dwa kroki od Pont-Neuf Pandora przytuliła się do mnie:

– I myślisz, że to wszystko...

– Nie wiem... Może... Nic nie jest wieczne.

– Dobrze mi z tobą. Ale chciałabym znów zobaczyć Jessicę.

Zobaczyć Vanesę.

– Właśnie po to tu jesteśmy. Powierzono mi pewną misję. Główny koordynator. Zgromadzenie Ich Wysokości ze schowka. Plenarne zebranie Zakonu Królewskiego Sekretu.

– Gdzie? I kiedy?

– Kiedy? Natychmiast. Telegraf, telefon, pociąg, samochód.

Gdzie? To jedyne, co trzeba ustalić. W Berlinie u Vanessy? W Hiszpanii u Jessiki?

– W Glangowness u Atalanty?

– Lub gdziekolwiek u Pandory?

Śmiała się. Była piękna. Wróciliśmy do hotelu. Tam czekała na nas niespodzianka. Tajemniczym sposobem powiadomieni o przyjeździe Pandory bliźniacy Romero zapuścili korzenie w barze, opróżniając kolejne drinki.

– Hurra! – zawołała Pandora i ku zdumieniu popijającej w milczeniu trójki Anglików, wychyliła jednym haustem koktajle obu braci. – Hurra! Zapraszam was obu, a jeśli pozostali będą mieli ochotę, to całą czwórkę na nasze najbliższe zebranie.

Bliźniacy zaczęli klaskać. Anglicy wynieśli się z baru. Na stoliku



leżała gazeta: pisała o Hitlerze, o Daladierze, o Chamberlainie, o ostatniej sztuce Edouarda Bourdeta, o Japończykach w Chinach, o powolnej agonii Republiki Hiszpańskiej. Z nastawionej gdzieś, choć na pewno nie w barze – w którym panowała cisza jak w luksusowym grobowcu, przerywana tylko naszymi okrzykami i śmiechem Pandory – płyty Riny Ketty płynęły rzewne tony i cliwe słowa:

Widziałam całą Andaluzję...

...sombreira i mantyle...<sup>[4]</sup>

Patrzyłem na braci. Patrzyli na Pandorę.

– To znaczy, że znowu – powiedział Luis Miguel z wielką ekscytacją spotęgowaną wypitym alkoholem – spotkamy się całą naszą ósemką, całą dziewiątką jak na „Fairy Queen”?

– Ten dziewiąty to ja – zaznaczyłem z dumą.

– Tylko gdzie? – chciał wiedzieć Javier.

– Właśnie, gdzie? – zawtórował Luis Miguel. – A czemu by nie tutaj, w Paryżu?

– Może w Wenecji? – zasugerowałem podstępnie, już się widząc w domu na Giudecce.

– Jessica jest w Hiszpanii – wyjaśniła Pandora.

– To jedźmy do Hiszpanii – powiedział Javier.

– Całą naszą dziesiątką – dodała Pandora.

– Ten dziesiąty to kto? – zapytał Luis Miguel.

– Simon Finkelstein – odparła. – Przecież gdzieś się tu chyba kręci?

Znakomicie. Świat zamykał się w mojej dłoni niczym wielki wachlarz. Teraz pozostawało już tylko zorganizować spotkanie w Hiszpanii. I ściągnąć na nie Vanessę – jeśli się da, bez Rudiego.

– Zajmiesz się wszystkim, dobrze? – szepnęła do mnie Pandora z zabójczym uśmiechem rezerwowanym na specjalne okazje.

Oczywiście, oczywiście. Co prawda nie miałbym nic przeciwko temu, żeby poczytać Gide’ a czy Valéry’ ego, odkryć *Mdłości*, o których tajemniczo i z zachwytem opowiadała mi garstka wybrańców, obejrzyć *Słońce też wschodzi* albo jeszcze raz *Śmieszny dramat* Marcela Carnégo, nacieszyć się tym fin de siècle’ em, którego magiczne emanacje omyłkowo docierały w głąb naszego tragicznego XX wieku. Nie

mogłem. Wzywał mnie głos obowiązku. Mojego ustalonego już chyba raz na zawsze powołania. Stara Europa w kleszczach między dalekim komunizmem a faszyzmem tuż u naszych bram; między bujnymi, krzepiącymi wąsami poczciwego, wielbionego przez masy dziadunia Stalina a chudym wąsikiem Hitlera, wiarołomnego zbawcy Zachodu, rozpadała się. Ja zapędzałem swoje owieczki do stada.

Zażądałem oczywiście pomocy od Romerów. Javier i Luis Miguel zdążyli już w barze Ritza szczerze opić powrót Pandory, i kontynuowali dzieło w kilku modnych lokalach nocnych, do których nas również zaciągnęli i które opuściliśmy, zwłaszcza zaś oni, w stanie wielkiego rozbawienia i melancholii.

– Przyznaj – bełkotał Javier – przyznaj, eee... – tu przerwał, by mnie złapać za ramię – przyznaj, łobuzie, żeś całkiem rad... eee... mając swój mały światek w zasięgu ręki.

Pijacy mówią prawdę. Ileż to razy mój dziadek, z powodu którego czyniła mi takie wyrzuty Atalanta, sam wyrzucał mi zajmowanie się tą przeklętą rodziną!

– Rozpraszasz się – mówił. – Zamiast wziąć się poważnie do pracy, gonisz gdzieś do Szkocji, do Niemiec, do Wenecji. Nikt z nas nie może pojąć twojego postępowania. Twoja ciotka Gabriela mówiła mi też któregoś dnia, że w żaden sposób nie mogła się połapać w tych twoich opowieściach o rabinie z Polski, Murzynce z Bahii czy paragwajskim dyktatorze. Czy nie lepiej, żebyś został przy Plessis-lez-Vaudreuil albo kontynuował pracę nad Chateaubriandem, którego przecież tak lubisz?

Myśl, że zbiorę wszystkie cztery, od tak dawna niewidziane siostry napęłniła mnie radością, która mnie samego zaskoczyła. Zabrałem się z zapalem do dzieła.

Najłatwiej mi będzie skontaktować się z Atalantą. Najpierw musiałem zająć się Jessicą i Vanessą. Jak powiadomić te dwie szalone istoty o zebraniu Zakonu Królewskiego Sekretu? Najpewniejszy sposób dotarcia do Vanessy prowadził przez Agustína. Agustín i Vanessa, być może z racji swoich poglądów i wspólnego podziwu dla dyktatorów, byli sobie dość bliscy. Sukcesy zawodowe Agustína gnały go – gnać to właściwe słowo – po całym świecie, Vanessa zaś dzieliła czas między Anglię i Niemcy. Niemniej spotykali się regularnie w La Baule albo

Norymberdze przy okazji jakichś wyścigów o Grand Prix lub kongresu nazistowskiego.

– Wiesz, gdzie jest Agustín? – zapytałem Javiera.

– Ostatnim razem widziałem go u Tardeta w Deauville. Popiliśmy, aż miło.

– Jeśli możesz, spróbuj go znaleźć. I to w miarę szybko. Ani Pandora, ani Atalanta nie mają żadnych wieści od Vanessy. On powinien wiedzieć, gdzie jej szukać.

Wiedział. Javier dopadł go w jakimś szpitalu na Florydzie czy może, już nie pamiętam, w Minneapolis, gdzie niedawno po raz kolejny, choć miał już swoje lata, pokonał wszystkich przeciwników, bez trudu wygrywając wyścig za kierownicą samochodu, który posunął swoją elegancję tak daleko, że stanął w ogniu w chwili, gdy przy wtórze owacji tłumów, porwanych tak niespodziewanym połączeniem triumfu i dramatu, mijał zwycięsko linię mety. Agustínowi udało się wydostać z płonącego bolida; był poważnie poparzony, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Powiedział Javierowi, że Vanessa jest właśnie w Stanach Zjednoczonych, i że planowali razem wrócić do Europy.

– Zatem wszystko idzie jak z płatka – powiedział Javier. – Mniej więcej za trzy tygodnie spotkamy się w barze u Ritza. Zadbamy o Agustína. Wypijemy szklaneczkę lub dwie za zdrowie Francisa i za dzieciaki Atalanty. A potem pójdziemy na kolację do Larue. Będzie nas już siedmioro. Trzy najstarsze siostry, trzech najmłodszych braci i ty. Zabraknie tylko najstarszego z braci i najmłodszej z sióstr.

– I Simona Finkelsteina.

– I Simona Finkelsteina. Pojedziemy do Hiszpanii i znajdziemy ich w okopach, za workami z piaskiem, pośród sierpów i młotów.

– Jessica i Vanessa padną sobie w ramiona.

– I za jednym zamachem skończy się wojna w Hiszpanii.

Wizyta Vanessy w Ameryce trochę mnie zdziwiła i lekko zaniepokoiła. Pamiętałem jej zapał neofitki podczas polowań na lisa, balów w Londynie i na dworze angielskim. Pomyślałem, czy aby nie głosi hitlerowskiej dobrej nowiny wśród amerykańskich miliarderów i w waszyngtońskim senacie? Przez chwilę kusiło mnie, żeby

powiadomić o tym Winstona Churchilla. Rozdarty między obowiązek i sympatię, pomiędzy dwie lojalności, czułem się trochę jak jeden z bohaterów Corneille'a. W końcu postanowiłem porozmawiać z jedną osobą zdolną zrozumieć bez długich wyjaśnień moje podwójne przywiązanie do sir Winstona i do sióstr O'Shaughnessych, czyli z Pandorą.

– Mam problem – powiedziałem. – Co mogło skłonić Vanessę do wyjazdu do Stanów?

Zagadki, jak wiecie, były mocną stroną Pandory. Długo się nie zastanawiała:

– Są tylko dwie możliwości: albo agituje na rzecz Hitlera, albo, co bardziej prawdopodobne, ma się tam z kimś spotkać.

– Domyślam się, że nie z Rudim?

Roześmiała się.

– Nie sądzę. Ale w Ameryce żyją miliony, dziesiątki milionów Amerykanów. Nie licząc cudzoziemców, którzy tam mieszkają lub przebywają przejazdem.

– Podejrzewałabyś Agustína, że ją ze sobą zabrał?

– Czemu nie? – powiedziała Pandora.

Pandora miała to do siebie, że nigdy nie sprawiała zawodu. Jednym ruchem wyeliminowała całe pole domysłów. Poprzez meandry namiętności, polityki i serca wszystkie sprowadzały się zresztą do jednego: Vanessa była zakochana. Dotąd myśleliśmy, że w Rudolfie Hessie. Z wyszukaną naiwnością Pandora roztoczyła widoki o tyle bardziej zawrotne, że ich osobliwość wpływała z oczywistości, a ich nieprawdopodobieństwo z prostoty.

\*

Przez długi czas uważałem Pandorę za najbardziej tajemniczą i nieobliczalną ze wszystkich czterech sióstr. Niedawno wyznałem Atalancie, że pod zewnętrznymi pozorami poprawności, wręcz konformizmu, jest być może równie nieodgadniona, jak jej siostra. I oto nagle Vanessa, taka uparta i tak bezkompromisowa, zaczęła mi się jawić jako otchłań zagadek. U boku sióstr spędziłem szmat życia. I nagle odkrywałem, że nic o nich nie wiem.

A przecież subtelne rozumowanie Pandory w żadnym wypadku nie

powinno być dla mnie aż takim zaskoczeniem. Bo niczego nowego się nie dowiadywałem. Przypominacie sobie moją obecność u boku Vanessy w rządowym samochodzie na bulwarach Wiednia zajętego przez wehrmacht? Pamiętam każde słowo z rozmowy, którą przy wtórze okrzyków tłumu *Sieg Heil!*, w miejscu, gdzie Ring przecina plac Schwarzenberg wtedy prowadziliśmy: rozmawialiśmy o Agustínie.

Sześć czy siedem lat później, wkrótce po wyzwoleniu, wskutek rozmaitych okoliczności, o których być może kiedyś opowiem, byłem przesłuchiwany w związku z moją obecnością w Wiedniu w 1938 roku. Świadcstwo Winstona Churchilla oraz kilku innych osób oczyściło mnie z wszelkich podejrzeń. Osobie, która zapytałaby, o czym rozmawialiśmy z Vanessą podczas tego przygnębiającego przejazdu przez okupowane miasto, miałem pełne prawo odpowiedzieć: „O miłości, po prostu o miłości”. Rzecz jasna, nie mojej. O miłości innych. To wszystko jest jednak tak skomplikowane, że wahałbym się komukolwiek – z wyjątkiem właśnie sir Winstona – przytoczyć słowo w słowo ówczesne zwierzenia Vanessy: zastanawiała się ona, w jaki sposób Agustín, jej drogi Agustín, jej ukochany Agustín mógłby zaprowadzić w Anglii dyktaturę na modłę hitlerowską.

– Nie dość, że zdecydowanie odradzam ci realizację tych planów – powiedziałem wtedy – ale w ogóle nic już z tego nie rozumiem. Sądziłem, że jesteś tu, ponieważ jesteś zakochana w Rudolfie.

– Bo jestem – powiedziała Vanessa.

– Jesteś!... jesteś!... A bez przerwy opowiadasz mi o waszych wspólnych planach z Agustínem i o uroku Agustína, i o twoich podróżach z Agustínem... Masz mnie za idiotę?

Miała tak nieszczęśliwą minę, że trochę złagodniałem.

– Zresztą nawet wolałbym, żebyś kochała się w Agustínie niż w Rudolfie Hessie. Dla jasności, spróbuj mi odpowiedzieć wyraźnie: czy jesteś zakochana w Agustínie?

– W nim też – powiedziała Vanessa.

Spadłem na ziemię. Ludzkie serce jest tak dziwne, że nie dowiedziałem się nigdy – być może nie wiedziała tego nawet sama Vanessa – czy to Rudolf Hess posłużył się Agustínem, czy Agustín posłużył się Rudolfem Hessem. Obaj oczywiście wiedzieli o istnieniu

tego drugiego. Ale czy widzieli w sobie rywali, czy po prostu narzędzie do realizacji własnych ambicji? Nie wydaje mi się, by Vanessa mogła odpowiedzieć na to pytanie. Kochała Rudolfa Hessa. Zakochała się w Agustínem. Dziwną kolei rzeczą to przyjaciel z dzieciństwa wkroczył do jej serca jako ostatni – nie do końca z niego wypierając zwycięski i brutalny obraz kompana Adolfa Hitlera.

– To straszne – mówiłem do Vanessy, kiedy przejeżdżaliśmy między szpalerami esesmanów i sztandarów ze swastyką. – Więc w Nowym Jorku i w Londynie sypiasz z Agustínem, a potem jedziesz do Niemiec, żeby się przespać z Rudolfem Hessem?

– Nie dręcz mnie – powiedziała Vanessa.

– Nie dręcę cię. Próbuję się tylko w tym połapać. I być może ci pomóc. A nie jest to, uwierz mi, łatwe. Już wystarczająco absurdalne i ryzykowne, i trochę... trochę... powiedzmy sobie zahaczające o kryminał było to, że zostałeś kochanką Hessa...

– Milcz! – zawołała Vanessa.

– A czemu miałbym milczeć?

– Bo to niebezpieczne tak mówić – mruknęła Vanessa.

– A więc jeśli to niebezpieczne tak mówić i jeśli w samochodzie są mikrofony, i jeśli ten facet w czerni, który nas wiezie, jest agentem gestapo, to jesteś w jeszcze gorszej sytuacji, niż myślałem. Ale dobrze, zostawmy politykę. Jak możesz być jednocześnie w Anglii kochanką Agustína, a w Niemczech kochanką Hessa?

– Powiedz mi... – rzuciła bez tchu Vanessa.

– No, co? – zapytałem gwałtownie.

– Czy nie jesteś wobec mnie surowszy, niż kiedykolwiek byłeś wobec Pandory?

Umilkłem.

– Pandora często sprawia mi przykrości – odpowiedziałem po chwili. – Ale ciebie boję się bardziej niż jej.

W operze odbył się wieczór z Mozartem, Beethovenem i fragmentami z Wagnera – chyba z *Parsifala* – a następnie uroczysta kolacja w Schönbrunnie z udziałem Rudolfa Hessa, Franza von Papena, Baldura von Schiracha i Ribbentropa, któremu towarzyszyła żona, wysoka blondynka, przyjaciółka Vanessy, opowiadająca mi ze łzami

w głosie o Paryżu i o swojej namiętności do szampana. Zaczynało mnie ogarniać przerażenie. Nie trzeba było być wielkim intelektualistą, by zorientować się, że pod tą feerią muzyki i kultury, proporców i przemówień naszą starą Europę zalewa fala nietolerancji i przemocy. A Vanessa znajdowała się w samym sercu burzy, w oku cyklonu. Wróciłem do Paryża po to tylko, by przesiąść się w pierwszy pociąg do Londynu. Sir Winston Churchill był łaskaw mnie bezzwłocznie przyjąć. Odprowadzając mnie z kurtuazją aż do drzwi gabinetu, pełnego pamiątek z Sudanu i Afryki Południowej, hełmów, proporczyków, fotografii Ich Królewskich Mości oraz Briana i Hélène w dniu ślubu, powiedział coś, co zapadło mi głęboko w serce.

– *My boy* – wymamrotał na pożegnanie – jest pan najlepszym z moich francuskich agentów.

Czyż takie słowa nie znaczą więcej niż wszystkie medale razem wzięte, niż Distinguished Service Order czy pocziwa stara Podwiązka?

Moje życie przyspieszało, nabierało zawrotnego tempa. Wróciłem do Paryża. Spotkałem się z Pandorą. Opowiedziałem jej o Hitlerze, Churchillu, Rudolfie Hessie, Agustínie, no i oczywiście o Vanessie. Wiedziała już o wszystkim. Możliwe, że zawsze o wszystkim wiedziała.

– Uważasz, że to normalne?

– Że co jest normalne?

– To, że twoja siostra sypia i z Hessem, i z Agustínem?

– Agustín jest uroczy.

– A Hess?

– Osobiście jestem wrogo nastawiona do nazizmu.

– Ale żeby być jednocześnie kochanką i Agustína, i Hessa – co o tym myślisz?

– Że to musi być okropnie skomplikowane.

Było skomplikowane. I dziecinnie proste. Nagle pomyślałem, że związek Vanessy i Agustína od samego początku należał do naturalnej kolei rzeczy. W Wenecji, w Glangowness byli nierozłączni. Oboje kochali przygody i dyktatorów. Oboje byli straceńcami, buntownikami i konformistami. To, co się zdarzyło, można by jak zwykle tłumaczyć sobie na tysiąc sposobów, co jeden to bardziej przekonujący. Oczywiście, gdyby w Glangowness Hélène O'Shaughnessy czy

Aureliano Romero zaczęli mówić Agustínowi o Vanessie czy Vanessie o Agustínie, jedyną reakcją byłby szalony śmiech lub wzruszenie ramionami. Potrzebny był dopiero zwrot akcji w postaci Rudolfa Hessa, by oczywistość, zda się niemożliwa, narzuciła się sama przez się. Jakież tajemnicze mechanizmy za tym stały? Czyżby Rudolf Hess doszedł do wniosku, że dwoje romansujących ze sobą agentów brytyjskich to lepsze niż jeden, i że Agustín odda większe przysługi hitlerowskiej Rzeszy niż Vanessa? Czyżby Agustín uznał, że przyjaźń z Rudolfem Hessem może okazać się cenna pod kątem jego ryzykownych planów zaprowadzenia reżimu totalitarnego w liberalno-demokratycznej Anglii? A może odwrotnie, w grę wchodził zwykły trójkąt miłosny, wprawdzie z polityką i nazizmem w tle, lecz niemający żadnego bezpośredniego związku z czyimikolwiek przekonaniem i ambicjami? I bądź tu mądry.

W romansie Agustína z Vanessą uderzająca była jego równoczesność z uprowadzeniem Jessiki przez Carlosa. Rozmyślałem o przekleństwie, które stało się udziałem ojca i matki Héléne Wrońskiej i o zakazanej miłości Nadii i Nicolasa, brata i siostry. Ich wnuczki zdawały się dążyć do odtworzenia między O'Shaughnessymi i Romerami możliwie najbliższej tamtemu wcześniejszemu kazirodztwu scenerii i klimatu, naśladowując zabójczą rolę, jaką odegrali niegdyś, aż po tragiczny finał, syn i córka hrabiny Wrońskiej. Cztery siostry daremnie próbowały wyrwać się ku innym horyzontom; wszystkie i tak, jedna po drugiej wracały do braci Romero, zda się przyciągających je z nieodpartą siłą zakazanego owocu. O'Shaughnessych i Romerów nie łączyły żadne więzy pokrewieństwa. Ale przy tym poziomie zażyłości i zawikłania wzajemnych więzi stosunki między obu rodzinami zaczęły tworzyć swoisty substytut kazirodztwa i utożsamiać się z nim.

Pandora była kochanką najpierw wuja Simona Finkelsteina, a potem obu bliźniaków Romero. Jessica pojechała z Carlosem do Hiszpanii. Vanessa wywołała bezprzykładny skandal, pokazując się publicznie z nazistowskim przywódcą. Możliwe jednak, że ta prowokacja była tylko ostentacyjnym parawanem, mającym ukryć romans – skądinąd jak najbardziej klasyczny, mimo że koniec końców nabrał demonicznego i przewrotnie skandalicznego posmaku – z przyjacielem z dzieciństwa, którym był raz jeszcze i jak zwykle jeden



z Romerów. Nad siostrami O'Shaughnessy krążyły cienie weneckich amatorów Nadii i Nicolasa. Koło się zamykało; zastanawiałem się tylko, z czym wyskoczy jeszcze ta poprawna, ta stateczna Atalanta.

Pojechaliśmy całą grupą do Hiszpanii. Działo się to mniej więcej w tym okresie, kiedy wszyscy stamtąd wracali. Obrońcy republiki tłumnie ściągali na granicę francuską. W Kadyksie, pozdrawiani na pożegnanie przez generała Queipo de Liano, wsiadali na statki włoscy legioniści – większość z nich miała za sobą osiemnastomiesięczną kampanię – którym w Neapolu zgotowano triumfalne powitanie. W Aragonii oddziały nacjonalistów przypuściły rozstrzygający atak, przebijając się między Walencją a Barceloną do Morza Śródziemnego i przecinając na dwie części coraz bardziej okrojone terytorium pozostające w rękach republikanów. Bitwa pod Teruel należała już do historii. Upadek Barcelony był kwestią miesięcy, może wręcz tygodni. Nad Hiszpanią rozpościerał się coraz dłuższy cień generała Franco. Simon, Carlos i Jessica kurczowo trzymali się tego, co pozostało z Katalonii.

Carlos i Jessica nie wyjechali z Hiszpanii i w bombardowanej oraz osaczonej coraz ciasniejszym kręgiem przez nacjonalistów Barcelonie wiedli życie wypełnione walką i miłością, która przyprawiała ich rodzinę oraz przyjaciół o zdumienie i sporą konsternację. Brian i Hélène nieraz mnie błagali, żebym odszukał Jessicę i sprowadził do domu, do Anglii, gdzie czekały na nią bale, polowania na lisa, niewinne flirty, znakomite partie, czyli to wszystko, co jej rodzice z przekonaniem i desperacją określali mianem „normalnego życia”. Napisałem do Jessiki wiele listów, na które otrzymałem kilka odpowiedzi – jak zwykle bardzo prostych i jednoznacznych. Wyjechała z Carlosem Romerą do Hiszpanii, żeby walczyć. Zostaje tam z nim. Jest szczęśliwa pod bombami. Nie wierzy już w zwycięstwo. Ale w godzinie klęski nie opuści obozu, który wybrała.

Wieści od Jessiki i Carlosa docierały do nas głównie za pośrednictwem Simona Finkelsteina. Wielokrotnie opuszczał on Barcelonę, krążąc między Hiszpanią, Francją i Rosją. Dotarł nawet do Chin, gdzie od czasu potrójnej siódemki – 7.07.37 – i incydentu, a raczej pretekstu, z mostem Lu Keu-kiao szalała wojna chińsko-japońska. Simon

opuścił Nankin w przeddzień wkroczenia oddziałów japońskich; odegrał ważną, może nawet decydującą rolę w zbliżeniu – chwilowym i przynajmniej pozornym – między Czang Kaj-szekiem i Mao Tse-tungiem. Ten ostatni zakończył niedawno Długi Marsz, do którego zmusiły go oddziały Kuomintangu pod wodzą jego przeciwnika, dawnego i przyszłego. Pewnego mglistego wieczoru w Londynie, jednego z tych wieczorów tak często spotykanych w Anglii, w powieściach Conana Doyle'a i w filmach wszystkich reżyserów, wychodząc z White's czy Saint James, gdzie schroniłem się na kilka godzin w oczekiwaniu na pociąg do Glangowness czy Paryża, nagle w żółtawym świetle lampy gazowej dostrzegłem dawnego Brzdąca. Nie widzieliśmy się od czasów Capri i naszego powrotu na północ. Postarzał się, tak jak my wszyscy. W wytwornym płaszczu z aksamitnym kołnierzem, w meloniku, którym zamachał na mój widok, prezentował się jak śniadoliczy brytyjski dżentelmen o kędzierzawych włosach z kilkoma siwymi nitkami błyszczącymi w bladym świetle.

– *Hello!* – zawołał. – *How are you since Capri?*

I głośno się roześmiał.

Miałem jeszcze chwilę do odjazdu pociągu. zaproponowałem, żebyśmy wstąpili gdzieś na piwo lub filiżankę herbaty.

– Co słyhać? – zapytałem. – Niech mi pan powie, co nowego u Jessiki i co pan porabia.

Simon Finkelstein był niebywale rozrywkowy. Miał zawsze taką minę, jakby się bawił światem. Bywał wszędzie, wszystko rozumiał, spotykał mnóstwo ludzi – od Mikojana po Czang Kaj-szeka, od Malraux do Charliego Chaplina.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Rewolucja czyni postępy.

– To dziwne. Bo odnoszę wrażenie, że Franco właśnie wygrywa, Hitler zawłaszcza Europę, Mussolini mu sekunduje, a Japończycy są o krok od podbicia Chin i być może dalszej ekspansji ku Azji Południowo-Wschodniej. Czy to wszystko nie przypomina raczej końca zabawy?

– Oczywiście. Ale dla kogo? Imperializm to najwyższe stadium kapitalizmu. Demokracje dogorywają, ustępując miejsca dyktaturom. Szykuje się wielkie starcie między faszysmem i komunizmem, między

dyktaturami i ludami pod ich butem. Lud zwycięży, zobaczysz.

– A Jessica? – zapytałem.

– Ma się dobrze. To wspaniała dziewczyna. Niezwykle pomocna.

W Barcelonie wszyscy ją lubią. Ja też ją lubię.

– Wszyscy ją lubimy – rzuciłem dość oschłym tonem.

Znowu się roześmiał i położył mi dłoń na ramieniu.

– To prawda... Ty i ja lubimy wszystkie panny O'Shaughnessy.

Poczułem, że ogarnia mnie złość.

– Ale być może nie w ten sam sposób.

– Wciąż masz mi za złe moją przygodę z Pandorą?

– Nie mam panu nic za złe. Każdy robi, co chce... Myślę tylko o tych, które kocham. I nie bardzo panu ufam.

– Masz rację. Ze mną nigdy nie wiadomo. Nienawidzę spokoju.

Chcę, żeby wszystko zmieniało się, było w ciągłym ruchu. Ty kochasz przeszłość i chcesz, żeby rzeczy pozostały takimi, jakie są. Ja nie boję się przyszłości i burzenia wszystkiego. Myślę, że Jessica też nie.

Pomyślałem, że sobie ze mnie dworuje, igra ze mną jak kot z myszką. Zaczynał mnie ogarniać lekki popłoch.

– A Carlos? – zapytałem takim tonem, jakbym rzucał deskę ratunkową.

– Ach, to nie wiesz?... Dostał postrzał w ramię. Och, nic poważnego. Jessica była cudowna, opiekowała się nim. Ja też byłem cudowny i zaopiekowałem się Jessicą.

Poczułem, że robi mi się słabo. Tak jakby na los tych czterech sióstr, znanych mi od dzieciństwa, niemal jeszcze przed urodzeniem, obarczonych tak burzliwą przeszłością i mających wszelkie widoki na przyszłość, nagle padł cień. Atalanta może i była szczęśliwa. Spokojna, melancholijna, szczęśliwa. Ale ani Pandora, ani Vanessa nie znalazły tego, czego oczekiwały. Lub gorzej, może nie oczekiwały niczego? Ich urodzie towarzyszyła atmosfera końca świata. Chyba właśnie dlatego uważałem je tak często za neurotyczne i impulsywne bohaterki naszych czasów, za postaci powieściowe. Jessica bardziej od innych kochała, wierzyła, oczekiwała rzeczy wielkich. Czyżby i ona miała popaść w to, co zacząłem w końcu uważać za przekleństwo O'Shaughnessych: bałagan uczuciowy, niepewność serca, zatracenie i pęd do samozagłady?

– Wybieramy się wszyscy do Barcelony – pospiesznie rzuciłem. – Siostry chcą znowu być razem.

– Świetny pomysł! Im więcej szaleńców... Ja też wracam do Hiszpanii, gdzie sytuacja, powiedzmy sobie szczerze, wygląda raczej niewesoło. Jestem zachwycony, że znów zobaczę Pandorę. I pozostałych. I ciebie. Wybaczycie nam przyjęcie: życie w Barcelonie komfortowe nie jest. Ale zrobimy, co w naszej mocy. Przekonacie się, że pod bombami Franco można żyć, a nawet śmiać się i bawić.

Opowiadał mi jeszcze przez chwilę o republikańskiej Hiszpanii, o Stalinie, ale głównie o Chinach, o Mao Tse-tungu i trzech siostrach Song, z których średnia, Song King-ling, przyszła komunistka, wyszła za mąż za Sun Jat-sena, a najmłodsza, Song Mei-ling, zagorzała nacjonalistka, była żoną Czang Kaj-szeka.

– Lubisz takie historie, co? – powiedział, trącając mnie łokciem z dość nietypową u niego lekką trywialnością. – Te trzy siostry z dalekich Chin, które mogłyby posłużyć za wzór dla naszych czterech pięknych przyjaciółek. W Chinach jest wszystko. Tam właśnie szykuje się przyszłość świata... i nasza. Przez całe to zamieszanie, jakie robią Hitler i Mussolini, tego nie zauważamy. Między Syberią a Singapurem znajdują się olbrzymie zasoby proletariackiej energii.

– Przecież tam nie ma przemysłu, fabryk, nie ma prawie wcale robotników.

– Są chłopi. W Chinach, podobnie jak w Meksyku z czasów mojego dzieciństwa, dojrzewa komunizm chłopski. Biedny stary Karol Marks musi się przewracać w grobie. Rewolucja przemieszcza się z krajów bogatych i uprzemysłowionych do biednych i rolniczych. Myślę, że w jakiś sposób przewidział to już dobre ćwierć wieku temu Paco Rivera – wiesz oczywiście, o kogo chodzi? Zrozumiał to lepiej i wcześniej od innych Malraux. Choć obawiam się, że zanadto wyolbrzymiono jego udział i wkład w wydarzenia w Kantonie z 1926 roku, nie uważasz?

Nic nie uważałem. Już i tak trudno mi było nadążyć za wydarzeniami wstrząsającymi Europą. Nie były mi w głowie jakieś księżycowe plany, śledzenie Karola Marksa i wypowiedanie się na temat przyszłości Chińczyków i prawd głoszonych przez Malraux. Wołałem,

myśląc o niebieskich migdałach, wędrować między Florencją a Rzymem, śledzić rozczulonym, czasami trochę niespokojnym okiem przygody czterech sióstr i powtarzać sobie półgłosem liche strofki Hégésippe'a Moreau:

O czymże myślę? Tak sobie, niechcący,  
Krowy pasą się na łące,  
Wody rzeki płyną.<sup>[5]</sup>

Wyjechaliśmy do ogarniętej wojną Hiszpanii. Z powodu niecierpliwości Pandory, z powodu opowieści Simona, z powodu sukcesów Franco, a także z powodu Hitlera nasz czas wydawał się policzony. Zebrałem swój mały świątek. Z przykrością muszę stwierdzić, że swoją zapiętą na ostatni guzik garderobą podróżną Pandora i Atalanta sprawiały trochę wrażenie osób wybierających się na polowanie na dziką zwierzynę albo na jakąś niezbyt ryzykowną wycieczkę morską. Martwiłem się jeszcze tylko o Vanessę. Nie bez powodu: zaledwie kilka dni przed naszym wyjazdem spokojnie mi oznajmiła, że Führer wysyła Rudolfa Hessa z tajną misją do Burgos na spotkanie z Franco. A ona jedzie razem z nim.

– Bez obaw – powiedziała z tą beztroską, która stanowi część jej uroku. – Dołączę do was.

– Dołączysz do nas! Niby jak?

– No, chyba w Hiszpanii są pociągi – powiedziała.

Historia współczesna widziana oczyma sióstr O'Shaughnessy nieustannie nabierała surrealistycznego oblicza. Próbowałem łagodnie wyjaśnić siostrze Pandory, że pociągi mogą mieć pewien problem z przekroczeniem linii frontu.

– Nie szkodzi – powiedziała Vanessa. – Poradzę sobie. Zakon Królewskiego Sekretu zbierze się tam, gdzie chce, i garstka jakichś oszołomów na pewno mu w tym nie przeszkodzi.

Faktycznie, poradziła sobie. I w dogorywającej Barcelonie odbyło się plenarne posiedzenie Zakonu Królewskiego Sekretu. Nasze małe stadko – dwie najstarsze siostry O'Shaughnessy, dwóch bliźniaków Romero w towarzystwie brata championa oraz sygnatariusza tych stron – dotarło do Katalonii po burzliwej podróży, mimo wojny mogącej dojść do skutku dzięki połączeniu sił Świętych Apostołów i przyjaciół

Sant' Archangela. Być może kiedyś o niej opowiem, jeśli tylko Bóg pozwoli mi dożyć. Nasz wyjazd z Banyuls na niesamowitej, będącej przeciwieństwem Ritza łajbie, kilka cudownych kolacyjek po drodze nad Loarą i w Périgord, nasza zabawa w chowanego z jednostkami włoskimi blokującymi dostęp do hiszpańskiego wybrzeża, nasz desant na katalońskiej plaży, nasz triumfalny przyjazd do Barcelony – wszystko to było zadziwiającym połączeniem przygody i światowości, luksusu i niebezpieczeństw. Celem ułatwienia całego przedsięwzięcia, skądinąd mogącego sprawiać wrażenie bezsensownego, a także surowo potępionego przez wujaszka Winstona, Pandora i Atalanta uruchomiły swoje znajomości. Zaopatrzone w listy polecające od W.H. Audena, od Stephena Spendera, od Cyrila Connolly'ego, ani razu nie zrobiły z nich użytku, i mimo skórzanych bagaży i typowych dla swojej klasy odruchów, od początku do końca okazywały zimną krew i odwagę. Kontrapunktem dla ich entuzjazmu i ciekawości był Agustín: od pierwszego do ostatniego dnia wszystko, co widział i słyszał, napawało go wściekłością i oburzeniem.

Zamierzaliśmy zatrzymać się w Grand Hôtel Colón, lecz życie w Barcelonie pokrzyżowało te plany. Carlos i Jessica zajmowali małe mieszkanie na obrzeżach portu przy placu Puerta de la Paz, gdzie z wysokości swojej kolumny góruje nad Morzem Śródziemnym pomnik Krzysztofa Kolumba. To była nasza kwatera główna. Nie pomieścilibyśmy się wszyscy w jego trzech ciasnych pokojach. Carlos rozlokował nas w kilku sąsiednich pomieszczeniach. Ale co wieczór wszyscy spotykaliśmy się w miejscu, które nazywaliśmy „domem” lub „pałacem” na niekończących się *tertulias*, stanowiących surową hiszpańską wersję Zakonu Królewskiego Sekretu.

Pierwsze spotkanie Jessiki z siostrami odbyło się w jednej z tych kafejek, wylewających się aż po *ramblas* między drzewami i klombami kwiatów. Gdyby nie przejeżdżające tuż obok ciężarówki uzbrojonej milicji, gdyby nie otaczające nas zewsząd ruiny zbombardowanych domów, można by nas wziąć za turystów zwiedzających miasto przed dalszymi wakacjami na Costa Brava. Z uwagi na niepewność towarzyszącą naszej podróży umówiliśmy się, że codziennie, przez cały tydzień o szóstej po południu będziemy na siebie czekać w stosunkowo

spokojnej i łatwej do znalezienia kafejce, której nazwa wyleciała mi już z głowy. Pierwszy wieczór upłynął bez nas. Zjawiliśmy się dopiero nazajutrz. Wszyscy sześcioro wkroczyliśmy do środka. Carlos, Jessica i Simon Finkelstein siedzieli przy stoliku nad kieliszkami białego wina i o czymś dyskutowali. Jessica zauważyła nas pierwsza. Zbladła, wstała i rzuciła się z płaczem w ramiona Pandory.

– Ach, płaczesz! Oczywiście, płaczesz! – powiedziała Pandora, też płacząc. – Zawsze potrafiłaś tylko płakać. Ty głupia. Przez ciebie ja też płaczę.

I, głaszcząc ją po głowie, przytuliła do siebie.

Atalanta otoczywszy ramionami obie siostry, wetknęła twarz między ich twarze. We trzy wyglądały jak szczone ze sobą zapaśniczki albo rugbystki w młynie.

W tej kawiarni na *ramblas*, pośród jednej z najokrutniejszych wojen domowych wszech czasów nasza grupka tworzyła obraz czy też balet, któremu brakowało tylko publiczności. Pośrodku sali, między stolikami trzy obejmujące się siostry opowiadały sobie, to płacząc, to się śmiejąc, różne głupstwa, jakie mówi się w chwilach wzruszenia. Stojący w głębi Carlos i Simon Finkelstein obserwowali całą scenę z tą skrepowaną i skupioną miną, jaką na płótnach malarzy naiwistów widzi się u przechodniów lub ogrodników przyglądających się jarmarcznej zabawie albo lwom w klatkach – lekko puste spojrzenie, ręce opuszczone lub trzymające kapelusz. Przy drzwiach wejściowych Agustín, bliźniacy i ja czekaliśmy na swoją kolej pojawienia się na scenie niczym ukryta za kurtyną grupa kłownów czekająca na sygnał wypadnięcia na arenę. W chwilę potem siedzieliśmy w dziewięcioro przy dwóch zestawionych stolikach. Mówiliśmy wszyscy naraz. Opowiadaliśmy o swoim życiu. Naprawialiśmy świat: bardzo tego potrzebował.

Tego wieczoru poszliśmy bardzo późno spać i każde z nas miało trudności z zaśnięciem. Nazajutrz i przez następne dni powoli wkraczaliśmy w realia republikańskiej i rewolucyjnej Katalonii.

Pamiętam dzień, kiedy Simon Finkelstein zabrał obu bliźniaków, Agustína i mnie na tournée po wojennym mieście. Wyruszyliśmy z placu Puerta de la Paz i przeszedłszy wzdłuż *ramblas* aż do Plaza de Cataluña,

zagłębiliśmy się w dzielnice, gdzie do reszty straciłem orientację. Nagle nad głowami usłyszeliśmy ryk silnika.

– Uwaga! – krzyknął Simon.

Przez kilka sekund staliśmy nieruchomo, bez słowa, zdumieni i osłupiali. Kilka metrów dalej padały pociski. Instykt samozachowawczy kazał nam rzucić się na ziemię. Leżeliśmy na brzuchu, kryjąc głowy w ramionach, kiedy raptem śmiech Luisa Miguela uwolnił nas od strachu i tej pozycji.

– Cóż, nikt nas nie uprzedził, że to tu znajduje się pałac pani Bułeczki i toczy się wojna piekarzy – powiedział, trzymając w ręku jakiś przedmiot, który nie od razu zidentyfikowałem.

Uniósł nad głową schwyconą z tak bezprzykładną odwagą bombę, i dopiero wtedy zobaczyłem, że to bochen chleba.

– Dziwny kraj – mruknął Agustín. – Bombardują się bułkami. Pewnie jutro – dorzucił pod adresem Simona – odbędzie się wojna kwiatów.

Niedługo czekaliśmy na wyjaśnienie tej zagadki. W Barcelonie sytuacja z zaopatrzeniem była tragiczna. Dla podkreślenia różnicy między ubóstwem republikanów i dostatkiem nacjonalistów, samoloty Franco zrzucały chleb na wygłodzone miasto. Kilka dni później Carlos, nie kryjąc satysfakcji, doniósł nam, że republikanie, którzy posiadają przemysł włókienniczy i tekstylny, w rewanżu zbombardowali terytorium frankistowskie koszulami i skarpetkami.

Nie wszystko wyglądało równie wesoło. Masowo umierały dzieci. Szerzyły się epidemie. Jessica zabrała siostry na obchód po szpitalach i ochronkach. Pandora i Atalanta wróciły wstrząśnięte. Kiedy wieczorem spotkaliśmy się wszyscy na skromnej kolacji, między Carlosem i Simonem z jednej strony a Agustínem z drugiej rozgorzała dyskusja. Każdy przytaczał własne przykłady i argumenty. Agustín opowiedział historię mnichów z Cervery, którym podziurawiono bębenki w uszach, wpychając do nich siłą paciorki różańca. I historię Liberia Gonzalesa Nonveli, proboszcza z Torrijos, który oświadczył milicjantom:

– Pragnę cierpieć za Chrystusa.

Na co odpowiedzieli:

– Naprawdę? No to umrzesz tak jak on.



I wychłostali go, nałożyli mu na głowę cierniową koronę, po czym go zastrzelili.

Był też krucyfiks wepchnięty w usta matce dwóch jezuitów w Ciudad Real. I młody człowiek w Alcazar San Juan, znany ze swojej pobożności, któremu wyłupiono dwoje oczu. I Antonio Díaz del Moral z Ciempozuelos zamknięty w korralu pełnym byków, które rogami wypruły mu wnętrzności. Potem ucięto mu ucho, tak jak odcina się je bykowi w hołdzie dla toreadora, który stoczył piękną *faena*.

Na co Carlos i Simon przytoczyli historię sprzedawcy pączków, który ustawił swoją budkę z *churros* w miejscu, gdzie „poranny patrol”, tym razem falangistowski, z niewzruszoną regularnością wykonywał egzekucje na dziesiątkach skazańców doprowadzanych każdego ranka z więzienia, w którym odbywali karę. I, by dopełnić miary, Simon opowiedział historię nauczyciela ze szkoły w Huesce skatowanego przez falangistów, który usiłował popełnić samobójstwo, zębami rozrywając sobie żyły. Oraz historię *requetes*, którzy odcinając po kolei członki pewnemu więźniowi w Nawarze, zmuszali go, by z rozkrzyżowanymi ramionami wołał: „Niech żyje Chrystus Pan!”. Oczywiście każdy z dyskutantów twierdził, że opowieści tego drugiego są czystym wymysłem. Jednak w tym kraju, i w czasach, kiedy ludzie z batalionu Thaelmanna, walcząc o każdy dom i o każde piętro, podkładali bomby w windzie szpitala w miasteczku uniwersyteckim w Madrycie, po czym zsyłali ją, by wybuchyła na parterze znajdującym się w rękach Marokańczyków, zdarzyć się mogło wszystko.

Simon Finkelstein, choć sam nie należał do żadnej ze skrajnie lewicowych organizacji, utrzymywał bliskie kontakty kolejno z POUM, z FAI i z SIM. Te zagadkowe skróty, zwłaszcza POUM, zachwycały Pandorę. Wyobrażała sobie, że POUM to jakiś kawał studentów, którzy wybrali taką onomatopeję, by dać ironiczno-zabawne wyobrażenie o swojej działalności. Członkami Partido Obrero de Unificación Marxista, czyli POUM, byli antystalinowcy komuniści. Federación Anarquista Ibérica – jak sama nazwa wskazuje, zrzeszała wolnomyślicieli i anarchistów. SIM, czyli Servicio de Investigación Militar, najbardziej złowroga z tych organizacji, była policją polityczną, w której przewagę mieli komuniści. Simon godzinami opowiadał nam

o poświęceniach, na jakie musi się zdobyć wolność w obronie przed wrogami.

– Rozumiem – powiedział Agustín. – Ci twoi przyjaciele torturują z rozpaczą w duszy.

– A ci twoi – odciął się Carlos – to akolici czcigodnego biskupa Majorki, który z namaszczeniem oznajmił: „Tylko dziesięć procent naszych drogich dzieciątek odmówiło przyjęcia sakramentów przed wyprawieniem ich na tamten świat przez naszych zacnych żołnierzy”. Albo wielebnego ojca Martina Torrenta, naczelnego kapelana więzień nacjonalistów: „Szczęśliwy skazaniec, jest bowiem jedynym, który wie, kiedy będzie musiał umrzeć. Jedynym, któremu dane jest uporządkować duszę przed odejściem”.

I w dusznej atmosferze „pałacu”, ku zdumieniu trzech sióstr padały nazwiska El Campesina, Pasionarii, Andrégo Marty’ego, Mauriaca, Bernanosa, Malraux, Maritaina, Claudela.

– Skończyliście już? – pytała Pandora. – Bo wolę gdzieś pójść z Astorgą.

Astorga Vayo był przyjacielem Carlosa. Spotkaliśmy go na barcelońskich *ramblas* i Carlos przedstawił go Pandorze. Vayo, w tym samym mniej więcej stylu, co w obozie przeciwnym Queipo Llano czy Millan Astray – jednooki i jednoręki osobnik, który w *paraninfo* uniwersytetu w Salamance, w obecności Unamuna zawołał: *Viva la muerte!* – łączył w sobie prostacką brutalność z dynamizmem, wielkość z nikczemnością. Posiadając wszystkiego cztery koszule, dwie pary spodni i parę butów na zmianę, prowadził życie księcia i pana wojny. Pandorze bynajmniej nie wydał się odpychający. Opowiadał jej o „dyscyplinie w niezdiscyplinowaniu”, oświadczył też:

– Nie oczekuję żadnej pomocy od żadnego rządu na świecie.

Te tak bardzo hiszpańskie słowa znalazły oddźwięk w duszy i sercu Pandory. Przypuszczam, że wywarły na niej podobne wrażenie, co wyznanie miłości; wieczorem, podczas *tertulias* w „pałacu” z rozmarzoną miną nam je powtórzyła.

– Nawet jeśli zwyciężycie, wylądujecie na stercie ruin – powiedziała Astordze.

Na co ten z niejaką emfazą i bufonadą odparł:

– Zawsze żyliśmy w norach i ruderach. Przez jakiś czas będziemy sobie radzić. Ale umiemy też budować. To my wznosiliśmy pałace i miasta w Hiszpanii, w Ameryce i wszędzie. My, ludzie pracy, będziemy budować miasta w miejscu wcześniej istniejących. I wybudujemy je lepiej. Dlatego niestraszne nam ruiny. Otrzymamy w spadku świat. Niech burżuazja przed opuszczeniem sceny dziejowej do woli burzy i demoluje swój świat. My nosimy w naszych sercach nowy.

W Pandorze, która nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszała, Astorga budził podziw zabarwiony rozbawieniem i lękiem. On z kolei zapalał do niej uczuciem i często zabierał ją samochodem na przejażdżki brzegiem morza w świetle księżyca lub też do jednego z tych skolektywizowanych kin barcelońskich, w których wyświetlano rosyjskie filmy Eisensteina i Pudowkina, a nawet *Małego pułkownika* z Shirley Temple czy *Kaczka zupę*, gdzie Groucho Marx w roli operetkowego prezydenta, dziwnie przypominającego przeciętnego polityka hiszpańskiego, trzymając przed sobą dokument z dołączoną mapą i obracając go na wszystkie strony, mówi: „Ten raport zrozumiałoby nawet czteroletnie dziecko... Sprowadźcie mi czteroletnie dziecko”. Kilka miesięcy później, po powrocie do Anglii, w wygodnych, ze smakiem urządzonych salonach Glangowness, Carlos, ku zgrozie Pandory i ku satysfakcji Agustína, opowiedział nam o strasznym końcu Astorgi.

Niedługo przed upadkiem miasta Astordze udało się przekroczyć granicę i Francuzi odesłali go do obozu dla uchodźców w Argeles we Wschodnich Pirenejach. Astorga Vayo należał do SIM i był komendantem dużego republikańskiego obozu dla internowanych w Omells de Nagaya w prowincji Lerida, w którym zasłynął z okrucieństwa.

– On i okrutny? – zdziwiła się Pandora, otwierając szeroko oczy. Najwyraźniej zachowała zupełnie inne wspomnienia o swoim towarzyszu z katalońskich nocy.

Metoda Astorgi Vayo na utrzymanie dyscypliny nawet pośród niezdiscyplinowania była bardzo prosta: za każdego zbiegłego więźnia rozstrzeliwał pięciu innych. Jego zamiłowanie do rozlewu krwi i tortur

wywołało w końcu sprzeciw nawet wśród ludzi z jego własnego obozu. W Argeles spotkał republikanów, socjalistów, anarchistów, trockistów, członków POUM i FAI, którzy walczyli po tej samej stronie co on i widzieli go w działaniu. Przechadzali się kiedyś razem, wspominając dawne dobre czasy, gdy nagle Astorga zorientował się, że jego towarzysze zaciągnęli go do najbardziej odludnego i odosobnionego zakątka obozu, skądinąd rozległego, zważywszy że zgrupowano w nim aż piętnaście tysięcy więźniów. Rozejrzał się. To, co zobaczył, go przeraziło, miał bowiem w tych sprawach doświadczenie: w cieniu grupki sosen ział u jego stóp głęboki otwór w ziemi, wyraźnie świeżo wykopany. Błyskawicznie się odwrócił. Twarze jego towarzyszy nie pozostawiały mu żadnej nadziei. Zakopano go żywcem w ziemi.

W oblężonej Barcelonie, pośród okropności głodu i wojny Pandora wszystkim się ekscytowała i pasjonowała. Pod hiszpańskimi bombami była o wiele szczęśliwsza niż w cieniu palm nad basenem Ogrodu Allaha w Hollywood. Razem z Jessicą opiekowała się rannymi, choć ani trochę nie wierzyła w sprawę, o którą walczyli. Przypominała mi jednego z bohaterów *Pamiętników* Dumasa, który z pogardliwą miną przygląda się nieudolnym poczynaniom powstańców z 1848 roku.

– Hej! Mieszczuchu! – woła do niego jakiś robotnik. – Lepiej nam pomóż, zamiast się gapić!

I rzuca mu karabin.

Mężczyzna łapie karabin, przygląda mu się, waży go w dłoni. Przykłada do ramienia. Niedbale mierzy i zabija kapitana, który ponad trzysta metrów dalej osuwa się ze swojego konia.

Na barykadzie wybucha burza radości. Wszyscy oklaskują bohatera.

– Zostań z nami! Zostań z nami! – wołają mężczyźni w bluzach i czapkach do mężczyzny w cylindrze.

– Co to, to nie – odpowiada mieszczuch. – Mam całkiem inne przekonania.

Pandora stawiała się u węzłowania komunistów i anarchistów, roztaczając silną woń channel numer 5. Zdawać by się mogło, że jak zawsze wszystko jej uchodzi na sucho. Ale inni byli ostrożniejsi. Dość szybko zrozumieliśmy, że nie ma mowy o noszeniu krawata; dawny

ubiór mieszczański był przepustką do więzienia. Został odrzucony przez rewolucję, podobnie jak nazbyt kojarzące się z Bogiem słowo *adios*, które na terenie Hiszpanii republikańskiej zastąpiło *salud*. Pandora i Atalanta mogły do woli roztaczać wokół siebie jak najbardziej burżuazyjne fluidy; pozostał w nich nawyk bezdyskusyjnego podporządkowania się modzie miejsca i czasu. Opuściły Francję w strojach od Mademoiselle czy kapitana Molyneux. Nie tracąc ani trochę na wdzięku ani elegancji, przyjechały do Barcelony w takich samych swetrach, jak te które nosiła Jessica, tyle że szykowniejszych. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta, nosząc kapelusz, kusili los. Kierowany przez Simona dziennik anarchistów „Solidaridad Obrera” – częściej nazywany „Soli” – który zamierzał „jednocześnie wygrać wojnę i przeprowadzić rewolucję”, gdy tymczasem komuniści chcieli najpierw wygrać wojnę, rewolucję zostawiając na później, posunął się do tego, że Litwinowa, radzieckiego ministra spraw zagranicznych, nazwał burżujem, ponieważ ten nosił kapelusz. Skutkiem czego związek zawodowy kapeluszników, zagrożony rozwiązaniem, wystąpił z protestem pod adresem dziennika. Agustínowi było o wiele trudniej niż Pandorze czy Atalancie zarzucić swoje ubraniowe nawyki. On, który tyle czasu spędzał w strojach sportowych i kombinezonie, poczytywał sobie za punkt honoru – sławnego, niezwykle hiszpańskiego *pundonor* – paradowanie po Barcelonie pod krawatem, w kapeluszu, a nawet w rękawiczkach. Simon wytrzasnął mu skądś laskę i Agustín z całą powagą przechadzał się po republikańskich *ramblas*, wyglądając jak żywa ilustracja mody. Przypuszczam, że milicjanci brali go za głupka lub człowieka-karykaturę najętego przez kogoś, nie wiadomo kogo, by sprawić uciechę dzieciarni.

\*

Tym jednak, co w Barcelonie interesowało nas najbardziej, była nie wojna, ani sceneria, nie obyczaje, ani historia – ale Jessica. Przyjechaliśmy po to, żeby ją zobaczyć. Bardzo się zmieniła. Już pierwszego dnia uderzył mnie nowy kontrast między nią i siostrami. Długie miesiące wyrzeczeń i niepokoju wycieńczyły ją i podkopały. Jej skóra poszarzała. W czarnej kędzierzawej czuprynie pojawiło się kilka siwych włosów. Oczy Jessiki pozostały roziskrzane, lecz zdarzało mi się

wyczytać w nich znużenie i smutek. Ubierała się w sposób niewyszukany, jak barcelońskie robotnice.

– Wyglądasz biednie – stwierdziła bez ogródek Pandora.

– Wolę przypominać biedaka niż bogacza – odparowała Jessica.

Nieraz zastanawiałem się, czy Jessiki aby nie pociąga świętość.

Oczywiście świętość laicka. Ale pewien rodzaj świętości. Już nie płakała. Spędzała czas, pomagając najuboższym, pielęgnując rannych i chorych, rozdawała wszystko, co miała, żyła tylko dla innych, aż w końcu zyskała w Barcelonie – gdzie wśród rywalizujących, niemal z reguły opozycyjnych frakcji pozytywne sądy należały do rzadkości – opinię samarytanki. Ale potem przypomniały mi się półzwierzenia Simona Finkelsteina. W końcu Jessiki nie sprowadziła do Hiszpanii polityczna egzaltacja. Ona podążyła śladem mężczyzny, przyjechała tu z miłości. Co stało się z uczuciem Jessiki do Carlosa?

Często, gdy Pandora jeździła samochodem z Astorgą Vayo, gdy Carlos i Simon uczestniczyli w różnych zebraniach anarchistów czy trockistów, a Agustín i bliźniacy zabierali Atalantę na odkrywanie Barcelony, zostawałem w domu i gawędziłem z Jessicą.

– A Carlos? – pytałem.

– Jest cudowny – mówiła.

– A Simon?

Milczała.

Zastanawiałem się, jak w zbombardowanej Barcelonie wyglądać musiało życie wuja i siostrzeńca z najwrażliwszą z sióstr O'Shaughnessy. Później, dużo później Carlos Romero napisze kilka książek, cieszących się niejakim powodzeniem – *The Fellow Travellers*, *Reason in Revolt* i *Spanish Fury: the Story of a Civil War* – szeroko omawiając w nich swoje katalońskie doświadczenia, a nawet kontakty z Simonem Finkelsteinem. Ale to wszystko rozgrywało się na płaszczyźnie wyłącznie politycznej. Znacznie bardziej rozstrzygające i nadające ton całej reszcie było to, co działo się w sercach.

Nie wiedziałem, czy zawołowane aluzje Simona Finkelsteina na temat jego stosunków z Jessicą były czymś więcej niż zwykłymi przechwałkami i prowokacją. Słuchając najmłodszej z sióstr, wsłuchując się zwłaszcza w jej chwile milczenia, dość szybko nabrałem

przekonania, że Simon w życiu Jessiki odegrał jednak pewną rolę, tak samo jak niegdyś odegrał ją w życiu Pandory. Ale zagadka pozostała, ja zaś nie odważyłem się, tak jak tyle razy wcześniej, zwrócić z nią do Pandory, wielkiej ekspertki od tajemnic. Krótko mówiąc odniosłem wrażenie, że Simon podoba się, lub podobał się kiedyś Jessice, i że miała sobie za złe swoją słabość.

Od kiedy Carlos został postrzelony w ramię w trakcie jednej z potyczek, w których uczestniczył w charakterze doradcy politycznego, Jessica nabrała zwyczaju regularnego odwiedzania rannych w Barcelonie. Po jego powrocie do zdrowia kontynuowała swoją pracę pielęgniarki wolontariuszki. Za naszego krótkiego pobytu nieraz towarzyszyłem jej do szpitala lub po nią przychodziłem, czasami późną nocą. Któregoś wieczoru przeżyłem wstrząs.

– Jestem taka nieszczęśliwa – oświadczyła ni stąd, ni zowąd.

– Ale dlaczego? – zapytałem trochę głupio, jak to ja. – Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Czy ty też, tak jak inni, wyobrażasz sobie, że to wszystko zakończy jakiś nagły cud, Anglia i Francja narzucają pokój i skończy się koszmar? Barcelona upadnie. A nam pozostanie wstyd.

Całymi godzinami, przy wtórze ironicznego śmiechu Agustína, któremu przypadła w naszym gronie rola zaprzyjaźnionego i tolerowanego przedstawiciela piątej kolumny, dyskutowaliśmy z Carlosem i Simonem o przyszłości Hiszpanii. Ani jeden, ani drugi nie widział jej w różowych barwach. Ale Jessica często popadała w rozpacz tak głęboką, że – być może wskutek mojego skrzywienia zawodowego i płochości, wskutek nabytej z upływem lat znajomości reakcji Wrońskich – nagle pomyślałem, że sama polityka czy nawet historia to za mało, by to wytłumaczyć.

– Posłuchaj, Jessico – powiedziałem. – Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek inny dla sprawy, która z początku nie była tak naprawdę twoją sprawą. Nawet jeśli wszystko skończy się źle, będziesz musiała żyć dalej, spróbować znaleźć trochę szczęścia. Jeśli ty nie potrafisz być szczęśliwa, kto inny na tym świecie to potrafi?

– Dla mnie szczęście już się skończyło. Mam wrażenie, że wszystko się wali. Czuję, że już na zawsze zostanę po stronie pokonanych.

– Carlos jest o wiele bardziej od ciebie zaangażowany w walkę, a nie jest tak przybity. Nadal go kochasz?

– O, tak – powiedziała. – Kocham go. Uwielbiam. Chciałabym dla niego żyć...

Zawahała się przez moment.

– ...Może będę mogła dla niego żyć...

– A on też cię wciąż kocha?

– Mam nadzieję – odrzekła. – Ale, widzisz, życie jest o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

Tego się właśnie obawiałem. Faktem jest, że przez długi czas w Plessis-lez-Vaudreuil wyobrażałem sobie, że życie jest całkiem proste: zaczyna się kogoś kochać, a potem się nagle tego kogoś kochać przestaje. Powoli jednak zaczynało do mnie docierać, w pewnej mierze dzięki czterem siostrze, że pułapki serca są co najmniej równie liczne i niebezpieczne jak te, które zastawia historia i rozum. Pandora nie kochała nikogo. Vanessa kochała dwóch mężczyzn. Co takiego mogła wymyślić Jessica, że teraz jej się wydaje, że osuwa się w przepaść, z której nie zdoła się już wydostać?

Rozmawiałem z nią długo, łagodnie, z serdecznością, w którą przecież nie mogła wątpić. Czowała potrzebę rozmowy o sprawach, z których nie mogła zwierzyć się nikomu w tym maleńkim światku, w którym pośród wojny i głodu próbowała sobie jakoś radzić. Powoli zaczynałem sobie uświadamiać, że rzeczywistość przynajmniej raz niewiele odbiegała od moich wyobrażeń. Czyżbym przez przypadek czynił postępy? Simon zafascynował ją i urzekł – może dlatego, że zafascynował i urzekł Pandorę – i nie mogła sobie wybaczyć tego, że mu uległa. Najgorsze było to, że Carlos oczywiście o wszystkim wiedział. Z jakiegoś jednak powodu – a o motywach postępowania Carlosa można by fantazjować w nieskończoność – nie przywiązywał do tej przygody, czy też wydawało się, że nie przywiązuje, żadnego znaczenia. Nadal pozostał bliskim przyjacielem Simona. I Jessica, z winy swojego wychowania, z winy swojego temperamentu, bądź uczucia nieść musiała w pojedynkę ciężar, który nie był nawet tajemnicą.

– Dłużej już nie mogę – mówiła. – Powinien mi wybaczyć albo ukarać mnie, albo wyrzucić. Kocham go. Myślę, że i on mnie kocha.



A nie widzi nic niestosownego w dzieleniu się mną z Simonem.

– Ale Simon... Simon...

Wpadłem w popłoch.

– ...ale co ty czujesz do Simona?

– Nie cierpię go. Chyba go nienawidzę. Ale...

– Ale może go kochasz?

– Oczywiście, że nie! Co za pomysł! Nie, nie Kocham go. Czasami jednak myślę, że z nim sypiam głównie po to, żeby przypodobać się Carlosowi.

Ci O'Shaughnessy'owie znów zaczęli mnie przyprawiać o zawrót głowy. Bo żeby się jakoś w tym wszystkim połapać, należałoby teraz wziąć na spytki raz – Carlosa, a dwa, co byłoby ponad moje siły, Simona Finkelsteina. Nigdy zbytnio nie wierzyłem w psychologię i całą tę analizę uczuć serwowaną w książkach. Ani od Carlosa, ani od Simona wiele bym się nie dowiedział. Simon stwierdziłby ze śmiechem, że odbiło mu na punkcie wszystkich czterech sióstr i nic na to nie poradzi. Carlos stwierdziłby z powagą, że Simon spodobał się Jessice, że to nic poważnego, a jej miłość do niego, Carlosa, jest wyższa ponad takie incydenty i błahostki. Nie próbowałem zgłębiać tajników serc i lędzwi na modłę spowiednika, psychologa czy powieściopisarza, bo to istny horror. Widziałem tylko, że w sercu Jessiki – może dlatego, że sama tego chciała, że dążyła do tego, że całe jej życie było na to nakierowane – tkwi sztylet.

Rozumiałem to, co Grecy nazywali fatum. Nie na darmo w żyłach Jessiki płynęła krew Nadii i Nicolasa. Podobnie jak Vanessa, jak Pandora, tak i ona miotała się po klatce, którą sama sobie stworzyła razem z Romerami, substytutem i symbolem braci, których nigdy nie miała. Cała ta długotrwała przygoda, której udało mi się wyłapać jedynie okruchy, zdawała się znajdować finał w Barcelonie, pośród czerwonych sztandarów i huku eksplozji. Wieczorny wiatr wiał i na Europę rozdartą wojną domową – wydarzenia w Hiszpanii były zaledwie jednym z symptomów – i na ostatnie z rodu Wrońskich. Patrząc, jak Pandora, Atalanta i Jessica wyruszają o brzasku do szpitala, zastanawiałem się, co takiego powoduje mieszkańcami – chwilowymi, samotnymi, przypadkowymi, choć przecież solidarnymi i zgodnymi – naszej

przeklętej planety: na pewno pieniądze – a Wrońskim, O’Shaughnessym ani Romerom ich nie brakowało – ale także, i to w o wiele większym stopniu, namiętności i marzenia, miłość, polityka, historia, która dokonuje się sama i podlega nieustannej akumulacji, litość, ambicja oraz pogoń za czymś innym, czymś przypominającym nadzieję, a być może również nieszczęście. Wieczorami, kiedy znów wszyscy spotykaliśmy się w tym mieszkaniu w Barcelonie, którego jeszcze trzy lata temu żadne z nas nie byłoby w stanie wyobrazić sobie nawet w najbardziej szalonych rojeniach, często puszczaaliśmy na starym, ręcznie nakręcanym gramofonie z korbką płyty Verdiego, będące dla nas rodzajem zastępczych wersji hymnu narodowego: słynny chór z *Nabucco* – kiedyś, chyba w innym świecie, pojechałem do Londynu, by wysłuchać go w towarzystwie hrabiny Wrońskiej, sławną arię z *Traviaty*, kiedy Alfred i Violetta – czyli Armand Duval i Marguerite Gautier z *Damy kameliowej* Aleksandra Dumasa syna – piją z tego samego kielicha, czy jeden z fragmentów opery, której tytułu nigdy nie omieszkaliśmy zacytować z ironicznym patosem: *Moc przeznaczenia*. Wraz z nami w tym domu, w żyjącej w głodzie i pod bombami Barcelonie pojawiał się nie tylko Verdi, ale też duchy Putyfary z Lublina i Jeremiasza Finkelsteina, Florindy z Bahii i Periclesa Augusta, Nicolasa i Nadii, Piotra Wasiliewicza Wrońskiego oraz cały jego odeszły w przeszłość świat. A nawet bajeczne szmaragdy rani Prianti i zmasakrowana elegancja nieszczęsnego Indian Godolphina. Między nas wślizgiwały się duchy Glangowness – daleki ojciec Simona Finkelsteina, pradziadkowie braci Romero, wyklęci i rozdzieleni kochankowie z Wenecji, wielki feudal i rewolucyjny magnat, który skazał na wieczną udrękę swoją zakochaną w Verdim żonę – słuchając w milczeniu krzyków namiętności zmagającej się z przeznaczeniem.

Któregoś wieczoru, kiedy przyszedłem do szpitala odebrać ją po pracy, Jessica oznajmiła mi, że z linii frontu nadjeżdża do Barcelony konwój ciężko rannych jeńców republikańskich. Nacjoniści wymienili ich na swoich ludzi. Negocjacje kierowane ze strony nacjonalistów przez Millana Astraya, a ze strony republikanów przez Astorgę Vayo prowadzone były pod auspicjami angielskiego Czerwonego Krzyża, i na czas półgodzinnego zawieszenia broni w błocie okopów, pośród

kraterów po pociskach odbyła się mała uroczystość.

– Muszę na nich poczekać – oświadczyła Jessica.

– No to czekajmy – powiedziałem.

Oczekiwanie trwało tak długo, że w międzyczasie zdążyły zjawić się Pandora i Atalanta, następnie Carlos i Agustín i na końcu obaj bliźniacy zaniepokojeni naszym spóźnieniem. W wartowni zorganizowaliśmy pokera. Co chwila któraś z dziewcząt wychodziła, kiedy trzeba było pomóc czy posiedzieć przy konającym. Wracały ze słowami: „Umarł” lub pomstując na lekarzy, i na nowo sięgały po karty, włączając się do gry. Po upływie czterech czy pięciu godzin rozeszła się w końcu wieść, że kolumna nadjeżdża. Wyszliśmy wszyscy na dziedziniec, na którym w ciemnościach nocy rozświetlonej reflektorami ustawiały się kolejne pojazdy.

Powstało zamieszanie. Z ciężarówek transportowych i autobusów zamienionych w ambulanse sanitariusze wyciągali rannych. Ludzie biegali tam i z powrotem. Przy wtórze krzyków rannych błąkały się jakieś cienie. Był to klasyczny już, codzienny, niemal banalny spektakl cierpienia i wojny. Nagle pośród wszystkich tych wraków dostrzegłem wyskakującą z ciężarówki pielęgniarkę, jasną blondynkę, ubraną na biało, wręcz wystrojoną. Domyśliłem się, kim jest, zanim ją jeszcze rozpoznałem. Była to Vanessa O’Shaughnessy.

– Vanessa! – zawołałem przejęty, podbiegając do niej. – Vanessa!

– No, proszę! Jak to się ludzie spotykają! – odpowiedziała z kamiennym spokojem.

Nadbiegła Jessica. Za nią Pandora.

– To prawda – powiedziała Vanessa – pociągi już nie jeżdżą. Ale, jak widzicie, środków transportu nie brakuje. Co słyszeć?

Zakon Królewskiego Sekretu znów był w komplecie.

– Czas najwyższy – przytulając Vanessę, szepnął jej Augustín do ucha (ale wyraźnie to usłyszałem). – Czas najwyższy. Zaczynałem się już czuć trochę samotny pośród tych zastępów Czerwonych.

Tak wyglądała pierwsza noc Ich Wysokości ze schowka w dogorywającej Barcelonie. Vanessa i Agustín paplali coś trzy po trzy, mówili o Franco, Queipo de Llano i Millanie Astrayu, wymyślali głośno na Republikę Hiszpańską, narażając nas w każdej chwili na

aresztowanie, a nawet rozstrzelanie. Opuszczając szpital o brzasku, wyśpiewywali po niemiecku na cały głos marsz nazistowskich lotników w Hiszpanii:

*Wir werden marschieren  
Wenn Alles in Scherben fällt.  
Unsere Feinde sind die Roten,  
Die Bolschevisten der Welt.*

Będziemy maszerować,  
Aż wszystko popadnie w gruzy,  
Wrogiem naszym Czerwoni  
I wszyscy bolszewicy.<sup>[6]</sup>

Trzeba było Agustínowi przyłożyć pięścią, a Vanessie stanowczo przypomnieć to, o czym wciąż zapominała: że w Hiszpanii trwa wojna, a ona znalazła się w obozie wrogim jej przekonaniom. Słuszniej więc będzie wyrażać je ze stosowną rezerwą i nie wyśpiewywać o nich na ulicy.

Po powrocie do domu Vanessa opowiedziała nam z mnóstwem szczegółów, najczęściej zabawnych, o swoim przyjeździe do Burgos, o spotkaniu z Franco – „Miał minę lekarza ukrywającego jakiś sekret i kłopoty rodzinne” – o życiu w przeciwnym obozie, o którego istnieniu trochę już zapomnieliśmy, o pertraktacjach w sprawie wymiany rannych, o swojej kandydaturze do roli eskortującej ich pielęgniarki wolontariuszki. Brytyjskie obywatelstwo bardzo dopomogło w zaakceptowaniu jej przez obie strony. Dla nacjonalistów decydujące znaczenie miała rekomendacja Rudolfa Hessa. A kiedy Astorga Vayo dowiedział się, że ta wysoka jasnowłosa Angielka ofiarująca się towarzyszyć żołnierzom republikańskim aż do szpitala w Barcelonie jest nie tylko przyjaciółką Carlosa Romery i Simona Finkelsteina, ale też siostrą Pandory, bez najmniejszego wahania, a wręcz z niejakim entuzjazmem, który niejednego zdziwił, wydał stosowne zezwolenia.

Przyglądałem się czterem siostram, których ponowne spotkanie po tylu latach było, śmiało mogę powiedzieć, moją jedyną ambicją i głównym celem moich zabiegów. I jeśli nawet zdarzało mi się niekiedy zastanawiać nad czasem i energią, które poświęciłem temu, mogącemu

zakrawać na lekkomyślność przedsięwzięciu, widok ich wszystkich razem wystarczył, by zarzucić wszelkie pytania i wątpliwości. Pandora w otoczeniu swojego małego światka promieniała. Atalanta i Vanessa to śmiały się, to płakały, prowadząc niekończące się rozmowy, których błażość i chaotyczność mogły zaskoczyć obserwatora obcego na planecie Wrońskich. Wydawało się, że nawet Jessica otrząsnęła się z przygnębienia; schwyciwszy mnie za rękę, popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

– Och, Jean! Jestem taka szczęśliwa! – Tym samym tonem, jakim nie dalej jak wczoraj mówiła mi, jaka jest nieszczęśliwa.

Urok sióstr O'Shaughnessy na pewno nie brał się z logiki ani ciągłości myśli.

Niekiedy Vanessa swoją niesprawiedliwością, stronniczością i wyskokami wprowadzała niszczycielski ferment do nieco zatęchłej atmosfery, w jakiej żyli więźniowie Barcelony.

– A co u Geoffreya? – pytała nagle Atalantę. – Wszystko w porządku? Przekazałaś Jessice, co u niego słyhać?

Myślę, że przez te wszystkie dni nikt z nas nawet przez chwilę nie pomyślał o byłym mężu Jessiki, którego poślubiła Atalanta. Może Atalanta i Jessica krótko wspomniały o nim w rozmowie między sobą? Nawet tego nie byłbym pewny. W każdym razie imię Geoffreya Lennona, miłośnika fajki, przykładnego męża i konserwatywnego posła, nie padło ani razu podczas żadnego z posiedzeń plenarnych Zakonu Królewskiego Sekretu. Rzecz w tym, że niemal z tego samego powodu co Rudolf Hess, a w jeszcze mniejszym stopniu niż sir Winston czy Brian, Geoffrey Lennon mimo swych licznych powiązań z Ich Wysokościami ze schowka, a niewykluczone, że z powodu swoich nieprzeliczonych zalet, nie należał w gruncie rzeczy do naszego magicznego kręgu. Usłyszawszy imię Geoffreya, obie, Jessica i Atalanta, wybuchnęły śmiechem.

Było też coś poważniejszego niż aluzje do Geoffreya. Agustín, zachęcony wiadomościami przywiezionymi przez Vanessę z Burgos i od nacjonalistów, zaczął sobie używać na republikanach, których znosił w milczeniu, dopóki był w grupie jedynym przedstawicielem interesów Franco. Vanessa powiedziała, że wśród nacjonalistów nikt już nie wątpi

w klęskę republikanów i walne zwycięstwo Generalísimo. I nagle Agustín dał upust tak długo tłumionym uczuciom: powinno się ich wszystkich wystrzelać, anarchistów, trockistów, komunistów. On i Vanessa zdawali się tylko czekać na chwilę, kiedy będą mogli podburzyć Barcelonę przeciwko temu, co nazywali, nie wchodząc w szczegóły, czerwoną marksistowską hołotą.

– Cierpliwości – mitygował ich Simon. – To nie potrwa już długo.

– Tym lepiej – odpowiadał Agustín.

Jak się zapewne domyślacie, w tonącej w ogniu i krwi Katalonii Zakonowi Królewskiego Sekretu było raczej trudno uniknąć polityki, tak boleśnie dającej o sobie znać na każdym kroku.

– Mam już po dziurki w nosie tej ich polityki – mówiła Atalanta.

– Cóż – odpowiadałem. – Mężczyźni za nią szaleją.

Odkąd przyjechała Vanessa, niewiele sypialiśmy. Cztery siostry całymi nocami opowiadały sobie historie, w których Romerowie i ja nie zawsze mogliśmy się połapać. Przewijali się w nich nie tylko miss Prism, wujaszek Winston, Geoffrey Lennon czy Rudi, lecz także cienie sikhów, Nicolasa w Wenecji i jego siostry, a także Percy’ego Bassetta. Powoli oddalaliśmy się od wojennej Barcelony. Sypialnia Jessiki zamieniła się w statek szaleńców, zamknięty świat, dziecięcy raj, oazę na pustyni. Stawiły się w niej w komplecie wszystkie irlandzkie szaleństwa, wszystkie słowiańskie rojenia. Przy ohydnej herbacie i garści fasoli, zastępującej muffiny i sandwicze z czasów brytyjskiej świetności i podwieczorków w londyńskim Ritzu czy Claridge’u, siostry śmiały się i marzyły o niebieskich migdałach. A rankiem Jessica, jak zwykle napędzana jakąś zagadkową energią, szła z Pandorą do szpitala, gdzie czekali już jej ranni. Vanessa przywoływała Agustína, i wspólnie śledzili na mapie postępy frankistów. Atalanta i bliźniacy ruszali na przechadzkę po Barcelonie, tak jakby to był Hyde Park, Central Park czy Lasek Buloński w Paryżu. Carlos i eks-Brzdąc spieszili do swoich sekcji, swoich centrów dowodzenia, swoich propagandowych papierów i wewnętrznych sporów, nieraz kończących się rozlewem krwi. Zasilała ona rzekę przelewaną na froncie w walce z nacjonalistami, których nadejścia tak niecierpliwie wyczekiwali jasnowłosa Walkiria i champion samochodowy na urlopie – czy może od pewnego czasu bez kontraktu.

Mijały dni. I noce. Wieści z frontu były niepomyślne. Wprawiały one w zachwyty komentujących je zachłannie Agustína i Vanessę. Któregoś wieczoru Carlos po powrocie do domu zastał Vanessę zszywającą czerwone i żółte skrawki materiału, z których zamierzała sprokurować sztandar monarchistów. Zazwyczaj bardzo opanowany i wyrozumiały wobec Agustína i Vanessy po raz pierwszy wpadł w straszliwy gniew i spalił sztandar.

– Podłożył ogień pod złociste żniwo Hiszpanii i nasze wschodzące słońce – skarżyła się Vanessa.

– Pod krwawe, ropiejące ścierwo – warknął Carlos.

Czas było pomyśleć o powrocie. Carlos i Simon bardzo nalegali, żeby Jessica opuściła Barcelonę i wyjechała z siostrami. Nie chciała. Upierała się:

– Przyjechałam z Carlosem. I zostanę z nim.

Carlos irytował się. Czy Barcelona, która lada dzień padnie, jest odpowiednim miejscem dla niespełna dwudziestoletniej dziewczyny? Najwyższa pora wracać do Glangowness i do rodziny. Oczywiście. Rozumiałem Carlosa. A rozumiałem go tym lepiej, że na moich oczach zaczynała niejasno rysować się rzecz niespodziewana, której już od dawna oczekiwałem: wzorem wszystkich mężczyzn Carlos zaczął zerkać na Pandorę, a Pandora, niepoprawna Pandora, popatrywała na Carlosa.

Wiele z tych historii, które tu przytaczam, usłyszałem z ust tej czy innej z siostr O'Shaughnessy. Pandora nigdy nawet słowem nie wspomniała mi o swoich uczuciach wobec Carlosa. Po prostu widziałem, co się dzieje: Agustín zajmował się Vanessą. Bliźniacy asystowali Atalancie. A Carlos zerkał na Pandorę. Raz czy dwa podchwyciłem nie tylko krzyżujące się spojrzenia Pandory i Carlosa, ale też wzrok Jessiki, która zobaczyła to, co już wcześniej spostrzegłem. Wszystko się waliło. Republika Hiszpańska i Zakon Królewskiego Sekretu. Wieczorny wiatr wiał z coraz większą siłą.

Simon Finkelstein miał fantastyczną zabawę. Nie był ostatnim, który zauważył, co się dzieje. Miałem bardzo wyraźne przecucie – choć może się myliłem? może padłem łupem własnych rojeń i omamów? – że to on popychał Carlosa w ramiona Pandory. Żal mi było Jessiki, która

swoimi wielkimi, zdziwionymi niebieskimi oczami obserwowała katastrofy życia i historii.

Nadszedł telegram, wkrótce po nim drugi. Pierwszy od Briana, drugi od sir Winstona. Nakazywali wszystkim siostronom jak najszybszy powrót do owczarni. Skontaktował się z nami brytyjski konsul generalny w Barcelonie, uruchomiony przez Churchilla i O'Shaughnessych. Nie bardzo zostawiając nam wybór, poprosił, byśmy jak najszybciej spakowali manatki.

– Ja zostaję – oznajmiła łagodnym tonem Jessica.

W obliczu takiej determinacji brytyjski rząd, parlament oraz Korona nie miały innego wyjścia, jak ustąpić. Jessica zostaje. Ale pozostałe, niedawno przybyłe trzy siostry muszą się zobowiązać, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin opuszczą Barcelonę. W końcu nie składaliśmy ślubów, że umrzemy za Negrina, za Azañę, za legendarnego, fascynującego Buenaventurę Durrutiego, kolejarza z León, anarchistę, zabójcę arcybiskupa z Saragossy, inicjatora licznych napadów na złoto Banku Hiszpańskiego, na którego, ku wielkiej satysfakcji komunistów oraz Ilji Erenburga, wyrok śmierci wydały aż cztery kraje – zresztą on sam już był jak nie z tego świata. Przyjechaliśmy, by zobaczyć się z Jessicą, i razem z nią odbyć gorączkowe, niemal potajemne zebranie Zakonu Królewskiego Sekretu. Był to rodzinny, może trochę burzliwy podwieczorek, ale jednak się odbył. Teraz pora się rozstać i każdy wróci do własnego życia.

Po ostatniej wieszce nastąpiła ostatnia noc. Była to noc w Barcelonie. Na zapleczu kawiarni w pobliżu portu wynajęliśmy małą salkę. Dość daleko było jej do przepychu Glangowness i dworu brytyjskiego. Ale w przeddzień rozstania i rozproszenia się na nowo po szerokim świecie byliśmy jeszcze razem, wszyscy dziesięcioro: dość, by napęlić nas tak typowym dla wszystkich Wrońskich poczuciem szczęścia i melancholii.

\*

Znowu widzę tę scenę i jej aktorów. Pandora siedziała między Carlosem a Simonem. Obok Carlosa zajęła miejsce Jessica. Pamiętam, że ja sam znalazłem się między Jessicą a Vanessą: z prawej strony miałem marksizm i rewolucję, z lewej faszizm i nazizm. Obok Vanessy



siedział Agustín, a dalej między bliźniakami – Atalanta. Chłonałem wzrokiem cały ten świątek. Obawiam się, że z jednym lub dwoma wyjątkami Pandora przespała się ze wszystkimi mężczyznami siedzącymi przy stole. Jessica cierpiała katusze, gdyż wszystko, co działo się wokół, znajdowało oddźwięk w jej czystym i czułym sercu. Vanessa ze swoimi gwałtownymi ruchami i pociągłą twarzą nie dorównywała być może urodą pozostałym siostronom, była jednak samym życiem. Miała w sobie coś słonecznego, bezkompromisowego i niewinnego. Atalanta królowała, gdyż była jedną z nich – najstateczniejszą, najpogodniejszą, najbardziej skrytą; tą, która podziwiała pozostałe, ale też je osądzała. Przypuszczam, że żaden z tych sześciu mężczyzn, którzy w ostatnich dniach wojny domowej znaleźli się na zapleczu katalońskiej kawiarni, nie pozostawał obojętny na atmosferę wdzięku, piękna, niemal wielkości, jaką roztaczały wokół cztery siostry O'Shaughnessy samym tylko blaskiem swojej obecności.

Między tymi sześcioma mężczyznami istniało tyleż podziałów, co między czterema kobietami – jednościami.

Dzieliło ich przede wszystkim coś, co silniejsze jest nawet od miłości czy interesu: zaangażowanie polityczne. Zwłaszcza trzej – Carlos, Simon i Agustín – mieli wyrobiony pogląd na społeczeństwo i obstawali przy nim z takim uporem, że każdy z nich bez chwili wahania oddałby życie za zwycięstwo swojej koncepcji. Agustín wierzył w ład, w ojczyznę, w określoną hierarchię uczuć i ludzi. Kochał sukces i siłę. Nienawidził bałaganu, bezwolności, mieszania wartości i kategorii. Spodziewał się, że faszyzm wyeliminuje wszystko, co gnuśne i niezdecydowane w demokracji i liberalizmie, w których widział jedynie przejawy tchórzostwa, niekonsekwencji, spiętrzenia wszelkich niegodziwości i sprzecznych interesów. W ostateczne zwycięstwo Hitlera, Mussoliniego, Franco, Salazara oraz japońskich wojskowych, potomków samurajów, których wielbił nade wszystko, nie wątpił nawet przez chwilę.

Carlos i Simon szli bardziej w kierunku abstrakcji. Byli inteligentniejsi od Agustína. Żonglowali ideami, a świat traktowali jak przygodę. I jeden, i drugi wiedzieli, że nie ma rzeczy wiecznych, i że wszystko ulega ciągłym zmianom. Nienawidzili siły, którą nieustannie

się posługiwali. Nie wiem, czy uważali, że racja jest zawsze po stronie ludu. Ale wzorem Paca Rivery wierzyli, że dobro wyłoni się ze zła, a wolność z poddaństwa.

Tego wieczoru w salce, w której odbywało się nasze ostatnie spotkanie, najdziwniejszy był rozdźwięk nie tylko między Agustínem i resztą, co oczywiste, ale też między Carlosem i Simonem. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, co ich dzieliło. W końcu obaj należeli do tego samego obozu, obozu wrogów Agustína i Vanessy. Aż raptem uderzyła mnie wyraźna między nimi wrogość. Możliwe, że początkowo wiązała się ona w jakiś sposób z Jessicą i skomplikowanymi układami, jakie między nimi zaistniały. Tak czy inaczej, znajdowała swój wyraz w polityce. Ogólnie mówiąc i nie wdając się w szczegóły, które odciągnęłyby nas bardzo daleko od Zakonu Królewskiego Sekretu i Ich Wysokości ze schowka, Carlos był komunistą, Simon zaś sytuował się gdzieś między POUM i anarchistami. Nagle zrozumiałem, że gotowi byli się znienawidzić.

Wszyscy przyjaciele *poumistas* Simona Finkelsteina – najważniejszy z nich nazywał się Andres Nin – zostali aresztowani i zgładzeni przez komunistów. By całą sytuację, już i tak trudną do ogarnięcia, skomplikować jeszcze bardziej – również i stosunki między POUM i anarchistami układały się nie najlepiej. Komuniści, *poumistas* i anarchiści oskarżali się wzajem o zdradę i defetyzm. Carlos uważał POUM i anarchistów za świadomych bądź podświadomych sprzymierzeńców Franco. Simon doszedł do tego, że pakował do jednego worka totalitaryzm nacjonalistów i totalitaryzm stalinowski. Jeden zarzucał drugiemu uprawianie wrogich gier. „Zwycięstwo albo śmierć” – mówił Simon. Na co Carlos śmiał się szyderczo: „Anarchistom nie udało się zwyciężyć, a żyją”.

Czułem, że siedząca obok mnie Jessica jest wszystkimi tymi, niezrozumiałymi i powodującymi tyle zamętu sprawami udręczona i rozdarta. Zbliżał się koniec republiki. Pokonani skakali sobie do gardeł. Miłość traciła blask. Tego było już za wiele. Jessica, duszyczka spragniona absolutu, bez reszty oddała się sprawie miłości i rewolucji. Tymczasem wszystko się waliło. Carlos dzielił się nią z Simonem Finkelsteinem, a w walce i działaniu się od niego oddalał. Była to

dokładna odwrotność tego, czego tak bardzo pragnęła. Czulem, że przez całą kolację była bliska łez.

Wznoszono kolejne toasty. Agustín pił za Hiszpanię zjednoczoną, wielką, wolną i stojącą na własnych nogach. Simon Finkelstein pił za rewolucję. Na co Carlos poderwał się i zdławionym głosem oświadczył, że wojna jest sprawą pilniejszą niż rewolucja i że najpierw ją należy wygrać. Pandora chodziła wokół stołu i ze łzami w oczach całowała siostry. Powiedziała do mnie:

– Któregoś dnia będziesz musiał napisać, że byliśmy ofiarami naszych namiętności i marzeń i że wiatr, który wiał w nas wszystkich, nie zdołał nas ugiąć.

– Obiecuję – powiedziałem, wychylając jednym haustem to, co zostało w kieliszku.

Kolacja Ich Wysokości ze schowka dobiegała końca w atmosferze smutku, wesołości i krańcowego zamieszania.

– Świat jest zbyt skomplikowany – dowodziła w sztok pijana Vanessa. – Potrzeba mi słońca i mężczyzn, którzy potrafią umierać jak należy.

Atalanta wesoło gawędziła z bliźniakami. Nawet ona trochę przeholowała z alkoholem. Nie było jednak tego po niej widać i z Javierem i Luisem Miguelem, który całowali ją po rękach, dyskutowała o Verdim. Upuściłem widelec. A kiedy pochyliłem się, żeby go podnieść, zobaczyłem pod stołem stykające się nogi Carlosa i Pandory.

Teraz ja z kolei wstałem.

– Piję – powiedziałem powoli – za pamięć Marie Wrońskiej i jej syna Nicolasa poległego pośród śniegów pod Mukdenem. Życie jest gówniane. Niech żyje życie!

Wszyscy się podnieśli.

– Niech żyje życie!

– I niech żyje śmierć! – zawołała Vanessa.

– Niech żyje śmierć! – zawtórował Agustín.

– Niech żyje śmierć! – powtórzył Simon.

– Idioci! – wzruszył ramionami Carlos.

– *Wie es auch sei* – powiedziałem nieco pompatycznie

i z pedantyczną afektacją. – *Wie es auch sei, das leben ist gut.*

– Co to znaczy? – zapytała Jessica.

– Że jest dobrze – odpowiedziałem z ponurą miną.

– Jest dobrze – powtórzyła Jessica.

Wypiliśmy jeszcze sporo. W oblężonej Barcelonie brakowało wielu rzeczy: chleba, mięsa, pokoju, zgody, nadziei. Ale wina było pod dostatkiem.

– Problem w tym – powiedziała Pandora – że nadal się kochamy, kiedy już przestaliśmy się kochać.

Odwróciłem się ku Jessice.

– Jesteś szczęśliwa czy raczej nieszczęśliwa? – zapytałem.

– Bardzo szczęśliwa – odrzekła – bo wszyscy się kochamy.

Złapałem się na myśli, że czasami być szczęśliwym jest jeszcze gorzej.

Wstaliśmy.

Barcelońska kawiarnia zaczynała przypominać halę dworcową. Wszyscy się z wszystkimi żegnali. Agustín ścisnął dłoń Carlosa i Simona. Pandora znowu całowała Jessicę.

– Życie to smutne święto – powiedziałem do splecionych w uścisku sióstr.

Wyszliśmy w ciemność nocy. Barcelona opustoszała. Z oddali słyhać było huk silników i eksplozji. Agustín i Vanessa zanucili po cichu hymn Falangi:

*Cara al sol con la camisa nueva*

*Que tu bordaste de rojo ayer...*<sup>[7]</sup>

Z twarzą ku słońcu, w nowej koszuli,

Coś na czerwono wczoraj haftowała...

Na co Carlos i Simon, jak rzadko zgodni, unosząc pięść w górę, odpowiedzieli sławnym *Hijos del Pueblo*:

Zerwij łańcuchy, ludu Ziemi,

Niechaj nastanie kres niedoli!

Gdy cierpień życia nic nie zmieni,

Śmierć lepsza od życia w niewoli!

Carlos Romero ujął pod rękę Pandorę, Luis Miguel Atalantę i orszak Zakonu Królewskiego Sekretu ruszył jak najbardziej

mieszkańskim krokiem w stronę domu, w którym mieliśmy spędzić naszą ostatnią noc.

Jessica i ja zostaliśmy trochę w tyle. Usłyszałem, jak Jessica półgłosem recytuje wiersz Touleta, którego sam ją nauczyłem:

Na piasku poważne te słowa:  
Zaiste, marzeń ludzka mowa  
Podobna jest ułudzie morza.

To tej właśnie nocy Jessica, która nigdy rozsądna nie była, połknęła nadmierną dawkę środków nasennych. O brzasku Vanessa, która z nią spała, pierwsza zorientowała się, że Jessica umiera. Na krzyki Vanessy przybiegliśmy wszyscy. Pandora i jej dwie siostry kazały nam natychmiast wyjść. Simon poszedł po lekarza, który przybył za późno. Kiedy było już po wszystkim, Pandora powiedziała mi, że Jessica zmarła bardzo szybko – i na pewno z innego powodu. Zawsze miała bardzo słabe serce; w końcu jej wysiadło. Odzyskała przytomność tylko na tyle, by wypowiedzieć dwa krótkie zdania. Pierwsze było rozdzierające, zwłaszcza dla Pandory: „Byłam z wami taka szczęśliwa”. Drugie, ledwie słyszalne, było chyba jeszcze gorsze: „Będziecie mieć za mnie dzieci, których ja nie miałam”.

Twarz Jessiki do końca zachowała swój czysty rysunek. Może rzeczywiście umarła szczęśliwa. Może umarła, bo przez kilka krótkich chwil w towarzystwie swych na nowo spotkanych siostr poczuła się szczęśliwa. Niewykluczone, że śmierć miała spokojniejszą niż życie. W każdym razie Pandora nigdy nie potrafiła mi powtórzyć ostatnich słów siostry inaczej, jak zalewając się łzami, które podwójnie raniły mi serce. Po pierwsze z powodu Jessiki. A po drugie z powodu niej, Pandory.

Po raz ostatni zebraliśmy się wszyscy wokół łóżka, na którym umarła Jessica. Patrzyłem na jej kruczoczarne włosy, w których błyszczały dwie srebrne nitki, na jej delikatną i łagodną twarz, na tę diaboliczną piękność, w której było coś anielskiego. Ale nie widziałem już jej niebieskich oczu. Człowiek nigdy nie napatrzy się wystarczająco na tych, których kocha. I nigdy nie kocha ich wystarczająco. Carlos, blady jak śmierć, nie odzywał się słowem. Vanessa roniła gorące łzy. Atalanta uklękła, by pomodlić się nad ciałem siostry. Pandora poprosiła,

żebym z nią na chwilę wyszedł, po czym osunęła mi się w ramiona. Wydawało mi się, że moim przeznaczeniem zawsze było i zawsze będzie przytulać ją, kiedy jest nieszczęśliwa.

Brytyjski konsul generalny w Barcelonie zajmuje skromne miejsce w historii wojny domowej. Odegrał natomiast pewną rolę w kronikach Zakonu Królewskiego Sekretu. Zaledwie kilka dni przed upadkiem miasta załatwił wszystko tak, żebyśmy mogli zabrać ze sobą ciało Jessiki O'Shaughnessy. Carlos i Simon zostali, a potem się ulotnili; rewolucja stawała się nieaktualna. Nasza podróż powrotna, ułatwiana przez władze brytyjskie, hiszpańskie i francuskie, była spokojniejsza niż w tamtą stronę. W Paryżu czekali na nas Brian i Hélène. Pogrzeb Jessiki odbył się w Glangowness. Miss Prism rozpaczała tak, że aż żal było patrzeć. Geoffrey Lennon zachowywał się jak zwykle bez zarzutu. Thomas K. Gordon pojawił się równie tajemniczo, jak zniknął. Aureliano Romero, który walczył ze śmiercią w klinice w Buenos Aires, przysłał telegram. Obecny był mój dziadek. I Winston Churchill. Powiedział mi, że to smutne i piękne, kiedy dwudziestoletni dzieciak oddaje życie za idee.

Znów przechadzałem się po alejach Glangowness. Z czterema siostrami O'Shaughnessy, z których zostały już tylko trzy. Z biedną miss Prism; były jej bożyszczami, a ona ich ofiarą. Z ich załamanym ojcem. Z ich matką, która nagle zamieniła się w starą damę, może nawet bardziej wiekową niż hrabina Wrońska, taka, jakiej obraz zachowałem w sercu.

– Miałam cztery córki... – mówiła, tonąc we łzach.

Pocieszałem ją, jak umiałem. Zapewniłem, że Jessica umarła szczęśliwa. Nie dodałem, że życie obeszło się z nią okrutnie.

– A teraz... – szeptała Hélène.

Płacz nie pozwalał jej mówić dalej. Wspierała się na moim ramieniu.

Było ich cztery. I wszystkie cztery kochałem. Ale tak to już jest na tym świecie, że wciąż umieramy. I że, przynajmniej na chwilę, zanim i my umrzemy, dane jest nam żyć i przekazywać innym nasze uczucia i marzenia. Śmierć nieustannie bierze górę nad życiem. A życie nad śmiercią. Zostały jeszcze trzy siostry, trzy wychowanki miss Prism, trzy

wnuczki Nicolasa, trzy prawnuczki hrabiny Wrońskiej. Przewidywałem, że to jeszcze nie koniec mojego udziału w ich przygodach.

## Noty biograficzne o głównych bohaterach

**Auden W.H.** Poeta angielski. Wręcza Pandorze listy polecające do swoich hiszpańskich przyjaciół.

**Auric Georges.** Muzyk francuski. W *Boeuf sur le Toit* rozmawia z Pandorą, Agustínem i narratorem.

**Badoglio Pietro.** Włoski marszałek. Wicekról Etiopii. Carlos Romero i Simon Finkelstein ostrzelali jego sztab na okręcie „Królowa Saby”. Razem z Agustínem, Javierem i narratorem obecny na przyjęciu wydanym na placu Weneckim przez Benita Mussoliniego.

**Baldwin Stanley.** Polityk angielski. Premier z ramienia konserwatystów. Obecny na wystawieniu *Nabucco* Verdiego.

**Barthou Louis.** Polityk francuski. Minister spraw zagranicznych. Przyjmowany przez Romerów w ambasadzie argentyńskiej w Londynie. Zamordowany w Marsylii.

**Bassett Percy.** Syn młodszej siostry Seana O'Shaughnessy. Kuzyn Briana. Zamożny. Przystojny. Eton. Oksford (Corpus Christi College). Narzeczony Pandory. Zerwanie. Obecny w Glangowness na ślubie Pandory z Thomasem K. Gordonem.

**Beaumont Etienne de.** Wuj narratora. Dandys. Znamca sztuki i literatury. Zachęca narratora do przeczytania *Wielkiego Gatsby'ego*.

**Bergman Ingrid.** Aktorka szwedzka. W filmie *Komu bije dzwon* ma rysy Jessiki.

**Blum Léon.** Polityk francuski. Socjalista. Brian O'Shaughnessy zna go i ceni. Na mityngu antyfaszystowskich intelektualistów, w którym uczestniczą Carlos i narrator, przypomina księcia, a zarazem charta afgańskiego.

**Bogart Humphrey.** Aktor amerykański. Znajomy Pandory.

**Borges Jorge Luis.** Pisarz argentyński. Autor *Loterii w Babilonie*.

**Bóg.** Pozwala na to wszystko. Ale śpi tylko jednym okiem.

**Brasillach Robert.** Pisarz francuski. Faszysta. Autor *Comme le temps passe* i *Poèmes de Fresnes*. Rozstrzelany.

**Brooks W.C.** Sławny hellenista i mitolog. Uczeń Renana i Marksa. Obrońca Dreyfusa i Oscara Wilde'a. Wykładowca w Oksfordzie (Corpus Christi) i Cambridge (Trinity). Wywiera decydujący wpływ między



innymi na Burgessa, Philby'ego, Anthony'ego Blunta i Carlosa Romery.

**Brzdać.** Patrz: Finkelstein Simon.

**Calvo Sotelo José.** Polityk hiszpański. Monarchista. Jego zabójstwo, będące dziełem Simona Finkelsteina, wywołuje powstanie nacjonalistów.

**Campbell Malcolm.** Kierowca wyścigowy. Przyjaciół Agustína Romery. Bije rekord prędkości na Błękitnym Ptaku.

**Campesino El.** Komunistę hiszpański. W Barcelonie wydaje rozkaz rozstrzelania milicjantek, które podejrzewa, że zarażają jego ludzi.

**Carpaccio Vittore.** Genialny wenecki malarz. Autor *Legendy świętej Urszuli* oraz *Świętego Jerzego ze smokiem*. Podziwiany przez Marie Wrońską. Tak naprawdę nie interesuje Simona Finkelsteina.

**Chamberlain Arthur Neville.** Polityk angielski. Nosi parasol. Premier.

**Chanel Coco.** Francuska krawcowa. Gościła u Romerów w ambasadzie argentyńskiej w Londynie. Ubiera Pandorę i Atalantę.

**Chaplin Charlie.** Aktor filmowy. Z balkonu paryskiego hotelu Crillon pozdrawia tłumy.

**Chevalier Maurice.** Piosenkarz francuski. Gościł u Romerów w ambasadzie argentyńskiej w Londynie.

**Chiron Louis.** Francuski kierowca wyścigowy. Przyjaciół Agustína i Pandory.

**Churchill, sir Winston.** Przyjaciół Briana i wszystkich O'Shaughnessych. Pod urokiem czterech sióstr. Domaga się słownika angielsko-wrońskiego i wrońsko-angielskiego. Obecny na ślubie Pandory. Przyprawia Jessicę o płacz. Z galanterią ją pociesza. Zaprasza na obiad Geoffreya Lennona i Carlosa Romery. Interesuje się karierą Geoffreya Lennona. Zasmucony z powodu zerwania między Geoffreym i Jessicą. Obecny na chrzcinach małego Francisa. Wypytuje narratora o romanse Vanessy. Poleca mu mieć ją na oku. Potępia spotkanie czterech sióstr w Barcelonie. Obecny na pogrzebie Jessiki w Glangowness. Liberał, a następnie konserwatysta. Pierwszy Lord Admiralicji. Minister wojny. Kanclerz Skarbu. Premier. Największy człowiek swoich czasów.

**Cocteau Jean.** Pisarz francuski. Autor *Wybryku* i *Tomasza oszusta*. Czytany i podziwiany w Glangowness przez Javiera Romerę.

**Conejedo.** Ksiądz. Instaluje odbiornik radiowy przed tabernakulum kościoła Sacré-Coeur w Nowym Jorku.

**Cooper Gary.** Aktor amerykański. Spotyka się z Pandorą.

**Cossigny Marie de.** Patrz: Wrońska (hrabina).

**Cristina Isabel.** Córka Periclesa Augusta i Florindy. Żona Jeremiasza Finkelsteina. Matka Rosity Romero i Simona Finkelsteina.

**Connoly Cyril.** Pisarz angielski. Wręcza Pandorze listy polecające do Hiszpanii.

**Czang Kaj-szek.** Chiński generał i mąż stanu. Przywódca Kuomintangu. Zmusza komunistów do podjęcia Długiego Marszu. W myśl sugestii Simona Finkelsteina zawiera chwilowe porozumienie z Mao Tse-tungiem.

**Czas.** Główny bohater *Wieczornego wiatru*, *Mężczyźni za nią szaleją* i ogólnie życia.

**D'Acosta** lub **Da Costa.** *Commendatore* (czy *avvocato*?). Dziwny. Przekazuje Agustínowi tajemniczą i przejrzystą wiadomość od Sant'Archangela.

**Daladier Edouard.** Polityk francuski. Radykał. Byk z Vaucluse. Podpisuje porozumienie monachijskie.

**De Bono Emilio.** Marszałek i polityk włoski. Minister stanu. Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej. Uczestniczy w przyjęciu wydanym przez Mussoliniego w pałacu na placu Weneckim. Stracony.

**Dollfuss Engelbert.** Polityk austriacki. Zamordowany przez nazistów.

**Dos Passos John.** Pisarz amerykański. W Etiopii przyjaźni się z Carlosem Romerą i Simonem Finkelsteinem.

**Dostojewski Fiodor Michajłowicz.** Pisarz rosyjski. Irytuje Pandorę z powodu konkurencji.

**Doucet Jacques.** Francuski krawiec i mecenas sztuki. Zdetronizowany przez Paula Poireta. Narrator myli się, sądząc, że widział go w Boeuf sur le Toit.

**Durruti Buenaventura.** Anarchista hiszpański. Kolejarz. Zamieszany w zabójstwo arcybiskupa Saragossy. Napada na Bank

Hiszpański. Przechodzi do legendy.

**Einstein Albert.** Fizyk. Zmienia obraz świata. Podejmowany przez Romerów w ambasadzie argentyńskiej w Londynie.

**Farinacci Roberto.** Sekretarz generalny partii faszystowskiej. Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej. Bierze udział w przyjęciu wydanym przez Mussoliniego w Pałacu Weneckim. Stracony.

**Finkelstein Jeremiasz.** Syn polskiego rabina. Romansuje z żoną szefa policji w Lublinie. Wyjeżdża do Warszawy, Berlina, Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Błyskotliwa kariera marksistowskiego związkowca i kapitalisty. Poślubia w Bahii Cristinę Isabel. Ojciec Rosity i Simona. Zrozpaczony po porwaniu syna. Koresponduje z najstarszym z wnuków. Gości go u siebie w Wirginii. Z ust Edgara Hoovera dowiaduje się, że syn żyje. Pada w ramiona syna w Anglii. Pod wrażeniem Pandory, która odkrywa w nim podobieństwo z Disraelim. Przyjaźni się z Winstonem Churchillem, który nazywa go Benjaminem. Umiera w ramionach córki Rosity i wnuka Carlosa, wspominając zielono-niebieskie pióra kapelusza Putyfary z Lublina.

**Finkelstein Cristina Isabel.** Patrz: Cristina Isabel.

**Finkelstein Simon.** Syn Jeremiasza. Porwany. Pojawia się na nowo w Meksyku u boku Paca Rivery. Nazywany Brzdącem. Wraz z ludźmi Emiliana Zapaty i Pancha Villi uczestniczy w operacjach z pogranicza rewolucji społecznej i bandytyzmu. Po zwycięstwie Madera ucieka do Stanów Zjednoczonych. Walczy nad Sommą u boku Briana O'Shaughnessy'ego. Zaproszony do Glangowness. Polecony przez Briana Agustínowi Romerze. W jego towarzystwie zwiedza Neapol i Sycylię. W Reggio di Calabria spotyka Zero Sant' Archangelo. Agustín przedstawia go Carlosowi Romerze. Z rozbawieniem odkrywa bliskie pokrewieństwo z Finkelsteinami i Romerami. Poznaje swojego ojca. Ma liczne romanse. Zwiedza Wenecję w towarzystwie Ingrid. Spotyka *grupetto*. Zaproszony do Giudekki przez hrabinę Wrońską, której się bardzo spodobał. Porywa Pandorę. Odnaleziony na Capri przez Agustína i narratora. Zwiedza Rzym i Florencję z przygnębioną Pandorą. Zostawia ją w Paryżu. Doradca wojskowy negusa w czasie wojny w Etiopii. Wspólnie z Carlosem Romerą lata na „Królowej Saby”. Ostrzeliwuje sztab główny marszałka Badoglio. Podtrzymuje kontakty z Riverą.

W Moskwie przyjmują go Wyszyński i Gromyko. Podejrzewany o udział w zabójstwie Calvo Sotelo i sabotażu samolotu generała Sanjurjo. Walczy w Hiszpanii po stronie republikanów. Nawiązuje bliskie kontakty z POUM i anarchistami. Agent Moskwy? W hotelu Colón w Barcelonie je kolację z Malraux, Hemingwayem i Kesselem. Pracuje nad zbliżeniem między Czang Kaj-szeikiem i Mao Tse-tungiem. W Londynie spotyka narratora i w zawołanych słowach mówi mu o swoim romansie z Jessicą. W Barcelonie podejmuje Zakon Królewskiego Sekretu. Pośrednio odpowiedzialny za śmierć Jessiki.

**Fitzgerald Francis Scott.** Autor *Wielkiego Gatsby'ego* i *Czuła jest noc*. Mąż Zeldy. Kochanek Pandory. Domniemany ojciec Francisa T. Gordona. Spotyka się z Pandorą w Beverly Hills. Jego stosunki z Hemingwayem. Wspominki z życia w Paryżu i na Lazurowym Wybrzeżu na początku lat trzydziestych. Scena w Ogrodzie Allaha.

**Fitzgerald Zelda.** Żona Scotta. Wspólnie prowadzą wystawne życie w Ameryce i w Europie. Alkoholiczka. Schizofreniczka. Zamknięta w zakładzie. Spłonęła żywcem.

**Florinda.** Dawna czarna niewolnica z Bahii. Żona Periclesa Augusta. Matka Cristiny Isabel.

**Franco Bahamonde Francisco.** Generał i polityk hiszpański. Przywódca nacjonalistów w czasie wojny domowej. *Caudillo*. Gości Vanessę w Burgos.

**Freud Zygmunt,** doktor. Wiedeński lekarz. Wraz z Darwinem, Marksem, Einsteinem, Picassem i paroma innymi odmienna obraz współczesnego świata.

**Gabriella.** Córka włoskiego konsula generalnego w Pekinie w okresie powstania bokserów. Ostatnia miłość Nicolasa. Pozwala się za niego zabić przez wielkiego Chińczyka ubranego na czarno.

**Gallimard Gaston.** Francuski wydawca. Bywalec Boeuf sur le Toit.

**Gaulle, generał Charles de.** Wielbiciel Pandory. Wyzwoliciel Francji.

**Gide André.** Pisarz francuski. Uczestniczy w zebraniu intelektualistów antyfaszystowskich, w którym udział biorą również Carlos Romero i narrator.

**Giono Jean.** Pisarz francuski. Pacyfista. Autor *Niech trwa moja radość, Huzar na dachu, Odmowa posłuszeństwa*.

**Giraudoux Jean.** Pisarz francuski, piewca drogocennej słodyczy życia. Autor *Zygryd, czyli Limousin i Wojny trojańskiej nie będzie*.

**Goebbels Joseph-Paul.** Polityk niemiecki. Minister propagandy i informacji. Wyznaczony na następcę Hitlera. Samobójstwo.

**Goering Hermann.** Marszałek i polityk niemiecki. Wyznaczony na następcę Hitlera. Samobójstwo.

**Gonzales.** Malarz meksykański. Nowojorski przyjaciel Pandory.

**Gordon Thomas K.** Spokrewniony z Mellonami i Vanderbiltami. Przy pływa do portu w Kastellorizo na oszalałym jachcie. Nie zwraca uwagi na Pandorę. Poślubia ją. Rozwód. Obecny na pogrzebie Jessiki w Glangowness.

**Gordon Francis T.** Syn Pandory i (może?) Scotta Fitzgeralda.

**Graziani Rodolfo.** Marszałek włoski. Wicekról Etiopii. Razem z Agustínem, Javierem i narratorem uczestniczy w przyjęciu wydanym na placu Weneckim przez Benito Mussoliniego.

**Gromyko Andriej Andriejewicz.** Polityk radziecki. Minister spraw zagranicznych. Gości Simona Finkelsteina.

**Hajle Sellasje.** I Cesarz Etiopii. Simon Finkelstein i Carlos Romero są jego doradcami wojskowymi. Pokonany przez Włochów. Zamordowany przez zwolenników pułkownika Mengistu.

**Hemingway Ernest.** Pisarz amerykański. Autor między innymi *Słońce też wschodzi, Śniegi Kilimandżaro, Komu bije dzwon*. W pierwszych latach kariery protegowany Scotta Fitzgeralda. Pierwsze ich spotkanie w Dingo, na rue Delambre. Pełne dwuznaczności stosunki między obu pisarzami. Oględziny członka Fitzgeralda w toalecie restauracji Michaud. Wyprawa do Luwru. Chwyta Pandorę, gdy ta rzuca się w pustkę. Je kolację z Malraux i Kesslem w Grand Hôtel Colón w Barcelonie. Urzeczony Jessicą. Oświadcza Pandorze, że uwieczni Jessicę w jednej ze swoich powieści. Nieprzyjemna scena z Fitzgeraldem nad basenem w Ogrodzie Allaha.

**Herbignac Hortense.** Kochanka Piotra Wasiliewicza Wrońskiego. Jej ostatni list do Marie de Cossigny Pandora wrzuciła w ogień.

**Hess Rudolf.** Urodzony w Aleksandrii w Egipcie. Porucznik

Hitlera. Przedstawiony Vanessie O'Shaughnessy przez Heinricha von Tipnitzza. Jedzą razem obiad w Vier Jahreszeiten w Monachium. Spacerują nad brzegiem Tegernsee. Całuje ją. Píše do niej poufny list. Każe młodemu Tipnitzzowi wystąpić z SA i przejść do SS. W Berlinie zostaje kochankiem Vanessy. Jedzą razem kolację w Wiedniu w dniu Anschlussu. Zabiera ją ze sobą do Rzymu i Burgos.

**Hilditch and Key.** Sklep z koszulami w Londynie i Paryżu, odwiedzany przez narratora.

**Himmler Heinrich.** Polityk niemiecki. Szef gestapo. Minister spraw zagranicznych. Samobójstwo.

**Hindenburg Paul von Beneckendorff und von.** Marszałek niemiecki. Zwycięzca spod Tannenberga. Prezydent Rzeszy. Pozywa Adolfa Hitlera do Kancelarii Rzeszy.

**Hitler Adolf.** Niemiecki mąż stanu. Przywódca partii narodowosocjalistycznej. Kanclerz Rzeszy. Führer. Podziwiany przez Vanessę. Samobójstwo.

**Hore-Belisha Leslie,** baron. Polityk angielski. Je śledzie przy stoliku nieopodal narratora.

**Hoover Edgar.** Szef Federalnego Biura Śledczego (FBI). Zawiadamia Jeremiasza Finkelsteina, że jego syn żyje.

**Ingrid.** Niemiecka kochanka Simona Finkelsteina. Porzucona w Wenecji dla Pandory.

**Kessel Jef.** Pisarz francuski. Je kolację w Grand Hôtel Colón w Barcelonie z Malraux i Hemingwayem. Tłucze szklanki na cześć Jessiki.

**Ketty Rina.** Śpiewa *Sombreros y mantillas* oraz *J'attendrai*.

**Kitchener Herbert,** lord. Marszałek brytyjski. Przyjaciół Briana O'Shaughnessy'ego. Zwycięzca nad Mahdim pod Omdurmanem (Chartum). Zwycięzca Burów. Armia indyjska. Brytyjski rezydent generalny w Egipcie. Minister wojny. Jego okręt zostaje storpedowany na Orkadach. Ku zdumieniu Winstona Churchilla Pandora podejrzewa go o homoseksualizm.

**Landsdown.** Tytuł McNeillów. Ósmy lord Landsdown żeni się powtórnie z rani Prianti. Mieszka w zamku Glangowness. Po śmierci

jego syna król Jerzy V zezwala jego prawnukowi, Brianowi O'Shaughnessy'emu, na przejęcie tytułu Landsdownów. Patrz: O'Shaughnessy Brian.

**Lanvin Jeanne.** Francuska krawcowa. Ubiera Pandorę.

**Lennon Geoffrey.** Poseł z ramienia konserwatystów. Zakochany w Jessice. Zaproszeni razem na obiad przez Winstona Churchilla. Żeni się z nią. Rozwódzi. Poślubia jej siostrę Atalantę. Z pomocą Winstona Churchilla przygotowuje się do wielkiej kariery.

**Lubitsch Ernst.** Filmowiec amerykański pochodzenia niemieckiego. Twórca licznych arcydzieł. Oczarowany Pandorą w Hollywood.

**Lyautey Louis-Hubert.** Marszałek Francji. Minister wojny. Choć może się to wydać dziwne, bywa w Boeuf sur le Toit.

**Maginot André.** Polityk francuski. Minister wojny. Twórca linii. Symbol epoki.

**Malraux André.** Pisarz francuski. Minister. Podczas wiecu intelektualistów antyfaszystowskich, w którym udział biorą Carlos i narrator, mówi bardzo szybko, bardzo błyskotliwie, ma nerwowe tiki. Je kolację w Grand Hôtel Colón w Barcelonie z Hemingwayem i Kesslem. Opowiada Jessice o filmie, jaki właśnie kręci na podstawie *Nadziei*.

**Mankiewicz Joseph.** Reżyser amerykański. Lubi się uważać za Szekspira. Wyraża się cierpko o Fitzgeraldzie. Daje imię Pandory bohaterce swojego filmu *Latający Holender*.

**Mao Tse-tung.** Chiński mąż stanu. Przywódca partii komunistycznej. Zmuszony do Długiego Marszu przez Czang Kaj-szeka. W myśl rad Simona Finkelsteina zawiera z nim chwilowe porozumienie.

**Marks Karol.** Ekonomista i filozof niemiecki. Autor *Kapitału* oraz *Manifestu komunistycznego*. Czytany i podziwiany przez Paca Riverę, Simona Finkelsteina, W.C. Brooksa, Carlosa Romery. Jego cień rozciąga się na Związek Radziecki, Chiny, Oksford i Cambridge, Glangowness, republikańską Hiszpanię i całe stulecie.

**Marx Groucho.** Żadnego pokrewieństwa z Karolem. Komik amerykański. Gwiazda *Dnia na wyścigach*, *Nocy w Operze*, *Kaczej zupy*. W Ogrodzie Allaha rozmawia z Pandorą.

**Maureen.** Nieślubna córka Brentona O'Shaughnessy'ego. Kochanka i zabójczyni swojego przyrodniego brata.

**Millan Astray y Terreros José.** Generał hiszpański. Nacjonalista. Jednoręki. Jednooki. Gorszy Unamuna, wołając: *Viva la muerte!* w *paraninfo* uniwersytetu w Salamance. Pomaga Vanessie dostać się z Burgos do Saragossy.

**Montherlant Henry de.** Pisarz francuski. Mówi o umysłowości midinetki.

**Mortimer Raymond.** Pisarz i krytyk angielski. Autor satyrycznego czterowersza o Geoffreju Lennonie i Jessice O'Shaughnessy.

**Murphy Jimmy.** Amerykański kierowca wyścigowy. Wkrótce po zakończeniu pierwszej wojny światowej wygrywa Grand Prix w Mans, wyprzedzając Agustína Romerę.

**Mussolini Benito.** Włoski mąż stanu. Socjalista. Założyciel partii faszystowskiej. Po marszu na Rzym sięga po władzę. Duce. Ceni Agustína Romerę. W Pałacu Weneckim rozmawia z nim i narratorem. Obalony i aresztowany. Wydany Skorzeny'emu. Rozstrzelany w Dongo. Powieszony na rzeźnickim haku.

**Nadia.** Córka Marie de Cossigny i rosyjskiego ogrodnika. Zakochuje się w swoim przyrodnim bracie. Matka Hélène O'Shaughnessy. Umiera ze zgrzyoty.

**Narrator.** Należy do rodziny Plessis-Vaudreuil. Przeciętny. Zaproszony do Glangowness. Zakochany we wszystkich naraz siostrach O'Shaughnessy. Ma szczególną słabość do Pandory. Zaproszony do Wenecji przez hrabinę Wrońską. Towarzyszy Agustínowi w polowaniu na Pandorę. Zabiera ich do Larue i Boeuf sur le Toit. Odwozi Pandorę do Glangowness. Uczestniczy w wyprawie do Grecji. Spotyka Pandorę w Nowym Jorku. Jedzie z nią do Kalifornii. Gra rolę psa bernardyna. Organizuje w Barcelonie posiedzenie plenarne Zakonu Królewskiego Sekretu. Spisuje wspomnienia na tarasie swojego domu w San Miniato w Toskanii.

**Nazimova Alla.** Gwiazda kina niemego. Wspólnie z Ritą Hayworth gra w *Krwi na piasku*. Dawna właścicielka hotelu Ogród Allaha w Beverly Hills, w którym zatrzymali się Pandora i narrator.



**Nicolas.** Syn Marie Wrońskiej i Verdiego. Po urodzeniu uprowadzony. Zakochuje się w Nadii. Zostawia ją. W Pekinie uczestniczy w powstaniu bokserów. Ucieka z oblężonego Port Arthur. Poległy w bitwie pod Mukdenem. Ojciec Hélène. Pośmiertnie nawiedza wyobrażnię Pandory.

**O'Shaughnessy Brian.** Towarzysz Kitchenera w Sudanie, Afryce Południowej, Indiach i w Egipcie. Zaprzyjaźniony z Winstonem Churchillem. Mąż Hélène Wrońskiej, córki Nicolasa i Nadii. Upoważniony przez króla Jerzego do przejęcia tytułu Landsdownów. Przygody córek budzą w nim zachwyty i przerażenie.

**O'Shaughnessy Hélène.** Córka Nicolasa i Nadii. Wnuczka Marie Wrońskiej. W Paryżu spotyka Briana O'Shaughnessy'ego. Wychodzi za niego za mąż. Cztery córki.

**O'Shaughnessy Pandora.** Najstarsza córka Briana i Hélène. Powołuje w schowku na szczotki Zakon Królewskiego Sekretu. Krok po kroku odkrywa przygody rani, samobójstwo hrabiego Wrońskiego, antybrytyjską działalność wywrotową wuja Edmunda O'Shaughnessy'ego, istnienie porucznika Turnbulla. Pod wrażeniem Izby Lordów. Zafascynowana sikhami. Oczarowuje kolejno Winstona Churchilla i Jeremiasza Finkelsteina. Wraz z siostrami posługuje się osobliwym językiem. Słownik wrońsko-angielski i angielsko-wroński. Zaręczona z Percym Bassettem. Rewelacje Briana. Odkrycie Nicolasa. Wyjeżdża z Simonem Finkelsteinem. Znaleziona na Capri przez Agustína i narratora. Spaceruje po Rzymie i Florencji z Simonem Finkelsteinem. Pociąg do Paryża. Kolacja w Larue. Wieczór w Boeuf sur le Toit. Powrót do Glangowness. Jej stosunki z Luisem Miguelem i Javierem Romerą. Rejs do Grecji. W Kastellorizo poznaje Thomasa K. Gordona. Wychodzi za niego za mąż. W Nowym Jorku prowadzi chaotyczne życie. Spotkanie z Hemingwayem, ze Scottem Fitzgeraldem. Wysyła do narratora telegram. Jedzie z nim do Hollywood. Ogród Allaha. Narodziny i chrzest Francisa. W Hawrze czeka na nią narrator. Bar Ritza. Wyjeżdża z siostrami do Barcelony. Spotkanie z Jessicą. Poznaje Astorgę Vayo. Uważa, że jest uroczy. Pielęguje rannych republikanów w szpitalu w Barcelonie. Spotkanie z Vanessą. Być może wskutek obecności Simona Finkelsteina nie pozostaje nieczuła na urok

Carlota Romera. Zropanzona po śmierci Jessiki.

**O'Shaughnessy Atalanta.** Druga córka Briana i Hélène. Spokojna, poważna, zrównoważona. Uwielbia swoje siostry. Wychodzi za mąż za Geoffreya Lennona, przez osiem dni męża swojej siostry Jessiki. Dwoje dzieci. Osiedla w Glangowness. Spaceruje po alejach parkowych z narratorem. Nakłania go, by zorganizował spotkanie plenarne Zakonu Królewskiego Sekretu. Wyjeżdża z Pandorą i narratorem do Barcelony.

**O'Shaughnessy Vanessa.** Trzecia córka Briana i Hélène. Wysoka. Jasnowłosa. Wygląda jak szalona klacz. Przyjaciółka Renate i Heinricha von Tipnitzów. Zaproszona przez nich do Tutzing pod Monachium. Pojawienie się Rudolfa Hessa. Obiad z nim w Vier Jahreszeiten w Monachium. Spacerują razem nad Tegernsee. Całuje go. Płynie razem z siostrami do Grecji. Wspólna kolacja w tawernie Alexisa na Rodos. Zaskakuje ich swoją opowieścią o pobycie w Bawarii. Koresponduje z Rudolfem Hessem. Zakochuje się w nim. W Berlinie zostaje jego kochanką. Wyjeżdża na dłuższe pobyty do Niemiec. Niepokoi to Winstona Churchilla, który podczas spaceru w Glangowness powierza ją opiece narratora. Spotyka ponownie narratora na przyjęciu wydanym przez Mussoliniego w Pałacu Weneckim. Nakłania Hessa, by zaprosił narratora do Niemiec. Wraz z narratorem są świadkami zajęcia Wiednia przez wojska niemieckie. Wyznaje narratorowi, że jest zakochana i w Rudolffie Hesse, i w Agustínie Romerze. Jedzie z Agustínem do Ameryki. Jedzie z Rudolfem Hessem do Burgos. Towarzyszy konwojowi rannych jeńców republikańskich. Przyjeżdża do Barcelony. Jej nieostrożne zachowanie i wypowiedzi w towarzystwie Agustína. Jako pierwsza orientuje się, że Jessica kona.

**O'Shaughnessy Jessica.** Najmłodsza, najwrażliwsza, jedyna ciemnowłosa z córek Briana i Hélène. Skłonna do płaczu. Zastanawia się nad przywilejami, z których korzysta. Jako dziecko uczestniczy w wyprawie do Grecji. Dobrze się rozumieją z Carlosem. Na Rodos wdrapują się razem na szczyt cytadeli w Lindos. Gwałtownie potępia uczucia Vanessy. Równie gwałtownie okazuje solidarność z siostrami. Zmartwiona, następnie pocieszona przez Winstona Churchilla. Zaręczona z Geoffreym Lennonem. Idą razem na obiad do Winstona Churchilla. Spotyka Carlota Romerę. Uświadamia sobie, że nigdy nie

przestała go kochać. Próbuje go zdobyć tylko dla siebie. To jej się nie udaje. Wychodzi za mąż za Geoffreya Lennona. Zaraz potem porzuca go dla Carlosa. Wyjeżdża z Carlosem do Hiszpanii. Upoważnia Atalantę do poślubienia Geoffreya. W Grand Hôtel Colón w Barcelonie je kolację z Malraux, Hemingwayem i Kesslem. Wpada w oko Hemingwayowi, który obiecuje sobie wprowadzić ją do swej najbliższej powieści o Hiszpanii. Darzy pełnym dwuznaczności uczuciem Simona Finkelsteina. Wydaje jej się, że Carlos popycha ją w ramiona Simona. Z radością wita swoje siostry. Rozmawia z narratorem. Czuje się zdradzona przez historię. Czuje się zdradzona przez miłość. Woli odejść. Wysiada jej serce. Winston Churchill wyraża uznanie dla jej śmierci za idee.

**Peck Gregory.** Aktor amerykański. Spotyka się z Pandorą.

**Pericles Augusto.** Wędrowny handlarz pochodzenia włosko-portugalskiego. Mąż Florindy. Awansuje w hierarchii społecznej. Nosi cudaczne kamizelki. Ojciec Cristiny Isabel.

**Petacci Clara.** Kochanka Mussoliniego. Obecna na przyjęciu w Pałacu Weneckim. Stracona razem z Duce. Powieszona na rzeźnickim haku.

**Pietiakow,** pułkownik. Biały emigrant rosyjski w Nowym Jorku. Przewodniczy komitetowi wyzwolenia Ukrainy. Bliski znajomy Pandory.

**Pius XI,** papież. Poleca zarejestrować Radio Watykan w Międzynarodowym Biurze w Bernie pod inicjałami HVJ.

**Plessis-Vaudreuil Sosteniusz de,** książę. Dziadek narratora. Zdaniem Atalanty zajmuje zbyt wiele miejsca we wspomnieniach wnuka.

**Poiret Paul.** Francuski krawiec i dekorator.

**Prianti,** rani. Posiadaczka bajecznych szmaragdów. Nakazuje sikhom zgładzić pierwszą żonę lorda Landsdowna. Wychodzi za niego za mąż. Odnawia zamek w Glangowness.

**Prism, miss Evangeline.** Rudowłosa guwernantka angielska. Przechodzi ze służby u Romerów do O'Shaughnessych. Przerazona tym, czego się dowiedziała. Dziewczynki jej dokuczają. Pozostaje wierna swoim chłopcom. Obecna na pogrzebie Jessiki w Glangowness.

**Proust Marcel.** Pisarz francuski. Czytany i podziwiany przez Javiera Romerę.

**Ribbentrop Joachim von.** Polityk niemiecki. Minister spraw zagranicznych. W Wiedniu po Anschlussie je kolację z Vanessą i narratorem. Stracony.

**Ribbentrop pani von.** Żona Joachima. Opowiada narratorowi o swojej miłości do Francji i do szampana.

**Rimbaud Arthur.** Poeta francuski. Irytuje Pandorę z powody rywalizacji.

**Rivera Paco.** Rewolucjonista meksykański. Alias Profesor, alias Książulek, alias El Sombrero. Walczy u boku Pancha Villi i Emiliana Zapaty. Chroni się w Stanach Zjednoczonych po zwycięstwie Madero. Wyjeżdża do Europy. Spotyka w Zurychu Lenina. Częste wizyty w Moskwie. Widuje się z Wyszyńskim i Gromyką. Spotyka się w Berlinie z Carlosem Romerą. Dostarcza mu dość mętnych informacji o Brzdącu.

**Roehm Ernst,** kapitan. Dowódca SA. Zabity przez esesmanów podczas „nocy długich noży”.

**Romero Conchita.** Wdowa po pułkowniku. Matka Aureliana. Ledwie udaje jej się umknąć zakusom dyktatora. Osiada w Argentynie. Dorabia się znacznej fortuny na cemencie i piwie. Siedzi uważnie karierę i życie prywatne syna. Przed śmiercią przyjeżdża do Londynu, żeby się z nim spotkać.

**Romero Aureliano.** Syn Conchity. Studia w Cambridge. Bije się, potem godzi z Brianem O'Shaughnessym wieczorem w dniu regat nad Tamizą. Attaché ambasady w Londynie. Sekretarz ambasady w Waszyngtonie. Mąż Rosity. Radca ambasady w Paryżu. W przededniu pierwszej wojny światowej zabiera żonę i dwóch starszych synów do Larue. Ambasador Argentyny w Londynie. Pompatyczny humanista.

**Romero Rosita.** Córka Jeremiasza Finkelsteina i Cristiny Isabel. Wstrząśnięta po śmierci dziadka Periclesa Augusta i porwaniu brata Simona. Żona Aureliana Romery. Chłodno przyjęta przez teściową Conchitę. Ostatecznie zaprzyjaźnia się z nią i staje się do niej podobna. Często i z powodzeniem podejmuje gości. Dowiedziawszy się, że jej brat Simon porwał Pandorę, umiera ze zgrzyoty.

**Romero Carlos.** Najstarszy syn Aureliana i Rosity. Je z rodzicami obiad w Larue w przededniu pierwszej wojny światowej. Nauka w Janson-de-Sailly, Eton i Cambridge. Wychowanek W.C. Brooksa w Trinity College. Historyk religii. Mitolog. Marksista. Założyciel i redaktor naczelny pisma „Heretyk”. Inspirator poczynań Apostołów. Jego tajna działalność. Interesuje się mafią. Przeprowadza dochodzenie w sprawie Brzdąca. Spotkanie z Pakiem Riverą w Berlinie. Odkrywa, że Brzdąc i Simon Finkelstein to jedna i ta sama osoba. Rejs do Grecji. Dobrze się dogaduje z Jessicą. Zwiedza z nią Lindos. Oburzony na siostry. Razem z Simonem bierze udział w wojnie w Etiopii. Na obiedzie u Winstona Churchilla spotyka zaręczoną Jessicę. Porywa ją. Wyjeżdżają razem do Hiszpanii. Życie w Barcelonie z Jessicą i Simonem. Pełne dwuznaczności stosunki z Simonem. Pod wrażeniem Pandory. Czuje się odpowiedzialny za śmierć Jessiki. Główne publikacje: *Historia religii w ujęciu marksistowskim* (praca doktorska), *The Fellow Travellers*, *Reason in Revolt*, *Spanish Fury: the Story of a Civil War*.

**Romero Agustín.** Drugi syn Aureliana i Rosity. Je obiad z rodzicami w Larue w przededniu pierwszej wojny światowej. Kierowca wyścigowy. Z rekomendacji Briana zaprzyjaźnia się z Brzdącem. W towarzystwie Brzdąca zwiedza Neapol i Sycylię. Spotkanie z Zero Sant'Archangelo w Reggio di Calabria. Wspólnie z narratorem wybiera się na poszukiwanie Pandory. Zabiera ją do Rzymu, do Florencji, do Paryża. Pociąga go faszyzm. Wyprawa do Grecji. W Pałacu Weneckim spotyka Vanessę, której towarzyszy Rudolf Hess. Zakochuje się w niej. Zostają kochankami. Zabiera ją do Stanów Zjednoczonych. Szczęśliwy z powodu ponownego spotkania z nią w Barcelonie. Pociesza ją i podtrzymuje na duchu po śmierci Jessiki.

**Romero Javier.** Bliźniaczy brat Luisa Miguela. Leniwy. Bardzo lubi czytać. Wielbiciel Prousta i Cocteau. Poeta. Bliski przyjaciel narratora. Je z nim obiad w Paryżu w przeddzień lub nazajutrz po wydarzeniach 6 lutego. Drażni go romans Pandory i Luisa Miguela. Wyprawa do Grecji. Zakochuje się w Pandorze. W barze Ritza z Pandorą, Luisem Miguelem i narratorem. Uczestniczy w zebraniu Zakonu Królewskiego Sekretu w Barcelonie. Obecny przy śmierci

Jessiki i na jej pogrzebie w Glangowness.

**Romero Luis Miguel.** Bliźniaczy brat Javiera. Światowiec. Kobieciarz. Manipulowany przez Simona. Zakochuje się w Pandorze. W londyńskiej restauracji opowiada narratorowi o swoich niedolach. Złoszczą go rady, których udziela mu narrator. Wyprawa do Grecji. Uważa się za w pewnym sensie narzeczony Pandory. Rozpacza, kiedy Pandora wychodzi za mąż za Thomasa Gordona. Czuje odrazę do wysp greckich. Jedzie do Argentyny. Spotyka Pandorę w barze Ritza. Przesadza z piciem. Razem z Pandorą i Atalantą wyjeżdża do Barcelony.

**Sanjurjo Sacanell José.** Generał hiszpański. Przygotowuje razem z Franco powstanie nacjonalistów. Ginie w Portugalii, lecąc samolotem uszkodzonym przez Simona Finkelsteina.

**Sant'Archangelo Zero.** W Reggio di Calabria okradziony z portfela. Spotyka Agustína i Simona i zaprzyjaźnia się z nimi. Oprowadza Agustína po siedzibie swojego przedsiębiorstwa w Neapolu. Wie, gdzie przebywają Simon i Pandora. Wskazuje Agustínowi i narratorowi miejsce ich pobytu. Gości ich w Gaete. Rozwija działalność mafii w Stanach Zjednoczonych.

**Kelner w Tawernie Alexisa w Rodos.** Na widok wchodzącej Pandory i jej sióstr z zachwyty upuszcza talerz.

**Sombrero El.** Patrz: Rivera Paco.

**Song King-ling.** Druga córka chińskiego bankiera. Wychodzi za mąż za Sun Jat-sena. Komunistka.

**Song Mei-ling.** Młodsza siostra King-ling. Wychodzi za mąż za Czang Kaj-szeka. Nacjonalistka.

**Souvarine Boris.** Intelktualista i pisarz rosyjski. Sekretarz Stalina. Ucieka na Zachód. Uważa Simona Finkelsteina za stalinowskiego agenta podszywającego się pod anarchistę.

**Spender Stephen.** Poeta angielski. Pandora dostaje od niego listy polecające do Hiszpanii.

**Stalin Józef Wissarionowicz Dżugaszwili,** nazywany Stalinem. Gruziński seminarzysta. Redaktor naczelny „Prawdy”. Sekretarz generalny partii komunistycznej. Następca Lenina. Dyktator. Marszałek. Podziwiany przez Carlosa i Jessicę. Oraz w pewnym stopniu przez Simona Finkelsteina.

**Sturgees John.** Dziennikarz i pisarz amerykański. Korespondent „New York Timesa” w Etiopii. Autor *Lwa z Judy*. Brian jest oburzony, że przedstawiał Carlosa Romerę jako jego siostrzeńca.

**Thirion André.** Autor *Rewolucjonistów bez rewolucji*. Uważa Simona Finkelsteina za ukrytego stalinowca.

**Tipnitz Heinrich von.** Dowódca SA. Dzięki protekcji Rudolfa Hessa i naleganiu Vanessy przechodzi do SS. Unika „nocy długich noży”. Żywi uczucie do Vanessy. Uznaje wyższość Rudolfa Hessa. Obersturmführer SS.

**Tipnitz Renate von.** Siostra Heinricha. Przyjaciółka Vanessy. Zaprasza ją na kilkutygodniowy pobyt w dobrach swoich rodziców w Tutzing nad jeziorem Starnberg.

**Toulet Paul-Jean.** Poeta francuski. Autor *Contrerimes* i *Mon amie Nane*. Bliska śmierci Jessica deklamuje jego wiersz.

**Turnbull James.** Porucznik armii indyjskiej. Bardzo bliski przyjaciel Briana O’Shaughnessy’ego. Kapitan, major, generał. Prezes licznych rad nadzorczych. Zaproszony do Glangowness, gdzie wzbudza wielkie zainteresowanie i gdzie, ku zgorszeniu miss Prism, cztery siostry robią sobie z niego żarty.

**Vayo Astorga.** Członek SIM. Komendant obozu w Omells de Nagaya. Carlos Romero przedstawia go Pandorze, której bardzo się podoba. Zabiera ją do kina i na przejażdżki w świetle księżyca. Ginie z rąk trockistów i anarchistów zakopany żywcem w obozie Argeles.

**Verdi Giuseppe.** Genialny kompozytor włoski. Autor *Nabucco*, *Traviaty*, *Aidy*. Kochanek Marie Wrońskiej. Ojciec Nicolasa.

**Wiktor Emanuel III.** Król Włoch. Cesarz Etiopii. Akceptuje i popiera Mussoliniego. Gości Agustína, Javiera, narratora oraz paru innych w Pałacu Weneckim.

**Wyszyński Andriej Januarewicz.** Polityk radziecki. Minister spraw zagranicznych. Gości Simona Finkelsteina w Moskwie.

**Wrońska Marie de Cossigny,** hrabina, żona Piotra Wasiliewicza. Lektorka francuskiego w Sankt Petersburgu. W ciąży z ogrodnikiem. W Wiedniu spotyka Piotra Wasiliewicza Wrońskiego. Wychodzi za niego za mąż. Osiada w Wenecji. Romans z Verdim. Oczekuje jego dziecka. Od Piotra Wasiliewicza dowiaduje się, że dziecko zmarło.

Odnajduje syna. Traci go na nowo. Traci córkę. Przenosi swe uczucia na wnuczkę, Hélène, córkę Nicolasa i Nadii. Kursuje między Paryżem, Londynem, Wenecją a Glangowness. Przyjaźni się z narratorem. Zaprasza go do Wenecji. Rozpacza z powodu romansu Pandory z Simonem Finkelsteinem. Spaceruje z narratorem po alejach Glangowness. Zaprasza go na przedstawienie *Nabucco* do Londynu. Umierając, poleca Pandorze wrzucić w ogień ostatni list od Hortense Herbignac.

**Wroński Piotr Wasiliewicz**, hrabia. Rosjanin. Arystokrata. Liberal. Poślubia Marie de Cossigny i uznaje jej córkę. Porywa syna Marie i Verdiego. Utrzymuje, że umarł. Popełnia samobójstwo w Bawarii.



## Przypisy

- [1] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska.
- [2] Paul Verlaine, *Never more*, przeł. Bronisława Ostrowska, w:  
*Symboliści francuscy*, Wrocław 1965.
- [3] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska.
- [4] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska.
- [5] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska.
- [6] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska.
- [7] Ten i dwa kolejne fragmenty wierszy w przekładzie Hanny  
Igalson-Tygielskiej.

